KRYSTYNA ŚRENIOWSKA

Moje życie

WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

KRYSTYNA ŚRENIOWSKA
Moje życie

opracowanie, wstęp i komentarz

Jolanta Kolbuszewska
Rafał Stobiecki

WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO
Łódź 2018

Jolanta Kolbuszewska, Rafał Stobiecki – Uniwersytet Łódzki
Wydział Filozoficzno-Historyczny, Katedra Historii Historiografii
i Nauk Pomocniczych Historii, 90-219 Łódź, ul. A. Kamińskiego 27a

RECENZENT
Andrzej Wierzbicki

REDAKTOR INICJUJĄCY
Iwona Gos

OPRACOWANIE REDAKCYJNE
Danuta Bąk

SKŁAD I ŁAMANIE
AGENT PR

PROJEKT OKŁADKI
Katarzyna Turkowska

Zdjęcie na okładce: Krystyna Śreniowska, lata 40–50. XX wieku
(Akta pracownicze, Archiwum Uniwersytetu Łódzkiego, sygn. 10639)

© Copyright by Authors, Łódź 2018
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2018
https://doi.org/10.18778/8088-946-0
Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.08401.17.0.K
Ark. wyd. 11,5; ark. druk. 15,0

ISBN 978-83-8088-946-0
e-ISBN 978-83-8088-947-7

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63

Krystyna Śreniowska, lata 40.–50. XX wieku
(Archiwum Uniwersytetu Łódzkiego, Akta pracownicze, sygn. 10639)

Spis treści

Fotografia: Krystyna Śreniowska, lata 40.–50. XX wieku (Archiwum Uniwersytetu Łódzkiego, Akta pracownicze, sygn. 10639) 5

Wprowadzenie (*Jolanta Kolbuszewska, Rafał Stobiecki*) 9

Część I

Krystyna Śreniowska – *Moje życie* 29

Część II. Aneks

Krystyna Śreniowska – *Uniwersytet Łódzki w latach 1945–1986* 199

Fotografia: Krystyna Śreniowska, rok 1986 (Fotografia autorstwa Evy Rubinstein, w posiadaniu rodziny) 223

Bibliografia prac Profesor Krystyny Śreniowskiej 225

Indeks osobowy 233

Wprowadzenie

I. Historycy rzadko decydują się na pisanie wspomnień. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje? Być może jest to związane z podświadomą obawą przed nieadekwatnym, zbyt uproszczonym ich odczytaniem przez potencjalnych Czytelników, czy też niechęcią do dzielenia się swymi najbardziej prywatnymi opiniami i uczuciami. Sami historycy bywają przecież często nie tylko bezstronnymi obserwatorami, ale zdarza im się także występować w rolach adwokatów, prokuratorów i sędziów, których niejako obowiązkiem jest dotarcie do najbardziej ukrytych motywów ludzkiego postępowania, odkrywanie złożonych mechanizmów ludzkiej psychiki.

W polskiej historiografii po 1945 roku dysponowaliśmy do niedawna zaledwie kilkoma tego typu świadectwami. Warto w tym miejscu wymienić przede wszystkim słynne *Rozdziałki* Witolda Kuli, przygotowane do druku przez jego żonę Ninę Assorodobraj-Kulę i syna Marcina[1]. Rok później ukazały się pamiętniki Franciszka Ryszki[2]. W ostatnim czasie sytuacja wydaje się zmieniać. W ciągu kilku ostatnich lat ukazały się m.in. wspomnienia Stanisława Salmonowicza, Jerzego Holzera, Jolanty Dworzaczkowej[3]. Publikacji wspomnień towarzyszą wydania

[1] W. Kula, *Rozdziałki*, do druku podali N. Assodobraj-Kula i M. Kula, Warszawa 1996.

[2] F. Ryszka, *Pamiętnik inteligenta*, Warszawa 1996.

[3] S. Salmonowicz, *„Życie jak osioł ucieka…". Wspomnienia*, Warszawa 2014; J. Holzer, *Historyk w trybach historii. Wspomnienia*, Kraków 2015; J. Dworzaczkowa, *Moje wspomnienia ze studiów historycznych w latach 1942–1947 i z początków pracy na Uniwersytecie Poznańskim*, Poznań 2013.

innych źródeł autobiograficznych w postaci edycji listów. Mamy na myśli np. opracowaną przez Elżbietę Orman korespondencję Stefana Kieniewicza i Henryka Wereszyckiego, czy emigracyjne *pendant* do niej w postaci listów Władysława Poboga-Malinowskiego i Wacława Jędrzejewicza[4]. Duży wybór epistolografii zawiera także tom poświęcony pamięci Aleksandra Gieysztora[5].

Jak na tym tle prezentuje się dorobek ośrodka łódzkiego? Najkrótsza odpowiedź powinna brzmieć – bardzo skromnie. W zasadzie poza wydanymi na początku lat 90. wspomnieniami Heleny Brodowskiej *Z chłopskiej łąki* oraz krótkimi tekstami autorstwa m.in. Zofii Libiszowskiej brak innych świadectw o charakterze autobiograficznym[6]. Tę lukę tylko częściowo wypełniają niepublikowane, wykorzystane w pracy *Opowiedzieć Uniwersytet. Łódź akademicka w biografiach wpisanych w losy Uniwersytetu Łódzkiego*, relacje zebrane przez łódzkich socjologów[7]. Choćby zatem z tego powodu pamiętnik Krystyny Śreniowskiej *Moje życie* stanowi źródło wyjątkowe[8].

II. Kim była autorka prezentowanych Czytelnikowi wspomnień? Krystyna Maria Oppenauer, po mężu Śreniowska, urodziła się 21 listopada 1914 roku we Lwowie, w rodzinie inteligenckiej. Początkowo pobierała nauki w Stryju, gdzie jej ojciec – Kalikst Oppenauer, po powrocie z frontu w 1920 roku, objął

[4] *Stefan Kieniewicz – Henryk Wereszycki. Korespondencja z lat 1947–1990*, wstęp i oprac. E. Orman, Kraków 2013; *Władysław Pobóg-Malinowski, Wacław Jędrzejewicz. Listy 1945–1962*, oprac. i wstęp S. M. Nowinowski, R. Stobiecki, Warszawa 2016.

[5] *Aleksander Gieysztor. Człowiek i dzieło*, red. M. Koczerska, P. Węcowski, Warszawa 2016. Przegląd tego typu źródeł, zob. J. Maternicki, *Materiały autobiograficzne i ich rola w badaniach historiograficznych*, [w:] *Biografistyka we współczesnych badaniach historycznych*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, Łódź 2017, s. 69–92.

[6] H. Brodowska-Kubicz, *Z chłopskiej łąki. Wspomnienia*, Łódź 1994; Z. Libiszowska, *Moja droga naukowa i nauczycielska*, „Życie Szkoły Wyższej" 1984, nr 5, s. 87–99; Z. Libiszowska, *Moje uniwersytety*, [w:] *Moja droga do nauki*, red. E. Paradowska, Łódź 1996, s. 187–205. Zob. także S. Bąkowicz, *Mój Uniwersytet. Wspomnienia byłego studenta*, Łódź 2008 (autor jest absolwentem studiów historycznych na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UŁ i wieloletnim redaktorem pisma Uniwersytetu Łódzkiego „Kronika").

[7] *Opowiedzieć Uniwersytet. Łódź akademicka w biografiach wpisanych w losy Uniwersytetu Łódzkiego*, red. K. Kazimierska, K. Waniek, A. Zysiak, Łódź 2015.

[8] Pełny tytuł nadany przez K. Śreniowską brzmiał *Moje życie 1914–*.

posadę sędziego. O matce bohaterki wiemy niewiele ponad to, iż nie pracowała zawodowo, zajmując się wychowaniem córek i prowadzeniem domu[9]. W roku 1929 rodzina ponownie przeniosła się do Lwowa. W 1933 roku Krystyna ukończyła szkołę średnią – prywatne gimnazjum żeńskie im. A. Mickiewicza i wkrótce potem rozpoczęła studia historyczne na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Studiowała historię, a jednocześnie Uzupełniające Studium Dyplomatyczne na Wydziale Prawa UJK. To ostatnie ukończyła w 1936 roku. W trakcie studiów historycznych słuchała wykładów czołowych dziejopisów związanych z lwowską uczelnią, m.in. Franciszka Bujaka, Stanisława Łempickiego i Stanisława Zakrzewskiego[10]. Uczestniczyła w seminariach tego ostatniego, a po jego śmierci – Ludwika Kolankowskiego[11]. Pod kierunkiem tego ostatniego w 1937 roku napisała pracę magisterską o działalności reformacyjnej i kulturalnej Mikołaja Radziwiłła Czarnego. Faktycznym jej mistrzem był jednak Kazimierz Tyszkowski – docent UJK i kustosz Ossolineum. Poznali się jeszcze w szkole średniej. Tyszkowski uczył młodą Marię Krystynę Oppenauer historii w wyższych klasach gimnazjum. Od tego czasu pozostawali w bliskich kontaktach. Był nie tylko jej mentorem naukowym, ale także przyjacielem i opiekunem[12]. W tym samym gimnazjum łaciny uczył Marian Golias, który po wojnie związał się z Uniwersytetem Łódzkim[13].

[9] W jednym z kwestionariuszy osobowych K. Śreniowskiej odnajdujemy informację o nazwisku panieńskim matki – Janina Froń, zob. *Akta osobowe K. Śreniowskiej*, Archiwum UŁ, sygn. 10639.

[10] O życiu i dorobku Stanisława Zakrzewskiego pisała m.in. K. Błachowska, S*tanisław Zakrzewski (1873–1936)*, [w:] *Złota Księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, red. J. Maternicki, Rzeszów 2007, s. 377–398.

[11] Na temat działalności naukowej i dorobku L. Kolankowskiego zob.: *Ludwik Kolankowski 1882–1982. Materiały sesji w stulecie urodzin*, red. A. Tomczak, Toruń 1983; *Ludwik Kolankowski 1882–1956. W pięćdziesiątą rocznicę śmierci*, red. W. Sieradzan, Toruń 2006; R. Stobiecki, *Ludwik Kolankowski 1882–1956*, [w:] *Złota Księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, red. J. Maternicki, Rzeszów 2007, s. 507–524.

[12] Szerzej na temat K. Tyszkowskiego zob.: P. Sierżęga, *Kazimierz Tyszkowski (1894–1940). Z dziejów nauki polskiej w międzywojennym Lwowie*, Rzeszów 2011.

[13] *Golias Marian*, [w:] *Słownik biograficzny historyków łódzkich*, red. J. Kita, R. Stobiecki, Łódź 2000, s. 36–37.

Jeszcze przed wybuchem wojny Krystyna Oppenauer rozpoczęła pracę jako sekretarz w redakcji „Kwartalnika Historycznego", kierowanej wówczas przez wspomnianego K. Tyszkowskiego. Zapoczątkowane wówczas związki z „Kwartalnikiem Historycznym" podtrzymywała także po roku 1945, publikując na jego łamach artykuły i recenzje. Jak pisała w *Autobiografii*: „był to okres bezrobocia […] wynagrodzenie moje wynosiło 30 zł miesięcznie, czyli tyle, ile zarabiała kucharka w przeciętnym inteligenckim domu. Pragnęłam jednak «iść naprzód»"[14].

Na Polskę końca lat 30. XX wieku patrzyła krytycznie, co, jak można przypuszczać, nie pozostało bez wpływu na jej powojenne wybory polityczne. Była świadkiem narastającego antysemityzmu, w tym getta ławkowego na Uniwersytecie Lwowskim. Mieszkając w mieście nad Pełtwią, wyraźnie dostrzegała błędy polityki sanacyjnej wobec Ukraińców, ich dyskryminację. Sama przeszła w tym względzie znaczącą ewolucję poglądów, od ulegania nastrojom antyukraińskim w Stryju, po akceptację ich narodowych aspiracji w czasie studiów. Jako młoda kobieta była osobą odważną, zdolną do zachowań prowokacyjnych. W tym kontekście warto przypomnieć, jak jadąc tramwajem na uniwersytet potrafiła demonstracyjnie czytać ukraińskie „Diło". Mimo inteligenckiego pochodzenia, a może właśnie dlatego, dostrzegała wielkie obszary biedy i niedostatku, które były udziałem szerokich rzesz społeczeństwa II Rzeczypospolitej.

Po roku pracy we Lwowie Krystyna Oppenauer przeniosła się do Krakowa, gdzie pracował jej przyszły mąż Stanisław Śreniowski. Młoda adeptka historii odbyła w Krakowie początkowo dwumiesięczną bezpłatną praktykę w Bibliotece Muzeum Czartoryskich, kierowanej wówczas przez Mariana Kukiela[15],

[14] K. Śreniowska, *Autobiografia*, b.d., maszynopis w posiadaniu autora, s. 1.

[15] O dorobku naukowym i działalności M. Kukiela pisali m.in.: R. Habielski, *W służbie teraźniejszości. Glosa do twórczości Mariana Kukiela*, [w:] *Marian Kukiel. Historia w służbie teraźniejszości i inne pisma emigracyjne*, Warszawa 1994, s. 5–27; J. Zuziak, *Generał Marian Kukiel, 1885–1973: żołnierz, historyk, polityk*, Pruszków 1997; R. Stobiecki, *Marian Kukiel (1886–1973). Historyk „który życie poświęcił nauce, a naukę Ojczyźnie"*, [w:] tenże, *Historycy polscy wobec wyzwań XX wieku*, Poznań 2014, s. 57–94.

a następnie otrzymała podobną posadę w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie pracowała w dziale czasopism kierowanym przez Adama Bara[16]. Tam poznała m.in. znakomitego znawcę dziejów jagiellońskich – Władysława Pociechę, autora słynnej biografii królowej Bony[17]. Jednocześnie zbierała materiały do przyszłej pracy doktorskiej, która miała być poświęcona Piotrowi Kmicie z Wiśnicza. Temat został uzgodniony z L. Kolankowskim, jednak zebrane materiały zaginęły w zawierusze wojennej.

Wybuch II wojny światowej zastał Krystynę Oppenauer u rodziców we Lwowie. W listopadzie 1939 r., szukając pracy, trafiła do znajdującego się pod władzą radziecką Ossolineum. Jego dyrektorem był wówczas Jerzy Borejsza[18]. Ponownie podjęła współpracę z K. Tyszkowskim w dziale rękopisów. 21 kwietnia 1940 roku wyszła za mąż za Stanisława Śreniowskiego, historyka państwa i prawa, jednego z najzdolniejszych uczniów Przemysława Dąbkowskiego. We Lwowie oboje pozostawali do wiosny 1942 roku[19]. Następnie młodzi małżonkowie, wraz z matką S. Śreniowskiego, przenieśli się do Krakowa. Tam Krystyna Śreniowska ponownie na krótko podjęła pracę w Bibliotece Jagiellońskiej. Po aresztowaniu teściowej i wywiezieniu jej do Oświęcimia, Śreniowscy przenieśli się do Warszawy[20].

[16] Adam Bar (ur. 1895 – zm. 1955) – historyk literatury, bibliograf, wydawca źródeł. Od 1924 r. związany z Biblioteką Jagiellońską, gdzie zainicjował prace dokumentacyjno-bibliograficzne. Przy udziale W. T. Wisłockiego i T. Godłowskiego opracował trzytomowy *Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących* (1936–1938). Zapoczątkował gromadzenie materiałów do retrospektywnej bibliografii zawartości czasopism, które kontynuował w latach 1948–1953 z zespołem IBL PAN.

[17] W. Pociecha, *Królowa Bona 1494–1557. Czasy i ludzie odrodzenia*, t. I–II, Poznań 1949.

[18] O działalności J. Borejszy w tym okresie zob. E. Krasucki, *Międzynarodowy komunista. Jerzy Borejsza, biografia polityczna*, Warszawa 2009, s. 70–77.

[19] Swoje wspomnienia z tego czasu K. Śreniowska opisała w artykule *Lwowskie Ossolineum w latach 1939–1941*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż), z. 105, s. 216–223.

[20] Stanisław Śreniowski (ur. 1912 – zm. 1957) pochodził ze Stryja. Był synem nauczyciela-polonisty Józefa Weisbluma, pracującego w jednej z tamtejszych szkół. Jego uczniem był m.in. znany pisarz Julian Stryjkowski, który wspominał o nim w kilku powieściach. Była to w pełni zasymilowana rodzina żydowska. Niemniej z tego powodu i tzw. złego wyglądu S. Śreniowski ukrywał się przez cały okres okupacji w Warszawie. Po zakończeniu II wojny

Bohaterka niniejszego wspomnienia zaangażowała się w tajne nauczanie w Gimnazjum im. B. Limanowskiego na Żoliborzu, kierowanym przez Jerzego Kreczmara[21]. Uczyła także łaciny w szkole na Starówce, przy ulicy Starej 6 (dziś nieistniejącej). W tej ostatniej placówce pracował także Stefan Truchim, znakomity historyk kultury i oświaty, po 1945 roku profesor na Uniwersytecie Łódzkim[22]. Ponadto Krystyna Śreniowska udzielała prywatnych lekcji w mieście, w ten sposób próbując utrzymać siebie i męża. 1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Oboje małżonkowie przeżyli je w stolicy. Krystyna pracowała w powstańczej kuchni. Po upadku powstania, via obóz w Pruszkowie, znalazła się na wsi, w Sieprawiu niedaleko Myślenic, gdzie oboje małżonkowie doczekali ostatecznej klęski Niemiec. Początkowo zamierzali wrócić do Krakowa, ale tam trudno było o pracę na uniwersytecie dla męża. W tej sytuacji, po krótkim epizodzie zatrudnienia w Bibliotece Jagiellońskiej, oboje małżonkowie przybyli w marcu 1945 roku do Łodzi.

Łódź była dla Krystyny Śreniowskiej zupełnie obcym miastem, niepodobnym do rodzinnego Lwowa. Dawała jednak możliwość pewnej stabilizacji i szansę pracy na właśnie organizowanym nowym uniwersytecie[23]. W przeprowadzonym pod koniec życia wywiadzie mówiła: „Łódź nas zdumiewała, bo ona stała na miejscu, nie było gruzów"[24]. W podjęciu przez Śreniowskich decyzji

światowej związany z Uniwersytetem Łódzkim i Wyższą Szkołą Pedagogiczną (do roku 1950 jako rektor). Od 1952 r. pracował również w IH PAN. Szerzej zob. Z. Romek, *Zapomniany historyk – Stanisław Śreniowski (1912–1957)*, „Klio Polska. Studia i materiały z dziejów historiografii polskiej XIX i XX wieku", t. VI, Warszawa 2012, s. 75–99.

[21] Jerzy Kreczmar (ur. 1902 – zm. 1985) – reżyser, eseista, teatrolog, pedagog. Ukończył studia na Wydziale Polonistyki i Filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. W 1930 r. uzyskał doktorat z filozofii. Uczył w szkołach średnich, w 1936 r. został dyrektorem Gimnazjum im. Bolesława Limanowskiego na Żoliborzu prowadzonego przez Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

[22] *Truchim Stefan*, [w:] *Słownik biograficzny historyków*…, s. 96–97.

[23] Pierwsze miesiące pobytu w Łodzi K. Śreniowska zrelacjonowała w tekście *Hotel „Monopol"*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 49–53.

[24] *Wywiad z K. Śreniowską przeprowadzony przez S. Zaborowskiego*, maszynopis w posiadaniu autora, s. 1 (tekst udostępniony przez S. Zaborowskiego za zgodą K. Kazimierskiej).

o związaniu się z Łodzią zapewne jakąś rolę odegrał także fakt, że oboje znali część pracowników zatrudnionych w tym samym czasie na Uniwersytecie. Mamy na myśli m.in.: Ninę Assorodobraj i Witolda Kulów, Józefa Chałasińskiego, małżeństwo Marię i Stanisława Ossowskich czy wspominanego już Mariana Goliasa[25].

Krystyna Śreniowska została zatrudniona w Katedrze Historii Społecznej Starożytności i Średniowiecza, kierowanej przez Mariana H. Serejskiego. Z łódzką uczelnią związała się na następne czterdzieści lat, aż do roku 1985, z krótką przerwą na pracę w Instytucie Historii PAN (1953–1961). Przez krótki czas pracowała także na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łodzi. W roku 1956 na Uniwersytecie Łódzkim uzyskała stopień doktora (wówczas kandydata nauk), przedstawiając pracę o Stanisławie Zakrzewskim, a w 1964 r. habilitowała się na podstawie rozprawy o kulcie Tadeusza Kościuszki, uzyskując stopień docenta[26].

W roku akademickim 1974/1975 Rada Wydziału Filozoficzno-Historycznego powzięła uchwałę w sprawie wszczęcia postępowania o nadanie ówczesnej docent Krystynie Śreniowskiej tytułu profesora nadzwyczajnego. Mimo pozytywnych opinii cenionych specjalistów, częściowo z przyczyn pozanaukowych, decyzją ówczesnych władz dziekańskich wniosku nie skierowano do Senatu UŁ[27]. W roku 1991, z inicjatywy ówczesnego dziekana

[25] Przypisy biograficzne dotyczące wymienionych postaci znajdują się w części wspomnieniowej tej publikacji.

[26] Zob. bibliografię prac K. Śreniowskiej zamieszczoną w tej publikacji.

[27] W Archiwum UŁ nie zachowała się pełna dokumentacja w tej sprawie. Na podstawie części materiału można stwierdzić, że Rada Wydziału Filozoficzno-Historycznego 1 marca 1973 r. powołała komisję w składzie: przewodnicząca prof. nadzw. dr hab. H. Brodowska, członkowie prof. nadzw. dr hab. H. Kappesowa, prof. nadzw. dr hab. S. Krakowski. W 1974 r. napłynęły opinie o dorobku naukowym Krystyny Śreniowskiej (autorami byli J. Dutkiewicz, B. Leśnodorski, M. H. Serejski). Dorobek oceniono pozytywnie, wyrażono również uznanie dla działalności dydaktycznej Śreniowskiej. 15 listopada 1974 r. Rada Wydziału Fil.-Hist. podjęła uchwałę o nadaniu Śreniowskiej tytułu profesora nadzwyczajnego, wnioskując o „nadanie sprawie dalszego, zgodnego z przepisami, trybu postępowania" (k. 39). Ostatnim dokumentem znajdującym się w teczce jest pismo z 31 marca 1977 r. adresowane przez Śreniowską do dziekana W. Michowicza, w którym czytamy: „*Nie spełniłam wymogu wypromowania doktora, bowiem zajmuję się dziejami nauki historycznej oraz metodologią, a w tej rzadko uprawianej*

– prof. Wiesława Pusia, złożony został drugi wniosek w tej sprawie. I tym razem opinie specjalistów nie budziły żadnych wątpliwości. W 1992 roku, już w III Rzeczypospolitej, Krystyna Śreniowska uzyskała nominację profesorską.

W dorobku naukowym Śreniowskiej wyróżnić można kilka wątków tematycznych. Pierwszy z nich łączy się z dziejami Polski Jagiellońskiej. Tej problematyce poświęcona była jej praca magisterska, wspomniany już niezrealizowany doktorat, a także drobne teksty publikowane przed rokiem 1939.

Po 1945 roku, z przyczyn pozanaukowych, kontynuowanie badań nad epoką jagiellońską okazało się niemożliwe. Pod wpływem prof. M. H. Serejskiego Krystyna Śreniowska zwróciła się w stronę zupełnie nowej wówczas dyscypliny badawczej, jaką była historia historiografii. Z czasem stała się – obok Jana Adamusa, Franciszka Bronowskiego, Andrzeja F. Grabskiego i Józefa Dutkiewicza – jedną z czołowych reprezentantek, dobrze znanego w skali ogólnopolskiej, łódzkiego ośrodka badań historiograficznych[28].

Jej pierwszą większą pracą z tej dziedziny była monografia *Stanisław Zakrzewski. Przyczynek do charakterystyki prądów ideologicznych w historiografii polskiej (1893–1936)*. Zrodzona w intelektualnym klimacie epoki stalinowskiej, budziła wówczas i budzi do dzisiaj szereg kontrowersji. Sama Autorka miała do niej zresztą, czemu dała publicznie wyraz, stosunek krytyczny[29]. Kontynu-

---

dziedzinie nie łatwo zyskać odpowiedniego kandydata na doktora. W tej sytuacji nie widzę w najbliższym czasie możliwości spełnienia wymogu koniecznego do awansu i dlatego rezygnuję ze starań w tym względzie. Uprzejmie proszę o zwrot dokumentów". Odręczny dopisek dziekana z 7 IV 1977 r. brzmiał: „*Proszę zwrócić dokumenty docent Śreniowskiej. Pan Rektor jest poinformowany o całej sprawie i nie widzi przeszkód*" (k. 59).

[28] Szerzej na ten temat zob. R. Stobiecki, *Łódź jako ośrodek badań historiograficznych po 1945 r.*, [w:] tenże, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna… ale skomplikowana*, Warszawa 2007, s. 211–227. Inna wersja tego tekstu *Historia historiografii. Studium z dziejów tożsamości dyscypliny na przykładzie ośrodka łódzkiego*, „Historia@Teoria" 2017, nr 1, s. 108–121.

[29] Wielce charakterystyczne jest to, że na prośbę Śreniowskiej, na początku lat dwutysięcznych, zostało zorganizowane spotkanie poświęcone dyskusji nad książką o S. Zakrzewskim. Uczestniczyli w nim seminarzyści i goście

acją zainteresowań badawczych historiografią polską przełomu XIX i XX wieku oraz okresu dwudziestolecia międzywojennego były kolejne studia. Mamy na myśli artykuł poświęcony buntowi młodych badaczy przeciwko tradycji krakowskiej szkoły historycznej oraz tekst o polskiej nauce historycznej lat 1887–1900 w świetle „Kwartalnika Historycznego"[30]. Inne niezrealizowane projekty i teksty pozostały w rękopisie lub maszynopisie[31]. Do tego nurtu zaliczyć wypada także, opracowany wraz z Józefem Dutkiewiczem, skrypt *Zarys historii historiografii polskiej, część III (1900–1939)*, będący kontynuacją wcześniej opublikowanego podręcznika M. H. Serejskiego.

W latach 60. i później głównym tematem obecnym w twórczości Krystyny Śreniowskiej stały się zagadnienia dotyczące świadomości historycznej, czy jak byśmy dziś powiedzieli – pamięci historycznej, ze szczególnym uwzględnieniem tradycji kościuszkowskiej. Problematyka ta była wówczas wielce nowatorska i znacząco wykraczała poza ten horyzont zainteresowań historiograficznych, który w pierwszych latach powojennych zaproponował M. H. Serejski. W swojej rozprawie habilitacyjnej Śreniowska podjęła temat kształtowania postaci bohatera narodowego na przykładzie postaci Tadeusza Kościuszki. W opartej na szerokiej podstawie źródłowej (m.in. literatura naukowa i popularnonaukowa, wydawnictwa okolicznościowe, pamiętniki, zbiory korespondencji, utwory literackie) monografii, autorka

zaproszeni przez K. Śreniowską i R. Stobieckiego. Autorka, wbrew uwagom swojego ucznia – Z. Romka, kilkakrotnie powtórzyła, że uważa tę pracę za nieudaną, stronniczą i jednostronną, przede wszystkim w warstwie ocen i interpretacji dorobku S. Zakrzewskiego. Nieco inną ocenę znajdujemy w drukowanych wspomnieniach.

[30] Zob. zamieszczoną na końcu książki bibliografię prac Krystyny Śreniowskiej.

[31] W papierach rodzinnych, przechowywanych przez męża Barbary Śreniowskiej – Michała Szafrana, R. Stobiecki odnalazł kilka niedrukowanych prac. Są to m. in.: *Poglądy historiografii polskiej XX w. (do r. 1939) na genezę narodu*, mpis; *Głos w dyskusji nad referatem S. Kuczyńskiego. Program pierwszych Jagiellonów a tzw. idea jagiellońska*, mpis, z adnotacją autorki: „miał to być głos w dyskusji na Zjeździe Historyków. Nie odezwałam się. K. Ś." (chodzi o VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich w Krakowie w 1958 r.); *Studium o Wacławie Sobieskim*, mpis.

odsłoniła skomplikowane mechanizmy kształtujące kulisy powstania i trwania w świadomości Polaków XIX wieku „białej" i „czarnej" legendy Naczelnika oraz towarzyszące temu procesowi paradoksy. Z metodologicznego punktu widzenia szczególnie istotne w tej propozycji było otwarcie studiów historiograficznych na inne, pozanaukowe, dyskursy o przeszłości, obecne np. w literaturze pięknej czy pamiętnikarstwie. O roli, jaką odegrała wspomniana praca w dalszych przemianach polskiej historii historiografii, świadczy także fakt, że stała się ona ważnym punktem odniesienia dla podobnych studiów podejmowanych przez badaczy z innych ośrodków (m.in. Andrzeja Zahorskiego)[32].

Kontynuacja badań nad postacią Naczelnika była nową wersją pracy, zmienioną i rozszerzoną o materiał dotyczący XX wieku. Obie monografie Śreniowskiej spotkały się z życzliwym przyjęciem krytyki naukowej. Pisali o nich m.in.: Stefan Kieniewicz, Jerzy Łojek i Jerzy Maternicki.

W latach następnych Śreniowska niejednokrotnie wracała do tematyki symboli, legend i mitów, do świata potocznych, silnie kulturowo zakorzenionych wizerunków historii. Warto w tym kontekście wymienić studium poświęcone Słowianom jako prototypowi wyobrażeń o polskim charakterze narodowym (*Charakterystyka Słowian a poglądy na polską specyfikę narodową*, [w:] *Między feudalizmem a kapitalizmem. Księga ku czci prof. Witolda Kuli*, Wrocław 1976, s. 413–426) oraz artykuł będący próbą zmierzenia się z „białą" i „czarną" legendą generała Józefa Chłopickiego (*Józef Chłopicki*, [w:] *Życiorysy historyczne, literackie i legendarne*, red. Z. Stefanowska, J. Tazbir, t. II, Warszawa 1989, s. 235–258).

---

[32] Andrzej Zahorski (ur. 1923 – zm. 1995) – badacz dziejów epoki napoleońskiej, varsavianista. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktorat 1951, habilitacja 1958, profesor nadzwyczajny – 1966, profesor zwyczajny – 1974. Związany z IH UW, Centralną Biblioteką Wojskową, Muzeum Wojska Polskiego, IH PAN, Wojskowym Instytutem Historycznym. Bibliografia prac A. Zahorskiego zob.: Ł. Kądziela, *Bibliografia publikacji prof. dra Andrzeja Zahorskiego 1948–1982*, [w:] *Polska – Francja XVIII–XIX wieku. Studia z dziejów kultury i polityki poświęcone Profesorowi Andrzejowi Zahorskiemu w sześćdziesiątą rocznicę urodzin*, red. A. Mączak, Warszawa 1983, s. 5–24.

Należy wspomnieć także o tej części dorobku Śreniowskiej, który dotyczy problemów metodologicznych. Mamy na myśli cykl artykułów ogłoszonych w krakowskiej „Historyce", poświęconych m.in.: kategorii czasu (*Pojęcie czasu a tzw. myślenie historyczne*, 1975), pojęciu szkół historycznych w historiografii (*W sprawie kryteriów podziału szkół historycznych doby pozytywizmu na ziemiach polskich*, 1977).

Śreniowska była także pionierką polskich studiów nad historiografią emigracyjną. Na potrzeby seminarium w Instytucie Historii PAN opracowała na ten temat, nigdy niepublikowany, obszerny artykuł[33].

Wreszcie na koniec tego wątku warto choćby zasygnalizować te prace Krystyny Śreniowskiej, które wykraczały poza historię historiografii. Koniecznie trzeba w tym kontekście wymienić, opracowane wspólnie z przedwcześnie zmarłym mężem, wydawnictwo źródłowe *Materiały do dziejów uwłaszczenia chłopów w Królestwie Polskim* (Warszawa–Wrocław 1961) oraz artykuły i recenzje z zakresu metodyki nauczania historii[34].

Przez lata pracy na Uniwersytecie Łódzkim Krystyna Śreniowska dobrze przysłużyła się społeczności akademickiej. W latach 1969–1973 była kierownikiem Studium Zaocznego przy Wydziale Filozoficzno-Historycznym. W budzącym wielkie nadzieje społeczne, a jednocześnie znaczonym represjami stanu wojennego, okresie 1981–1985 pełniła funkcję wicedyrektora Instytutu Historii. Ówcześni studenci, w tym jeden z autorów niniejszego wprowadzenia, zapamiętali ją z tych lat jako osobę niezwykle życzliwą i sprzyjającą odradzaniu się niezależnego życia studenckiego. Osoby organizujące uniwersyteckie struktury Niezależnego Zrzeszenia Studentów, uczestnicy dwóch strajków studenckich, zawsze mogli liczyć na jej radę i pomoc.

W drugiej połowie lat 70. i w latach 80. była jednym z nielicznych samodzielnych pracowników Instytutu Historii, którzy zaangażowali się otwarcie w działalność opozycyjną. Wspierała inicjatywy KOR (Komitetu Obrony Robotników) następnie

[33] K. Śreniowska, *Historiografia emigracyjna 1945–1980. Uwagi wstępne* (mpis w posiadaniu R. Stobieckiego).

[34] Zob. zamieszczoną na końcu książki bibliografię.

KSS KOR (Komitetu Samoobrony Społecznej KOR). Jej syn Józef Śreniowski był jedynym w Łodzi członkiem tej organizacji. Z KOR współpracowała także córka Barbara. Dom na Julianowie przy ulicy Laurowej 2 był jednym z najbardziej znanych adresów łódzkiej opozycji przedsierpniowej[35]. Krystyna Śreniowska, obok Wandy Nowakowskiej z historii sztuki, była jedynym spośród samodzielnych pracowników nauki członkiem „Solidarności" na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UŁ. W trakcie strajków studenckich z lat 1980/1981, jako ekspert, pomagała studentom w rozmowach z ministrem Januszem Górskim. W tym gronie byli jeszcze m.in.: Zofia Libiszowska, Adam Szpunar, Ija Lazari-Pawłowska i jej mąż Tadeusz Pawłowski, małżeństwo Jan i Krystyna Lutyńscy, Cezary Józefiak, Jerzy Wróblewski[36]. Jak wiadomo, rozmowy te zakończyły się podpisaniem porozumienia łódzkiego i rejestracją Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Po 13 grudnia 1981 roku Krystyna Śreniowska dzieliła swój czas między działalność dydaktyczną a pomoc internowanym działaczom opozycyjnym, w tym najbliższej rodzinie. Aktywnie uczestniczyła w różnych inicjatywach organizowanych przez Duszpasterstwo Akademickie przy Kościele oo. Jezuitów i koordynowanych przez śp. księdza Stefana Miecznikowskiego[37]. Była prelegentem na organizowanych przez Kościół Jezuitów niezależnych spotkaniach, gromadzących tych łodzian, którzy nie pogodzili się z wprowadzeniem stanu wojennego i związanymi z nim represjami. Czyniła to ze świadomością towarzyszących temu wyborowi konsekwencji, często bardzo dla niej dotkliwych.

[35] O domu przy ul. Laurowej 2 zob. *Bohaterowie trudnych czasów. Zbiór X. Spacernik śladami opozycji demokratycznej*, Łódź 2016, s. 72–76.

[36] Zob. R. Kowalczyk, *Studenci '81*, Warszawa 2000, s. 155. Na temat pierwszego strajku studenckiego w Instytucie Historii UŁ zob. także wywiad M. Gawryszaka ze Z. Natkańskim, [w:] K. Banaś, M. Gawryszak, K. Lesiakowski, *Strajk studencki w Łodzi, styczeń–luty 1981 r. Okruchy pamięci, zapisy źródłowe, ikonografia*, Łódź–Warszawa 2016, s. 74–78.

[37] Szerzej zob. M. Golicka-Jabłońska, *Ojciec Stefan SJ*, Łódź 2006 (do książki dołączona jest płyta CD ze wspomnieniami m.in. K. Śreniowskiej *Podbój Ziemi Obiecanej*); P. Spodenkiewicz, *Ksiądz Stefan Miecznikowski, jezuita i harcerz*, Łódź 2010.

Przez lata prowadziła w Instytucie Historii seminarium magisterskie, a potem także doktorskie z dziedziny historii historiografii. Była promotorem dwóch rozpraw doktorskich (Henryka S. Michalaka i Zbigniewa Romka)[38]. Przez wiele lat na studiach dziennych i zaocznych uczyła kolejne pokolenia studentów podstaw warsztatu historycznego i kultury metodologicznej, prowadząc zajęcia z historii historiografii, metodologii historii i wstępu do badań historycznych. Za swoje osiągnięcia dydaktyczne i organizacyjne została odznaczona m.in.: Złotym Krzyżem Zasługi (1973); Medalem Uniwersytetu Łódzkiego „W służbie społeczeństwa i nauki" (1975) oraz Nagrodą Ministra Szkolnictwa Wyższego (1972). Już w niepodległej Polsce została wyróżniona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2009).

Na prezentowany Czytelnikom pamiętnik *Moje życie* można spoglądać z różnych punktów widzenia.

Z jednej strony to fascynująca historia młodej badaczki, wyrokami wielkiej Historii wykorzenionej wraz z rodziną ze swojej „małej ojczyzny"[39]. Z tej perspektywy to książka o adaptacji w nowym miejscu, powracających porównaniach Łodzi z rodzinnym Lwowem, które w licznych opowieściach Śreniowskiej nie wypadały najlepiej dla „miasta nad Łódką". Z perspektywy lat tak o tym pisała:

„W moim przekonaniu Łódź nie miała po prostu inteligencji w rozumieniu lwowiaków, krakowian, warszawiaków. Byłam ogromnie niesprawiedliwa w moich ocenach m.in. z tego powodu, że po prostu nie czyniłam wysiłków, by się czegokolwiek dowiedzieć o dziejach tego miasta. Znałam niektórych łodzian, jak np. prof. Małowista, jednak oni kształcili się w pobliskiej Warszawie przed wojną (np. p. Missalowa) i albo nie wracali do swego rodzinnego miasta, bądź też po powrocie zajmowali stanowiska np. nauczycieli lub w administracji szkolnej itp. Pojęcia nie

[38] Przypis biograficzny odnoszący się do uczniów K. Śreniowskiej znajduje się w części wspomnieniowej.

[39] W trakcie licznych rozmów z K. Śreniowską R. Stobiecki wielokrotnie pytał ją, dlaczego nigdy nie chciała odwiedzić Lwowa. Niezmiennie odpowiadała, że chciała zachować w swojej pamięci obraz przedwojennego miasta, jego intelektualny klimat i atmosferę życia codziennego.

miałam o życiu artystycznej Łodzi przed wojną, o umuzykalnieniu tego miasta (nb. dzięki Niemcom łódzkim). Uważałam je (tj. owo miasto) za «gorsze» od znanych mi dużych miast polskich. Tyle pychy było we mnie w stosunku do Łodzi, w której przecież spędziłam całe dorosłe życie i temu miastu oddałam swoje siły. Właściwie nigdy go nie zaakceptowałam, do dziś pozostałam emigrantem ze Lwowa. Wcale się tu nie zakorzeniłam. Dopiero od czasów KOR, a później „Solidarności" zaznałam od łodzian tyle dobrego, że poczułam się «u siebie». Ale to łodzianie mnie zaakceptowali, a ja lepiej poczułam się wśród nich"[40].

Z drugiej strony to pamiętnik kobiety, od pewnego momentu życia samotnej, okrutnie doświadczonej przez los (śmierć męża), łączącej wychowanie dwójki dzieci z pracą na uczelni[41]. Kobiety, która marzyła o naukowej samorealizacji, o tym, by „nie dać się zepchnąć na pozycję żony-matki"[42]. Po tragicznej śmierci męża w 1957 roku niezwykle trudno było jej sprostać obowiązkowi rozwoju i uczestnictwa w życiu naukowym. W liście do jednej z instytutowych koleżanek tak przedstawiała swoją sytuację: „Dom mam tak urządzony, że doprawdy trudno mi wyjść po południu. Mam kobietę dochodzącą na cztery godziny. Wieczorami zatem siedzę i pilnuję swoich dzieciaków, ich lekcji, jedzenia, spania etc. W środę zebranie PTH – nie pójdę […] Nawet na ulicę Piotrkowską do księgarń nie mam czasu pójść[43]". Skomplikowana sytuacja rodzinna i brak wsparcia ze strony najbliższych determinowały również wybór (lub rezygnację z podjęcia) pewnych tematów badawczych. Śreniowska tak pisała: „Temat [dotyczący ideologii narodowej – przyp. red.] wymagałby ruszenia się poza

[40] K. Śreniowska, *Moje życie*, s. 154.

[41] Dzieci Krystyny Śreniowskiej to urodzony w 1947 r. Józef – socjolog, absolwent UŁ, działacz opozycji demokratycznej w PRL, członek Komitetu Obrony Robotników, założyciel KSS „KOR", internowany w stanie wojennym, oraz Barbara Śreniowska-Szafran (1949–2013) – socjolog, nauczycielka, pisarka, działaczka opozycji.

[42] K. Śreniowska, *Moje życie*…, s. 156.

[43] List K. Śreniowskiej do H. Brodowskiej z 13 marca 1960 r., Archiwum Uniwersytetu Łódzkiego, Spuścizna H. Brodowskiej-Kubicz, Korespondencja, teczka nr XIV, k. 2642.

Łódź, do Krakowa, do Wrocławia, a tu trudności opuszczenia dzieciaków bywają nie do przezwyciężenia. Niby to oni są wielcy, ale trzeba stale pilnować"[44]. Na brak mobilności wpływało również miejsce zamieszkania Śreniowskiej (ul. Laurowa znajdowała się wówczas na peryferiach miasta i była źle skomunikowana z centrum). W jednej z ankiet pracowniczych historyczka żaliła się, iż „zużywa 3–4 godzin na dojazd do miasta i powrót do domu", a pogłębiające się z czasem kalectwo dodatkowo utrudnia jej przemieszczanie się[45]. Funkcjonowanie w świecie nauki wymagało od niej również konieczności radzenia sobie z panującym w niej feudalizmem i niepisanymi „zasadami". Szef i mentor Śreniowskiej, Marian H. Serejski, miał długo ignorować jej awans, „żądając, by mu była maszynistką, by służyła jego zainteresowaniom naukowym"[46]. Nasza bohaterka wiązała brak „inwestycji w swe wykształcenie" z faktem, że była młoda, a dodatkowo obarczona dwójką dzieci: „Po mnie trudno było oczekiwać poważniejszych postępów w pracy naukowej, skoro byłam głównym dostarczycielem środków do życia, gospodynią domową i czym tam jeszcze"[47]. Problemy, z którymi się borykała, w pewnym stopniu były typowe dla ambitnych kobiet jej pokolenia, zmuszonych godzić obowiązki rodzinne z uprawianiem nauki.

Wreszcie z trzeciej strony we wspomnieniach Śreniowskiej przegląda się historia Uniwersytetu Łódzkiego i łódzkiego środowiska historyków. Śreniowska należała do pokolenia twórców łódzkiej Alma Mater. Jednocześnie patrzyła na nie krytycznie. Wiele takich informacji znajdzie Czytelnik w przygotowanej do druku publikacji oraz w dołączonym w aneksie wspomnieniu autorki o UŁ w latach 1945–1986. W *Moim życiu* nie brakuje surowych ocen dotyczących środowiska historyków, niekiedy zapewne niesprawiedliwych. W dużym stopniu wynikało to z jej charakteru, była osobą bezkompromisową, odważną, potrafiącą

[44] Listy K. Śreniowskiej do H. Brodowskiej z 31 stycznia 1960 r., Archiwum Uniwersytetu Łódzkiego…, k. 2640.

[45] K. Śreniowska, *Ankieta personalna z 1982 r.*, Archiwum UŁ, Akta Pracownicze, sygn. 10639.

[46] K. Śreniowska, *Moje życie*…, s. 162.

[47] Tamże, s. 163–164.

z dystansem spojrzeć na dokonania swoje i innych. Dzięki temu i dzięki wielkiej skromności mogła być autorytetem moralnym i naukowym, szczególnie dla tej części środowiska uniwersyteckiego, które studiowało i podejmowało pracę w Instytucie Historii w latach 70. i 80. To oni najbardziej cenili jej niezależność, bezinteresowną życzliwość, surowe niekiedy sądy o ludziach, rady, których im udzielała. Trzeba także pamiętać o tym, że Krystyna Śreniowska pisała swoje wspomnienia z pozycji osoby przez lata w Uniwersytecie Łódzkim marginalizowanej, niedocenianej, a od połowy lat 70. i później prześladowanej z powodów politycznych. Te doświadczenia nie mogły nie odbić się na jej autobiograficznej opowieści.

Tekst, który przedstawiamy Czytelnikowi, wyróżnia się specyficzną formą narracji. Potwierdza w dużym stopniu powiedzenie, że „styl to człowiek". Śreniowska pisze w sposób pozornie mało efektowny, niekiedy sprawozdawczy, pragnie zostawić świadectwo. Dominują krótkie, ale precyzyjne zdania, prawie brak w tej opowieści efektownych metafor, literackich popisów charakterystycznych dla wspomnień pisarzy. Nie znaczy to, że w pamiętniku nie można dostrzec emocji, niekiedy bardzo osobistych wyznań, refleksji wykraczających poza suchą relację dotyczącą losów bohaterki i najbliższych jej osób. Często ta beznamiętna na pierwszy rzut oka opowieść kryje w sobie głębokie ludzkie uczucia – miłości, przyjaźni, ale także strachu czy rozczarowania.

Trudno precyzyjnie określić, kiedy Śreniowska rozpoczęła pisanie pamiętnika. Z adnotacji w tekście wynika, że ukończyła go w roku 2000. Wtedy, a być może nieco później, nanosiła na gotowy już tekst odręczne poprawki i uzupełnienia. Wszystkie one zostały wprowadzone do głównego tekstu, z zaznaczeniem tego faktu w przypisach. Mimo to publikacja nie rości sobie prawa do wydania krytycznego. Świadomie w większości przypadków zrezygnowaliśmy z komentowania tekstu, zaopatrzyliśmy go tylko w niezbędne przypisy biograficzne i w niektórych przypadkach odnoszące się do literatury przedmiotu. Wprowadziliśmy niezbędne poprawki korektorskie oraz zmiany wynikające z obowiązujących współcześnie reguł ortografii i interpunkcji. Wszystkie śródtytuły pochodzą od autorki.

W kilku przypadkach zdecydowaliśmy się opuścić niewielkie fragmenty dotyczące personaliów osób żyjących, które mogłyby się poczuć obrażone sformułowaniami Śreniowskiej, dodatkowo nieudokumentowanymi i mogącymi wypływać z osobistych animozji. Fakt ten został każdorazowo zaznaczony nawiasem kwadratowym. Podobnie uczyniliśmy w odniesieniu do niewielkiego fragmentu tekstu poświęconego dziejom Uniwersytetu Łódzkiego przywoływanego w aneksie w części II.

Podstawą niniejszej edycji jest maszynopis, który R. Stobiecki otrzymał od Krystyny Śreniowskiej w 2001 roku. Został on skorelowany z egzemplarzami, które pozostają w rękach rodziny oraz z tekstem, którym dysponuje uczeń Śreniowskiej – Zbigniew Romek.

Całość uzupełnia dołączony do głównego tekstu aneks, w którym znajdują się: wspomnienie Krystyny Śreniowskiej o Uniwersytecie Łódzkim w latach 1945–1986 (ostateczna wersja tego tekstu powstała w 2007 r.) oraz bibliografia prac bohaterki.

Na koniec pozostał przyjemny obowiązek wyrażenia wdzięczności tym wszystkim, dzięki którym możliwe było wydanie pamiętnika Krystyny Śreniowskiej. Z serca płynące słowa podziękowania kierujemy do Rodziny Krystyny Śreniowskiej: syna Józefa Śreniowskiego, zięcia Michała Szafrana oraz wnuczki Katarzyny Szafran, a także Jej ucznia prof. dr hab. Zbigniewa Romka. Za wydatną pomoc w przygotowaniu tekstu do druku dziękujemy również magistrowi Andrzejowi Kobakowi. Wreszcie za finansowe wsparcie niniejszej inicjatywy podziękowania zechcą przyjąć Jego Magnificencja Rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr hab. Antoni Różalski oraz Dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego prof. dr hab. Maciej Kokoszko.

Mamy nadzieję, że publikacja *Mojego życia* okaże się nie tylko istotnym przyczynkiem do dziejów Uniwersytetu Łódzkiego, ale także być może stanie się zaczynem tak potrzebnej środowisku dyskusji o jego sukcesach i porażkach na przestrzeni powojennego 45-lecia.

Jolanta Kolbuszewska, Rafał Stobiecki

Część I

Krystyna Śreniowska

Moje życie

Urodziłam się 21 listopada 1914 roku we Lwowie, w szpitalu łyczakowskim. Wojna trwała już od końca sierpnia. Ojciec mój, sędzia Kalikst Oppenauer, został powołany do wojska austriackiego. Był oficerem. Przeżył oblężenie twierdzy Przemyśl, Lwów zajęli Rosjanie. W chwili wybuchu wojny rodzice mieszkali niedaleko Tarnopola, w Mikulińcach. Wobec szybkiej ofensywy rosyjskiej matka, która pozostała z moją o cztery lata starszą siostrą – starała się przedostać do Lwowa do teściów. Wiele opowiadano mi o przygodach i trudnościach tej podróży. Ojciec nie był obecny w czasie moich narodzin. Po upadku twierdzy Przemyśl dostał się do niewoli rosyjskiej; obóz jeńców austriackich oficerów znajdował się w Astrachaniu nad Morzem Kaspijskim. Zatem cztery lata mego życia upłynęły, zanim zobaczyłam ojca. Przez czas mego wczesnego dzieciństwa pokazywano mi fotografię ojca, a gdy wrócił – nie chciałam wierzyć, że przedstawiony mi człowiek jest moim ojcem. Fotografia ukazywała jedynie podobiznę do pasa. Mówiłam więc, że mój prawdziwy tato nie ma nóg, tak jak na fotografii, a ten obcy pan ma przecież dwie nogi. Trwało to dłuższy czas, zanim oswoiłam się z jego obecnością i zaakceptowałam fakt posiadania tatusia. Zresztą pobyt ojca we Lwowie w roku 1918 (zima) nie trwał długo. Po ucieczce z niewoli w chwili wybuchu rewolucji w Rosji i szczęśliwym powrocie do Lwowa zmuszony był meldować się w komendzie austriackiej i zaraz wysłano go na front włoski. Tam już wojna dogorywała. Po powrocie do Lwowa znów słaby był kontakt ojca z dziećmi. Wybuchły bowiem walki o Lwów z Ukraińcami.

Ojciec – tym razem już w wojsku polskim – uczestniczył w obronie Lwowa. Tylko nocami wpadał do domu, by natychmiast udać się na placówkę. W latach 1918–1920 rodzina zaczęła na nowo powojenny byt. Matka przeniosła się od teściów, gdzie spędzała z nami czas [w trakcie nieobecności ojca – uzup. red.]. Mieszkaliśmy na górze Jacka [ul. św. Jacka]. Podówczas była to ulica peryferyjna, zabudowana willami z ogrodami, znajdowały się tam też puste tereny, doskonałe pola dziecinnych zabaw. Ulica była niewybrukowana, bez chodników, słowem – jak na wsi. Samochody podówczas nam nie groziły, ani żadne pojazdy, nawet konne. Gdy pojawiał się samolot, wszystkie dzieci biegły oglądać to latające dziwo. Na krańcach uliczki znajdowały się już tereny niezabudowane, cegielnia, potem w górę wspinaliśmy się do budynku wodociągów miejskich i „zielonej" rogatki miasta. Obok tej rogatki wynajął ojciec mieszkanie w domu z sadem, ogrodem. Domek należał do wdowy po legioniście pani Heleny Terleckiej. Odstąpiła nam nie tylko mieszkanie, ale część ogrodu, który ojciec starannie uprawiał. Hodował też króliki.

Za domem znajdował się głęboki parów, na dnie którego płynęła niewielka rzeczka (strumień). Do owej rzeczki biegało się po bardzo stromym stoku w dół. Króliki chowane w sieni, gdzie była gliniana podłoga, ryły korytarze i uciekały. Trzeba je było łapać w ogrodzie lub sadzie. Ten lwowski czas przerwała nowa wojna 1920 roku. Ojciec natychmiast zgłosił się do służby, nie został jednak powołany na front, tylko przydzielono go do sądu wojskowego (audytoriatu). Wobec zbliżającej się nawały Budionnego[1], ojciec wysłał matkę z córkami do Krakowa, gdzie wujek Cyprian był dyrektorem fabryki tytoniowej przy ul. Dolne Młyny (istniejącej do dziś) i miał tam obszerne dyrektorskie mieszkanie. Nieco pamiętam podróż pociągiem ewakuacyjnym. Matka wymościła mi na jakimś kufrze legowisko,

[1] Siemion Michajłowicz Budionny (ur. 188(–) – zm. 1973) – dowódca armii carskiej i radzieckiej, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej, I i II wojny światowej, dowódca I Armii Konnej.

gdzie spędzałam dnie i noce. Pociąg wlókł się do Krakowa prawie tydzień, pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Zatem częste postoje trwały godzinami.

Wspomnę, że choć miałam w 1918 roku cztery lata, pamiętam obronę Lwowa. Strzelanina na ulicy Jacka pod naszymi oknami powodowała, że babcia prowadziła mnie do piwnicy, by przeczekać walki uliczne. Pamiętam też moje imieniny w 1918 roku w listopadzie, przerywane świstem kul z ulicy, ucieczką do piwnic i strachem.

„Wybuchła" Polska. Nieco euforii ówczesnej dotarło do mnie. Dziadek wywieszał na balkonie polską chorągiew, ocierając łzy. Owe łzy zapamiętała moja siostra starsza o cztery lata. Dziadek, ów surowy pan – płaczący, był dla nas dzieci znakiem, że stało się coś niezwykłego, mamy znów Polskę.

Rok 1920 w Krakowie zapamiętałam dość dobrze. Wrócił wraz z hallerczykami[2] mój kuzyn Tadeusz Cyprian. Imponował mundurem lotnika, lubił się ze mną zabawiać. Przepadałam za jego żartami, pomysłami zabawowymi, za jego towarzystwem oraz Janki, mojej kuzynki, młodszej siostry Tadeusza. Pobyt w Krakowie nie trwał długo. Potem już można było wracać na wschód. Ojciec przebywał w Stryju, tam bowiem pełnił obowiązki sędziego przy sądzie wojskowym. Sprowadził więc do Stryja rodzinę. W tym uroczym miasteczku przyszło nam mieszkać do 1929 roku. Z nim wiążą się moje szczęśliwe wspomnienia dziecinne. Tam uczęszczałam do szkoły powszechnej ss. Nazaretanek, a potem do czterech niższych klas gimnazjum. W 1929 roku powróciliśmy do Lwowa.

Stryj był miastem około dwudziestotysięcznym. Położony nad piękną górską rzeką o nazwie Stryj, którą opisał Julian Stryjkowski[3]. I on był zauroczony łęgami nadrzecznymi, kąpielami rzecznymi, i on bywał w Olszynie, czyli miejskim parku.

[2] Józef Haller (ur. 1873 – zm. 1960) – generał broni WP, w 1916 r. dowódca II Brygady Legionów Polskich, dowódca (1918) organizowanej na terenie Francji tzw. „Błękitnej Armii". Po zakończeniu II wojny światowej na emigracji.

[3] Julian Stryjkowski (ur. 1905 – zm. 1996) – prozaik, dramaturg, dziennikarz i filolog.

W Stryju wiodła od dworca kolejowego piękna aleja wysadzana kasztanami, tzw. kolejówka. Dalej w lewo skręcało się w ulicę 3 Maja, główną, elegancką ulicę miasta. Przy niej znajdowały się cukiernie, kawiarnia, kino, tędy szły defilady wojskowe podczas świąt narodowych, tu było corso, czyli deptak uczęszczany przez młodzież szkolną, flirtujące pary etc.

Miasto posiadało dwa kościoły rzymskokatolickie, cerkiew grekokatolicką i bożnicę oraz żydowskie domy modlitwy. Ludność narodowościowo mieszana: Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Rozwarstwienie społeczne panowało we wszystkich członach narodowościowych. Spośród Polaków, Żydów i Ukraińców rekrutowała się inteligencja stryjska. Żydzi przeważnie uprawiali wolne zawody (lekarze, adwokaci), Ukraińcy uczyli na równi z Żydami, jak też Polakami w polskich szkołach. Były tam dwa gimnazja męskie ośmioklasowe, z dawnym – jeszcze austriackim – programem nauczania (greka, łacina). Żeńskie gimnazjum prowadziły siostry Urszulanki, tam uczęszczały panny z rodzin polskich i katolickich. Zorganizowano też siłami społecznymi żeńskie gimnazjum ośmioklasowe o profilu humanistycznym (również z greką i łaciną). Tu uczyły się panny różnej narodowości.

W mojej klasie Polki nie stanowiły większości, wiele w niej było Żydówek i Ukrainek. Uczyli mnie również nauczyciele Żydzi, Polacy i Ukraińcy. Poziom ich wykształcenia był znakomity. Ambicje twórcze, naukowe, literackie były częste w tym środowisku. Do najwybitniejszych nauczycieli należeli np. germanista Arnold Spaet, polonista Józef Weisblum. O tym ostatnim pisał w kilku książkach Julian Stryjkowski, który był uczniem Weisbluma.

Część młodzieży spędzała czas na uprawianiu ćwiczeń gimnastycznych i gier w Tow. [Towarzystwie] Gimnastycznym „Sokół" lub też (Ukraińcy) w Narodnym Domu. Wiele zawdzięczam „Sokołowi". Gimnastykę dla dziewcząt prowadził tam ślusarz kolejowy Erdenberger. Byłam dzieckiem chorym, kalekim, ale bardzo starałam się dorównać innym i często dochodziłam do takiej wprawy, że należałam do najlepszych gimnastyków

„Sokoła". W szkole również podziwiano moje umiejętności gimnastyczne. Natomiast jeśli szło o siatkówkę, czy palanta, nie umiałam opanować sztuki gier. Ojciec zachęcał mnie do uprawiania sportów, by w ten sposób wyrównać braki w sprawności fizycznej. Doskonały był ze mnie łyżwiarz, potem (już we Lwowie) narciarz i kolarz. Wcześnie uprawialiśmy z ojcem latem turystykę. Znałam szlaki i szczyty górskie, Paraszkę, Zełemin, później Czarnohorę.

Stryj kojarzy mi się przede wszystkim z rzeką. Miałam dwa psy, czarne jamniki: Urwisa i Szelmę, no i z tymi psami co dzień wyruszaliśmy z tatą nad rzekę lub też w inne – mniej urocze – miejsca. Psy należały do mnie. Miałam więc obowiązek opiekować się nimi. Przed pójściem do szkoły musiałam je wyprowadzać i potem gnałam pędem przez kilka ulic miasteczka, by się nie spóźnić do szkoły. Moim obowiązkiem było karmienie psów, potem spacery popołudniowe (przeważnie z ojcem). Jamniki były członkami naszej rodziny i trudno było sobie wyobrazić utratę takich przyjaciół.

Mieszkaliśmy przy ul. Trybunalskiej, w narożnej kamienicy. Ulicę Trybunalską przecinała ul. Jagiellońska. Kamienica należała do niejakiej pani Rosenmanowej. Była to osoba, która w moim umyśle została zakodowana jako wzór dokuczliwego kamienicznika. Pozostawała w ustawicznej [kłótni – przyp. red.] z lokatorami. Z moim ojcem żyła w zgodzie, a to z tej przyczyny, że ojciec wyrzucał do kosza jej listy z pretensjami, w ogóle ich nie czytając i nie odpowiadając na nie. Większość lokatorów było Żydami. W części wychodzącej na ul. Trybunalską tylko nasza rodzina była Polakami. Od strony Jagiellońskiej mieszkał też nauczyciel geografii Polak. Dozorca był Ukraińcem. Miał on piękną córkę krawczynię, która przychodziła nam szyć sukienki u nas w domu. Pamiętam święta żydowskie: kuczki, sądny dzień. Wtedy dzieci żydowskie nie przychodziły do szkoły, paradowały wystrojone po ulicach Stryja. Nasza sąsiadka, żona kolejarza – Żydówka, zapraszała mnie na ciasto nadziewane marmoladą, a szczególnie cieszyłam się na macę, którą uwielbiałam. Nasze mieszkanie było przedzielone, a raczej podzielone na dwa mieszkania.

Dzieliły je drzwi stale zamknięte. Za tymi drzwiami mieszkała niejaka p. Geschwind. Ona to właśnie w szparę pod drzwiami wsuwała mi cukierki, a gdy przyjeżdżali z Wiednia jej wnukowie – zapraszała mnie do zabawy. Owa pani Geschwind była teściową mieszkającego na I piętrze germanisty prof. Arnolda Spaeta. Przez owe cukierki pod drzwiami zaczęła się znajomość, a właściwie dozgonna przyjaźń moich rodziców z pp. Spaetami.

Było to małżeństwo bezdzietne. P. Spaet miał pewne ambicje literackie, tłumaczył z języka niemieckiego, utrzymywał korespondencję z literatami (Leopoldem Staffem[4], Julianem Tuwimem[5], Brunonem Schulzem[6] i in.). Miał piękną bibliotekę dzieł literackich niemieckich i polskich. On to np. zapoznał mnie z „Kwiatkami św. Franciszka". Od niego co nieco dowiedziałam się o Kasprowiczu[7]. U niego gościła wielekroć sławna aktorka Kazimiera Rychterówna[8]. Uprawiała ona teatr jednego aktora, recytując wiersze (m.in. właśnie Kasprowicza). Wynajmowała salę „Sokoła" na swoje występy, jeździła bowiem po całej Polsce. Był to teatr objazdowy jednego aktora. Pamiętam doskonale, jak umiała się błyskawicznie wcielić w różne postacie. Jednego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy stole – weszła służąca pp. Spaetów, chłopka Ukrainka. Gdy wyszła, Kazimiera Rychterówna natychmiast wstała, przeobrażając się w ową służącą, [naśladując] jej ruchy, chód, gesty. Wszystko to pilnie obserwowałam w gościnnym domu pp. Spaetów, spędzając wiele godzin na kolanach kochanego sąsiada, któremu wiele zawdzięczam w tym, co się tyczy

[4] Leopold Staff (ur. 1878 – zm. 1957) – poeta i tłumacz, jeden z czołowych twórców okresu Młodej Polski.

[5] Julian Tuwim (ur. 1894 – zm. 1953) – poeta i tłumacz. Współzałożyciel kabaretu literackiego Pikador, następnie jeden z filarów grupy poetyckiej Skamander.

[6] Bruno Schulz (ur. 1892 – zm. 1942) – prozaik, krytyk literacki, grafik żydowskiego pochodzenia. Zginął zastrzelony na terenie getta w Drohobyczu.

[7] Jan Kasprowicz (ur. 1860 – zm. 1926) – poeta, pisarz dramatyczny, tłumacz.

[8] Kazimiera Rychterówna (ur. 1891 jako Fryderyka Richter – zm. 1963) – absolwentka filologii polskiej i klasycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, aktorka i recytatorka. Związana ze scenami krakowskimi, lwowskimi, łódzkimi, warszawskimi.

edukacji kulturalno-literackiej. P. Spaet przetłumaczył pięknie na język polski wiersze żydowskiego Minnesängera Susskinda z Trimbergu[9]. Jakimś cudem ocalała ta książeczka z zawieruchy wojennej. Przechowuję ją jako cenną pamiątkę mego dzieciństwa.

Przyjaźń nawiązali z pp. Spaetami również moi rodzice. Zapraszali ich na uroczystości rodzinne, święta itp. Po naszym przeniesieniu do Lwowa wkrótce przeniesiono też prof. Spaeta. I znów trwały odwiedziny, przyjaźń. Niestety w dobie Holocaustu nie mieszkałam we Lwowie. Opiekowali się p. Spaetem w lwowskim getcie mój ojciec i siostra. P. Spaetowa zginęła zastrzelona na ulicy. Właścicielka kamienicy w Stryju p. Rosenmanowa miała piękną, rudą córkę, która grała na fortepianie. Nie było to wcale żadne rzępolenie. Muzyka klasyczna rozbrzmiewała na ulicy Trybunalskiej szczególnie latem, gdy mieliśmy otwarte okna.

Ojciec jeszcze kilka lat po wojnie 1920 roku służył w sądzie wojskowym, potem przeszedł do cywila i został prokuratorem sądu cywilnego w Stryju. Często bywałam w sądzie, bowiem urzędowanie trwało rano, potem była kilkugodzinna przerwa obiadowa, a po południu znów ojciec pracował, przygotowując się do rozpraw, studiując akta. Obok sądu znajdował się gmach więzienny. Ulica obstawiona była przeważnie kobietami, które prowadziły rozmowy z uwięzionymi, stojącymi w oknach. Nikt nie rozpraszał tych kobiet, ani policja, ani służba więzienna. Mój ojciec – pan prokurator – życzliwym okiem patrzył na rodzinne „odwiedziny" i nie przychodziło mu do głowy, by przerywać owe kontakty. Po południu wraz z jamnikami na smyczy wkraczałam do gmachu sądu, by udać się z ojcem na spacer. Koledzy ojca, prokuratorzy (byli wśród nich Ukraińcy), sędziowie zabawiali mnie żartami, wymyślali różne dziecinne figle, a p. Dawidowicz, sędzia śledczy (Ormianin), chodził z nami kąpać się w rzece Stryju, fundował mi lody i wymyślał bardzo śmieszne zabawy.

Ponieważ byłam ogromnie gadatliwa, ojciec chcąc mieć wytchnienie od mego gadania, kupował mi na rynku, po drodze, ogromne cukierki farbujące na czerwono język. Gdy taki cukierek

[9] Susskind z Trimbergu (von Trimberg) – poeta niemiecki żydowskiego pochodzenia tworzący w drugiej połowie XIII w.

włożyłam do ust, nie mogłam go nawet obrócić w ustach, póki się nie rozpuścił. W ten sposób zmuszona byłam zaprzestać gadania i moi dorośli towarzysze mieli chwilę spokoju. Nad rzeką zajęta byłam jamnikami, puszczaniem „kaczek" na wodę płaskimi kamieniami, jesienią zbieraniem głogu, z którego matka przyrządzała pyszny dżem. Wiosną zbieraliśmy młode pokrzywy, przyprawiane jak szpinak. Układaliśmy ogromne bukiety z polnych kwiatów i przynosiliśmy matce. Ojciec chciał mnie koniecznie nauczyć pływania, ale nigdy tej sztuki nie opanowałam. Po prostu bałam się wody, nie umiałam się położyć na wodzie, wpadałam głową w dół i uciekałam ojcu, by mnie nie próbował uczyć. Z nadejściem wiosny co dzień, niezależnie od pogody, chodziliśmy zażywać rzecznych kąpieli. To mnie zahartowało i uodporniło na przeziębienia i grypy.

Mój ojciec należał do organizatorów życia towarzyskiego w miasteczku Stryju. W sali „Sokoła" odbywały się bale sylwestrowe. Odgrywałam role Nowego Roku, deklamując okolicznościowe wiersze pióra mego taty, tam działał teatr amatorski. Grano „Krakowiaków i Górali", „Warszawiankę" Wyspiańskiego[10]. W roli Marii występowała moja matka, Annę grała przyjaciółka mamy, zwana przez nas ciocią Henią. Asystowałam we wszystkich próbach i stąd do dziś umiem na pamięć całe fragmenty utworu. Także w domach prywatnych z inicjatywy ojca odgrywano np. jasełka. W ogromnym salonie pp. Frączkiewiczów, dyrektora gimnazjum (mieszkanie mieściło się w budynku gimnazjum) odegrano właśnie jasełka pióra mego ojca. Ponieważ również pilnie przysłuchiwałam się satyrycznym tekstom – do dziś je znam i zachowałam w pamięci. Satyra dotyczyła postaci inteligencji stryjskiej, działaczy politycznych etc. Niektóre osoby obraziły się na ojca za jego prześmiewki, szczególnie z figur spośród Narodowej Demokracji, organizacji kobiecych, dewotek itp. Satyry ojca przydają mi się i dziś, gdy przyglądam się np. panom z ZChN. „Jestem działacz narodowy, w gębie rozmach mam morowy, gębą zdziałać jam gotowy więcej niż rozumem głowy". Albo saty-

[10] Stanisław Wyspiański (ur. 1869 – zm. 1907) – dramaturg, poeta, malarz, jeden z najwybitniejszych twórców okresu Młodej Polski.

ra na profesora gimnazjalnego, matematyka p. Patryna: „Jeżdżę na koniu bezpartyjności, duszę się w dymie mej dostojności i łowię na to naiwnych gości, otumanionych aż do śmieszności" itd.

Z synem owego pana Patryna przyszło mi siedzieć w jednej ławce, gdy byłam uczennicą pierwszej klasy szkoły powszechnej ss. Nazaretanek. Był to niesforny i nieznośny gagatek, okropnie mi dokuczał, szarpał, szczypał, przeszkadzał w skupieniu uwagi na lekcjach. Najbardziej znienawidziłam go za to, że mi podrapał śliczny tornister sporządzony własnoręcznie przez ojca.

Rodzice przyjaźnili się z pp. Bobinami (wywiezieni ze Lwowa do Kazachstanu zmarli tam oboje). Był to nauczyciel gimnazjalny – historyk. Mieszkali w pobliżu przy ul. Trybunalskiej, z naszego balkonu widać było ich okna na parterze. Tam spędzaliśmy nieraz święta, imieniny, a w szczególności raz do roku uczestniczyliśmy w świniobiciu. Ojciec wędrował z p. Marią Bobinową na targ, kupowali wieprzka, którego pan sędzia Oppenauer prowadził przez miasto uwiązanego za nogę. Najmowano rzeźnika. Świniobicie odbywało się w podwórku u pp. Bobinów i w ich kuchni przyrządzano wędliny, konserwowane mięso itd. Wielkie to było święto. Trzej synowie pp. Bobinów nie chcieli w tym dniu iść do szkoły, pragnęli bowiem asystować [przy – przyp. red.] świniobiciu. Ani ja, ani moja siostra nie odważyłybyśmy się zaniedbać obowiązków. My byłyśmy w szkole, dopiero wieczorem po odrobieniu lekcji biegłyśmy do pp. Bobinów. Zresztą tam uwijały się służące, nasze matki, no i rzeźnik. Chłopcy dokuczali mi, szczególnie Staszek, okropnie niesforny najmłodszy z Bobinów. Wtedy chroniłam się ucieczką do domu, gdzie przecież stale czekała babcia Froniowa i było bezpiecznie.

Po ukończeniu czterech klas szkoły powszechnej zdałam egzamin do gimnazjum. Moje stryjskie gimnazjum żeńskie należało do stowarzyszenia, było więc – jakbyśmy dziś powiedzieli – szkołą społeczną. Łatwo przychodziła mi nauka. Nie miałam zdolności do matematyki, ale łagodnie mnie traktowano, skoro w innych przedmiotach przodowałam. Miało to złe skutki dla mojej dalszej edukacji we Lwowie, gdzie był wyższy poziom wymagań. Wiele kłopotu miałam z matematyką, nawet musiałam zdawać maturę z tego przedmiotu i nie byłam z niego zwolniona. W Stryju

miałam też początkowo trudności z łaciną, ale szybko potrafiłam sprostać wymaganiom naszego dyrektora i nauczyciela łaciny p. Graseli. Dyrektor miał na imię Andrzej. W tym dniu szkoła obchodziła imieniny. Mój ojciec napisał dla mnie okolicznościowy wierszyk humorystyczny na temat Andrzeja – „Andrzejek". Deklamowałam ów wierszyk ku rozweseleniu całej szkoły i dyrektora. Uważano mnie za dobrego deklamatora. Żadna uroczystość szkolna nie obyła się bez moich występów. Utrzymałam się też w charakterze deklamatora i aktora we Lwowie. Nawet grałam w wynajętej sali Teatru Wielkiego rolę Forkiady (wiedźmy) we fragmentach „Fausta" Goethego. Także nasza lwowska szkoła wystawiała w tymże teatrze wybrane wiersze Kochanowskiego i fragment „Odprawy posłów greckich".

Wracam do Stryja. Do harcerstwa nie należałam. Gimnastyka w „Sokole" zajmowała mi sporo czasu. Nadto rodzice próbowali mnie uczyć gry na fortepianie. Nie miałam w domu fortepianu. Trzeba było chodzić na ćwiczenia do domów, gdzie za opłatą mogłam ćwiczyć. Było z tym wiele zachodu, a efekty mierne. Po czterech latach rodzice postanowili zaprzestać edukacji muzycznej, bowiem – mimo dobrego słuchu – moje wykonawstwo utworów było kiepskie. Rodzicom wiodło się nieszczególnie pod względem materialnym. Mama stale chorowała, utrzymanie dwu córek i babci (miała bardzo małą emeryturę po mężu) było kosztowne. Matka zaciągnęła długi. Ojciec starał się uzyskać w sądownictwie lepiej płatną posadę. Zgodził się więc na objęcie stanowiska sędziego do spraw parcelacji i komasacji gruntów. W związku z tym przenieśliśmy się do Lwowa, ale ojciec stale podróżował po wsiach lub majątkach obszarniczych, tam, gdzie trzeba było prowadzić komasację lub parcelację gruntów. Otrzymywał diety, nadto znacznie wyższe pobory, ponieważ trudno było znaleźć specjalistę od prawa gruntowego, a jednocześnie człowieka gotowego na tułaczkę po wsiach, zapadłych dziurach odległych od kolei. Wówczas nie było jeszcze komunikacji autobusowej. Ojciec dojeżdżał do kolei furmankami chłopskimi. Przyjeżdżał do domu w sobotę wieczór, by raniutko w poniedziałek znów jechać na wieś. Te wysiłki ojca dawały poprawę standardu życia, pieniądze na ustawiczne leczenie mamy, a nawet oszczędności.

Ojciec marzył o własnym domu z ogrodem i taki domek zakupił w 1939 roku w Zimnej Wodzie. Mieszkali tam też zaprzyjaźnieni z rodzicami pp. Dunikowscy. Tam spędziliśmy wakacje 1939 roku.

Przenosiny do Lwowa w 1929 roku rozłączyły mnie z moim kochanym tatą. Ustały nasze stryjskie spacery, nasze wędrówki po górach. Ojciec – jak wspomniałam – był cały tydzień nieobecny. We Lwowie nie przyjęto mnie do jedynego państwowego żeńskiego gimnazjum im. Królowej Jadwigi z braku miejsc. Ojciec starał się zapisać mnie tam m.in. z uwagi na to, że w państwowym gimnazjum nauka była bezpłatna. Zapisał mnie do prywatnej szkoły Olgi Filippi-Żychowiczowej[11].

Szkoła była prowadzona na wysokim poziomie. Świadczy o tym np. dobór nauczycieli. Historii uczył mnie docent Uniwersytetu Kazimierz Tyszkowski[12] (równocześnie kustosz Ossolineum), łaciny dr Marian Golias[13], lektor uniwersytetu, autor podręczników łaciny i greki, wybitny filolog (po wojnie w Łodzi objął katedrę filologii starożytnej). Początkowo miałam trudności z nauką. W Stryju przywykłam, że jestem prymusem, tutaj musiałam walczyć ze zdolniejszymi ode mnie dziewczętami o wysokie miejsce w klasie. W piątej gimnazjalnej kułam okropnie, by nadgonić stryjskie braki. Wywindowałam się na poczesne miejsce w klasie, ale nie prześcignęłam Irki Kreisberg. Jeśli idzie o przywództwo, to udało mi się lepiej. Miałam wpływ na koleżanki, potrafiłam przewodzić nie zawsze chwalebnym inicjatywom. Ze Stryja wyniosłam antyukraińskie zapędy. Stryj był silnym ośrodkiem budzącego się patriotyzmu ukraińskiego, który my Polacy traktowaliśmy z wyższością. My czuliśmy się hegemonem w tym kraju i takie nastawienie polskiego środowiska było dla mnie sprawą naturalną. Pan Golias jako wychowawca klasy (wówczas nazywało się to „gospodarz klasy") nie uznawał

[11] Olga Filippi-Żychowiczowa – dyrektorka Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego im. A. Mickiewicza we Lwowie.

[12] Zob. przypis 12, s. 11.

[13] Marian Golias (ur. 1887 – zm. 1966) – filolog klasyczny, doktor nauk humanistycznych, wykładowca Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi, kierownik Zakładu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Łódzkiego.

uprzedzeń narodowościowych. Prowadził klasę na wystawy sztuki ukraińskiej i in. Zbuntowałam połowę klasy, która odmówiła zwiedzenia wystaw ukraińskich. Zostałyśmy na lekcjach w szkole, podczas gdy połowa klasy poszła z prof. Goliasem. Niby to nie wiedziano, że ów bunt to moja sprawka. Ale po wojnie, już w Łodzi, p. Golias przypomniał mi mój szowinizm. Zresztą w latach uniwersyteckich zmieniłam poglądy. Ani Ukraińcy, ani Żydzi czy inne nacje nie były mi obce. Przeciwnie – uważałam, że istnieje konieczność współżycia i interesowałam się życiem i kulturą tych narodów.

We Lwowie mieszkaliśmy za rogatką zamarstynowską, w domu z ogrodem, u p. Zofii Chylińskiej. Dom usytuowany był za murem szkoły ogrodniczej. Nic nie zasłaniało nam panoramy Lwowa, szczególnie wieczorem, gdy rozbłysły światła miasta leżącego w dole – było tam bardzo pięknie. Dom był nieskanalizowany, studnia w podwórzu, sławojka w kącie ogrodu i ogromna gnojówka. Psia buda w podwórzu. Drzewa owocowe, krzewy, część ogrodu pozwoliła nam gospodyni uprawiać na własny użytek. Jamniki hasały na wolności. Ojciec, ogromnie towarzyski, spraszał znajomych, bawiliśmy się w imieniny, święta do rana. Zresztą zachodziła konieczność pozostania gości przez noc, bowiem tramwaje kursowały do godziny 23. Do tramwaju szło się ok. 10 min., hucznie, ze śpiewami, przez całą szerokość jezdni. Ustępowaliśmy z drogi wówczas, gdy prowadzono spitego batiara, wołając z daleka „Z drogi! Pijany idzie!".

Na Zamarstynowie był świeżo wybudowany kościół i klasztor karmelitów. Przeor wpraszał się do naszego domu na brydża, przychodził też ks. Kosma Lenczowski, znany kapelan legionowy. Rodzice nigdy nie izolowali mnie od dzieci z tzw. innych czy „niższych" sfer. Miałam na Zamarstynowie sporo przyjaciół. Włamywacze, kieszonkowcy rozstępowali się, bym nie ubłociła bucików. Kto jest kim, nie wiedziałam dokładnie, jedynie pewna byłam, że to ferajna złodziejska. Przy Zamarstynowskiej był jedyny sklep spożywczy, żydowski, gdzie zaopatrywaliśmy się w żywność. Stamtąd do szkoły miałam pieszo ok. trzech kwadransów marszu. Jednak bez trudu pokonywałam tę przestrzeń, szczególnie wracając ze szkoły przez plac Krakowski, ul. Zamar-

stynowską obok bożnicy. W piątki świeciły się szabasowe świece w domach modlitwy i domach prywatnych. Była to bowiem dzielnica zamieszkana przez biedotę żydowską.

W siódmej klasie gimnazjum zainteresowałam się radiową akcją pomocy dzieciom bezrobotnych. Akcję wszczęła literatka Halina Górska[14]. Miewała ona audycja radiowe, zorganizowała we własnym domu zbiórkę odzieży, żywności, którą liczni społecznicy roznosili po Lwowie. Przystałam do tych „roznosicieli". W następnym roku 1932/33 zostałam nawet stałą opiekunką kilku rodzin. Kursowałam więc po mieście, poznając baraki dla bezrobotnych, pijackie rodziny, w suterenie pod pocztą mieszkał bezrobotny z rodziną. Poznawałam życie z najtragiczniejszej strony. Pomoc nieśliśmy potrzebującym, bez różnic narodowościowych. Wokół Haliny Górskiej gromadzili się przeróżni ludzie. Pamiętam moje spory z pewnym „roznosicielem" paczek, który sądził, że należy wspomagać jedynie Polaków. Wkrótce zorientowałam się, że bliskie Halinie Górskiej środowisko to sympatycy Związku Radzieckiego. Tam zapewne gromadziła się polska komuna wówczas, gdy partia została rozwiązana. Tam poznałam studenta polonistyki Karola Kuryluka[15], Martę Steiger[16] i in.

Domek, a raczej podupadły dworek przy ul. Jakuba Strzemię, gdzie mieszkała rodzina pp. Górskich, był znany we Lwowie. Kiedy byłam już na uniwersytecie, akcja „Radio dzieciom" ustała. Doszliśmy do wniosku, że jest to łatanie dziur w obszarach nędzy, które bez gruntownej przebudowy ustroju jest bezcelowe. Moje informacje dotyczące tragedii rozgrywającej się

[14] Halina Górska (ur. 1898 – zm. 1942) – pisarka, działaczka społeczna i polityczna związana z ruchem lewicowym. Pracowała w lwowskiej rozgłośni radiowej, obok K. Kuryluka i T. Hollendra współzałożycielka wydawanego we Lwowie miesięcznika „Sygnały". W czasie II wojny współpracowała z „Nowymi Widnokręgami", członkini Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, aresztowana i rozstrzelana przez Niemców.

[15] Karol Kuryluk (ur. 1910 – zm. 1967) – dziennikarz, wydawca, dyplomata. Redaktor naczelny lwowskich „Sygnałów" (w latach 1933–1934; 1936–1939), „Odrodzenia" (w latach 1944–1948), w latach 1956–1958 minister kultury i sztuki, w latach 1959–1964 ambasador PRL w Austrii.

[16] Marta Steiger – sekretarka redakcji lwowskiego pisma „Sygnały".

wewnątrz ZSSR były żadne. Procesy moskiewskie nie docierały do mojej świadomości. Naiwność młodzieńcza, chęć niesienia pomocy po prostu biednym ludziom nie była związana ze świadomą opcją prokomunistyczną. W środowisku Haliny Górskiej nikt mnie nie nawracał na socjalizm. Pomoc z mej strony była przyjmowana życzliwie, czułam się dobrze w tym środowisku, traktowano mnie jak młodszą koleżankę. W czasie wędrówek po mieście, po jego „zakazanych" dzielnicach – doskonale poznałam ubogie przedmieścia. Opisana w książce H. Górskiej samorządna gmina bezdomnych na działce nad Pełtwią była mi znana. Chadzałam w towarzystwie batiarów, mętów, biedoty. Była to świetna obstawa dla panny z tzw. dobrego domu. Nikt mnie nie śmiał tknąć ani skrzywdzić.

Moi rodzice nie stawiali przeszkód w moim samodzielnym życiu. W ten sposób dość wcześnie weszłam w swój świat, usamodzielniłam się, dojrzewałam, a mimo to wiele pozostało mi z dziecinnego oglądu świata, naiwności wprost graniczącej z głupotą. W domu rodziców bywali przyjaciele nobliwi, rodzina adwokacka, wspomniani pp. Dunikowscy itp. Mieszczańskie rodziny otaczały mnie w towarzystwie, poza domem wyłaziłam z tych ram klasowych, narodowych. Nie byłam całkiem świadoma podwójnego życia.

Obracałam się też w kręgach harcerskich. Znanym działaczem harcerskim był mój daleki kuzyn dr Leszek Czarnik[17]. On to wprowadził mnie do kręgów harcerskich, zapraszał na zimowiska z równoczesnym uprawianiem narciarstwa. Tam poznałam harcmistrza Bolesława Lewickiego[18] i innych zaprzyjaźnionych z Leszkiem chłopców i dziewczęta.

---

[17] Leszek Czarnik (ur. ? – zm. 1940), syn Stanisława i Teresy, urodzony we Lwowie, skończył studia medyczne. Przed wybuchem II wojny światowej był lekarzem w Przychodni Kolejowej we Lwowie. Działał w Związku Harcerstwa Polskiego. Wchodził w skład Komendy Chorągwi Lwowskiej, współredagował czasopismo „Skaut" (najstarszy polski periodyk harcerski). Aresztowany przez NKWD, zginął na Łubiance.

[18] Bolesław Lewicki (ur. 1908 – zm. 1981) – absolwent polonistyki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, do 1939 r. aktywny uczestnik ruchu harcerskiego, sekretarz redakcji „Ruchu Słowiańskiego", redaktor „Słowa Polskiego", „Skauta". Teoretyk, krytyk filmowy, w latach 1968–1969 rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi.

Leszek – lekarz kolejowy, harcmistrz, ogromnie mi imponował. W moim pojęciu był bardzo stary, miał bowiem 30 lat. Jego koledzy też byli „starzy", niektórzy po studiach lub też studenci uniwersytetu. Ta grupa harcerzy miała orientację propiłsudczykowską, podczas gdy większość harcerstwa była proendecka, związana z „Młodzieżą Wszechpolską", której nie znosiłam. Burdy krwawe na uniwersytecie lat trzydziestych, walka o getta ławkowe – wszystko to było mi podówczas obce. Ostro wyrażałam mój sprzeciw, za co otrzymywałam cięgi szczególnie od koleżanek, które zrywały ze mną stosunki przyjacielskie, po śmierci prof. Stanisława Zakrzewskiego[19] – który nie pozwalał swoim seminarzystom na udział w ekscesach antyżydowskich – kiedy brakło jego autorytetu, koleżanki nie podawały mi ręki, bowiem byłam żydokomuną.

Podczas studiów uniwersyteckich zaznałam przyjaźni i serdecznej opieki naukowej od mego dawnego nauczyciela w gimnazjum doc. Kazimierza Tyszkowskiego. Przesiadywałam wiele w czytelni Ossolineum, dużo czytałam i samodzielnie się kształciłam. Do pokoiku p. Tyszkowskiego obok czytelni lubiłam zachodzić nie tylko dlatego, że zawsze spotykałam się z życzliwością, chęcią pomocy, kierowaniem moimi studiami, ale też czułam się zaszczycona tą przyjaźnią. P. Tyszkowski pożyczał mi książki, interesował się przebiegiem studiów. Prócz historii ukończyłam Studium Uzupełniające Dyplomatyczne, które funkcjonowało przy Wydziale Prawa pod kierunkiem prof. Ludwika Ehrlicha[20]. We Lwowie brakło Szkoły Nauk Politycznych. Owo Studium zastępowało mi taki kierunek kształcenia. Nie miałam najmniejszego zamiaru pracować w dyplomacji, ale wiele przedmiotów tam wykładanych bardzo mnie interesowało. Chociaż moje dokumenty zaginęły w zawierusze wojennej, ocalał właśnie indeks z owego Studium.

Prof. Zakrzewski, który był moim mistrzem, niewiele udzielał się na uniwersytecie, ponieważ piastował wówczas godność senatora. Przebywał więc przez większość roku w Warszawie.

[19] Stanisław Zakrzewski (ur. 1873 – zm. 1936) – historyk mediewista; szerzej zob. Wprowadzenie.

[20] Ludwik Ehrlich (ur. 1889 – zm. 1968) – prawnik, profesor Uniwersytetów Lwowskiego i Jagiellońskiego, sędzia *ad hoc* Stałego Trybunału Sprawiedliwości.

Nagły jego zgon w 1935 roku osierocił seminarzystów. Początkowo opiekował się uczniami Zakrzewskiego prof. Teofil Modelski[21]. Dopiero później, gdy byłam już na czwartym roku studiów, katedrę po Zakrzewskim objął Ludwik Kolankowski[22].

Temat pracy magisterskiej otrzymałam jeszcze od Zakrzewskiego. Interesowałam się dziejami reformacji w Polsce, pracę pisałam o działalności kulturalnej (wydawniczej) Mikołaja Radziwiłła Czarnego. Właściwie nikt nie doradzał mi, co i jak pisać. Czasem zwracałam się o pomoc do p. Tyszkowskiego, aliści brnęłam sama w gąszczu źródeł i literatury. Wedle mojej oceny praca magisterska była marna. Dziś trochę się jej wstydzę. Prof. Kolankowski łaskawie mnie promował, recenzentem pracy był prof. Stanisław Łempicki[23], uwielbiany przez studentów, zwany – nie wiem czemu – Pempusiem. Studia ukończyłam w roku 1937.

Gdy zapisywałam się na pierwszy rok Studium Dyplomatycznego, stałam w długiej kolejce w Dziekanacie Wydziału Prawa. Przechodził korytarzem znany mi z widzenia w Stryju syn profesora gimnazjalnego Weisbluma. Wprawdzie znaliśmy się tylko przelotnie, jednak on jako starszy już student prawa przystąpił do mnie, ofiarowując mi ewentualną pomoc. Uznałam to za naturalne, że bez prezentacji chciałby mi pomóc. Okazało się, że on właśnie rozpoczyna Studium Uzupełniające Administracyjne i że niektóre wykłady będziemy mieli wspól-

[21] Teofil Modelski (ur. 1881 – zm. 1967) – historyk mediewista, archiwista. W latach 1924–1930 wykładowca historii średniowiecznej powszechnej i nauk pomocniczych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, redaktor „Ateneum Wileńskiego", w latach 1930–1939 wykładowca Uniwersytetu Jana Kazimierza, redaktor „Kwartalnika Historycznego", po II wojnie światowej związany z Uniwersytetem Wrocławskim.

[22] Ludwik Kolankowski (ur. 1882 – zm. 1956) – historyk, badacz dziejów Polski XV–XVI wieku, działacz polityczny. Dyrektor Biblioteki Ordynacji Zamoyskich w Warszawie (od 1929 r.), profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (do 1936 r.) i Jana Kazimierza we Lwowie (w latach 1936–1939). Po zakończeniu II wojny światowej związany z Uniwersytetami: Łódzkim i Mikołaja Kopernika w Toruniu.

[23] Stanisław Łempicki (ur. 1886 – zm. 1947) – historyk oświaty, wychowania i literatury. Profesor UJK, w latach 1939–1941 i 1944–1945 wykładowca na Uniwersytecie im. I. Franki. W latach 1945–1947 związany z UJ.

ne: ja na Studium Dyplomatycznym, on na Administracyjnym. W ten sposób poznałam mego przyszłego męża.

Gdy tylko rozpoczął się rok akademicki, usiedliśmy obok siebie i rzeczywiście pomagał mi przy przygotowaniu do egzaminów z przedmiotów prawniczych, współczuł mi, gdy dwa pierwsze egzaminy na Studium Dyplomatycznym oblałam i byłam tak załamana, że chciałam w ogóle porzucić uniwersytet, sądząc, że się po prostu nie nadaję. Uczyliśmy się wiosną w Ogrodzie Jezuickim naprzeciw uniwersytetu, następnie umawialiśmy się na randki w parkach lwowskich, na Wysokim Zamku, Persenkówce, w parku Stryjskim. To wszystko było moje osobiste życie, ani słowem nie zdradzałam się w domu z moją sympatią, z moją gorącą miłością. Na wyższych latach studiów rywalizowaliśmy w stopniach z egzaminów. Bywało, że on mnie przygotował do egzaminu i mnie udało się otrzymać lepszy stopień. On był bardziej zaawansowany w studiach (o dwa lata starszy ode mnie) i podczas gdy ja mozolnie przygotowywałam pracę magisterską z historii, on robił doktorat z historii prawa polskiego, napisał rozprawę doktorską rozpoczętą u prof. Balzera[24] o sejmiku halickim na podstawie aktów grodzkich i ziemskich z archiwum bernardyńskiego. Uczęszczał na seminarium prof. Przemysława Dąbkowskiego[25], a gdy po ukończeniu pracy doktorskiej Dąbkowski zwlekał z promocją, mój ukochany przeniósł się za zgodą Dąbkowskiego do Krakowa, gdzie uzyskał doktorat wiosną w roku 1939 u prof. Stanisława Kutrzeby[26].

Lata uniwersyteckie wspominam, jeśli idzie o stronę naukową historii, jako niezbyt udane. Śmierć prof. Zakrzewskiego

[24] Oswald Balzer (ur. 1858 – zm. 1933) – historyk ustroju i prawa dawnej Polski. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (kierownik Katedry Historii Prawa Polskiego, w latach 1895–1896 rektor).

[25] Przemysław Dąbkowski (ur. 1877 – zm. 1950) – historyk prawa, badacz dziejów społecznych i gospodarczych Polski. Związany z Uniwersytetami: Lwowskim, Warszawskim, KUL.

[26] Stanisław Kutrzeba (ur. 1876 – zm. 1946) – historyk prawa, wydawca źródeł. Profesor UJ (kierownik Katedry Historii Prawa Polskiego; w latach 1932/1933 rektor).

pozbawiła mnie mistrza, właściwie gdyby nie p. Tyszkowski zostałabym zupełnie pozostawiona samej sobie. Życia koleżeńskiego nie prowadziłam, bo byłam czarną owcą w oczach wielu kolegów, na Studium Dyplomatycznym było tak wiele wykładów i egzaminów, że nie było wprost czasu na towarzyskie kontakty. Trochę udzielałam się w studenckim Kole Historyków, ale praca w tym kole nie była zbyt intensywna. Amory zajmowały sporo czasu, jednakże były to amory, jak i koleżeństwo, stricte intelektualne.

Zjazd Historyków w Wilnie 1935 roku

Jesienią 1935 roku odbył się Zjazd Historyków w Wilnie. Prof. Zakrzewski zainicjował wyjazd delegacji studentów Uniwersytetu Lwowskiego. Znalazłam się wśród nich. Jechałam pod opieką ciotki Marii Oppenauer, która pracowała jako nauczycielka w Kamionce Strumiłowej i od dawna należała do Polskiego Towarzystwa Historycznego. Była ona uczennicą Ludwika Finkla[27] (podobnie jak Kazimierz Tyszkowski). We Lwowie obserwowało się ogromne zainteresowanie działalnością Towarzystwa. Wszak była to kolebka tego stowarzyszenia fachowych historyków.

Wilno było mi już znane. Przejeżdżałam przez to piękne miasto na obóz nad Naroczą. Tam trzeba było się przesiadać do kolejki wąskotorowej, która wiozła nas borami litewskimi nad Narocz. Przyjazd do Wilna nie był więc dla mnie nowością. Na początku obrad plenarnych wielkie wrażenie zrobiło wystąpienie Olgier-

[27] Ludwik Finkel (ur. 1858 – zm. 1930) – historyk czasów nowożytnych, bibliograf. Związany z Wyższą Szkołą Rolniczą w Dublanach i Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie (do 1918 r. kierownik Katedry Historii Austriackiej, w latach 1911–1912 rektor, następnie w latach 1918–1930 kierownik Katedry Historii Nowożytnej). W latach 1914–1923 prezes Towarzystwa Historycznego we Lwowie.

da Górki[28] na temat rewizjonizmu historycznego. Górka był nie tylko niezwykle inteligentnym człowiekiem, ale również świetnym mówcą. Podważał uświęcone, tradycyjne tezy metodologiczne historiografii, co wywołało dużą i ostrą dyskusję. Szczególnie ostro zaatakował Górkę prof. Władysław Konopczyński[29]. Nie pamiętam już dziś innych dyskutantów. Na mnie polemika zrobiła ogromne wrażenie. Czułam się nobilitowana, przysłuchując się powagom naukowym, które z furią i emocjonalnie atakowały referenta. Potem bywałam na referatach w różnych sekcjach. Wieczorem odbył się „bal", właściwie przyjęcie w pięknej sali. Gdy przyszłam z ciotką, p. Tyszkowski wprowadził mnie na salę i przedstawiał poważnym profesorom jako swą uczennicę. Nie wiem, czy umiałam się odpowiednio znaleźć, bowiem bywałam dość niesforna i zachowywałam się niekonwencjonalnie. Ciocia Maryna matkowała mi, pilnując, bym nie wystąpiła z jakimś wyskokiem. Zresztą traktowano mnie pobłażliwie, po ojcowsku. W Wilnie z okazji Zjazdu miejscowe teatry dawały spektakle dla gości. Byłam na operetce z ciocią. Zwiedzałam też Wilno, a szczególne wrażenie zrobiły na mnie podziemia w kościele dominikanów (?), gdzie znajdowało się cmentarzysko doskonale zakonserwowanych zwłok. Nawet części ubioru nie zgniły, także obuwie ofiar i in.

Zjazd był dla mnie ogromnym przeżyciem z uwagi na bezpośrednie zetknięcie z gronem poważnych uczonych historyków, no i samo urokliwe miasto również oddziaływało swą atmosferą na gości Zjazdu.

[28] Olgierd Górka (ur. 1887 – zm. 1955) – historyk mediewista, badacz XVII wieku, polityk i dyplomata. Attache wojskowy w Bernie w latach 1919–1920 i Bukareszcie w latach 1920–1923. Od 1934 r. profesor tytularny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, od 1954 r. profesor nadzw. Uniwersytetu Warszawskiego.

[29] Władysław Konopczyński (ur. 1880 – zm. 1952) – historyk, badacz dziejów Polski XVIII wieku. Związany z Towarzystwem Kursów Naukowych, następnie z UJ (profesor zwyczajny w 1917 r.; kierownik Katedry Historii Polski Nowożytnej i Najnowszej w latach 1917–1948). W latach 1946–1952 przewodniczący oddziału krakowskiego Polskiego Towarzystwa Historycznego, w roku 1947 prezes PTH.

Następny Zjazd planowano na rok 1940 we Lwowie. Skończyło się na pobożnych życzeniach. Spotkaliśmy się w 1948 roku we Wrocławiu, niestety w innym składzie osobowym, skoro nam okupanci wymordowali kwiat inteligencji.

Sytuacja osób z rodzin żydowskich spolonizowanych była dość skomplikowana. Prof. Weisblum (jak też np. p. Spaet) należeli do inteligencji w pierwszym pokoleniu. Odcięli się od żydowskich korzeni, optując za polskością. Niewiele to jednak pomagało, bowiem w oczach polskich środowisk uważano ich za Żydów. Znajdowało to wyraz w różnych zachowaniach. Np. dyr. Frączkiewicz nie zapraszał na swoje prywatne salony tych powszechnie szanowanych i cenionych profesorów. Towarzysko byli więc izolowani. Nie chcieli kontaktów z Żydami (gminą żydowską, rabinami etc.), Polacy ich odsuwali. Młodzież dawała wyraz swej sympatii do „żydowskich" pedagogów. Prof. Weisbluma odwiedzali dawni uczniowie. Julian Stryjkowski wspominał go w kilku swoich powieściach. Weisblum był polonistą. Pięknie uczył literatury polskiej, szczególnie romantycznej. Podobno na jego lekcjach panowała cisza, profesor nie był zmuszony do upominania młodzieży, co – moim zdaniem – świadczyło o tym, że umiał nauczać, przekonany o wartościach literackich, humanistycznych. Nie nudził, skoro chciano go słuchać. Nadto był znakomitym pedagogiem wychowawcą, co doskonale oceniała młodzież.

Jego syn – jedynak – zapragnął zrobić dalszy krok w kierunku zdeklarowania swej polskości. Przyjął chrzest i zmienił nazwisko na Śreniowski. Gdy mi o tym powiedział, nie dałam mu poznać swego zdumienia, by go nie urazić. Myślę jednak, że dla rodziców musiało to być ciężkie. Miłość do mnie, wejście w środowisko polskie, przypieczętowały jego wybór. Był Polakiem. Jednakże w naszym kraju, gdzie tylu cudzoziemców się polonizowało (np. w Galicji Niemcy – urzędnicy austriaccy, Czesi, Węgrzy, Ormianie i in.), akceptowano ich wybory. Nikt im nie wypominał pochodzenia. Byli wśród nas, byli Polakami, nasiąknięci kulturą polską, obyczajem, religią (rzymskokatolicką). Natomiast akceptacja nie dotyczyła osób pochodzenia żydowskiego. Nigdy nie zapominano tym Polakom, że ich rodziły matki Żydówki. I choć wnosili oni poważny wkład w kulturę polską – szerokie kręgi społeczne nie akceptowały tych „Żydów".

W latach 30. XX wieku wobec narastającej fali antysemityzmu – mającej niewątpliwie oparcie w hitleryzmie – gorzko przeżywałam różne docinki ze strony dalszej rodziny mego szwagra. Mąciło mi to wiarę w mój życiowy wybór, unaoczniało trudności. Moi rodzice nie wtrącali się w moje osobiste sprawy, zresztą nie należeli do antysemitów, byli jak najdalsi od tego kołtuństwa. Czasem sądziłam, że moje otoczenie z pogardą lub litością patrzyło na tę kulawą pannę, która – jak zapewne sądzono – nie mogłaby zdobyć konkurenta. Wybrała więc Żyda. A może sądzono, że zaważył tu jeszcze inny argument, tj. perspektywa odziedziczenia kamieniczki w Stryju. Nie wiem, co ludzie myśleli, mnie te kalkulacje były najzupełniej obojętne i obce memu pojmowaniu miłości, sympatii, wspólnoty upodobań, tożsamości w poszukiwaniu systemu wartości itp.

Nastały rządy OZON-u. Szykowano ponoć ustawy norymberskie w Polsce[30]. Staszek chodził zatroskany, zmartwiony, jak mu przyjdzie żyć w takiej rzeczywistości, może na marginesie, może jako obywatelowi gorszej kategorii. Byłam zbyt naiwna i niedoświadczona, by na serio brać te – wybiegające w przyszłość – zmartwienia. Ufnie szłam w życie, wierząc, że stworzę mu alibi, że ze mną nic złego go nie spotka. Ukończył studia, zrobił doktorat. Ojciec Staszka dzięki swym dawnym uczniom znalazł protekcję dla syna. Staszek otrzymał bezpłatną praktykę w bardzo elitarnym urzędzie w Prokuratorii Generalnej w Krakowie. Występował przed sądami, w sporach ze Skarbem Państwa reprezentując państwo. Zatrudniano tam w charakterze aplikantów wybitnych prawników. Pracował tam m.in. Andrzej Kłodziński, z którym Staszek zawarł dozgonną i wierną przyjaźń. Tam w Krakowie poznał Bogusława Leśnodorskiego[31], Adama Szpunara[32], zaprzyjaźnił się też z synem endeckiego posła,

[30] Zob. Sz. Rudnicki, *Równi, ale niezupełnie*, Warszawa 2008, s. 174.

[31] Bogusław Leśnodorski (ur. 1914 – zm. 1985) – historyk państwa i prawa polskiego, badacz dziejów oświaty i myśli społeczno-politycznej doby polskiego oświecenia. Związany z UJ, ponadto wykładał w krakowskiej WSH i Akademii Handlowej. Pracował na UW i w IH PAN.

[32] Adam Szpunar (ur. 1913 – zm. 2002) – prawnik cywilista. W 1949 r. profesor nadzwyczajny (w 1957 r. zwyczajny) i kierownik Katedry Prawa Cywilnego Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1950–1953 dziekan Wydziału Prawa i Administracji, następnie prorektor w latach 1955–1956 i rektor UŁ (z wyboru) w latach 1956–1962.

działaczem Młodzieży Wszechpolskiej, organizatorem hec antysemickich – Stanisławem Rymarem (późniejszym adwokatem krakowskim). Rymar nie orientował się w sprawach osobistych Śreniowskiego, zostali więc przyjaciółmi, a gdy Staszek wyjawił mu swe pochodzenie – przyjaźń nie została zerwana.

Po ukończeniu studiów w 1937 roku nie wiedziałam, gdzie się zwrócić i jak zdobyć źródła zarobku. Panowała nadprodukcja inteligencji, szczególnie kobiet nie chciano przyjmować do pracy, by nie zajmowały miejsc mężczyznom, głowom rodzin. Moja siostra posiadająca dyplom prawnika (ukończyła studia *summa cum laude*) nie dostała przed wojną pracy.

Do szkolnictwa nie chciałam iść. Marzyłam o zawodzie bibliotekarza, marzyłam o Ossolineum. Wiedziałam, że to marzenie się nie ziści, Ossolineum bowiem miało bardzo szczupłe środki finansowe i pełną obsadę etatów. Nawet p. Tyszkowski nie mógł tu nic pomóc. Jednak zaproponował mi uporządkowanie książek w redakcji „Kwartalnika Historycznego", którego był podówczas redaktorem. Siedziba redakcji mieściła się obok lokalu seminarium prof. Zakrzewskiego na III piętrze uniwersytetu (idąc od strony pl. Smolki), w malutkim pokoiku, zawalonym pod sufit zakurzonymi książkami. Były to egzemplarze przysyłane do recenzji, a przede wszystkim przeróżne czasopisma historyczne czeskie, niemieckie, polskie i in. Chętnie zgodziłam się na tę pracę. Towarzystwo Historyczne wypłacało mi miesięcznie 30 zł. Czyli tyle, ile moja matka płaciła kucharce. Mnie to jednak nie zrażało. Mieszkałam przecież w domu, owe 30 zł to było moje kieszonkowe. Zresztą oszczędnie tym gospodarowałam i byłam w stanie kupić sobie buciki, płaszcz, wystarczyło na tramwaj.

Praca była popołudniowa. Zabrałam się gorliwie do dzieła, by uprzątnąć tę stajnię Augiasza. Wkrótce czasopisma powiązane sznurkami (roczniki) ułożone chronologicznie zostały w kącie na podłodze. Na stół nie było miejsca w ciupce. Królowało biurko redaktora i dwa krzesła.

Wkrótce p. Tyszkowski zaproponował mi, bym prowadziła sekretariat redakcji. Nie umiałam pisać na maszynie. Redaktor zakupił starego Remingtona i na nim czyniłam pierwsze kroki w opanowaniu sztuki pisania na maszynie. Pisałam wolno.

P. Tyszkowski szedł korytarzem ku redakcji i słyszał z dala moje stukanie. Wchodził i zapytywał: „Któż tu rąbie drzewo"?

P. Tyszkowski był bardzo dowcipny, pełen pogody, dobrze się z nim pracowało. Jako swą dawną uczennicę z gimnazjum traktował mnie z wyrozumiałością. Jednak korekty mi nie powierzał. Jedynie korespondencję, którą sam sporządzał, przepisywałam na maszynie, po ukazaniu się numeru „Kwartalnika" rozsyłałam do autorów ich artykuły, recenzje, zapiski naukowe, bibliografię. W ten sposób poznałam z nazwiska świat polskich historyków, a porządkowanie czasopism ułatwiło mi orientację w czasopiśmiennictwie historycznym polskim i obcym. Często na pogwarki z p. Tyszkowskim zachodził doc. Karol Koranyi[33]. Zakład prof. Dąbkowskiego, gdzie pracował Koranyi, mieścił się w tym samym skrzydle gmachu na parterze. Koranyi pokonywał więc trzy piętra. Był on ogromnie dowcipnym i wesołym człowiekiem. Z p. Tyszkowskim przerzucali się żartami, dowcipami – było bardzo wesoło. Czułam się ogromnie zaszczycona uczestnicząc w tym towarzystwie, żywiłam bowiem nabożne uczucia dystansu do utytułowanych panów uczonych.

Po pewnym czasie p. Tyszkowski przyjął do pracy w Redakcji „Kwartalnika" mgr Ludwika Bazylowa[34], mego kolegę ze studiów (o rok starszego). Bazylow był ogromnie uzdolnionym młodym człowiekiem. Ceniłam go, ale niezbyt lubiłam z tego powodu, że w czasie studiów zdradzał sympatie endeckie, tzn. przychylał się ku Młodzieży Wszechpolskiej. Również jego maniery nie bardzo mi odpowiadały, pochodził bowiem z biedoty lwowskiej, zdaje mi się był synem dozorcy domu, pijaka. Jednakże pracowaliśmy zgodnie, bez zgrzytów z którejkolwiek strony.

Staszek mieszkał podówczas w Krakowie. Bardzo pragnęłam przebywać w tym samym mieście. Rodzicom żal było roz-

---

[33] Karol Koranyi (ur. 1897 – zm. 1964) – historyk państwa i prawa. Związany z Uniwersytetami: lwowskim (w tym w latach 1944–1945 profesor ukraińskiego Uniwersytetu im. I. Franki), toruńskim (w latach 1948–1951 rektor), warszawskim.

[34] Ludwik Bazylow (ur. 1915 – zm. 1985) – historyk, badacz dziejów Rosji XVIII–XX wieku, Słowiańszczyzny i Europy nowożytnej. Związany z Uniwersytetem Warszawskim i PAN oraz Wojskową Akademią Polityczną.

stawać się ze mną i mnie ciężko było na sercu. O małżeństwie nie mogliśmy na razie marzyć, skoro zarówno mój przyszły małżonek, jak i ja mogliśmy liczyć jedynie na bezpłatne praktyki, a po kilku latach skromne pensyjki. Utrzymywali więc rodzice takich wyszkolonych magistrów i ponosili nadal koszty utrzymania wykształconych dorosłych dzieci. Staszek zabiegał przy pomocy swoich znajomych o jakąś pracę dla mnie w Krakowie. Wkrótce zostałam przyjęta na bezpłatną praktykę bibliotekarską do Biblioteki XX. Czartoryskich, której dyrektorował gen. Marian Kukiel[35]. Tato zawiózł mnie do Krakowa, była jesień 1938 roku. Ojciec wynajął mi pokój z utrzymaniem, wyprawił mnie z kufrem, który do dziś posiadam. Wyjeżdżając z domu, tonęłam we łzach, podobnie jak moja mama. Równocześnie cieszyłam się na codzienne widywanie Staszka.

Mój opiekun naukowy p. kustosz Tyszkowski starał się zabezpieczyć mnie przed osamotnieniem w nowym krakowskim środowisku. Polecił mnie pp. Friedbergom. Dr Marian Friedberg[36] był dyrektorem Miejskiego Archiwum w Krakowie, p. Maria Friedbergowa z domu Mazankówna pochodziła ze Lwowa. Tam z inicjatywy (zapewne) p. Tyszkowskiego sporządzała co roku dokładną bibliografię historii Polski do „Kwartalnika Historycznego". Robiła to pedantycznie, doskonale. Otóż p. Tyszkowski polecił mi sporządzanie bibliografii (Bibliography of historical sciences) wydawanej w Paryżu przez p. Marca Jaric'a. Pani Friedbergowa miała dawać mi instrukcje i w ten sposób trafiłam do ich gościnnego domu. Przyjaźń nasza utrzymała się zarówno w czasie wojny, jak też po wojnie, do śmierci pp. Friedbergów.

Bibliografię selektywną do owej międzynarodowej sporządzała w latach poprzednich p. Janina Kelles-Krauz[37], pracownica

[35] Marian Kukiel (ur. 1885 – zm. 1973) – historyk wojen i wojskowości, polityk, generał dywizji. W latach 1925–1926 szef Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Profesor tytularny UJ (1935). Po wojnie na emigracji w Londynie.

[36] Marian Friedberg (ur. 1902 – zm. 1969) – historyk mediewista, archiwista, edytor źródeł. Od 1924 r. pracownik Archiwum Akt Dawnych m. Krakowa. Profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

[37] Janina Kelles-Krauz (ur. 1898 – zm. 1975) – starszy kustosz Biblioteki PAN im. Ossolińskich we Wrocławiu. Córka socjalisty, filozofa i socjologa Kazimierza.

Ossolineum. Od roku 1938 miałam zająć jej miejsce. Zabrałam się więc gorliwie do dzieła. Była to robota dość uciążliwa, wymagała dużej dokładności, szerokiej kwerendy, szło bowiem nie tylko o druki zwarte, ale również celniejsze artykuły z czasopiśmiennictwa naukowego historycznego. Zebrany materiał przynosiłam p. Friedbergowej do przejrzenia i ewentualnych poprawek. W owym czasie pisywałam już tzw. zapiski do „Kwartalnika Historycznego". Były to krótkie informacje o książkach, a nie obszerniejsze recenzje. Zapiski podpisywałam moim panieńskim nazwiskiem: Oppenauer. Moją pracę opłacało bardzo skromnie Polskie Towarzystwo Historyczne. Zebrany materiał, przetłumaczony na francuski przez p. Kelles-Krauz, wysłano w roku 1939 do Paryża. Przed wojną ów tom nie ukazał się. Wyszedł po wojnie. Jednak figurowało tam nazwisko p. Kelles-Krauz, które Jaric znał sprzed wojny. Moje uczestnictwo w tej robocie pozostawało nieznane. Nie bardzo przejęłam się faktem zlekceważenia mojej osoby. Czasy powojenne nie sprzyjały kontaktom międzynarodowym. Do tej pracy nie przywiązywałam większej wagi. Zresztą – wydaje mi się – niezbyt nadawałam się do pedantycznego opracowywania bibliografii. Raczej unikałam takich prac, bo nudne. W moich powojennych życiorysach nigdzie nie figuruje wspomnienie o tej pracy, bowiem na potwierdzenie prawdy nie miałam dowodu.

W Bibliotece XX. Czartoryskich praktykowałam tylko dwa miesiące. Ogromnie mi się ta praca podobała. Bibliotekarze zajęli się mną, wprowadzając w tajniki katalogowania. Zapoznali mnie z podręcznikiem Grycza[38]. Siedziałam na zapleczu uczelni, w pomieszczeniu szczupłym, gdzie było tylko oświetlenie elektryczne. Przebywał tam też bibliotekarz archiwista p. Nowak (imienia nie pamiętam). W czytelni obok rezydował dr Eugeniusz Latacz[39] – potężny chłop, piłkarz, który z drużyną objeżdżał Europę. Był on uczniem prof. Kukiela, stale zatrudnionym u Czartoryskich.

[38] Józef Grycz (1828–1929) – bibliotekarz i dyrektor Biblioteki Kórnickiej, opracował *Przepisy katalogowania w bibliotekach polskich. I. Alfabet katalogów drukowanych*, Warszawa 1934.

[39] Eugeniusz Latacz (ur. 1905 – zm. 1943) – bibliotekarz, historyk wojen kozackich, piłkarz.

Nowak z Lataczem wyśmiewali mój dialekt lwowski. Proponowali mi śpiew „Szumią jodły na gór szczycie". Żarty żartami, ale Nowak mnie dużo nauczył. Dawano mi do katalogowania francuskie książki z biblioteki księcia pana. Różne katalogowe przepisy wbijał mi do głowy. Od stycznia 1939 roku Biblioteka Jagiellońska otrzymała fundusze na przeprowadzkę do nowego gmachu przy Al. Mickiewicza. Przyjmowała więc młodych praktykantów do pracy. Otrzymałam taką „posadę" – również bezpłatną. Oddano mnie pod opiekę p. dr Adama Bara[40] do działu czasopism. Miejsca dla mnie w biurach nie było. Siedziałam w czytelni czasopism. Kazano mi przygotowywać czasopisma do oprawy. Przez moje ręce przechodziło wiele czasopism obcych, amerykańskich, zachodnioeuropejskich itd. Przy okazji porządkowania czasopism historycznych w redakcji „Kwartalnika Historycznego" rozszerzałam moją znajomość świata, oglądałam chciwie czasopisma amerykańskie, zdobywając po raz pierwszy wiedzę o różnych tamtejszych placówkach naukowych. Na razie nauki katalogowania na nic mi się nie przydały. Zapisałam się na seminarium prof. Stanisława Kota[41], który był moim idolem z powodu jego niezwykle interesujących książek m.in. z dziejów reformacji w Polsce. Jednakże zdołałam jedynie kilka razy być obecną na seminarium, bowiem profesor wyjechał wiosną za granicę i przed wybuchem wojny już nie zdążyłam się z nim spotkać. Mój udział w tych kilku zebraniach był niemrawy, wypadłam zapewne źle w oczach profesora. Jego erudycja mnie przytłaczała, odzywałam się od rzeczy i niewiele udało mi się skorzystać. Przed wyjazdem do Krakowa zgłosiłam we Lwowie prof. Kolankowskiemu chęć opracowania rozprawy doktorskiej. Zaproponował mi temat: biografia Piotra Kmity z Wiśnicza.

[40] Adam Bar (ur. 1895 – zm. 1955) – historyk literatury, bibliograf. Pracownik Biblioteki Jagiellońskiej. Autor *Słownika pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących* (III tomy wydane w latach 1936–1938).

[41] Stanisław Kot (ur. 1885 – zm. 1975) – historyk kultury, oświaty i wychowania, polityk. Profesor zwyczajny UJ (1924). Członek Stronnictwa Ludowego. W czasie II wojny światowej bliski współpracownik gen. W. Sikorskiego. W latach 1941–1942 ambasador Polski w ZSRR (w Kujbyszewie). W latach 1942–1943 minister stanu rządu polskiego na Bliskim Wschodzie. W latach 1945–1949 ambasador Polski w Rzymie, później na emigracji.

Będąc w Krakowie, udałam się do Archiwum Państwowego na poszukiwanie odpowiednich dokumentów XVI-wiecznych. Ślęczałam tam godzinami. Trudno mi było skupić się na jednym temacie. Wszystko chciałam wiedzieć, wszystko było dla mnie nowe i ciekawe. Notowałam wiele, a przecież nie było kserografów, wszystko kopiowałam ręcznie. Ten zbiór notat przepadł w zawierusze wojennej. Więcej do XVI wieku nie wracałam.

Obracałam się w kręgu przyjaciół mego przyszłego męża. W Krakowie życie towarzyskie toczyło się w kawiarniach. W „Esplanadzie" na rogu ul. Karmelickiej spotykało się eleganckie towarzystwo młodzieży. Również w kawiarni artystów na Łobzowskiej było centrum spotkań. Z czasów lwowskich nie znałam życia kawiarnianego. Byłam wychowywana dość surowo, pruderyjnie. Rodzice uważali, że młoda panienka nie powinna bywać w kawiarniach. Tu w Krakowie już mnie nie obowiązywały rygory domowe.

Bywałam również w domu pp. Kłodzińskich. Wspomniałam wyżej o przyjaźni Staszka z Andrzejem Kłodzińskim. PP. Kłodzińscy mieli kamienicę przy ul. Szpitalnej, obszerne mieszkanie. Dr Adam Kłodziński[42] należał do wybitniejszych pedagogów w Krakowie, nauczał w gimnazjum św. Anny, renomowanej szkole z tradycjami. Sam również miał ambicje naukowe, był autorem szeregu rozprawek z dziejów średniowiecza. Urocze dwie córki pp. Kłodzińskich poznałam bliżej w czasie okupacji.

Staszek pisywał recenzje do „Nowych Książek", terminował w Prokuratorii Generalnej, pisywał też do krakowskiego „Czasu" (np. nekrolog O. Balzera). Mnie również pomógł w publikowaniu artykułów. Zresztą ogromnie się wstydziłam, że ojciec łoży na moje utrzymanie i starałam się zarobić w dostępny mi sposób. Kraków ma piękne okolice, wiosną 1939 roku chodziliśmy piechotą do Tyńca, wzdłuż Rudawy na dalekie spacery, także do Bronowic. Zwiedzałam Krzeszowice, Czerną i in. Najczęściej chadzaliśmy na Sowiniec. Na szczycie kopca była kawiarnia, widok na Wisłę i okolice doprawdy wspaniałe. Pamiętam incydent, gdy siedliśmy na ławce na Błoniach Krakowskich i jakiś

[42] Adam Kłodziński (ur. 1877 – zm. 1945) – historyk mediewista, teoretyk dydaktyki historii. Nauczyciel w gimnazjach Krakowa, Cieszyna, Jarosławia. Wykładowca dydaktyki historii w Studium Pedagogicznym UJ (od 1922 r.).

antysemita rozkazał Staszkowi opuścić to miejsce. Żydom wstęp wzbroniony! Odeszliśmy bez protestu, bo jakże tu można było wszczynać awanturę. Był to już bliski przedsmak okupacji.

Mój luby zaprowadził mnie na bal prasy, najelegantszy bal w Krakowie. Sama za własne pieniądze kupiłam sobie piękną czarną suknię z tafty. Na balu spotkaliśmy Bogusia Leśnodorskiego, razem zasiedliśmy przy stole, a potem tańczyliśmy lambet woka. Staszek kupił mi ogromny balon. Byłam zeń dumna i cieszyłam się jak dziecko. To wszystko było dla mnie nowe. Wychodziłam spod czujnego oka ojca, zaczynałam życie na własną odpowiedzialność i miało ono dla mnie niesłychanie dużo uroku.

W Bibliotece Jagiellońskiej pracowało mi się dobrze z p. Marysią Sarnicką pod kierunkiem dr Bara. Obok czytelni znajdowała się czytelnia profesorska. Tam przyglądałam się różnym znakomitościom Krakowa i innych miast Polski. Naraziłam się, na skutek nieznajomości profesorów krakowskich, na przykry incydent. Mianowicie katalog był w porze obiadowej (być może) od 13–15 zamknięty dla czytelników. W tej porze pracowałam w katalogu, coś tam sprawdzając i zauważyłam jakiegoś pana kręcącego się między pudłami katalogowymi. Uważałam, że jako urzędnik mam obowiązek zapytać, co tu robi i skąd się wziął. Natknęłam się na prof. Ludwika Piotrowicza[43], który ogromnie się obraził, że jakaś smarkata zwraca mu uwagę, poszedł do dyrektora Kuntze[44] naskarżyć na obyczaje urzędników. Nie wiem, co mu powiedział dyrektor. Mnie wezwał i zwrócił uwagę, iż profesorowie mogą zawsze korzystać z katalogów. W ten sposób poznałam potęgę i powagę uczonych Jagiellonki[45], którym wolno omijać biblioteczne przepisy.

[43] Ludwik Piotrowicz (ur. 1886 – zm. 1957) – historyk, badacz dziejów starożytnych. Studia odbył w Krakowie, Berlinie i Paryżu. Profesor UJ i Uniwersytetu Poznańskiego.

[44] Edward Kuntze (ur. 1880 Lwów – zm. 1950 Kraków) – bibliotekarz, historyk XVII wieku, edytor źródeł. W latach 1919–1926 dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Poznańskiego. W latach 1926–1947 dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej.

[45] „Jagiellonka" – potoczna nazwa Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Śreniowska używa jej w odniesieniu do Uniwersytetu.

Ojciec przywiózłszy mnie do Krakowa, wynajął mi pokój umeblowany z pełnym wyżywieniem przy ul. Krowoderskiej. Wiosną 1939 roku zmuszona byłam szukać innego lokum, bowiem w mieszkaniu, a szczególnie w łazience roiło się od czarnych karakanów. Moje prośby, by je truć arszenikiem, pozostawały bez echa. Wyprowadziłam się więc na ul. Sobieskiego do domu hr. Raczyńskich. Tam również miałam pokój z utrzymaniem za 120 zł miesięcznie, ale już bez karakanów. Córka pp. Raczyńskich pracowała – o ile pamiętam – w banku. Była to ogromnie rozflirtowana panna, pani hrabina pielęgnowała arystokratyczne fumy. Mnie to zupełnie nie interesowało. Był to dla mnie świat obcy, raczej źle oceniany. Zamykałam się w moim pokoju, tonąc w lekturach, ranki spędzałam w Bibliotece, popołudnia nierzadko w Archiwum, wieczory z moim lubym i jego towarzystwem.

On to prowadzał mnie na wystawy obrazów, do teatru, kina. Wiosną byłam obecna w dużej sali Collegium Novum (sala Kopernika) na doktoracie Staszka. Jego rodzice nie przyjechali, przysłali mu jedynie telegram z serdecznościami. Jak przez sen sobie przypominam, że nie chcieli „kompromitować" ukochanego syna swą obecnością. Weisblum na doktoracie Śreniowskiego. Smutne to i bardzo tragiczne. Starałam się nadrobić brak bliskich na sali. Publicznie obcałowałam mego lubego. Może go to kompromitowało? Bo niby kimże byłam? Kochanką? Siostrą? Jego koledzy nie gorszyli się moim zachowaniem, choć Kraków był dość purytański. Zresztą nic a nic mnie nie interesowała czyjaś opinia. Szłam własną drogą, spełniałam potrzeby mego serca.

P. Marysia Friedbergowa lubiła żartować ze mną, m.in. na temat „niepoważnego" stosunku do życia. Powiedziałam jej, że dążenie do założenia własnej rodziny wydaje mi się jak najbardziej poważne i nie widzę w tym żadnej lekkomyślności. P. Tyszkowski przyjeżdżał do Krakowa z interesami do filii Wydawnictwa Ossolineum. Zawsze spotykaliśmy się podczas jego pobytów. Tyle sympatii i życzliwości zaznałam od mego nauczyciela, tyle spraw mnie z nim wiązało. Pełnił rolę nieco ojcowską w stosunku do mnie. Byłam doń naprawdę przywiązana.

Wspomnę jeszcze o awanturze w Bibliotece. Otóż na konto przenosin, gdy trzeba było np. sporządzać katalog działowy, przyjęto kilka osób poleconych i opłacanych z Funduszu Pracy,

bez kwalifikacji, bez ukończonych studiów. Ja pracowałam już kilka miesięcy bezpłatnie i poczułam się ogromnie skrzywdzona. Nie namyślając się wiele, poszłam do dyrektora Kuntze – który przecież był nie tylko eleganckim panem, ale powagą naukową (wydawca źródeł) – i zrobiłam mu awanturę, powiedziałam, że musi istnieć jakaś sprawiedliwość społeczna, że nie chcę być na utrzymaniu ojca i żądam zapłaty za moją pracę. Nawet się popłakałam ze złości.

Gdy wyleciałam z gabinetu dyrektora i nieco ochłonęłam, byłam już przygotowana, że mnie wyrzucą. Za kilka dni wezwał mnie p. dyr. Kuntze, zawiadamiając, że otrzymam miesięczne wynagrodzenie 120 zł. Promieniałam z radości, omal nie ucałowałam dyrektora. Przytaczam ten fakt, by przypomnieć o eleganckich obyczajach uczonych-dyrektorów. Potraktowano mnie zapewne z rozbawieniem. Dałam dowód energii, chęci walki o moje prawa, odwagi, ryzyka. Kochany dyrektorze! Jeszcze w czasie okupacji wsparłeś mnie odważnie, ukazałeś swoją niezwykłą szlachetność i klasę.

Nadchodziły miesiące wakacyjne. Mnie się urlop nie należał. Nieraz pomagałam przy skontrum w magazynie. Pięknie tam było. Światło sączyło się poprzez kolorowe witraże. Był to bowiem starodawny, średniowieczny budynek vis a vis kościoła św. Anny, przy ul. tejże świętej. Chodzenie po wewnętrznych krużgankach, ileż tam było czaru!

Do p. Bara przychodził na pogwarki Adam Polewka[46]. Intrygująca to była postać. Znany literat, okropna gęba, pewnie moczymorda, miał opinię komunisty. W Barbakanie wystawiano na wolnym powietrzu jego sztukę pt. „Igrce w gród walą". Byliśmy ze Staszkiem zachwyceni wystawą i grą. Oglądaliśmy też na podwórzu Biblioteki wśród krużganków jakiś spektakl – którego tytułu nie pamiętam – w kostiumach średniowiecznych. Chodziłam w czerwcu ze Staszkiem na pokaz sztucznych ogni nad Wisłą, puszczanie wianków. Staszek dostał urlop wakacyjny i pojechał do Stryja. Ja zostałam w pracy, ale – mimo że mi się urlop nie należał – poprosiłam dr Bara, czy mogłabym skorzy-

[46] Adam Polewka (ur. 1903 – zm. 1956) – literat, publicysta, związany z lewicą działacz polityczny.

stać z urlopu. Zgodził się na sierpień. Wyjechałam więc do Lwowa, a stamtąd do świeżo zakupionego przez mego ojca domu w Zimnej Wodzie. Byliśmy tam całą rodziną. Moja siostra mężatka miała już kilkumiesięcznego synka. Staszek odwiedził mnie w Zimnej Wodzie, a potem zaraz musiał wracać do Krakowa, bo mu się urlop kończył. No i w tej sytuacji znaleźliśmy się 1 września. Spadły bomby niemieckie na lotnisko wojskowe w Skniłowie. Jeszcze nie wierzyliśmy w wojnę, mimo napiętej sytuacji, poboru [mobilizacji][47] do wojska itd. Jednak ocknęliśmy się szybko ze złudzeń. Wojna stała się rzeczywistością.

Opuściliśmy Zimną Wodę, powróciliśmy do naszego mieszkania we Lwowie przy ul. Grochowskiej. Do Krakowa nie miałam jak i po co wracać. Armia niemiecka szybko posuwała się na wschód, przed nią masy uchodźców. Biuro Staszka się ewakuowało, jednak po 2–3 dniach, wobec bombardowania torów kolejowych, dworców, pasażerowie pociągu ewakuacyjnego rozbiegli się, by dalej pieszo kontynuować marsz na wschód. Staszek również wędrował, zmierzając do Lwowa. Po drodze oskarżono go o współpracę z wrogiem; rozjuszony tłum porwał go, prowadząc do władz wojskowych. Jakiś rozsądny oficer, po wylegitymowaniu, kazał mu odejść wolno. Staszek zażądał eskorty wojskowej, bowiem rozjuszony tłum stał pod budynkiem wojskowym. Uzyskał eskortę i bezpiecznie odprowadzono go do rogatki miasta. Ten wypadek, szczęśliwie zakończony, nie należał wówczas do rzadkości. Panowała histeria, wszędzie węszono szpiegostwo, zdradę, łapano często niewinnych ludzi, żądano sądów.

Wracam jednak do Lwowa. Mieszkaliśmy – jak wspomniałam – przy ul. Grochowskiej. Była ona położona na krańcach miasta w pobliżu Wólki, gdzie rozmieszczono polską artylerię. Za domem znajdowały się tereny niezabudowane, dość stromo spadające w dół. Była to zachodnia część miasta i tam właśnie dotarli Niemcy. Mieszkaliśmy w willi jednopiętrowej na parterze. Górę zajmowała samotna pani. Wszyscy mieszkańcy domu zeszli do piwnicy, bowiem walka toczyła się wokół domu. Zajmowali tę willę Niemcy, odbijali ją Polacy. Z Wólki walono z dział w domek,

[47] Dopisek odręczny K. Śreniowskiej, *Moje życie*, maszynopis, s. 19.

gdy zdobywali go Niemcy. Sadza z trafionego komina obsypywała nasze pomieszczenia piwniczne. Ewa z małym 6-miesięcznym Antkiem nakrywała swym ciałem dziecko. Niemcy wpadali też do naszej piwnicy, kazali prowadzić się do mieszkania, w obawie, że tam zaczaili się Polacy. Eskortowałam taką rewizję, bowiem znałam dość dobrze niemiecki i mogłam się porozumieć. Kłuli bagnetami dywany (kilimy na ścianach), by się przekonać, czy nie czyha tam wróg. Ustawili w drzwiach domu karabin maszynowy, walili do naszych chłopców na pole. Rannym nie byliśmy w stanie pomóc wśród gęstego ostrzału. Wieczorem ustawały walki. Wtedy wyprawiałam się z ojcem po wodę do pobliskiej studni. Wodociągi nie działały. Jedzenia mieliśmy niewiele, gotować nie mieliśmy gdzie i na czym. W mieszkaniu nie było bezpiecznie wobec ustawicznej strzelaniny na ulicy. Tak bytowaliśmy do 17 września. Nagle Niemcy zniknęli, zapanowała złowroga cisza. Po kilku godzinach dotarli z centrum miasta ludzie, przynosząc wieść, że na rogatce łyczakowskiej (czyli od wschodu) stoją wojska radzieckie. Wieść zrobiła piorunujące wrażenie. Nie mogliśmy z razu ogarnąć ogromu klęski, tym bardziej że byliśmy od 1 IX odcięci od wszelkich wiadomości z pola walki. Radia nie mieliśmy.

Nazajutrz poszłam z ojcem do śródmieścia. Trafiliśmy na ul. Sykstuskiej na wkroczenie Armii Czerwonej. Staliśmy z przechodniami na chodniku, patrząc przez łzy na maszerujących jezdnią krasnoarmiejców. Szła biedota. Niekiedy karabiny na sznurkach, strzępiaste dołem płaszcze mundurowe, budionnówki na głowach. Armia okupacyjna wkracza do naszego ukochanego miasta. Nie płakaliśmy. Łzy same płynęły po policzkach mieszkańców Lwowa. Nie mogliśmy jeszcze objąć rozmiarów klęski. Szok był zbyt wielki. Propaganda mocarstwowości przemieniła się w rzeczywistość zbyt upokarzającą.

Jak reagowałam na wypadki? Haniebna zdrada sanacji, ucieczka władz, a przede wszystkim wodza naczelnego Rydza Śmigłego[48], który zostawił armię na pastwę wroga, a sam salwo-

[48] Edward Rydz-Śmigły (ur. 1886 jako E. Rydz – zm. 1941) – wojskowy, polityk. W roku 1935 Generalny Inspektor Sił Zbrojnych. Generał broni i Marszałek Polski (1936 r.). Naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych w czasie wojny obronnej 1939 roku.

wał się ucieczką – uznaliśmy to za hańbę. To major Sucharski[49] ratował honor wojska, sam na czele obrońców Westerplatte udając się do niewoli. Mit sanacji upadł. Dla mnie skończyła się jakaś beznadzieja, szczególnie młodych, młodej inteligencji (ale nie tylko) niepotrzebnej, której mówiło się, że jest jej za wiele, że nie ma dla niej miejsc. Moje doświadczenia z wizytami w barakach dla bezrobotnych zostawiły ślad w świadomości. Sanacja ośmieszyła się. Z drugiej jednakże strony nowy rozbiór Polski przerażał. Wyobrażałam sobie, że to nowe sto lat niewoli. Pociechą dla nas była trwająca wojna i jej – być może dla nas – szczęśliwe losy. Z jednej strony rozpacz – nie ma Polski, klęska. Z drugiej – koniec sanacji wyłonił coś nowego, pewnie lepszy los.

W każdym razie to, co się stało, było dla nas szokiem. Trudno było otrząsnąć się z klęski. Władza radziecka posługiwała się propagandą trafiającą do naiwnych. Ja do nich należałam, choć nie akceptowałam nachalnego chamstwa tej propagandy. Obraźliwe dla Polaków slogany propagandowe na temat „pańskiej" Polski, kłamliwa pogarda dla jej osiągnięć w dwudziestoleciu, nazwanie Piłsudskiego „socjalzdrajcą" (pamiętny wiec pod Teatrem Wielkim, gdzie przemawiał Jerzy Borejsza[50]) były bolesną lekcją, a my czuliśmy się bezsilni. Rodzimi komuniści rzucali nam w twarz słowa o niepolskim Lwowie (Romana Granas, szwagierka Irena, komunistka Schnejberg), o zaborczych zapędach w stosunku do Ukrainy, o represyjnych formach dławienia niepodległościowych aspiracji Ukraińców – wydało nam się to krzywdzące.

Wychowani w kulcie obrony Lwowa, w przekonaniu, że to odwieczna polska reduta kultury na wschodzie – cierpieliśmy ogromnie. Ukraińcy lwowscy nie byli zachwyceni „wyzwoleniem". Oni dążyli do Ukrainy, ale nie radzieckiej. Chcieli wolnej Ukrainy, państwa demokratycznego. Zbliżało to częściowo patriotów ukraińskich do Polaków.

---

[49] Henryk Sucharski (ur. 1898 – zm. 1946) – major piechoty Wojska Polskiego. Komendant Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte we wrześniu 1939 r.

[50] Jerzy Borejsza (ur. 1905 jako Benjamin Goldberg – zm. 1952) – pisarz, publicysta, redaktor, działacz polityczny i kulturalny. Założyciel Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Członek KPP, następnie PZPR.

Nie umiem powiedzieć, jak przyjmowały zaistniałą sytuację masy biedoty żydowskiej. Być może dały się pozyskać hasłami internacjonalizmu. Mój kontakt z Żydami ograniczał się do osób spolonizowanych pochodzenia żydowskiego, które odczuwały sytuację podobnie jak ogół Polaków. Lwów zalała fala uchodźców z centralnej i zachodniej Polski. Przez główne ulice miasta przewalał się tłum bezdomnych, zmęczonych pieszą wędrówką, zmizerowanych ludzi. Na ul. Legionów, Akademickiej trudno się było przecisnąć. Kawiarnie, maleńkie kafejki zapchane głodnym tłumem. Lwowiacy odnajmowali pokoje, ludzie szukali dachu nad głową. Mieszkania zagęszczały się przybyszami.

Rodzinom urzędniczym wypłacano trzymiesięczną pensję, więc w pierwszych miesiącach posiadaliśmy pewne zasoby finansowe. Jednak zbliżała się zima i trzeba było zawczasu pomyśleć o tym, co dalej. Wiele rodzin i instytucji nie miało zapasów węgla. Ceny żywności natychmiast podskoczyły, wykupywano zapasy towarów. Cena chleba ogromnie wzrosła i był jego niedostatek na rynku. Chodziłam z ojcem na plac Krakowski kupować chleb po cenach paskarskich. Władza wydała zarządzenie, by w określonym dniu sędziowie stawili się w sądzie przy ul. Batorego. Ojciec, który miał doświadczenie z okresu 1917 roku, i był świadkiem rewolucyjnej sytuacji w Rosji – nie miał zamiaru zgłaszać się na rozkaz okupacyjnej władzy. Chodził do swych kolegów sędziów namawiając, by się nie podporządkowali zarządzeniom. Niestety, ludzie nie posłuchali. Wszystkich zgromadzonych natychmiast załadowano na ciężarówki i wywieziono w głąb Rosji. Ojciec był w trudnej sytuacji. Jeszcze podczas pobytu w Stryju uczestniczył w procesach komunistów, skazując ich na kary więzienia. Obecnie mógł zostać łatwo rozpoznany przez kogoś z podsądnych. Zgłosił się więc do Zakładu Oczyszczania Miasta jako czarno roboczy. Uzyskał zaświadczenie pracy, które nieco chroniło przed ewentualnym aresztowaniem. W ten sposób „dekował się". To ratowało go później od wywózki na Sybir.

W pierwszych dniach po wkroczeniu bolszewików do Lwowa dotarł tu również Staszek. Przebył pieszo drogę z Krakowa, jakiś czas krył się na strychu w Rawie Ruskiej, bowiem Niemcy uważali go za dezertera z wojska i chcieli zabrać do niewoli.

Jednak udało mu się uciec z konwoju. Ze swego strychu w Rawie obserwował walkę na przedmieściach Lwowa z Niemcami, rzadkie bombardowania miasta. Przybył sczerniały, głodny. Po kilku dniach pobytu u wujostwa wyjechał do Stryja, by przywitać się z rodzicami.

Wszyscy szukaliśmy pracy. Braki żywnościowe uzupełnialiśmy wędrując do okolicznych wsi, gdzie za odzież, papierosy nabywaliśmy ziemniaki i inne produkty: kaszę, mąkę. Wracaliśmy z plecakami pieszo do domu.

Władza radziecka wkrótce uruchomiła szkoły i uniwersytet. Staszek zgłosił się do prof. Dąbkowskiego, uzyskał asystenturę. Ja się zainteresowałam sytuacją w Ossolineum. W czasie walk o Lwów zmarł zasłużony dyrektor Biernacki[51]. Jerzy Borejsza wystarał się o posadę dyrektora Ossolineum. Nie było to w tamtej sytuacji złe rozwiązanie. Komunista, człowiek o wielkich ambicjach, pragnął roztoczyć mecenat nad placówką kultury. Nie wiem, jakie posiadał wpływy i kontakty partyjno-policyjne. Uzyskał fundusze na przyjęcie do pracy wielu osób, szczególnie spośród tzw. „bieżeńców", profesorów z Warszawy, Krakowa, literatów i zapełnił nimi biuro ossolińskie. Ponieważ książę kurator Lubomirski[52] pozostał po stronie niemieckiej, a zajmował połowę budynku jako swe prywatne mieszkanie, teraz zajęto komnaty księcia pana ku mej wielkiej satysfakcji! Uważałam bowiem, że zajmuje te apartamenty bezprawnie, że funkcja kuratora nie upoważnia go do traktowania budynku Biblioteki jako prywatnej własności. Wydawało mi się słuszne oddanie do dyspozycji całego budynku pracownikom oraz powiększenie pomieszczeń na zbiory. Była tam przecież nie tylko biblioteka, zbiory archiwalne, ale również zbiory muzealne. Wydawnictwo, drukarnia mieściły się po drugiej stronie ulicy.

[51] Winno być: Bernacki, Ludwik Bernacki (ur. 1882 – zm. 1939) – historyk literatury i teatru, bibliograf, edytor, bibliotekarz. Studia odbył we Lwowie. W latach 1918–1939 dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

[52] Ks. Andrzej Lubomirski (ur. 1862 – zm. 1953) – konserwatywny działacz gospodarczy, społeczny. Członek austriackiej Izby Panów, kurator Ossolineum we Lwowie. Prezes Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Po wojnie na emigracji.

Za namową p. Tyszkowskiego złożyłam papiery z prośbą o przyjęcie mnie do pracy. Borejsza przyjmował przede wszystkim uczonych o lewicowej orientacji. W mojej sprawie – jak mi sam później mówił – zasięgał opinii osób z kręgu Haliny Górskiej. Ponoć Marta Steiger wystawiła mi niezłą opinię. W ten sposób spełniły się moje marzenia – zostałam przyjęta do pracy w Oddziale Rękopisów. Mimo iż zamieściłam w paryskiej „Kulturze" („Zeszyty Historyczne", Paryż 1993, zeszyt 105) wspomnienie o pracy w Ossolineum, chcę raz jeszcze wspomnieć o tym najszczęśliwszym okresie mej pracy. Czułam się tu jak u siebie w domu. Pan Tyszkowski – kustosz Oddziału Rękopisów – wprowadził mnie w niezwykle pasjonującą pracę. Był to szczyt moich marzeń i aspiracji. Porządkować zbiory rękopiśmienne.

Była zima 1939/40 roku. Bardzo sroga zima! Budynek był nieopalany z braku węgla. Siedzieliśmy w płaszczach, omal nie w czapkach. Ponieważ zabrakło dla mnie miejsca w właściwych pomieszczeniach działu rękopisów, posadzono mnie w introligatorni. Tam został zatrudniony wybitny artysta introligator p. Aleksander Semkowicz. Jemu zlecono konserwację starodruków, a także najcenniejszych rękopisów. W obliczu wojny zdeponowano wiele zbiorów prywatnych, m.in. Tarnowskich z Dzikowa. Bolszewicy nie respektowali depozytów. Uznali je za swoją własność, jako że trzeba było odebrać możnym panom ich majątek. Siedziałam więc w introligatorni, porządkując zbiory Edwarda Pawłowicza, dawnego kustosza Ossolineum. Robiłam to bez wskazówek, nieumiejętnie, jednak gorliwie i z zapałem. P. Semkowicz był uroczym panem. Wesoły, kpiarz, opowiadał anegdoty. Pomagał mu w pracy rzemieślnik introligator nazwiskiem Safal. Z Semkowiczem zawarłam rychło przyjaźń. Był to inteligent wysokiej klasy, choć nie posiadał dyplomu uniwersyteckiego. Pochodził z rodziny profesorskiej, ale – jak mi mówił – nie chciał się uczyć. Parał się introligatorką, odbył młodzieńcze „Wanderjahre" w Niemczech, we Lwowie posiadał bogaty warsztat introligatorski, gdzie obsługiwał zamożną klientelę, zasobną w starodruki, cenne pamiątki itp. Bolszewicy od razu odebrali mu zakład wraz z maszynami. Zatrudniono go więc w Ossolineum. Siedząc we wspólnym pomieszczeniu, byłam świadkiem, a czasem po-

mocnikiem przy konserwacji rękopisów Słowackiego; wydobyto ze starych skrzyń rękopis „Pana Tadeusza" i ten właśnie rękopis oprawiał p. Semkowicz. Rola moja polegała na przytrzymywaniu kart, pomocy przy złoceniu brzegów itp. Semkowicz dokonywał cudów. Np. umiał grubą kartę starodruku rozczepić bez uszkodzenia, poczem naklejał rozczepione karty na tekturę czy inny twardszy materiał i w ten sposób chronił od dalszego niszczenia. Przeważnie kleił pszennym klajstrem, który na maszynce elektrycznej gotował p. Safal. Maszynka nieco ogrzewała zimą nasze pomieszczenie. Nadto radziliśmy sobie pijąc wódkę, by przetrwać mrozy. Safal niekiedy spędzał niedziele popijając niezgorzej, a w poniedziałek nie przychodził do pracy, by wytrzeźwieć i wyleczyć kaca. Za to potrącano mu z poborów nieco grosza, ale widocznie się tym nie przejmował.

P. Semkowicz był czarodziejem konserwacji zabytków. Ogromnie się napocił, gdy mu kazano konserwować „Prawdę", gdzie pisywał Lenin. Rozdwajanie płacht „Prawdy" to był ekstra kunszt. Byłam świadkiem tych cudów. Z p. Semkowiczem zaprzyjaźniłam się serdecznie. Zaprosił mnie raz do swojej willi, gdzie posiadał bezcenny zbiór mickiewiczianów. Kolekcjonował wydania dzieł Mickiewicza i miał ich zapewne komplet. Wszystko pięknie, artystycznie oprawione. Także klasycy literatury polskiej stali tam w szeregu. Dobierał ornamenty złocone do „ducha" poszczególnych książek. Doprawdy nigdy w życiu nie widziałam tak artystycznej kolekcji. Co się z nią stało – nie wiem. Być może zmuszono p. Semkowicza do pozostawienia tych skarbów we Lwowie. Tzw. repatriantom nie zezwalano na zabieranie książek. Po wojnie spotkałam się przelotnie z p. Semkowiczem w Warszawie. Nie mieliśmy okazji do dłuższej rozmowy.

P. Tyszkowski zachorował. Odżyła jego młodzieńcza gruźlica, przestał przychodzić do pracy. Jego pokoik, znany mi od lat, oddano do pracy prof. Feldmanowi[53] i Jerzemu Kreczmarowi[54], zatrudnionym w Oddziale Rękopisów. Mnie tam również

[53] Józef Feldman (ur. 1899 – zm. 1946) – historyk dziejów nowożytnych Polski i powszechnych. Studia odbył w Krakowie. Profesor UJ. Wykładał na Sorbonie (w 1934 r.).

[54] Jerzy Kreczmar (ur. 1902 – zm. 1985) – reżyser, eseista, pedagog, teatrolog.

wciśnięto w kąt pod oknem i przydzielono różne zbiory do opracowania. Oddziałem kierował w zastępstwie p. Tyszkowskiego prof. Stefan Inglot[55]. Były to pracowite chwile, ale atmosfera przyjazna, życzliwa, koleżeńska ułatwiała nam znosić trudne wojenne warunki. Ustawiczne zagrożenie w obliczu wywózek na Sybir, koszmarne noce, gdy enkawudziści wkraczali do domów po swoje ofiary, niedojadanie, znikanie kolegów-literatów (Peipera[56]), wieści z kół literackich (aresztowanie Broniewskiego[57], Wata[58] i in.), groza za oknami naszej placówki pracy, wszystko to razem dało się przetrwać wobec wzajemnej życzliwości i pomocy.

Zetknięcie z wybitnymi intelektualistami, jak np. Stanisławem Ossowskim[59], Józefem Chałasińskim[60], Józefem Feldmanem, Romanem Grodeckim[61], Jerzym Kreczmarem, Romanem Lutmanem[62] i in., o których pisałam w moim artykule – otwierało przede mną nowe światy. W czasie długich godzin urzędowania schodzi-

[55] Stefan Inglot (ur. 1902 – zm. 1994) – historyk, badacz dziejów społecznych i gospodarczych. Związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie i Biblioteką Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Po zakończeniu II wojny światowej wykładowca UJ i Uniwersytetu Wrocławskiego.

[56] Tadeusz Peiper (ur. 1891 – zm. 1969) – poeta, krytyk literacki, założyciel i redaktor naczelny pisma „Zwrotnica" – organu prasowego Awangardy Krakowskiej.

[57] Władysław Broniewski (ur. 1897 – zm. 1962) – poeta, tłumacz.

[58] Aleksander Wat (ur. 1900 – zm. 1967) – poeta, prozaik, tłumacz.

[59] Stanisław Ossowski (ur. 1897 – zm. 1963) – socjolog, metodolog nauk społecznych, teoretyk kultury. Profesor Uniwersytetów Łódzkiego i Warszawskiego.

[60] Józef Chałasiński (ur. 1904 – zm. 1979) – socjolog. Związany naukowo z Uniwersytetem Warszawskim, Wolną Wszechnicą Polską (kierownik Katedry Socjologii). Po zakończeniu II wojny światowej współorganizator Uniwersytetu Łódzkiego, następnie profesor tej uczelni i rektor w latach 1949–1952. W latach 1956–1958 kierownik Zakładu Socjologii i Historii Kultury PAN. Od 1966 r. ponownie wykładał na UW.

[61] Roman Grodecki (ur. 1889 – zm. 1964) – historyk mediewista, badacz dziejów społecznych i gospodarczych. Związany z Archiwum Akt Dawnych w Krakowie, UJ (profesor zwyczajny w 1929 r.). Członek czynny PAU (1946). Redaktor naczelny „Kwartalnika Historycznego" (w latach 1945–1947).

[62] Roman Lutman (ur. 1897 – zm. 1973) – historyk. Założyciel i dyrektor Instytutu Śląskiego w Katowicach (w 1934 r.). Po wojnie założył Instytut Śląski w Opolu, którego został dyrektorem. Związany z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu.

li się ci panowie na dyskusje na temat teatru wojny, planów powojennych reorganizacji studiów uniwersyteckich, na temat przeczytanych książek itp. Uczestniczyłam w tych konwentyklach, chłonąc atmosferę wybitnych intelektów, ucząc się wiele od nich. Czułam się zaszczycona, że mnie akceptują mimo mego młodego wieku i niedoświadczenia (niedouczenia).

Praca w Ossolineum to najpiękniejsza przygoda mego życia. Pragnęłam wyjść poza opłotki mego rodzinnego miasta, a tu świat sam przyszedł do moich opłotków. Pracowałam z zapałem i z nie mniejszym zapałem poznawałam wybitnych intelektualistów. Traktowali mnie jak młodszą koleżankę, nie dając poznać własnej wyższości. Doprawdy, takiego traktowania można doznać jedynie od wielkich ludzi, nienadętych pychą, skoro i tak posiedli mądrość (w sensie naukowym i życiowym). Na skutek zarządzeń dyrektora (już nie Borejszy, którego z dnia na dzień usunięto, o czym piszę we wspomnianym artykule w „Kulturze" paryskiej), Oddział Rękopisów przeniesiono do lewego skrzydła budynku. Tam mieliśmy więcej miejsca, obszerniejsze pomieszczenia biurowe. Zresztą opracowywanie rękopisów wymaga nieraz rozłożenia papierów na dużym stole. Ponieważ byłam w Oddziale jedyną osobą piszącą biegle na maszynie (nb. mała maszynka Portable, zabrana z apartamentów księcia pana Lubomirskiego), do mnie należało też przepisywanie na maszynie opracowanych przez kolegów zbiorów rękopiśmiennych. Zanim poszły do oprawy, opatrywano je wstępem z charakterystyką zbioru. Pisałam też na maszynie sprawozdania z pracy Oddziału dla dyrekcji Zakładu. Trzeba je było pisać po ukraińsku. P. Inglot sporządzał sprawozdanie, tłumaczył je na ukraiński dr Tadeusz Lutman[63], no i na końcu ja wystukiwałam na maszynie z ukraińskimi czcionkami. Szło mi to niezdarnie. Nieraz przez cały ranek mozolnie stukałam. Nie chcieliśmy pomocy kolegi Ukraińca, woleliśmy być samowystarczalni. Moją ukochaną maszynę zabrał ks. Lubomirski, gdy przyszli Niemcy i on mógł powrócić pod ich osłoną do apartamentów ossolińskich.

[63] Tadeusz Eugeniusz Lutman (ur. 1903 – zm. 1945) – historyk, bibliotekarz. Związany z lwowskim Zakładem Narodowym im. Ossolińskich. Brat Romana Lutmana.

Chcę jeszcze wspomnieć o atmosferze panującej w mieście. Wiadomo, że następowały fale wywózek na Sybir. Różne kategorie ludności były dla władz niewygodne, ale nigdy nie wiedzieliśmy, na kogo padnie wyrok. Snuliśmy na ten temat różne hipotezy, szczególnie p. Kreczmar był od tychże specjalistą. Nie podobaliśmy się władzom wszyscy. Komuniści, bo ich oskarżano o trockizm, rodziny wojskowych, bo to białogwardziści, wrogowie od 1920 roku, sędziowie, bo służyli polskim władzom, policjanci z tegoż powodu itd. Nadto właściciele sklepów, rzemieślnicy i w ogóle niemal wszyscy. Przeszkadzali także tzw. bieżeńcy, czyli uchodźcy na Wschód w 1939 roku. Jeszcze względnie bezpieczni byli nauczyciele, może trochę świat artystyczny. Poza tym nikt. Byliśmy „winni" służby naszemu państwu, służby Polsce. Ponoć powinniśmy jedynie sławić Lenina i rewolucję proletariacką. Ten absurd tkwił mocno w oficjalnej propagandzie. Oczywiście także kościoły i ich słudzy – to najgorsza kategoria „winnych".

Nocne wywózki powodowały, że mój przyszły mąż, który mieszkał u wujostwa na pl. Dąbrowskiego (niedaleko Ossolineum), po nocy nieprzespanej na skutek wywózek i strachu (czy przyjdą?), biegł na przystanek tramwajowy, oczekując mego przyjazdu do pracy. Witaliśmy się jak gdyby po długim niewidzeniu. Pełni zdenerwowania i równocześnie radości padaliśmy sobie w objęcia na środku ulicy, szczęśliwi, że koszmarna noc minęła i możemy się spotkać. Trudne do opisania są owe chwile. Świadczą o niepewności losu, o wiecznym zagrożeniu.

Zimą zabrali pp. Bobinów, mieszkających niedaleko mieszkania moich rodziców. Ich syn zdołał uciec. Przyczyna zesłania Bobinów była niejasna. Byli to starsi ludzie na emeryturze. Być może ktoś doniósł, że p. Bobin należał swego czasu (w latach 20.) do działaczy Narodowej Demokracji, a może szło o ich najstarszego syna, który służył w marynarce i przebywał za granicą. Nie wiadomo i nic się nie wyjaśniło. Oboje zmarli z głodu w Kazachstanie. Po tej tragedii moi rodzice też czuli się zagrożeni.

Zaświadczenie o pracy ojca było zapewne niewystarczające. W związku z tym matka zaczęła nalegać na niego, by zezwolił na nasz ślub. Ojciec upierał się, że woli mieć jeszcze przy sobie

córkę, że – jak wierzył – wojna się szybko skończy i ojciec będzie w stanie wyposażyć mnie. Moja młodzieńcza lekkomyślność prowadziła do prześmiewów (w duchu), że ojciec pragnie koniecznie uszczęśliwić mnie balią do prania, piernatami etc. Przedmiotami w zasobnym mieszczańskim domu. A ja nie chciałam mieć mieszczańskiego domu, ani owej stabilizacji tak przeze mnie pogardzanej. Nie tylko matka, ale przyjaciele próbowali przekonać ojca, że gdy będę osobno, a ich wywiozą, będę w stanie wysyłać paczki żywnościowe, by nie zginęli z głodu. Rodzice woleli też wartościowsze rzeczy oddać na przechowanie u mnie, bym miała co spieniężyć.

Tak więc doszło do naszego ślubu. Obowiązywały polskie przepisy w tym względzie, jeszcze nie było urzędów stanu cywilnego. Ślub odbył się 21 kwietnia 1940 roku w kościele Marii Magdaleny (tam również przed laty ślub brali moi rodzice). O żadnych strojach ślubnych nie było mowy (z czego byłam niezmiernie rada, wszelkie przebieranki okolicznościowe miałam w pogardzie!). Goście weselni to najbliższa rodzina ze strony Staszka i mojej. Nie pamiętam dokładnie, czy aby jednym z dań weselnych nie była pieczeń z koniny. Ślub był dla mnie ogromnie wzruszający. Atmosfera (groźba) wywózek, rozstania z rodziną, wzruszająca przemowa księdza itd. Płakałam łzami wzruszenia i radości. Był to więc ślub niecodzienny, podobnie jak dziwne i niecodzienne były moje narodziny.

Już tydzień przed ślubem mieszkałam w pokoiku przy ul. Dąbrowskiego, który nam odstąpili wujostwo Staszka. Po ślubie mieszkaliśmy tam aż do ucieczki bolszewików wobec naporu Niemców na wschód. Potem wynajęliśmy pokój naprzeciw moich rodziców, przy ul. Grochowskiej, gdzie zimą lód pokrywał ściany pokoju.

W listopadzie 1940 roku zmarł nagle na serce mój ulubiony teść Józef Weisblum. Staszek natychmiast wyjechał do matki do Stryja, bowiem pogrzeb – zwyczajem żydowskim – odbywał się na drugi dzień po zgonie. Nie wytrzymałam, chciałam być z nim i z teściową. Zwolniłam się z pracy i wyjechałam do Stryja. Zastałam mieszkanie puste, bowiem zaraz po pogrzebie Staszek zabrał mamę do Lwowa. Stałam zapłakana pod zamkniętymi

drzwiami, pocieszał mnie fotograf, Żyd mieszkający w tej kamienicy, stary lokator tego domu. Pociąg odchodził dopiero nazajutrz rano. Poszłam do dawnej koleżanki mojej siostry i tam przenocowałam. Staszek był ogromnie przywiązany do ojca i nagły zgon był dla niego ogromnym ciosem.

Rok 1941 – czerwiec – to wkroczenie Niemców do Lwowa. Najpierw silne bombardowanie miasta. Ossolineum leży u stóp cytadeli. Budynek trząsł się od wybuchów. Nie opuszczaliśmy biur, pilnując skarbu narodowego. Przejęcie miasta obfitowało w dramatyczne chwile. Odkryto więzienia zapełnione stosami trupów. Ciotka Teresa Czarnikowa, która nie znała poprzednio losów Leszka (dr Leszek Czarnik – lekarz, harcmistrz, współzałożyciel ZWZ wraz z grupą harcerzy, więziony w Brygidkach, wywieziony w nieznanym kierunku, nigdy nie wrócił), szukała jego zwłok w więzieniach, przerzucając stosy trupów. Groza zapanowała w mieście. Żydzi poczuli się zagrożeni, Ukraińcy popierani przez Niemców hulali po mieście, bijąc Żydów i polując na niewinne ofiary. Wszędzie czyhało niebezpieczeństwo, nikt nie był pewien dalszych losów. Rabowano składy żywności pozostawionej przez Rosjan, rozbijano hurtownie alkoholu, pijana tłuszcza wyszła na ulice miasta. Znów niepewność losu, zmiana waluty, głód, wędrówki na wieś, by zdobyć żywność za ubrania czy papierosy, bowiem nikt nie brał rubli. Głód.

Trwaliśmy w Ossolineum. Koledzy Żydzi bali się pokazywać na ulicach, opuszczali pracę. Wreszcie zjawił się zwierzchnik niemiecki. Przyjął w miejsce Żydów innych, np. wtedy zatrudniono prof. Łempickiego, p. Andrzeja Rybickiego[64] dramaturga, p. Marię Tyszkowską[65]. Nina Assorodobraj[66] zbierała się do wyjazdu, by w Warszawie połączyć się z rodziną. Także „bieżeńcy", p. Kreczmar, prof. Ossowski, Chałasiński nawiązywali kontakty z rodzinami w GG [Generalna Gubernia – przyp. red.] i przy-

[64] Andrzej Rybicki (ur. 1897 – zm. 1966) – dramaturg, poeta, tłumacz.

[65] Najprawdopodobniej chodzi o Marię Zofię z Długoszów Tyszkowską, żonę K. Tyszkowskiego.

[66] Nina Assorodobraj (ur. 1908 – zm. 1999) – historyk, socjolog, związana z Uniwersytetem Warszawskim, współorganizatorka Wydziału Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Żona Witolda Kuli.

gotowywali się do wyjazdu. Tymczasem – nie wiem z jakiego powodu – aresztowano prof. Ossowskiego wraz z innymi mężczyznami mieszkającymi w tej samej kamienicy. Prof. Ossowski przed owym aresztowaniem dał mi na przechowanie jakieś swoje papiery, widocznie nieprzeznaczone dla oczu Gestapo. Ogromnie byliśmy zaniepokojeni aresztowaniem profesora. Jednakże skończyło się szczęśliwym zwolnieniem po ok. 2 tygodniach. Profesor, wyjeżdżając do żony do Warszawy, żegnał się ze mną serdecznie, zapewniając, że mogę liczyć na jego pomoc w razie potrzeby. Nie śniło mi się, że będę kiedykolwiek korzystać z jego pomocy.

Uzupełnienia

W czasie jednej z wywózek przeżyliśmy próbę wywiezienia na Sybir (Kazachstan) prof. Józefa Feldmana z rodziną. Profesor przychodził punktualnie do pracy. Przy bramie wisiała – jak na fabrykach – tablica z numerkami i każdy z nas zdejmował swój numerek. Po godz. 8 rano (naszego czasu) sekretarz dyrekcji sprawdzał nieobecność pracownika, o ile jego numer pozostał na tablicy. Spóźniający się otrzymywał naganę czy inną karę (np. potrącenie z poborów odpowiedniej sumy). Ja należałam do osób, które wpadały zdyszane w ostatniej chwili, ale nigdy nie zdarzało się to prof. Feldmanowi.

Gdy po nocy niespokojnej, kiedy słychać było skrzypienie wozów, szum aut i innych pojazdów wiozących ofiary do transportu, przyszliśmy do pracy, tym razem nieco wcześniej, z wybiciem godz. 8, zauważyliśmy z p. Kreczmarem, że niestety prof. Feldmana nie ma. Zaalarmowaliśmy Jerzego Borejszę. On wsiadł w samochód (nb. samochód dyrektorski był dla nas lwowian jakąś niepotrzebną ekstrawagancją. Lwowianie – niezależnie od rangi i stanowiska – chadzali pieszo ulicami miasta lub najwyżej jeździli tramwajem. Nawet dorożki należały do rzadkości w codziennym życiu. Samochód Borejszy był dla nas powodem zgorszenia,

dowodem pyszałkowatości i sprzętem zgoła niepotrzebnym w poczciwym Lwowie) i udał się do mieszkania pp. Feldmanów. Zastał całą rodzinę (profesora, jego żonę i szwagierkę) siedzącą ze skromnym dobytkiem na furmance, która właśnie miała ich wieźć na dworzec do gotowego transportu. Borejsza narobił hałasu w NKWD i w ostatniej chwili zwolniono całą rodzinę, a profesora przywiózł Borejsza samochodem do pracy. W ten sposób rodzina ocalała od tułaczki i nędzy.

Wspólny pokój, jaki dzieliłam w Ossolineum z Feldmanem, skłaniał do dysput, rozmów, gawęd. Długie godziny, jakie spędzaliśmy w pracy, urozmaicaliśmy sobie w przeróżny sposób. Feldman – widocznie lubił pouczać, wykładać. Ja byłam słuchaczem jego „wykładów". Zarzucał mi i słusznie brak oczytania w zakresie filozofii, doradzał lektury, o które nietrudno było w bogatej książnicy. Jednakże nauki te często szły w las. On był wykształcony w atmosferze młodopolskiej. Rozmiłowany w lekturach, takich jak np. Zdziechowskiego[67] „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa". Do mnie to nie trafiało. Miałam (i mam do dziś) raczej skłonności do zracjonalizowanej wiedzy, uzasadnień racjonalnych, opartych na praktycznym dowodzie, poznawalnych rozumem. Nie bardzo skłaniałam się do tego typu filozofii. Także wiedza profesora (ogromna m.in. dzięki niezwykłej pamięci) – który wyszedł ze szkoły W. Konopczyńskiego, a więc historia faktu – nie trafiała do mnie. W duchu lekceważyłam historię faktograficzną, szukałam innego poglądu na dzieje. Nie umiałam przeciwstawić się „szkole" profesora, byłam zbyt niedojrzała. Zresztą jego autorytet oddziaływał niewątpliwie na mnie.

Profesor Jagiellonki[68], który trudzi się dla jakiegoś smarkatego magistra – to mi imponowało. Najmilej wspominam nasze wieczorne lektury „Fausta" Goethego. Czytaliśmy w oryginale. Oddziaływał czar tych strof. Feldman starał się mnie dokształcać.

---

[67] Marian Zdziechowski (ur. 1861 – zm. 1938) – historyk literatury, filolog, filozof, krytyk literacki, publicysta. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (w latach 1926–1927 rektor).

[68] Zob. przypis 45, s. 56.

Był też dobrym druhem, gdy szło o inne prace archiwalne. Wówczas bolszewicy konfiskowali różne archiwa podworskie i zwozili je do Ossolineum wraz ze starodrukami. Pracownicy Oddziału Rękopisów pomagali przy wyładunku pak z archiwaliami; piętrzyły się one w magazynach naprzeciw Ossolineum, w pomieszczeniach drukarni, w Bibliotece Baworowskich i wszędzie, gdzie tylko był skrawek wolnego miejsca. Pracowaliśmy ciężko fizycznie, nadto sporządzaliśmy prowizoryczne inwentarze tych zwożonych zbiorów w magazynach nieopalanych, gdzie grabiały ręce, a rozgrzewką dla nas była praca fizyczna.

Moje koleżanki: p. Assorodobraj, Stasia Czołowska-Karczewska[69], nie brały się do tej pracy. Odwalali ją mężczyźni, a ja zawsze na ochotnika. Ileż się tam natyrałam! Mnie się wydawało, że to powstaje nasza polska Bibliotheque National. Są to niezapomniane przeżycia.

Referendum w sprawie przyłączenia Zachodniej Ukrainy

Stosunek mój do owego referendum nie był poważny. Panował ogromny nacisk władz, by zmusić ludność do głosowania na „tak". Władze uznawały to za obowiązek. Kontrolowano udział w głosowaniu, zastraszano ewentualnych opornych. Mój ojciec głosował – owszem – na „nie" i do tego namawiał innych, wierząc zapewne, że będą to wybory uczciwe. Ja nie brałam na serio tej sprawy. Wojna dopiero się zaczęła, byliśmy pod okupacją, nawet się nam nie śniło, że głosowanie będzie miało jakiekolwiek praktyczne znaczenie. Głosowałam na „tak", nie wiedząc, że dopuszczam się zdrady. Wolałam dla świętego spokoju podporządkować się władzy, której ani nie szanowałam, ani nie brałam na serio.

[69] Stanisława Czołowska-Karczewska (ur. 1914 – zm. 1944) – córka Aleksandra Czołowskiego, historyka, archiwisty, bibliotekarza, dyrektora Archiwum Akt Dawnych we Lwowie.

Kontrola naszych zachowań przez NKWD, które wszędzie przeniknęło – była ścisła. Nie całkiem zdawałam sobie z tego sprawę. Nie odczuwałam ani strachu, ani pokory. Lwów bronił się humorem. Krążyły anegdoty, wierszyki satyryczne, np. na agitację, by wyjeżdżać dobrowolnie do pracy w kopalniach Donbasu, ulica lwowska mawiała: „Do Donbasu jako tako, a z Donbasu gołą …". Także znane: „Wyzwoleni z polskich knutów, z polskich spodni, z polskich butów, wraz z radzieckich ludów grupą świecić będziem gołą…"

Nasi lokatorzy

Obszerne mieszkania rekwirowano częściowo dla oficerów, enkawudzistów i in. osób z administracji okupanta. W mieszkaniu moich rodziców zjawiła się rodzina ukraińska, oficer-enkawudzista z żoną i dwojgiem dzieci. Mieli pokój z oddzielnym wejściem, korzystali z kuchni. Żal było patrzeć na tę nędzę. Dziecko niemowlę – chore, głowa w strupach, zawinięte w starą kołdrę, starsze kilkuletnie również ledwo odziane. Kobieta zabiedzona, zagłodzona, w czasie srogiej zimy w jakiejś perkalikowej spódniczynie. Pan oficer pchał własnoręcznie dziecinny wózek, co w porównaniu ze statusem polskiego oficera było czymś niesłychanym. Kobieta pełna onieśmielenia i pokory wchodziła do kuchni, piekąc placki ziemniaczane; rozglądała się wokoło, podziwiając nasze „burżuazyjne luksusy".

Przeważnie milczała. Milczeli oboje. Nie wiedzieliśmy, że u nich milczenie bywało najbezpieczniejsze, niemal obowiązkowe. Chore dziecko płakało po nocach. Słyszałam ów rozpaczliwy płacz zza ściany przylegającej do ich pokoju. Ojciec ich nienawidził. Kipiała w nim wściekłość. Hamowaliśmy go, by nie wypędził baby z kuchni, by nie doszło do awantury. Ja się odnosiłam raczej z litością do tej nędzy. Uosabiali dolę tego nieszczęsnego ludu, zniewolonego, który już zapomniał o godziwym życiu. Nasz komandir kupił – jak inni jego koledzy – budzik. Owo

cudo w rękach komandira było niesłychaną zabawką. Godzinami nakręcał budzik, radując się jego dźwiękiem.

Zetknięcie z rzeczywistością ludzi radzieckich, karmionych propagandą o naszej burżuazyjnej nędzy i ucisku, było dla nich szokiem. W ich oczach zwyczajny urzędniczy dom był szczytem luksusu. Pewnie oceniali nas jako burżujów. „Bywsza pańska Polska"!

Co tkwiło w tej zabiedzonej, pokornie znoszącej swój los kobiecie, nigdy się nie dowiedziałam. Zawsze milcząca, zamknięta w sobie. Nieszczęsna ofiara! Nie staraliśmy się nawiązać żadnego bliższego kontaktu. Narzucone „obce ciało" w naszym rodzinnym domu. Zniknęli wraz z uderzeniem Niemców na ZSRR w 1941 roku.

Wkraczam teraz w mroczne wspomnienia okupacji niemieckiej. Zimę roku 1941–1942 przeżyliśmy we Lwowie. Uniwersytet zamknięto, Staszek nie pracował. Wędrował po wsiach, zdobywając żywność w zamian za odzież. Kartofle, które mi przynosił, zabierałam ze sobą do pracy w Ossolineum i piekłam je w wygasłym piecu węglowym na drugie śniadanie. Ciotka moja, farmaceutka, odstępowała mi nieco tranu z apteki, który to tran spożywałam jako okrasę do moich kartofli. „Za Niemców" opracowywałam w Ossolineum korespondencję Oswalda Balzera (prof. Roman Grodecki opracował rękopisy prac – przeważnie drukowanych – tego uczonego). Miałam więc honor współpracować z prof. Grodeckim.

Czarnowidzem – jeśli idzie o mój los – okazywał się najczęściej mój szwagier Bolek Kozel. On to roztaczał wizję prześladowań, niepewności mego losu, skoro mam męża Żyda. Jednakże nie do końca byłam świadoma niebezpieczeństwa. Jeszcze nie wiedziałam, co to Holocaust.

Rodzina męża na razie pozostawała na miejscu, jedynie gmina żydowska nakazała oddać na rzecz Niemców umeblowanie jednego pokoju. Matka męża przeniosła się do nich ze Stryja do Lwowa. Zlikwidowała mieszkanie w Stryju, cenniejsze rzeczy (dywany, obrazy) oddała na przechowanie komuś z nauczycieli gimnazjalnych ze Stryja. My mieszkaliśmy – jak wyżej wspomniałam – w naszym lodowym pałacu przy ul. Grochowskiej, naprzeciw mieszkania mojej rodziny. Tymczasem Staszek nawiązał korespondencję z Krakowem, a przede wszystkim z Andrzejem

Kłodzińskim. Ten ogromnie namawiał do przeniesienia się do Krakowa, obiecywał pomoc w zatrudnieniu. Po pewnym czasie Staszek wyruszył do Krakowa, ja pozostałam na razie we Lwowie. Nadal pracowałam w Ossolineum. Zmienił się tam skład pracowników (o czym wyżej wspomniałam). Odjechali warszawiacy, odeszły osoby pochodzenia żydowskiego. Aresztowano (Gestapo) kustosza Wisłockiego[70], ponoć na skutek donosu – nigdy nie wrócił. Na miejsce zwolnionych osób przyjęto częściowo nowych, prof. Stanisława Łempickiego, wdowę po kustoszu Tyszkowskim, który zmarł wiosną 1941 roku. Zatrudniono Andrzeja Rybickiego. Zmieniły się osoby, gdzie indziej, w innych pomieszczeniach pracowaliśmy. Płace były głodowe. Zimno, pokoje nieopalane, lub opalane bardzo skąpo. Towarzystwo jednak trzymało się solidarnie. Zwierzchnik Niemiec nie przebywał stale we Lwowie, z dala kierował placówką. Zjechał książę kurator, zajął swoje apartamenty, odebrał „moją" maszynę do pisania. Praca szła opornie, mniej gorliwie, m.in. dlatego, że dokuczało nam zimno. We Lwowie panował głód zimą 1941/42. Przywiązani do Zakładu Ossolińskich ludzie, jak np. prof. Gębarowicz[71], Kazimierz Giebułtowski[72], liczyli się z koniecznością trwania na placówce, uważali się za strażników skarbu kultury narodowej. Chwała im za to. Taką postawę zajmowali też inni przedwojenni pracownicy Ossolineum: Halusia Kiernicka, p. Franciszek Zajączkowski, Janina Kelles-Krauz, p. Homme i p. Kurkowa[73] (obie pracownice Oddziału

[70] Władysław Wisłocki (ur. 1887 – zm. po 11 VII 1941) – historyk słowianoznawca, bibliograf. Kustosz w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

[71] Mieczysław Gębarowicz (ur. 1893 – zm. 1984) – humanista, uczony, historyk sztuki. W latach 1923–1939 związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie i Politechniką Lwowską. Ostatni (obok W. Wisłockiego i K. Tyszkowskiego w 1939 r.) dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie (wcześniej – od 1923 r. kustosz Muzeum Lubomirskich).

[72] Kazimierz Giebułtowski (ur. 1878 – zm. 1959) – archiwista, wydawca Biblioteki Narodowej, bibliofil, działacz społeczno-oświatowy. Związany z Krakowską Spółką Wydawniczą, następnie z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie.

[73] Eugenia Kurkowa (ur. 1885 jako E. Eisenhart – zm. 1970) – bibliotekarka, pracownik Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (w 1940 r. kierownik Działu Starych Druków).

bezcennego zbioru czasopism), dr Tadeusz Lutman z Oddziału Rękopisów, prof. Stefan Inglot – mój zwierzchnik po śmierci Kazimierza Tyszkowskiego i in. Pracownia naukowa (czytelnia) jakoś na razie nie została zastrzeżona „nur für Deutsche", tego faktu dokładnie nie pamiętam. Ludzie przychodzili studiować. Np. stałym naszym gościem był Stanisław Wasylewski[74]. Dano mi do opracowania zbiory Rulikowskich. Edward Rulikowski[75], bogaty ziemianin, zabawiał się zbieraniem folkloru ludowego, sporządzał notaty etnograficzne. Opracowałam ten zbiór. Trudna to była praca z uwagi na ogromnie nieczytelne pismo zbieracza.

Pewnego razu zjawił się przedstawiciel rodziny Rulikowskich, obejrzał uporządkowany zbiór, zapoznał się ze mną i obiecał nagrodę za pracę. Nie wiedziałam, co by to była za nagroda i wcale się niczego nie spodziewałam. Jednakże po pewnym czasie zjawił się ponownie p. Rulikowski, wręczając mi maleńką paczuszkę wraz ze słowami podziękowania. Nie wiedziałam, czy godzi się przyjąć dar. Pracowałam przecież jako urzędnik, otrzymując (skąpe) wynagrodzenie. Jednakże przyjęłam i na oczach kolegów rozpakowałam paczuszkę. Było w niej ok. 10 dkg kiełbasy wiejskiej. Wprawiło nas to w ogromną wesołość. Pokroiłam kiełbasę na cienkie plasterki i obdzieliłam kolegów z Oddziału Rękopisów. Wesołość zapanowała wobec hojności pana Rulikowskiego.

Organizacja Ossolineum stworzona przez władze radzieckie – tj. kombinat różnych bibliotek i archiwów Lwowa (o czym pisałam w „Kulturze" paryskiej) – zmieniła się. Zresztą nowa polityka okupanta nie mogła np. pozwolić na istnienie bogatych zbiorów (judaiców) lwowskiej gminy żydowskiej. Na razie jeszcze nie płonęły. Stało się to dopiero po moim wyjeździe ze Lwowa (w marcu 1942 r.). Na razie powróciliśmy do dawnej struktury, tj. Ossolineum jako odrębna jednostka organizacyjna. Ukraińcy korzystali z protekcji władz niemieckich. Niemcy – jak wiadomo – wygrywali niechęci polsko-ukraińskie w imię zasady „dziel i rządź".

---

[74] Stanisław Wasylewski (ur. 1885 – zm. 1953) – dziennikarz, eseista, tłumacz, krytyk literacki.

[75] Edward Leopold Rulikowski (ur. 1825 – zm. 1900) – historyk, archeolog, etnograf. Członek Komisji Antropologicznej AU w Krakowie i Towarzystwa Archeologicznego i Statystycznego w Kijowie.

Wracam jednak do naszych spraw owej zimy 1941/42. Dokuczał palaczom brak papierosów. Mój ojciec palił liście wiśni, był w okropnym stanie nerwowym bez palenia. Zaczęłam handlować tytoniem. Wystarałam się o liście tytoniowe (sprzedawali je żołnierze Węgrzy), które sprzedawałam kolegom-palaczom, a tatusiowi donosiłam, ile mogłam. Do namiętnych palaczy należał p. Andrzej Rybicki. Kupował ode mnie za jakieś marne grosze ów tytoń. Gdy odjeżdżałam z Ossolineum do Krakowa, pożegnał mnie wierszykiem, który starannie przechowuję.

Staszek za namową Jędrusia Kłodzińskiego zdecydował się na wyjazd do Krakowa. Zresztą we Lwowie nie był bezpieczny. Tu przecież spotykał dawnych kolegów jeszcze z czasów stryjskich, uczniów jego ojca prof. Weisbluma. Mógł więc stać się łatwym łupem Gestapo. Ja pozostałam we Lwowie w mojej lodowni przy ul. Grochowskiej.

Niemcy zaczęli gospodarzyć w mieście. Nagonki na Żydów, przesiedlenia na obszar przewidziany na getto. Dzielnica willowa, gdzie mieszkaliśmy, została zajęta dla Niemców i przesiedlono ludność polską. Moim rodzicom nakazano przenieść się na ul. Piekarską, skąd wyrzucono Żydów. Ojciec poszedł pod wskazany adres, zastał rodzinę żydowską i nie chciał się tam wprowadzić. Jednakże mieszkańcy tego pomieszczenia godzili się na odstąpienie swego mieszkania z prośbą, by przechować ich rzeczy. W ten sposób doszło do przeprowadzki. Moi rodzice, Ewa z rodziną, no i ja, która nie chciałam zostać sama. Mieszkanie było obszerne, w starym domu, gdzie różne urządzenia były zepsute. W ustępie na przykład kapała na głowę woda z popsutego zbiornika. Brakowało opału, zimno. Częste awarie prądu. Ojciec pracował jako brukarz, by zarobić parę groszy. Bolkowie z małym dzieckiem bez środków utrzymania. W pobliżu przy ul. Hausmana mieszkali pp. Spaetowie. Nękani ustawicznie najściami Niemców, wyprzedający co się tylko dało, by żyć. Wujostwo mego męża czynili to samo. Żyli w ustawicznym strachu przed przeniesieniem do getta, m.in. dlatego, że ciotka Róża, chora na gościec stawowy, prawie nie wstawała z łóżka. Jednej nocy jakieś niepokoje wygnały mamę mego męża do moich rodziców. Przespała się jedną noc i znów wróciła do swej chorej siostry. Mój szwagier był ogrom-

nie zaniepokojony tym, że szuka ona pomocy u nas. Wiedziałam, że najchętniej pozbyłby się mojej osoby z obawy o własną rodzinę. Pilnie więc starałam się o wyjazd do Krakowa, co też nastąpiło w marcu 1942 roku. Zabrałam ze sobą mamę mego męża.

Obie byłyśmy w ciężkiej sytuacji materialnej. Matka należąca do inteligencji nie miała zasobów złota ani biżuterii. Wtedy zaś życie kupowało się złotem. Staszek pracował na jakiejś posadce, wynajął nam pokój na poddaszu u dozorczyni domu. Dom był w całości zajęty przez Niemców (NSDAP), położony w dzielnicy niemieckiej (ul. Urzędnicza). Zjechałyśmy z mamą. Odstąpiliśmy jej jedyne łóżko, sami ulokowaliśmy się na podłodze na słomie. Mimo tych warunków nasza radość nie miała granic. Jesteśmy razem, jeszcze żyjemy. Matka zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinniśmy mieszkać razem z uwagi na bezpieczeństwo syna. Po krótkim czasie wynajęła sobie oddzielny pokój sublokatorski. Wiele czasu spędzała poza domem, próbując handlować, cokolwiek zarobić. Wiedziała, że syn jej nie da, bowiem sami prawie głodowaliśmy. Ostoją był nam dom pp. Kłodzińskich. Ja nawiązałam (a raczej odnowiłam) kontakty z dalekimi krewnymi mojej matki – Sztabami. P. Roman Sztaba był naczelnikiem granatowej policji. Jak się później okazało – po jego aresztowaniu – tkwił po uszy we władzach rządu londyńskiego. Spełniał więc niebezpieczną, podwójną rolę. Zginął w Oświęcimiu.

Po pewnym czasie zahaczyłam się w jakimś biurze niemieckim, a raczej firmie handlowej, gdzie pracowałam jako maszynistka. Personel składał się z Polaków władających jako tako językiem niemieckim. Nasz zwierzchnik był Bawarczykiem. Zapewne dekował się przed powołaniem do wojska. Był to facet dość dobroduszny. Wstydził się przydziałów żywnościowych, dzielił się z nami, co mnie ogromnie drażniło i upokarzało. Nie chciałam od niego przyjmować podarunków. Okradł mój kraj z żywności i teraz wspaniałomyślnie czyni mi podarunki z tego, co przecież polskie, moje. Odmawiałam przyjęcia tych prezentów, co ogromnie zdumiewało moich kolegów, a ofiarodawcę obrażało. Pewnego razu powiedział mi: „Sind Sie zu Stolz”[76]. Nic nie pomogło.

[76] Jesteś za dumna (niem.).

Od Szwaba nie chciałam żarcia. W tej formie otrzymywaliśmy bezpłatne obiadki. Pożal się Boże, co to były za obiadki. Po godzinie już byłam głodna. Ja stale byłam głodna.

Pracowałam tam krótko. W międzyczasie w łapance ulicznej został zatrzymany nasz kolega i wysłany do Oświęcimia. Nalegaliśmy na „naszego" Niemca, by się upomniał o swego pracownika. On udawał Greka. Mówił, że żaden lager w Oświęcimiu nie istnieje i żebyśmy mu dali święty spokój.

Dowiedziałam się, że istnieje możliwość zatrudnienia w Bibliotece Jagiellońskiej, przeniesionej już do budynku przy al. Mickiewicza. Popierał moje podanie u zwierzchnika niemieckiego dyr. Kuntze. Niemiec godził się na przyjęcie, jednakże widząc moje nazwisko panieńskie Oppenauer, stwierdził, że jestem Volksdeutschem. Skwapliwie zaprzeczyłam. Mimo to przyjęto mnie do Biblioteki.

Byłam ogromnie szczęśliwa. Znów znalazłam się wśród znanych mi sprzed wojny osób. Zatrudniono mnie w dziale inwentarza. Wpisywałam nabytki do księgi inwentarzowej. Wśród nas kręcił się ustawicznie Niemiec – o ile pamiętam – nazwiskiem Brzóska. Ani słowa po polsku nie chciał gadać. W Bibliotece zatrudniono zwolnionych z Sachsenhausen profesorów, np. prof. Nitscha[77]. Tam w przepastnych pomieszczeniach i magazynach można było czytać podziemną prasę. Krakowianie nie mieli jej w takiej obfitości jak Warszawa. Niektórzy ostrożniejsi woleli jej nie brać do rąk. Atmosfera Krakowa była doprawdy okropna. Pełno Niemców w tych pruskich czapach z wygiętym denkiem, szwargot i buta na ulicach.

Jędruś prowadzał nas do filharmonii. Nawiązał z nami kontakt Boguś Leśnodorski, chadzałam z polecenia prof. Grodeckiego do jego żony. Profesor jeszcze pozostawał we Lwowie. Odwiedzałam moją ciotkę w klasztorze Norbertanek na Zwierzyńcu. Ona to wyprosiła u ksieni bezpłatne obiady dla nas. Chadzałam z menażkami na Zwierzyniec po te obiady. Skracałam sobie drogę przez park Jordana. Tam kiedyś przysiadłam na ławce i dopadł mnie jakiś hitlerowiec, wypędził, bo park „nur für Deutsche".

[77] Kazimierz Nitsch (ur. 1874 – zm. 1958) – językoznawca. Związany z UJ, prezes Polskiej Akademii Umiejętności (1946). Członek rzeczywisty PAN (1952).

Tramwaje w Krakowie były (tak jak w innych miastach Generalnej Guberni) przedzielone na pomieszczenia dla Niemców i Polaków. Pomieszczenia niemieckie świeciły pustką, w polskich gnietliśmy się w ścisku. Zapraszał nas również Staszek Rymar. Miał wówczas kancelarię adwokacką w Krakowie, żonę i dwoje dzieci. Dom był „przedwojenny", ze służącą, wypolerowaną podłogą itp. Staszek Rymar – trzeba mu to przyznać – nie wypierał się dawnej przyjaźni z „Żydem". Przeciwnie – chętnie zapraszał.

Bywaliśmy również w domu pp. Friedbergów przy ul. Retoryka 3. Tam był niezgorszy kram. Ukrywający się AK-owcy.

Z Bogusiem Leśnodorskim odbywaliśmy niedzielne wyprawy nad Rudawę, kąpaliśmy się w jazach, wyprawialiśmy się do Tyńca. W polu czuliśmy się bezpieczniej niż na ulicach miasta. Mamę wyrzucono z jej mieszkania, wynajęła sobie inne, pokój przejściowy. Ona godziła się na wszystko, by tylko mieć dach nad głową. Umiała wszystko znieść, byle przetrwać. Czuła się zapewne bardzo samotna. My woleliśmy – za jej zgodą – trzymać się z dala.

Cudem zdobywała pieniądze z jakiegoś handlu – Bóg jeden raczy wiedzieć, czym handlowała i gdzie. Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku wdowieństwa. Stale chodziła w kapeluszu z żałobnym welonem. Nic nie mogłam jej pomóc.

Wujostwo musieli wynieść się ze Lwowa, zagrożeni koniecznością przeniesienia do getta. Oparło się to o mnie. Ja byłam jedyną aryjką w rodzinie. Udałam się więc do Romana Sztaby po pomoc. Nie mówiąc mu prawdy, kłamiąc na potęgę, zmyślając powody opuszczenia Lwowa przez wujostwo (wątpię, czy mi wierzył!), uzyskałam obietnicę umieszczenia ich gdzieś pod Tarnowem. Sztaba miał swoich zaufanych podwładnych i im powierzył załatwienie tej sprawy. Wujek otrzymał pracę – o ile dobrze pamiętam – na wsi czy w miasteczku w jakimś urzędzie zajmującym się dostawą kontyngentów dla Niemców. Wujek miał „dobry" wygląd, mówił pięknie po polsku. Przetrwali okupację. Jednakże zaraz po odzyskaniu wolności ciotka Róża zmarła. Bytowaliśmy więc w tym Krakowie, znajdując oparcie u przedwojennych przyjaciół. Staszek zachorował na ospę wietrzną. Miał

wysoką gorączkę, ciężka to była choroba u dorosłego człowieka. Baliśmy się wezwać lekarza, nie wiedząc, czy nie donosi. Mamy nie było u nas tydzień. Przesiadywałam po pracy ze Staszkiem, czytałam mu, nie miałam czasu zainteresować się mamą. Po tygodniu poszłam do jej mieszkania i dowiedziałam się, że jest aresztowana. Wpadła w łapance ulicznej. Jej gospodynie zbeształy mnie okropnie, że miały nieprzyjemności z powodu przechowywania Żydówki.

Była u nich rewizja, znaleziono tak skromny dobytek, że nic nie zabrano. Zjawiała się tam również jakaś baba (pewnie konfident lub szmalcownik), która mnie poinformowała, że mama jest w więzieniu w getcie. Oświadczyła, że postara się ją zwolnić, o ile wpłacę odpowiednią sumę. Pieniędzy nie miałam, jednak zobowiązałam się matkę wykupić. Biegałam po ludziach, pożyczając pieniądze, jednak zanim zdążyłam zebrać żądaną sumę – matkę wywieziono w nieznanym nam kierunku. Po aresztowaniu mamy opuściliśmy natychmiast z chorym Staszkiem mieszkanie przy Urzędniczej. Staszka przyjęli pp. Kłodzińscy. Ja udałam się do Sztabów i tam przemieszkiwałam. Widocznie przeszkadzałam im, bo mnie polecili swej znajomej, starszej pani Gromnickiej. Owa pani straciła córkę przebywającą w zakładzie dla umysłowo chorych. Niemcy rozstrzelali chorych. Serdecznie nas przyjęła. Staszek wreszcie wyzdrowiał. Zanim dowiedzieliśmy się, że mamy już w getcie nie ma, próbowałam przez podwładnych Sztaby dowiedzieć się, co się z nią dzieje. Omal sama nie wpadłam. Jakiś litościwy policjant powiedział mi: „Uciekaj". Rozdygotana pobiegłam wtedy do p. Kreczowskiej[78]. Zapomniałam napisać, że odwiedzaliśmy matkę prof. Feldmana, który się ukrywał. P. Kreczowska-Feldmanowa była niezwykłą kobietą. Niezapomniane są chwile spotkań z tą osobą przy ul. Szlak w jej mieszkaniu, pełnym pamiątek po Wyspiańskim i innych.

[78] Maria z Kleinmanów Feldmanowa (secundo voto Kreczowska) (ur. 1874 – zm. 1953) – tłumaczka literatury pięknej z języka angielskiego i niemieckiego (m.in. R. Kiplinga, O Wilde'a, M. Twaina, J. Ruskina, J. Wassermanna). Żona Wilhelma Feldmana, matka historyka Józefa.

To p. Kreczowska-Feldmanowa doradziła mi opuszczenie dotychczasowego mieszkania. Mama miała Ausweis na nazwisko Śreniowska. Mieliśmy kolejne numery tych legitymacji. Nietrudno było iść naszym śladem. Chadzaliśmy ze Staszkiem pod druty getta (w Krakowie nie było muru) i próbowaliśmy podać żywność mamie. Niestety nic z tego nie wyszło. Z ostatnią paczką szliśmy pod Wawelem, Staszek pełen rezygnacji i rozpaczy cisnął ową paczkę na stoki wawelskiego wzgórza. Po tym była noc u p. Gromnickiej. Koszmarna. On płakał. Tuliłam go i uspokajałam, jak mogłam. Opowiadał mi jakieś koszmary, co się z mamą dzieje. Łatwo było oszaleć. W dzień trzymał się pozornie doskonale. Grał rolę bezbłędnie. Zdecydowaliśmy, że nie można pozostać dłużej w Krakowie.

Zanim opuściłam Kraków, musiałam zwolnić się z pracy w Bibliotece Jagiellońskiej. Udałam się do domu dyr. Kuntzego, ponieważ był wówczas chory. Chciałam zasięgnąć jego rady, nadto on przecież osłaniał nas wobec władz niemieckich. Żona dyrektora wpuściła mnie do chorego. Wyspowiadałam się szczerze z mojej sytuacji rodzinnej i uradziliśmy, że pod pozorem nagłej przewlekłej choroby przestanę po prostu przychodzić do pracy. Dyrektor wolał, bym się tam więcej nie pokazywała. W czasie tej rozmowy czułam tyle życzliwości, chęci pomocy.

Przy likwidacji mieszkania pani Helena Lipska przechowała mi kufer z najniezbędniejszymi rzeczami. Również dla niej żywię wdzięczność za pomoc. PP. Friedbergowie byli pogotowiem ratunkowym, jeśli idzie o noclegi Staszka. Nigdy nie odmówili pomocy.

W czasie pracy w Jagiellonce często rozmawiałam z kustoszem doc. Władysławem Pociechą[79]. On żył ustawicznie na dworze królowej Bony. Wydawało mi się, że była to forma ucieczki od rzeczywistości. Po wojnie dowiedziałam się, że jego dwaj synowie tkwili po uszy w konspiracji. Zawsze ilekroć wykładałam na Uniwersytecie Łódzkim, tłumacząc młodzieży do czego służy

[79] Władysław Pociecha (ur. 1893 – zm. 1958) – bibliotekarz, historyk, znawca kultury epoki odrodzenia. W latach 1926–1928 Dyrektor Biblioteki Kórnickiej, po wojnie wicedyrektor Biblioteki Jagiellońskiej (1956–1958).

historia, powoływałam się na przykład p. Pociechy. Historia była dla niego ucieczką od rzeczywistości. Dzięki takiej postawie łatwiej mu było przetrwać.

Mnie męczyły owe rozmowy. Zbyt silnie tkwiłam bowiem w realiach dnia codziennego. Starałam się unikać p. Pociechy. Przed wojną w czasie mojej krótkiej pracy w Jagiellonce p. Pociecha interesował się moimi poczynaniami naukowymi, ponieważ dotyczyły tej samej epoki. Należał on do najwybitniejszych znawców doby jagiellońskiej, choć nie zasiadał na katedrze uniwersyteckiej. Sądził więc, że okupacja mnie „nie złamała", że nie straciłam zainteresowań XVI wiekiem. Był to dowód wielkiej życzliwości, na którą doprawdy nie zasługiwałam[80].

Przy pomocy Rymara wyjechaliśmy do Czernej. Tam obok klasztoru męskiego znajdował się skromny klasztorek żeński. Wynajęliśmy u sióstr pokoik. Czas spędzaliśmy na lekturze, spacerach. Gdy się Staszek nieco uspokoił, mogłam go zostawić na kilka dni, pojechać do Lwowa, by się poradzić rodziców i szukać u nich ewentualnego ratunku. Niestety, moja rodzina – choć wcale nie niechętna Żydom (pomagali pp. Spaetom w getcie) – nie zaproponowała mi żadnej pomocy. Ja wyraźnie o pomoc nie prosiłam, ale przedstawiłam naszą rozpaczliwą sytuację. Pewnie Ewa bała się nas, bo przecież miała małego synka.

Wróciłam do Staszka i postanowiłam jechać do Warszawy i szukać pomocy u prof. Ossowskiego, p. Kreczmara. Z Czernej udaliśmy się wiosną (marzec 1943) do Warszawy. Miałam tam kuzynkę Marysię Domaradzką, mieszkającą przy al. Niepodległości. U niej zatrzymaliśmy się. Mąż Marysi był w Oflagu. Pojechałam jeszcze do Krakowa zlikwidować nasze mieszkanie i wróciłam do Warszawy pchać dalej życie, jak umiałam[81].

---

[80] Fragment rozpoczynający się od słów „Zanim opuściłam Kraków…" znajdował się na dodatkowej stronie maszynopisu (36a) z dopiskiem *Wstawka o dyr. Kuntze.*

[81] Dwa pierwsze akapity na tej stronie znajdowały się na dodatkowej kartce maszynopisu – 36 c.d.

Uzupełnienie do czasów krakowskich

Adam Lutman

Na naszym poddaszu częstym gościem był dr Adam Lutman[82]. Podobnie jak jego brat z Ossolineum Tadeusz, był on uczniem prof. Bujaka[83]. Należał do KPU [Komunistyczna Partia Ukrainy] (we Lwowie nie było KPP) wraz ze swym kolegą Ukraińcem Romanem Rozdolskim[84]. Rozdolski był również uczniem Bujaka. Przed wojną stanęli obaj przed sądem polskim i odsiedzieli wyrok. W czasie procesu profesor Bujak zeznawał na korzyść swoich wychowanków (życiorys Bujaka – nie pamiętam, gdzie czytałam, może w „Znaku"?).

Rozdolski należał do wybitniejszych działaczy Międzynarodówki Komunistycznej. Nadto jego twórczość naukowa odznaczała się wybitnymi osiągnięciami. Ożenił się z Austriaczką. W czasie okupacji niemieckiej żona Rozdolskiego założyła fabryczkę szczotek. W tej fabryczce zatrudniono Adama Lutmana. Wyrabiano tam szczotki ryżowe do szorowania – wówczas towar niedostępny na rynku, jedynie dla Niemców. Lutman odwiedzał nas często, z moim mężem toczyli długie dysputy polityczne. Przychodził zwykle z pełnymi kieszeniami bibuły komunistycznej (i nie tylko), było więc co czytać. Po pewnym czasie zaproponował nam sprzedaż szczotek. Mama Staszka czyniła to umiejętnie i trochę grosza zarabiała. Ja byłam skończona niedorajda, nie umiem handlować, zachwalać towaru. Prawie nic nie miałam z tych szczotek, jedynie chodzenie i mitręgę.

[82] Adam Lutman – brat Romana i Tadeusza, działacz KPZU i PPR, zginął podczas II wojny.

[83] Franciszek Bujak (ur. 1875 – zm. 1953) – historyk dziejów gospodarczych i dziejów wsi. Związany z uniwersytetami: krakowskim, warszawskim i lwowskim. Prezes Towarzystwa Naukowego Lwowskiego (w latach 1933–1939), prezes PTH (w latach 1932–1934 i 1936–1937).

[84] Roman Rozdolski (ur. 1898 – zm. 1967) – ukraiński uczony o marksistowskiej proweniencji. Członek Komunistycznej Partii Wschodniej Galicji.

Pewnego razu Staszek zadzwonił do firmy w sprawie szczotek. W telefonie usłyszał nieznany mu głos i natychmiast odłożył słuchawkę. Po paru dniach dowiedzieliśmy się, że Adam i Rozdolski aresztowani, w fabryce wykryto nielegalne materiały, bowiem pod przykrywką fabryki prowadzono tam robotę polityczną. Adam, osadzony w więzieniu na Montelupich, zmarł w czasie tortur. Był to mężczyzna wyjątkowo delikatnej budowy, mały, chudy. Nietrudno było go zamęczyć. Żona Rozdolskiego wydobyła męża poprzez swoje niemieckie znajomości. Bardzo żałowaliśmy Adama. Był chyba najinteligentniejszy z braci. Jego aresztowanie i śmierć miała poważne skutki dla całej rodziny. We Lwowie znaleziono w czasie rewizji listy Adama do Tadeusza (dr Tadeusz Lutman pracował – jak wspomniałam – w Ossolineum). Tadeusza aresztowano i wywieziono do Majdanka. Słownik biograficzny podaje dalsze jego losy. O ile sobie przypominam, zmarł w jakimś innym obozie koncentracyjnym. Roman Lutman – przed wojną dyrektor Instytutu Śląskiego – na wieść o aresztowaniu Tadeusza uciekł ze Lwowa do Warszawy. Mieszkał na Żoliborzu pod nazwiskiem Wolski. Gdy osiedliśmy w Warszawie, był codziennym gościem u nas. Również stale zaopatrywał nas w bibułę i wiódł ze Staszkiem długie dysputy polityczne, filozoficzne i in., należał bowiem do niezwykłych erudytów. Przeżył powstanie warszawskie, mieszkał w Krakowie, a gdy tam zaczęły się łapanki warszawiaków, uciekł do nas na wieś do Sieprawia (Myślenickie). Tam dotrwaliśmy do końca, tj. do lutego 1945 roku.

Do Warszawy jechaliśmy właściwie „w ciemno". Pamiętam wyjazd z Krakowa, niepewność na peronach dworca, gdzie zwykle kręcą się niepożądane typy policyjne. Pociąg odjeżdżał wieczorem, szliśmy niepewnie przez perony. Miałam nadzieję, że znajdę tymczasem oparcie u mojej ciotecznej siostry Marysi Domaradzkiej (jej mąż był w oflagu) na Mokotowie, chciałam odwiedzić pp. Kreczmarów i Ossowskich, odszukać Ninę Assorodobraj. Wszystko to były niepewne kontakty. Jednakże nie mieliśmy innego wyjścia. W Krakowie byliśmy spaleni, we Lwowie nie dano mi poznać chęci pomocy.

Z pierwszego okresu w Warszawie pamiętam głównie bezdomność i ustawiczny głód. Taki był początek. Marysia okazała się odważna, przygarnęła nas, a ze Staszkiem rychło zawarli przyjaźń. Utrzymywała się z handlu mąką i innymi produktami żywnościowymi. Jednego z synów udało jej się umieścić na wsi w jakimś zaprzyjaźnionym dworze, starszy chodził do szkoły w Warszawie. O ile pamiętam, mieszkał w internacie.

Natychmiast zaczęłam poszukiwania pracy oraz mieszkania. To drugie okazało się znacznie trudniejsze. Pracę znalazł mi p. Jerzy Kreczmar, podówczas dyrektor tajnego gimnazjum Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci na Żoliborzu. Była to szkoła przedwojenna, z tradycjami, jedyna w Polsce szkoła świecka. Tam uczyłam historii i łaciny w niższych klasach. Lekcje odbywały się w małych grupach w prywatnych mieszkaniach rozsianych po całej Warszawie. Łaciny uczyłam w budynku szkoły pożarniczej na Żoliborzu. Sekretariat szkoły mieścił się na poddaszu pierwszej kolonii przy pl. Wilsona. Funkcje sekretarki (i organizatorki zajęć) pełniła Fela Zeltzer, szwagierka Teodora Duracza[85], znanego przed wojną obrońcy komunistów przed sądami polskimi. Duracz zginął rozstrzelany przez Gestapo, jego żonę i córkę zesłano do Oświęcimia.

Z Felą zawarłam bliską przyjaźń. To ona wprowadziła mnie w konspiracyjne środowisko Żoliborza. Słuchaliśmy odczytów np. Bieńkowskiego[86] (późniejszego ministra oświaty w PRL) o sytuacji wojennej, z nasłuchu radiowego. Zebrania odbywały się w mieszkaniu pp. Bobowskich. Bobowski – malarz, zginął w jakiejś akcji, przyjmowała nas wdowa po nim.

Nasza sytuacja mieszkaniowa była fatalna. Nie mogłam w nieskończoność obciążać Marysi naszą obecnością. Chciałam mieszkać na Żoliborzu. Przygarnęli nas na krótko pp. Dażwańscy, rodzice mojej przedwojennej koleżanki. Tymczasem

---

[85] Teodor Duracz (ur. 1883 – zm. 1943) – adwokat, działacz komunistyczny. Członek PPS, PPS-Lewicy, KPP, PPR. Uczestnik rewolucji bolszewickiej. Agent wywiadu radzieckiego.

[86] Władysław Bieńkowski (ur. 1906 – zm. 1991) – publicysta, socjolog, polityk (w latach 1956–1959 minister oświaty). Dyrektor Biblioteki Narodowej (w latach 1948–1956).

pertraktowałam o pokój na Ochocie. PP. Dażwańscy wymówili nam przytułek z dnia na dzień. Mieli oni dwu synów w AK. Bali się przetrzymywać niemeldowanych ludzi (i do tego „Żyda"). Było to zrozumiałe. Po co mieli nadstawiać własną skórę. Wyszliśmy więc na ulicę, kierując się na Ochotę, gdzie miałam zamiar zamieszkać.

W tramwaju przyczepił się do Staszka szmalcownik. Wysiadł z nami na przystanku, panowie weszli do bramy, zażądał okupu. Nie mieliśmy. Pertraktowałam z nim, by udał się z nami na Żoliborz i obiecywałam przynieść pieniądze. Staszek został z nim w uliczce obok pl. Inwalidów, ja pobiegłam do prof. Ossowskiego i do Romka Lutmana. Dali mi nieco złotówek. Pamiętam, był marzec, padał śnieg z deszczem, zimno, chlapa, już się ściemniało. Przybiegłam zdyszana na Plac i nie zobaczyłam ani Staszka, ani szmalcownika. Wpadłam w rozpacz, wołając głośno Staszka. Byłam w szoku, trzęsłam się ze strachu. Staszek usłyszał moje wołanie, wyszli obaj. Pieniędzy tyle, ile żądał szmalcownik, nie miałam. Jednakże zadowolił się wręczoną sumą. Zostaliśmy wolni na ulicy. Dokumenty nam zabrał. Nie wiedzieliśmy dokąd pójść. Pozostawał nocleg na jakiejś klatce schodowej przed godziną policyjną. Udaliśmy się na III kolonię żoliborską, tam bowiem miałam przyjaciół. No i zaszyliśmy się w kącie na najwyższym piętrze. Tymczasem wieść o naszych przygodach dotarła do przyjaciół. Siostra p. profesor Ossowskiej, Irena Kurowska, wyruszyła na poszukiwania w klatkach schodowych. Nie pamiętam dokładnie, czy to ona właśnie nas przygarnęła, czy też Nina Assorodobraj. Nina mieszkała wraz z rodziną u p. dr Zofii Podkowińskiej. W tym mieszkaniu również przebywała p. Irena Sawicka[87], aktywny członek PPR. Mieszkanie było przeludnione, część osób spała na podłodze. Tam nas przygarnięto, nakarmiono, uspokojono. Nazajutrz byliśmy znów u Marysi.

Pierwsze doświadczenie ze szmalcownikiem było dla mnie ogromnym zaskoczeniem. W Krakowie ten proceder nie był mi

[87] Irena Sawicka (Scheur-Sawicka), pseud.: Ewa, Pierwsza Irena, Stefa, Teresa (ur. 1890 – zm. 1944) – archeolog, pedagog, działaczka oświatowa i komunistyczna.

znany. Tam panowały inne stosunki. Warszawa rozbuchana konspiracyjnie, kwitnąca pokątnym handlem, margines społeczny żerujący na nieszczęściu Żydów – wszystko to wprawiało mnie w popłoch. Tym bardziej że życie kupowało się za pieniądze, a myśmy ich nie posiadali. Zawiadomiłam ojca, prosząc, by przyjechał do mnie. Na razie poratował mnie pożyczką finansową, bym mogła oddać dług szlachetnym ludziom, którzy uratowali nam życie.

Gorliwie pracowałam na tajnych kompletach. Znalazłam wreszcie lokum przy ul. Gdańskiej 2, u p. Hoffmanowej. Tam był istny dom wariatów. Jej dzieci: Rysio i Anka konspirowali. Rysio w AK szkolił się na oficera, Anka pracowała jako łączniczka i (zdaje mi się) kolporterka prasy. Prasę dostawałam przeważnie od p. Sawickiej. Staszek prawie nie wychodził z domu. Nie mieliśmy pieniędzy na nową wpadkę. Na Żoliborzu mieszkał też Roman Lutman, pod pseudonimem Wolski. Był codziennym gościem u nas. Gdy biegałam po Warszawie udzielając lekcji, panowie dyskutowali sprawy wojenne i polityczne. Staszek często gotował mi zupę na żelaznym piecyku i gdy wracałam głodna, zupa dymiła w garnku.

Pogubiłam się nieco w chronologii wydarzeń okresu warszawskiego. Wynika to na pewno z ustawicznej bezdomności. Moje miejsca „zamieszkania" zmieniały się z dnia na dzień, bywałam u Marysi Domaradzkiej, na Żoliborzu i znów u Marysi. Bywałam po prostu wszędzie i nigdzie. Przed powstaniem warszawskim Staszek przesiadywał w suterenie u p. Dobrzańskiej (na leżaku), a ja pętałam się, gdzie się dało. Musieliśmy wszyscy opuścić mieszkanie p. Hoffmanowej i jej dzieci, ponieważ u Rysia nastąpiła wpadka. Chłopcy nakryci przez Gestapo w jakimś mieszkaniu w Warszawie uciekli zanim nadjechał wóz policyjny, ale ich dokumenty pozostały w rękach Gestapo. Rysio zatelefonował, byśmy natychmiast opuścili mieszkanie. Co też uczyniliśmy. P. Hoffmanowej było o tyle łatwiej, że miała wiele znajomości w Warszawie, mnie i Staszkowi trudniej, bo jego nikt nie chciał przetrzymywać. Lala Dobrzańska (żona przedwojennego sędziego Sądu Najwyższego) z pobudek chrześcijańskich odstąpiła Staszkowi suterenę.

Zanim jednak to wszystko się stało, mieliśmy po drodze drugie wydarzenie ze szmalcownikami. Było lato 1944 (być może czerwiec?), upał. Z powodów, których sobie nie przypominam, mieszkaliśmy czasowo u Marysi i trzeba było gdzieś się podziać. Wymyśliłam, byśmy udali się do Podkowy Leśnej i tam wynajęli na krótki czas pokój w pensjonacie. Staszek, który miewał świetne intuicje, nie zgadzał się na to, jednak – doprawdy – nic innego nie przychodziło mi na myśl. Pojechaliśmy. On zachowywał się jakby szedł na skazanie. I rzeczywiście. Zaledwie wysiedliśmy i przeczytaliśmy ogłoszenie o wynajmie, chcieliśmy wpierw zatelefonować pod wskazany numer, czy istotnie jest wolna kwatera. Weszliśmy do jadłodajni i podeszliśmy do telefonu. Otoczyło nas czterech mężczyzn, wyprowadziło na ulicę i zaczęło bić Staszka w okrutny sposób. Stałam z boku, przyglądając się tej scenie. Nie wiedziałam, jak go bronić, oczekiwałam, że mnie też spotka lanie po twarzy. Jednakże jeden z mężczyzn odprowadził mnie na bok i rozpytywał cośmy za jedni. Prowadziłam rozmowę w lekkim tonie (grałam komedię), nieco zalotnie. Prosiłam, by nakłonił swych towarzyszy do zachowania spokoju, dobijemy targu. Mój rozmówca przedstawił się jako kupiec z Łodzi. Nie posiadałam grosza przy duszy, jeno piękne futro karakułowe mamy, które przed niedawnym czasem zdołałam przywieźć z Krakowa. Zażądano gotówki, obiecałam futro, byle tylko wrócić po nie do Warszawy. Jeden ze szmalcowników był [z] Niemcem, o ile pamiętam SS-manem. Bił jak zwierzę, z pasją, lubością. Nie człowiek! Groził wyłupieniem oka scyzorykiem, pewny bezkarności. Nie płakałam, byłam cała spięta, myślałam tylko o ratunku, ocaleniu Staszka. Za pośrednictwem „kupca" z Łodzi rozpoczęły się pertraktacje. Ponoć uwierzono w moją aryjskość i to miało stanowić okoliczność łagodzącą. Zgodzono się na wyprawę do Warszawy po futro. Wysiedliśmy z kolejki, Staszek pilnowany przez dwu panów, ja oddzielnie w innej części wagonu przez jednego („kupca"). Po drodze toczyła się rozmowa na temat przyczyn zamieszkiwania z „Żydem".

Namowy, by go porzucić, skoro pozostawanie razem grozi mi śmiercią. Odpowiedziałam szczerze (i jakże naiwnie w tej sytuacji), że go tak kocham, iż nie mogę pozostawić go samego. Wysiedliśmy w Warszawie, dwie riksze zawiozły nas do mieszkania

Marysi (mnie ze stróżem) i Staszka do nieznanego mi mieszkania na Mokotowie, gdzie miało być dostarczone futro lub gotówka. Oddawałam futro, a jeszcze szły targi, bym to spieniężyła. Była noc, po godzinie policyjnej, gdzie miałam spieniężać futro. Ubłagałam, by się zgodzono na karakuły. Mój „anioł stróż" oddalił się z łupem. Zostałam sama, niemal pewna przegranej. Myślałam z rozpaczą, że teraz straciłam bezpowrotnie ukochanego. Minęły długie godziny. Zjawił się Staszek nieco zawiany. Szmalcownicy ugościli go kolacją i zgodnie z umową, zabrawszy futro, odstawili do domu (do Marysi przy al. Niepodległości) nakarmionego, całego i zdrowego. Radość nie miała granic. Jednakże nazajutrz skoro świt trzeba było opuścić mieszkanie, byliśmy bowiem pewni, że będą nas szukać celem zyskania dalszego okupu. Tak też zrobiliśmy. Gdzieśmy się podziewali, już nie pamiętam. Marysię nachodzono kilkakrotnie w naszej sprawie. Nie wydała, bo nie wiedziała, gdzie przebywamy, zresztą ona nie była strachliwa, ale rezolutna.

Najdłużej jednak przemieszkiwaliśmy u p. Hoffmanowej. Ona nie wytrzymywała nerwowo aktywności swych dzieci. Często bywała pijana. Zarabiała wypiekiem ciast (pysznych). W kuchni spała wraz ze swym psem, którego nikt nie wyprowadzał na skwerek. Pies sadził kupy na środku kuchni. Okropnie brzydziłam się tej brudnej, cuchnącej kuchni.

Działy się tam – jak wspomniałam – dziwne rzeczy. W sąsiednim pokoju odbywały się szkolenia wojskowe teoretyczne, potem Rysio znikał w Puszczy Kampinoskiej na ćwiczeniach wojskowych. Matka chodziła bez życia, Anka snuła się półprzytomna.

Z naszych okien widzieliśmy pętlę tramwajową przy ul. Gdańskiej (wówczas tramwaje nie kursowały na Bielany). Jednego razu wyniesiono trupa z tramwaju i przykryto gazetami. Leżał do wieczora. Kto i kiedy zabrał zwłoki – nie wiadomo. Na Bielanach znajdowały się koszary wojskowe. Stamtąd gruby, starszy sierżant (może innej rangi?) prowadził Niemców każdego ranka na ćwiczenia. Śpiewali „Mein schöner Heimatland… ich will dich lieben bis in den Tod"[88].

[88] Powinno być: „Wir ziehn ins Weserland, ins schöne Heimatland, ich will dich lieben bis in den Tod".

Na rogu ul. Gdańskiej i Słowackiego, tuż pod naszym domem, był mały placyk targowy. Wąskie przejścia między kratami ułatwiły zamach na oficera Niemca. Co się później działo, trudno opisać. Niemcy szaleli, szukając sprawców zamachu. Otoczyli nasz blok, grożąc wyprowadzeniem wszystkich mężczyzn. Na ulicy rozpoczęła się strzelanina, formalna bitwa. Niemcy ustąpili (pewnie było ich zbyt mało). Odetchnęliśmy z ulgą. Nasi mężczyźni pozostali w domach.

W bloku przy Gdańskiej 2 mieszkało wiele ludzi. M.in. młodsza siostra mojej koleżanki szkolnej ze Lwowa, niejakiej Lublińskiej. Udawałam, że jej nie poznaję, by się nie bała, że ją zadenuncjuję (Żydówka). Jednakże ona sama mi się przypomniała. Podobnie zachowałam się na pl. Wilsona na przystanku tramwajowym. Obok mnie stała Marta Steiger z Blanką – obie znane mi ze Lwowa Żydówki. Jednakże – widocznie były pewne mojej dyskrecji – bowiem serdecznie mnie pozdrowiły pytając, czy je poznaję. Padłyśmy sobie w ramiona. One opiekowały się córeczką Haliny Górskiej (rozstrzelanej we Lwowie przez Gestapo) Krysią. Ogromnie cieszyłam się, że żyją, walczą o życie, tyle we mnie było przyjaźni i radości w stosunku do ludzi w trudnej sytuacji życiowej.

Po wojnie Staszek dowiedział się, że dozorca bloku przy Gdańskiej donosił Niemcom o ukrywających się Żydach. Podobno i my byliśmy na jego liście. Pewnego dnia przyszli do niego żołnierze z podziemia, odczytali mu wyrok śmierci i zastrzelili w łóżku. W ten sposób uniknęliśmy nowej wpadki, zapewne śmierci w Treblince.

Zamach na Kutscherę[89]. Byłam wtedy na Starówce, a potem chyba na Wilczej, gdzie miałam prywatne lekcje. W naszym bloku piętro wyżej przyprowadzono rannego w zamachu. Rysio nieco uspokoił się, przyczaił, odwiedzał kolegę. Od p. Hoffmanowej wiedzieliśmy, co się stało. Pogrzeb Kutschery wprawił w popłoch Stare Miasto i trasę, a raczej mieszkańców trasy pogrzebu. Wszystkich wyganiano z domów, nie informując o celu tego zarządzenia. Ludzie wyobrażali sobie, że to wysiedlenie. Pchali więc wózki z bagażami, zabierali z domów najpotrzebniejsze rzeczy. Pędzono ich

[89] Akcja Kutschera – udany zamach żołnierzy AK na dowódcę SS i Policji na dystrykt warszawski Franza Kutscherę, dokonany 1 lutego 1944 roku.

przed siebie. Panowało zamieszanie, a Niemcom szło o opróżnienie domów na trasie konduktu żałobnego, by uchronić hitlerowskich dygnitarzy przed ewentualnym zamachem. Tramwaje nie kursowały na tej trasie. Musiałam z Wilczej iść pieszo na Żoliborz i w ten sposób stałam się świadkiem paniki ludności tej części Warszawy.

Bywałam w niezbyt dobrym stanie nerwowym. Także otaczające mnie okrucieństwo prowadziło do dewiacji psychicznych. Nieznane mi przed wojną uczucie okrucieństwa w stosunku do wroga, chęci zemsty, nienawiści, teraz przybierało formy dość monstrualne. Lubiłam iść krok w krok za oficerem niemieckim w czapie z zadartym denkiem, wpatrywać się w jego tłusty kark (były to chłopy wysokie, potężne) i wyobrażać sobie z przyjemnością, że go tnę żyletką i po jego karku spływa obficie krew.

Czasem miewałam przywidzenia. Jednego razu np. na Żoliborzu minęłam ciężarowe auto; pod plandeką ujrzałam siedzących na ławkach mężczyzn w mundurach, wśród nich jeden cywil. Wydawało mi się, że to mego Staszka gdzieś wiozą i nigdy się nie dowiem, co się z nim stało. Biegłam za samochodem, wołając Staszka. Wóz przemknął szybko i zniknął. Biegłam do domu, wpadłam zadyszana wprost w objęcia Staszka, nieco zdziwionego moim stanem.

Uczucie zagrożenia, bezsilności, a przede wszystkim upodlenia, zdeptania człowieczeństwa. Po przygodach ze szmalcownikami płakałam właśnie z powodu deptania człowieczeństwa, godności drogiego mi człowieka.

Sprawa honoru – tak silnie wpojona mi przed wojną – była mi naczelną zasadą życia także i po wojnie. W czasach komuny również najbardziej bolało mnie to, że nie będąc partyjną, należałam do obywateli drugiej kategorii.

Wracam jednak do relacji okupacyjnych. Cofnę się do powstania w getcie. Wówczas wędrowaliśmy ze Staszkiem z Mokotowa na Żoliborz przez plac Krasińskich, obok owej słynnej karuzeli. Za murem było piekło. Z okien wyskakiwali lub padali od strzałów ludzie. Nasza bezsilność, udawanie, że nie widzimy co się dzieje, że nie ma nas (tchórzostwo), gdy w ruinach na ul. Świętojańskiej[90] (czy Bonifraterskiej) jęczał ranny Żyd i nic nie mogliśmy

[90] Świętojerska (przecznica Bonifraterskiej) – jest na Starym Mieście, poza terenem getta.

pomóc, nie mając własnego kąta ani grosza. PP. Ossowscy byli ogromnie przygnębieni sytuacją w getcie. Owa Wielkanoc nie była wcale radosna. Dymy płonących domów getta otulały miasto. Groza wiała stamtąd. Bałam się myśleć o dramacie tam się rozgrywającym.

Na Żoliborzu wpadła grupa studentów socjologii odbywająca zajęcia na tajnym komplecie. Znów groza wśród nas. Nie pamiętam z jakiego powodu otoczono blok, gdzie mieszkała Nina Assorodobraj z rodziną. Ninę wyprowadzono na podwórze i – wydawało się, że te wyprowadzone z mieszkania osoby gdzieś wywiozą. Jednakże łapanka miała jakieś inne cele. Pozwolono Ninie wrócić do mieszkania p. Zosi Podkowińskiej. Nazajutrz zaniosłam jej na znak radości dużego lizaka. Byliśmy częstymi gośćmi w tym mieszkaniu. Przebywały tam niezwykłe kobiety (Irena Sawicka, Zosia, p. Lala z Wisią, ciocia Tachna, no i Nina), zawsze gotowe do pomocy, mądre, dzielne, dodawały otuchy i miałam tam złudne poczucie bezpieczeństwa. Ciocia Tachna przyrządzała świetną pieczeń z koniny. Naszym pożywieniem też była często konina. Szczególnie pyszny był smalec koński, przypominający smalec gęsi. Na III kolonii Żoliborza mieszkało sporo Żydówek. Znałam je wszystkie i lubiłam. Marylę Trzcińską wywieziono do Ravensbrück. Przeżyła. Wróciła po wojnie do swej córeczki Krysi.

Stałym naszym gościem przy ul. Gdańskiej był – jak wspomniałam – Roman Lutman. Z ramienia Rządu Londyńskiego utrzymywał nadal Instytut Śląski. Zaproponował Staszkowi opracowanie historii ustroju Śląska. Płacono mu za to 300 zł miesięcznie, co wystarczało na opłacenie mieszkania p. Hoffmanowej i dla mnie stanowiło wielką ulgę. Zresztą moje lekcje w 1944 roku były tak rozbudowane, że wystarczało nawet na kupno masła i białego chleba. Chodziłam wprawdzie w podartych butach, ale odżywialiśmy się nieco lepiej. Raz nawet otrzymaliśmy paczkę żywnościową od Jędrusia Kłodzińskiego, a raz dali znać o sobie wujostwo Staszka, przysłali nam cukier buraczany własnego domowego wyrobu.

Nieco chaotycznie teraz opowiadam o naszym bytowaniu.

Staszek potrzebował książek naukowych do opracowania historii ustroju Śląska. Ktoś znajomy skierował mnie do prof. Herbsta[91], zatrudnionego w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. On zawierzył mi i wypożyczył na własne nazwisko książki. Staszek rozpoczął więc intensywną pracę. Przepisywanie na maszynie można było zrealizować, gdy pożyczył mi własną maszynę prof. Ossowski. Historia ustroju Śląska ukazała się drukiem po wojnie nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach, którego dyrektorem nadal był Roman Lutman.

Praca naukowa była dla Staszka ogromnym dobrodziejstwem. Spędzał czas albo w towarzystwie Lutmana, a przeważnie sam, oczekując na mój powrót z lekcji. Miał więc określony cel, zorganizowany czas i to mu pozwalało przetrwać długie godziny samotności.

***

Wśród osób, u których miewałam azyl, była też odnaleziona przeze mnie w Warszawie moja kuzynka Lidka Wilczyńska-Lorentowiczowa. Lidka skończyła Politechnikę Lwowską, była chemikiem. Pracowała w szkolnictwie jako nauczycielka chemii. Mieszkali na Czerniakowskiej, w brzydkim mieszkaniu w starej kamienicy. Lidka bardzo serdecznie odniosła się do mnie. Mój mąż ich nie odwiedzał. Wówczas unikał wychodzenia z domu z uwagi na szmalcowników. Jednakże w razie konieczności miał u kogo nocować. Pożyczałam też ciekawe książki od pp. Lorentowiczów (np. Kucharzewskiego „Od białego caratu do czerwonego"). Mieli oni małego, bardzo nieznośnego synka, do którego Lidka nie miała za grosz cierpliwości. Dzieliła się ze mną np. ziemniakami, których nadmiar posiadała w piwnicy. W czasie powstania warszawskiego jej mąż zaginął (pewnie poległ).

[91] Stanisław Herbst (ur. 1907 – zm. 1973) – historyk wojskowości, miast i kultury nowożytnej. Po zakończeniu II wojny światowej pracował w Bibliotece UW. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego i WAP. Prezes PTH (w latach 1956–1973).

Rozmowa z Romkiem Bobinem, rok 1943[92]

W Warszawie wówczas ustawicznie szukałam jakichś punktów oparcia, by np. pożyczyć pieniądze, u kogoś się przespać. Odszukałam Romka Bobina, zamieszkałego jeszcze przed wojną w Warszawie. Spędził okres 1939–1943 w Warszawie i o wywózce swoich rodziców do Kazachstanu dowiedział się najprawdopodobniej dopiero po inwazji Niemców na ZSRR.

Zastanawiał się, jak to się stało, że jego rodzice zostali wywiezieni, a moi nie. Rozumowanie jego było proste: wydano mnie za mąż za Żyda (Żydokomuna!) i na skutek tego rodzice moi byli bezpieczni. Wiadomo, że komuna to Żydzi. Jednym słowem „sprzedano mnie", by zapłacić cenę za pozostanie we Lwowie.

Okropieństwo. Starałam się jak najszybciej od niego wyjść, bo przecież nie miałam z kim prowadzić dyskusji i prostować błędów.

Najmłodszy z Bobinów, Staszek, ukończył już po wojnie politechnikę. Był inżynierem chemikiem. Zjawił się u mnie przy Laurowej[93] dwukrotnie. Raz – ponieważ miał zdawać jakiś egzamin na politechnice (być może wówczas studiował w Łodzi). W czasie okupacji ożenił się z panną, która była właścicielką kamienicy w Warszawie, kamienica spłonęła w powstaniu, żona została.

Po raz drugi odwiedził mnie, by zabrać książki pana Bobina, które mój ojciec wysłał ze Lwowa wraz z naszymi książkami. Po prostu oświadczył, że ma żonę historyka i bezceremonialnie zabierał z półek swą własność, nie pytając, czy moja rodzina poniosła jakiekolwiek koszty w związku z przechowaniem i przywiezieniem tych książek. Milczałam. Wyprosiłam jedynie, by mi pożyczył Korzona „Kościuszkę", bowiem wówczas przygotowy-

[92] Fragment zatytułowany „Rozmowa z Romkiem Bobinem" znajdował się na dodatkowej stronie maszynopisu oznaczonej nr 43a.

[93] Chodzi o dom przy ulicy Laurowej 2 w Łodzi, w którym Śreniowscy zamieszkali po wojnie; zob. Wprowadzenie, s. 20.

wałam książkę o Kościuszce[94]. Zgodził się. Nigdy swej własności nie odebrał.

Od Romka dowiedziałam się, że popełnił samobójstwo przez otrucie – ponoć wskutek jakichś malwersacji finansowych, z których nie umiał się wyplątać. Najstarszy Bobin, Zbyszek, był oficerem marynarki handlowej. W czasie wojny nie było go w kraju. Po wojnie osiadł w Australii i tam zmarł.

Ciąg dalszy historii z Rysiem Hoffmanem i naszym przymusowym opuszczeniem mieszkania.

P. Hoffmanowa spotkała mnie na ulicy i prosiła, bym z jej mieszkania wyniosła cenniejsze rzeczy. W razie rewizji, wyważenia drzwi, mogłyby wpaść w ręce Gestapo i zostać skonfiskowane. Nie mogłam p. Hoffmanowej odmówić. Poszłam więc na Gdańską 2, spakowałam pościel, srebro itp. I po zamknięciu bramy w czas godziny policyjnej, starałam się uporać z tym dobytkiem. Część rzeczy zaniosłam do piwnicy, część zaś do sąsiadów, znajomych Hoffmanów (wskazanych przez p. Hoffmanową). Przy tej okazji zapoznałam się z nocnym życiem konspiracyjnym. Wówczas odżywały kontakty, przez korytarze przemykali znajomi z bibułą czy innymi sprawami. Młodzież ogromnie się ożywiała.

Owi znajomi p. Hoffmanowej okazali się ogromnie sympatyczni, odważni ludzie. Po załatwieniu tej sprawy musiałam pozostać na noc w pustym mieszkaniu. Strach mnie oblatywał, wyobrażałam sobie, że właśnie przyjdzie Gestapo po Rysia i zabierze mnie zamiast Hoffmanów. Mimo strachu przenocowałam spokojnie i rano udałam się – jak zwykle – na moją wędrówkę po Warszawie na lekcje.

Od tamtego czasu widywałam się z p. Hoffmanową jedynie przelotnie, na ulicy.

---

[94] Śreniowska miała zapewne na myśli książkę T. Korzona *Kościuszko. Biografia z dokumentów wysnuta. Poprzedzona rzutem oka na dzieje muzeum Narodowego w Rapperswilu i katalogiem zbiorów kościuszkowskich w tymże Muzeum przechowywanych*, Kraków 1894 (wyd. 2, Kraków 1896).

***

Od wpadki marcowej ze szmalcownikiem, który odebrał nam wszystkie dokumenty wraz z kennkartami z Krakowa, musiałam postarać się o fałszywe papiery. Nazywaliśmy się Bieniasz. P. Kreczmar miał znajomości wśród osób trudniących się wyrobem fałszywych dokumentów i on skontaktował mnie z odpowiednią osobą. Zresztą dowiedziałam się wkrótce potem od p. Kreczmara, że owa osoba wpadła.

Trzeba było wyrabiać w Warszawie kennkartę, stawić się osobiście po jej odbiór i znów strach, że Staszek wpadnie. Obyło się bez tego.

Kartę pracy, czyli Arbeitskarte, wyrabiał Janek Kott[95], wydając legitymacje jakiejś firmy elektrycznej (nieistniejącej). Dał Staszkowi za darmo taką lipną Arbeitskarte, by w razie czego mógł się legitymować jako zatrudniony, a nie bezrobotny. Janek Kott trudnił się handlem walutą i później, jak sprzedaliśmy Jance Morawickiej parcelę w Morszynie, Janek wymieniał nam złotówki na złote ruble. Wierzyłam, że Kott nas nie oszuka. Znałam go z czasów Ossolineum. Wówczas odwiedzał w biurze p. Kreczmara, zatem znaliśmy się od początku wojny. Zresztą lubiłam z nim kontakt z uwagi na jego humor, fantazję, działanie w nieprawdopodobnych sytuacjach „na wariata". Wychodził cało z różnych opresji. Jedynie nigdy nie byłam pewna, czy jego opowieści są prawdziwe czy zmyślone. Nieoceniona wyobraźnia, fantazja, niepospolite zalety i urok tego człowieka pozostały mi w pamięci.

Wiosną 1944 uznaliśmy, że trzeba koniecznie zaopatrzyć się w gotówkę. Życie kupuje się za złoto. Rodzice Staszka posiadali parcelę w kurorcie Truskawiec. Była ona z uwagi na jej usytuowanie bardzo wartościowa. Kłopot polegał na tym, jakim sposobem ją sprzedać, skoro nie mogliśmy się ruszyć z Warszawy. We Lwowie miałam kuzynkę (Janka z Cyprianów Morawiecka), która za okupacji niemieckiej kręciła sporo businessów we Lwo-

[95] Jan Kott (ur. 1914 – zm. 2001) – historyk literatury i teatru, edytor, tłumacz, eseista.

wie. To jej zaproponowałam lokatę kapitału w formie kupna tej parceli. Zgodziła się z ochotą. Lokowanie pieniędzy w ziemi wydawało się najpewniejszym sposobem ich zabezpieczenia. Nie pamiętam już, w jaki sposób przesłała mi pieniądze. Zobowiązaliśmy się po wojnie do formalnej sprzedaży z udziałem notariusza. Otrzymane pieniądze zamieniliśmy na ruble (może dolary), pomógł Kott, który podówczas żył z handlu walutą. Posiadanie tej gotówki nieco poprawiło nasze samopoczucie. Strzegliśmy jej pilnie, do czasów powojennych, kiedy osiedliliśmy się w Łodzi[96].

W roku 1943 jesienią lub 1944 wiosną zjawił się w Warszawie prof. Józef Feldman. Zatrudnienie znalazł na tajnym uniwersytecie. Wraz z jego pojawieniem się znalazłam nowych darczyńców. To on wprowadził mnie do domu Jadwigi Lechickiej[97] (po wojnie prof. Uniwersytetu w Toruniu), która miała szerokie kontakty w szkolnictwie.

Przyjmowała mnie w swoim domu przy ul. Rakowieckiej. Jedliśmy na obiad kaszę jaglaną z mlekiem (pycha!). Ona to zaprotegowała mnie do domów prywatnych jako korepetytorkę. Przy ul. Wilczej mieszkała lekarz-dentysta i jej syna Witka Brybowskiego uczyłam. Mile wspominam tego zdolnego i pilnego chłopca. Natomiast inna protegowana (nazwiska nie pamiętam) była tak tępa, że mimo wysokiego wynagrodzenia szybko zrezygnowałam z nauczania, bowiem wiedziałam, że niczego nie potrafię nauczyć tej dziewczyny. Mieszkała ona w pobliżu alei Szucha. Zbliżałam się tam z trwogą. Bliskość katowni przejmowała mnie grozą.

Prof. Feldman zapoznał mnie też ze swym dawnym kolegą uniwersyteckim prof. Stefanem Truchimem[98]. On również miał szerokie znajomości w kręgach osób nauczających potajemnie.

[96] Tan akapit mieścił się na osobnej karcie oznaczonej nr 44a.

[97] Jadwiga Lechicka (ur. 1898 – zm. 1965) – historyk i dydaktyk historii. Po wojnie związana z Uniwersytetem Łódzkim, od 1946 r. z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie w 1962 r. objęła kierownictwo Katedry Historii Polski i Powszechnej XV–XVIII wieku.

[98] Stefan Truchim (ur. 1896 – zm. 1967) – historyk kultury, oświaty i wychowania. Profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej. W latach 1928–1932 dyrektor Biblioteki Pedagogicznej w Poznaniu. Jeden ze współtwórców Uniwersytetu Łódzkiego (1945).

Z jego polecenia uczyłam w szkole rzemieślniczej łaciny. Lekcje okupacyjne odbywały się więc z rana, przed dozwolonymi lekcjami. Była to szkoła przy ul. Starej 6 na Starówce (dziś nie istnieje). Łaciny uczyłam też z polecenia p. Jerzego Kreczmara w wyższych klasach gimnazjalnych. Poziomu nie wytrzymywałam. Było to dla mnie za trudne. Prosiłam p. Kreczmara, by mnie z tego zwolnił, przyznając się uczciwie, że mam za mało wiedzy. Ale on mnie wyśmiał i nakazał dalej uczyć. Tak więc przybywało obowiązków, no i gotówki.

Kiepską stroną protekcji prof. Feldmana była sprawa jego niedyskrecji. „W tajemnicy" opowiadał o mojej sytuacji osobistej, z czego nie byłam zadowolona. W ten sposób rozchodziły się ploty, rósł krąg „wtajemniczonych", a z tego nic dobrego nie mogło wyniknąć. Feldman proponował mi też napisanie krótkiej, popularnej historii Polski, którą można by wydać w drugim obiegu. Nie umiałam się skoncentrować, nie umiałam wykonać zadania. Doszło między nami do kwasów, nieporozumień. Zrezygnowałam (i dobrze).

Nie mogę się więc skarżyć na brak życzliwości i prób pomocy. Oparcie w środowisku ludzi życzliwych daje poczucie bezpieczeństwa, co było na pewno niezwykle cenne.

Zbliżały się miesiące letnie 1944 roku. Front się załamał, Niemcy uciekali na zachód, Volksdeutsche i różni współpracownicy Gestapo wynosili się z Warszawy. Pędzono jeńców rosyjskich ulicami Żoliborza. Widok przerażający! Wygłodzeni, słaniali się na nogach. Tłum warszawiaków zgromadzony na chodnikach rzuca im chleb, papierosy. Odganiany przez konwojentów niemieckich.

Niemniej czuliśmy sympatię do tych pędzonych nieszczęśników. By dodać im otuchy, wołaliśmy: Niech żyje Stalin! Ostatecznie ze wschodu – tak realnie rzecz biorąc – mogło przyjść wyzwolenie od Niemców. Londyn był daleko, drugiego frontu wówczas jeszcze nie utworzono.

Ale wracajmy do spraw osobistych, bliskich. Pewnego dnia zatelefonował do sąsiadów Rysio Hoffman, że całą grupą wpadli, że pobili pilnujących ich Niemców i uciekli, zanim przyjechała buda policyjna. Nakazał natychmiast opuścić mieszkanie,

spodziewając się rewizji, skoro dokumenty zostały w rękach Gestapo. Cóż było robić. Wyszliśmy. P. Hoffmanowa z Anką do jakichś przyjaciół, ja ze Staszkiem po prostu na ulicę. Wtedy ukryłam Staszka u wspomnianej wyżej Lali Dobrzańskiej w suterenie, w domku na Żoliborzu. Dobrzańską znałam przed wojną. Zaprzyjaźniona była z Cyprianami i Janką Morawiecką, moimi krewnymi. Sama pani Dobrzańska gdzieś się ulotniła. Ja pętałam się bezdomna. Byłam w okropnym stanie psychicznym. Wydawało mi się, że mam „złą" twarz, tj. wyglądam na Żydówkę. Jakaś obsesja mnie ogarnęła. Chodziłam na lekcje po całej Warszawie jak struta. Dowiedziała się o mnie siostra p. prof. Ossowskiej, p. Irena Kurowska. Zaprosiła mnie do siebie. Mieszkała na III kolonii żoliborskiej, tam gdzie Nina, pp. Ossowscy, Kreczmarowie. Mieszkanie było na parterze, okna na ul. Suzina. P. Kurowska należała do niezwykle dzielnych i odważnych osób. Nie trzeba było jej prosić, sama niosła pomoc, szła na ratunek potrzebującym. Pozwoliła też sprowadzić Staszka.

Tam doczekaliśmy wybuchu powstania. Powstanie na Żoliborzu rozpoczęło się o dwie godziny wcześniej niż w Śródmieściu. Bez rozkazu. Chęć odwetu, odegrania się na Niemcach była tak powszechna, młodzież kipiała i rwała się do walki. Tu żadne rozkazy nie mogłyby jej powstrzymać[99]. Zdawało się, że Niemcy już uciekli. Jednakże powrócili. Byłam świadkiem zastrzelenia powstańców (patrol powstańczy) na ul. Krasińskiego, naprzeciw naszych okien.

Moi uczniowie, przeważnie z AL, natychmiast stanęli do walki. Pod moim oknem stał na barykadzie 13-letni uczeń, wysoki, wyrośnięty. Żoliborz przecięły okopy, które stanowiły drogę kontaktowania się z ulicami willowymi (np. Romanem Lutmanem – Wolskim). Prądu, wody nie było. W piwnicach organizowano szpitale wojskowe. W naszym bloku działała kuchnia żołnierska. Z p. Ireną Kurowską zgłosiłyśmy się do gotowania posiłków. Staszka trzymałam w piwnicy, sytuacja bowiem była niepewna.

[99] Informacja niepotwierdzona. Przed godziną W doszło jedynie do przypadkowej strzelaniny w rejonie placu Wilsona, na którą Niemcy zareagowali koncentracją sił.

Wiele osób wierzyło, że Żyd nie ma prawa żyć. Zresztą on był na skutek ukrywania się tak zgnębiony psychicznie, iż można to określić jako stan w pewnym sensie nienormalny, chorobowy. Wychodził jedynie, gdy trzeba było gasić pożary. Wtedy się uaktywniał i nie myślał o własnej skórze.

Praca w kuchni żołnierskiej zakończyła się fatalnie. Niosłyśmy z p. Ireną Kurowską ciężki kocioł z gorącą zupą. Nieostrożnie przechyliłam ów kocioł i oparzyłam p. Irenie nogę. Położyliśmy ją w naszej piwnicy, opatrzyliśmy ranę, jednakże na drugi dzień dostała silnej gorączki. Staszek sprowadził ze szpitala wojskowego lekarza. Nakazał okłady etc. Wszystko to starannie wykonywaliśmy przy chorej w miarę naszych możliwości. Noga długo się nie goiła. Mieliśmy okropne zmartwienie. W warunkach mieszkania w piwnicy, niemożności zdobycia leków, mycia itp. Biedna p. Irena z hartem znosiła los. Jakoś nie wyrażała żalu do mnie, bo przecież wiedziała, że to przypadek. Ona była wysoka, ja – mała. Zatem utrzymanie równowagi przy dźwiganiu kotła nie było łatwe.

Zresztą jakoś nie mieliśmy szczęścia w świadczeniu dobra na rzecz pp. Ossowskich. W miarę coraz silniejszego ostrzału, gdy strzelano z tzw. przez nas „krowy", domy waliły się jak domki z kart. Zachodziła więc obawa, że i nasz blok runie nam na głowę. Za radą i zgodą p. Kurowskiej znieśliśmy do piwnicy bibliotekę pp. Ossowskich, bowiem zdawało się, że tu jest bezpieczniej. Tymczasem już po opuszczeniu Warszawy mieszkania na piętrze ocalały, a dobro zgromadzone w piwnicy spłonęło (być może od granatów). Biblioteka profesora przepadła. Dobre chęci, dobre uczynki – jak widać – nie zawsze owocują. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że ludzie, którzy mi tyle dobra wyświadczyli, których tak wysoko cenię i uważam za szczęście i zaszczyt, że ich znałam, że cieszyłam się ich życzliwością – nie zaznali ode mnie niczego dobrego, choć starałam się o to.

P. Kurowskiej noga goiła się powoli. Gdy jednak po skończonym powstaniu Niemcy wygnali nas z piwnic i szliśmy pochodem na Dworzec Zachodni, skąd nas wywieziono do Pruszkowa – noga p. Ireny zaczęła krwawić. Cienka warstwa skóry jeszcze dostatecznie nie zagoiła rany. W Pruszkowie nas rozdzielono.

Gdzie się podziewała p. Irena po powstaniu – nie wiem. Być może przebywała z pp. Ossowskimi, którzy w czasie powstania mieszkali pod Warszawą na wsi.

***

Mój kochany tato miał jednak w oczach obraz Niemców z pierwszej wojny światowej. Wierzył w ich poczucie prawa, w to, że to przecież cywilizowany naród. Wyobrażał sobie, że mnie nic nie grozi, skoro jestem tzw. aryjką, że w razie wpadki wnikliwie zbadają moje dossier i tylko Staszkowi grozi zagłada. Przysłał mi więc do Warszawy notarialnie poświadczone papiery aryjskie do trzeciego pokolenia wstecz. Biedny tato! Widocznie nie zdawał sobie sprawy, że nikt nie brałby na serio tych dokumentów. Zresztą za ukrywanie Żydów groziła kara śmierci. Ale – być może – tatę uspokajała ta papierowa zabawa, pewnie chciał, bym była bezpieczna. Dziwna to sytuacja. Rodzina akceptuje moje małżeństwo bez zastrzeżeń, nie potępia i naiwnie wierzy, że nie jestem narażona. Dziwna naiwność. Ludzie żyjący całe życie „jawnie" nie mogli pojąć, że trzeba być „niejawnym". Nie mam do nich żalu. Kocham ich.

Powstanie opisywano już wielokrotnie. Niewiele mogę wnieść w jego opis. Moje wrażenia odbieram z pozycji szczura siedzącego początkowo w mieszkaniu p. Ireny. Za oszklonymi drzwiami siadywałam na materacu rozłożonym na podłodze i zaczytywałam się w „Przeminęło z wiatrem", pamiętniku Joyce'a[100] i innych wielce pasjonujących lekturach. Czyniłam to mimo irytacji p. Ireny i Staszka, którzy nie mogli ścierpieć mojej lekkomyślności i flegmy, skoro nawet w czasie silnego ostrzału nie ruszałam się zza oszklonych drzwi. Sytuacja jednak się zmieniała. Mieszkanie p. Ireny upatrzył sobie sztab Żoliborza i zajął na swoją

[100] Prawdopodobnie chodzi o *Portret artysty z czasów młodości*, jedyne dzieło Joyce'a przełożone przed wojną na język polski.

kwaterę. My przenieśliśmy się do piwnicy pp. Ossowskich. Tam też czytałam, ile tylko światła i czasu starczyło. Mieszkania nasze stawały się powoli jakby niczyje. W czasie ostrzału ludzie uciekali do piwnic, nie mając czasu zamykać drzwi od mieszkań. P. Irenie zabrano pianino – jej ukochane – dla jakichś celów wojskowych (umilanie powstańcom chwil wytchnienia). Staszek ostro interweniował – bez skutku. P. Irena płakała. Piwnice były coraz bardziej zatłoczone uchodźcami z Marymontu, dokuczał głód. Nasze zapasy sucharów z czarnego chleba szybko topniały. Mieszkaliśmy w towarzystwie szczura wędrującego po rurach od centralnego ogrzewania. Okienko piwnicy zasypane ziemią od strony ulicy uniemożliwiało szczurowi ucieczkę. Latryna znajdowała się na środku podwórza. Chorowaliśmy na biegunkę i zdarzało mi się zbyt długo zajmować ów apartament. Energiczne dobijanie się innych potrzebujących wyganiało mnie z ustępu. Jednakże rozkosze korzystania z latryny szybko się skończyły na skutek bomby rzuconej z samolotu. Wybiła ona ogromny lej na środku podwórza i w jej wnętrzu legł nasz niezbędny przybytek.

Po zdobyciu Pragi przez krótki czas broniła nas przed nalotami niemieckimi artyleria Berlinga. Nawet jednej nocy ujrzeliśmy skoczków spadochronowych (Polaków), którzy przybyli wraz z pakami broni i amunicji[101]. Instruowali oni powstańców w przedmiocie obchodzenia się z bronią. Z Kampinosu przybył oddział AK-owców, brudny, zawszony. Kobiety prały koszule, naprawiały odzież. Staszek przesadnie bał się o mnie. Raz ktoś doniósł, że właśnie zginęłam stojąc w kolejce po wodę, innym razem już mnie opłakał, bowiem nieostrożnie weszłam pod ostrzał. Wyprawy na działki po pomidory kończyły się niepowodzeniem, bowiem Niemcy z dala nas dostrzegali i puszczali serie z automatów. Noga p. Ireny powoli się goiła.

Fryzjer z rogu ulicy strzygł klientów na podestach klatki schodowej. Dokarmiałam jakiegoś samotnego pana mieszkającego na II piętrze i nieopuszczającego nigdy mieszkania. W czasie

[101] Informacja niepotwierdzona. W pomocy dla powstańców ze strony żołnierzy armii Berlinga nie wykorzystywano wojsk spadochronowych.

ostrzału spadające belki zraniły Janka Strzeleckiego[102]. Wtedy znałam go tylko z widzenia. Biegał z obandażowaną głową z bronią gotową do strzału.

W piwnicach uprawiano seks. Młodzież powstańcza nie krępowała się. Nic w tym dziwnego. Za chwilę po wyjściu z piwnicy groziła śmierć. Wszelkie hamulce przestawały działać. Nie było już naszych mieszkań, tylko wspólne, nie było jedzenia. Dla mnie wszelkie dobra przestawały mieć jakąkolwiek wartość poza samym życiem, przeżyciem, istnieniem. Sytuacja wydawała się groźna, szczególnie po upadku Starówki. Żoliborz był odcięty. Opór wydawał się beznadziejny, jednak nikt nie wyobrażał sobie kapitulacji.

Okopami przychodził do nas Roman Lutman. Cieszyliśmy się, że jeszcze trwamy, jeszcze żyjemy. W czasie jednego z bombardowań, gdy dom kołysał się nad głową, przeżyłam chwile załamania. Gorzko płakałam nad końcem życia. Wydawało się bowiem, że nie wydostaniemy się z tego piekła. Staszek pocieszał mnie, jak umiał. Nie należę do osób płaczliwych. Moje zachowanie świadczyło o załamaniu nerwowym. Niekiedy docierała prasa podziemna, radio (Londyn) nadawało „Z dymem pożarów", co nas ogromnie irytowało i przytłaczało. Woleliśmy „Warszawiankę".

Pod koniec września staliśmy ze Staszkiem w oknach mieszkania pp. Ossowskich (zapewne wówczas, gdy znosiliśmy książki do piwnicy). Był wieczór, naprzeciw przy ul. Krasińskiego płonął kościół św. Stanisława Kostki. Staliśmy spleceni ramionami, bezradni, bezbronni. Pożaru nie gaszono, pewnie brakło wody. Dokoła dymy zasnuły stolicę, wszędzie pożary, ruiny. Patrzyliśmy bezradni, smutni – właściwie już nieco zobojętniali na rozmiary zniszczeń i klęski.

---

[102] Jan Strzelecki (ur. 1919 – zm. 1988) – polski socjolog, socjalista, eseista i taternik. Uczestniczył w powstaniu warszawskim, walczył na Żoliborzu. Jako st. strzelec „Władek" był żołnierzem IV Batalionu OW PPS im. Jarosława Dąbrowskiego. Po rozproszeniu oddziału, wraz ze zgrupowaniem żoliborskim przedostał się do Puszczy Kampinoskiej. Dwukrotnie ranny podczas walk i odznaczony Krzyżem Walecznych.

Po wojnie rozgorzała dyskusja o sens, celowość powstania. Od jego wybuchu byłam zdecydowanym przeciwnikiem tej walki. Jednakże w Warszawie była atmosfera podszyta dynamitem. Emocje, chęć odwetu na Niemcach, były tak powszechne, że powstanie musiało wybuchnąć niezależnie od decyzji dowództwa. Ludność zadecydowała o tym.

Ot i polski romantyzm. Nie spodziewaliśmy się (tzn. my, zwykli ludzie) zdrady Sowietów, tego, że polskie wojsko otrzyma zakaz wspierania powstania. Nie wiedzieliśmy, że to nowy nóż w plecy. Mnie się wydawało, że koszt tego zrywu jest niewspółmierny do ewentualnego triumfu. Mimo to, jak wspomniałam, uczestniczyłam w miarę moich sił w powstaniu[103].

Zbliżał się koniec września. Jednego dnia słyszeliśmy tupot butów żołnierskich nad głowami, potem zaległa cisza. Powstańcy opuścili nas. Stłoczeni w piwnicach oczekiwaliśmy, pełni rezygnacji, co nam los zgotuje. Rano u wylotów piwnic ujrzeliśmy Niemców uzbrojonych w granaty. Wiedzieliśmy, że masakrują ludność, obrzucając granatami piwnice. Wywieszono białą flagę. Niemcy wypędzali nas pośpiesznie z piwnic. Odziani w najgorsze łachy (spodziewaliśmy się bowiem, że nas popędzą do obozów koncentracyjnych) wychodziliśmy z naszych kryjówek. Mężczyzn ustawiano osobno, w oddzielnym szeregu kobiety. Przede wszystkim interesowano się zegarkami ręcznymi (o dziwo!).

Kolumny ludzkie popędzono przed siebie. Starałam się towarzyszyć pochodowi mężczyzn, bojąc się zgubić Staszka. Szyk pochodu wkrótce się załamał. Mogliśmy trzymać się razem. Ujrzałam w pobliżu Ninę z rodziną. Naradzałyśmy się, czy uciekać. Nie było to trudne, szliśmy bowiem koło cmentarza powązkowskiego, gdzie łatwo ukryć się za nagrobkami. Nina odradzała, sądząc, że w ten sposób łatwo stracić życie. Podtrzymywaliśmy w marszu p. Irenę, której rany na nodze po oparzeniu znów zaczęły krwawić. Spędzono nas na Dworzec Zachodni. Stamtąd do pociągów towarowych i wieziono w nieznanym mi kierunku. Warszawiacy zorientowali się, że jedziemy w stronę Pruszkowa.

---

[103] Powyższe trzy akapity znajdowały się kilka stron później (s. 50). Zdecydowaliśmy się przenieść je tutaj, by nie rozbijać toku narracji.

Istotnie, tam wysadzono transport żoliborski. Znajdował się tam ogromny obóz warszawiaków koczujący w pomieszczeniach hal naprawy taboru kolejowego. Tam działał Czerwony Krzyż, roznoszono żywność, z której nie skorzystałam, nie posiadałam bowiem kubka na zupę. Przezorni pchali się do kotłów, nie miałam sił ani ochoty walczyć o żarcie. Kręciły się tam podejrzane typy, zapewne szmalcownicy, mieli znów okazję do ograbiania ludzi. Pilnowałam Staszka. Kłębiący się tłum utrudnia proceder szmalcownikom. Nadszedł wieczór. Rodziny rozłożyły się na betonie lub na strzępach słomy, palono świeczki. Morze świeczek. Wyglądało to jak Zaduszki. Ulokowaliśmy się w nogach jakichś leżących na betonie osób. „Przeszkadzaliśmy" im, mieli za mało miejsca, wyganiali nas. Nie ruszyłam się. Atmosfera nie była przyjazna. W tym nieszczęściu wyłaził egoizm, pazerność, chęć ratowania resztek mienia, spychanie tych gorszych, co nic nie mają, na ubocze. Tam mieli szansę cwaniacy, rozpychający się łokciami, umiejący siłą walczyć o życie.

W Pruszkowie spotkałam prof. Feldmana. Pocieszaliśmy się nawzajem perspektywą spotkania po wojnie. Nina gdzieś mi zginęła z oczu.

Przetrwaliśmy noc na betonie w Pruszkowie. Rano wypędzono nas na peron. Szliśmy wzdłuż korytarzy zagrodzonych sznurem, na końcu korytarza stali Niemcy oraz jakiś cywil, jak się okazało reprezentant Czerwonego Krzyża. Doszliśmy ze Staszkiem do Niemca decydującego o dalszym losie. Mnie kazano iść w innym kierunku niż Staszkowi. Narobiłam wrzasku, że jestem kaleką, mam gruźlicę kości i nie mogę bez pomocy męża zostać sama. Staszkowi kazano iść w innym kierunku i on zrobił posłusznie krok. Darłam się na cały Pruszków, by natychmiast przyszedł do mnie, by nie słuchał żadnych rozkazów. Niemiec zajęty następnymi nadchodzącymi osobami, które miał selekcjonować, zostawił nas w spokoju. Staszek posłuchał żony, zostawił Niemca.

Trzymaliśmy się mocno za ręce. Nadszedł moment, gdy znów pędzono nas do podstawionych pociągów bydlęcych. Staliśmy czwórkami na peronie i znów nas wywoływano jako osoby młode, pewnie zdolne do pracy dla Rzeszy. Wówczas stał się cud.

Jakiś cywil (pewnie z Czerwonego Krzyża) powiedział do Niemca, że nasza sprawa została już wczoraj rozstrzygnięta i możemy wsiadać do pociągu wiozącego na osiedlenie w Generalnej Guberni. Wgramoliliśmy się na lorę. Znajdowali się tam przeróżni towarzysze podróży. Matka z niemowlęciem odziana w letnią bluzeczkę, choć był to październik. Poinformowała nas, że męża jej zabrano przed powstaniem do Oświęcimia. Mieliśmy nieco gotówki od p. Bobowskiej z Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Rozdawała ona pieniądze z kasy Spółdzielni, bowiem nie miała komu przekazać. Wolała więc rozdać mieszkańcom Żoliborza. Z tych pieniędzy natychmiast obdarowałam ową nieszczęsną matkę. Zachodziła obawa, że dziecko nie przeżyje. Kobieta nie miała pokarmu ani nic do picia. Ktoś owinął cukier w szmatkę, dziecko ssało. Obok nas rozsiadła się pani mająca na sobie kilka futer. Nie dała tej dygocącej z zimna kobiecie. Pociąg ruszył, zbliżała się noc. Wieziono nas w niewiadomym kierunku, zaczął siąpić deszcz. Nasze liche ubrania wkrótce przemokły, dygotaliśmy z zimna. Pociąg zatrzymywał się na nieznanych stacjach. Głośno wołaliśmy, że Warszawa jedzie, by został po nas jakiś ślad. Nie byliśmy pewni, czy nie skończymy pod serią z automatu. Nastał ranek. O wyjściu z wagonu nie było mowy. Siusialiśmy do puszek po konserwach bez wstydu i bez względu na obecność różnych płci. Spryciarze wyjmowali kiełbasy, żarli aż trzeszczały szczęki. Konwój wojskowy był coraz bardziej opieszały, nie pilnowano nas zbytnio. Pociąg dowlókł się pod Kraków. Wyładowano nas w jakiejś małej mieścinie (nazwy nie pamiętam) (Miechów?).

Mieszkańcy przygotowani na przyjęcie warszawiaków zapraszali nas do domów. Na ryneczku piętrzyły się góry jesiennych owoców. Bałam się kupić i jeść, wobec tego, że nic nie mieliśmy w ustach od kilku dni. Słyszałam uwagi pod naszym adresem na temat ocalałych Żydów. Zaprosiła nas jakaś serdeczna rodzina. Pozwolono się umyć, nakarmiono, rozpytywano o dzieje powstania.

Noc spędziliśmy pod wspaniałą pierzyną obleczoną w czystą poszwę. Od razu postanowiliśmy przedostać się do Krakowa do pp. Kłodzińskich, nawet za cenę pieszej wędrówki. Nazajutrz więc, dziękując za wspaniałą gościnę, wyruszyliśmy do Krakowa.

***

Przyjazd do Krakowa

Od razu udaliśmy się do mieszkania pp. Kłodzińskich, wiedząc, że nas nie odtrącą. Jędruś był naszym orędownikiem u swych rodziców, nigdy nie zawiódł. Tu nastąpiło już w progu zderzenie dwu światów: życia – bądź co bądź – uregulowanego, choć pp. Kłodzińscy mieli w Oświęcimiu młodszego syna Stanisława (późniejszego znanego w Krakowie lekarza). Mimo to życie rodziny toczyło się „normalnie", o ile okupację można nazwać stanem normalnym. Stanęliśmy w drzwiach, szarzy z głodu i wycieńczenia, obdarci. Przywitanie serdeczne. Grzecznościowo zapytałam, co u nich słychać. Otrzymałam odpowiedź, że spotkało ich straszne nieszczęście, bo pies im zdechł. W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się na pięcie i wyjść, jednak opanowałam się – nie mając dokąd iść. Rozpytywaliśmy więc, jak to z tym psem. Miałam cały czas w myśli owego Staszka z Oświęcimia. Pies nie był własnością pp. Kłodzińskich. Otrzymali go na przechowanie od rodziny żydowskiej (pp. Ameissenów, p. Ameissenowa była wysoko cenionym pracownikiem Biblioteki Jagiellońskiej), która zmuszona była ukrywać się i opuściła mieszkanie. PP. Kłodzińscy bardzo pokochali tego psa, nic więc dziwnego, że żałowali przyjaciela domowego. Jednakże wówczas dysproporcja przeżyć była tak ogromna, że po prostu nie umiałam z razu pojąć określenia „nieszczęście".

PP. Kłodzińscy mieli tak przepastne mieszkanie, że gdy nas umieścili gdzieś tam za kuchnią, to w ogóle mogliśmy się nie spotykać. Jednak od razu zapragnęliśmy ulokować się gdzieś na wsi, nie przeszkadzać gospodarzom, którzy dzielili się z nami skromnym zapasem żywności. Córki pp. Kłodzińskich: Krysia i Jadzia, zaprzyjaźniły się ze mną. Były pilnymi słuchaczkami różnych opowieści o powstaniu, o czasach przedpowstaniowych, szmalcownikach etc. Jadzia pożyczyła mi płaszcz i paradowałam po Krakowie dość elegancka. Kraków przepełniony

warszawiakami, na ulicach tłumy. Jędrek miał różne znajomości i wystarał się dla nas o azyl w Sieprawiu koło Słomnik[104] (Myślenickie). Wieś podgórska, rozrzucona na pagórach, tylko centrum wsi tworzyło ulicę. Ulokowaliśmy się u Kasi Dziurżanki. Trzeba jej poświęcić kilka słów, gdyż była starą panną, bardzo biedną chłopką, obdarzoną dużą inteligencją, wyobraźnią i poczuciem humoru. Chałupa była własnością nie jej, lecz jej siostry, która służyła – o ile się nie mylę – u młynarza.

Siostrzeniec – rosły, tęgi chłopak (najprawdopodobniej nieślubny syn owej siostry) – wychowany został przez Kasię. Chałupa była przeurocza. Na wzgórzu, w dni pogodne widać było Tatry. Oddano nam do użytku izbę sąsiadującą z kuchnią, drugą izbę, po przeciwnej stronie sieni, zajmowała nauczycielka wiejska. Obok znajdowały się jedynie cztery chałupy, las opodal, poniżej kościół i cmentarz.

W te strony Niemcy się nie zapuszczali. Silna partyzantka ich odstraszała. U sąsiada, gdzie kupowaliśmy jagły, przesiadywało na ławie kilku lub kilkunastu chłopców z przywieszonymi u pasa granatami. Dłonie opierali na karabinach. Kobiet w tej chacie nie było, gospodarz młody nie był żonaty. W takiej więc scenerii i obstawie czuliśmy się bezpieczni. Zima była bezśnieżna (grudzień). Zapuszczaliśmy się ze Staszkiem głęboko w lasy. On – dotąd uwięziony w mieszkaniu warszawskim – odzyskał wolność. Nie miał się czego obawiać. We wsi nauczyciel zorganizował pomoc dla kilku rodzin warszawskich. Otrzymaliśmy drzewo na opał, chłopi dawali nam nieco mąki, krup, słoniny. Żyliśmy więc „na szerokiej stopie". Chleb wypiekała Kasia. Musiałam jednak zemleć żyto (darowane) na żarnach. Ciężka to była praca, Staszek pomagał, on też z siostrzeńcem Kasi rąbał drzewo, ale czynił to niezgrabnie, nieumiejętnie. Staszek w ogóle nie był zaprawiony w domu do takich prac. To raczej mnie ojciec przyuczał od małego do zajęć praktycznych (pomoc przy produkcji zabawek na choinkę, które trzeba było wycinać laubzegą). Czasem wyprawiałam się sankami do Krakowa. Miałam tam u p. Lipskiej jakieś resztki ubrań, które mogłam spieniężyć na bazarze

[104] Powinno być – Świątnik Górnych. Słomniki położone są 40–50 km na północ od Sieprawia.

i w ten sposób zdobywałam gotówkę. Kiepski był ze mnie handlarz i sprzedaż mi nie szła. Prof. Kutrzeba miał jakieś fundusze dla uczonych. Prof. Feldman, który pokazał się w Krakowie u swej matki po powstaniu warszawskim – prosił Kutrzebę o pomoc dla nas. Odwiedziłam profesora Kutrzebę wraz ze Staszkiem, otrzymaliśmy nieco gotówki i Staszek nabył od razu buciki.

Moi powinowaci, Sztabowie, mieli dość różnych warszawiaków i innych żebrzących o nocleg czy pomoc. Po przyjeździe do Krakowa w celu zdobycia pieniędzy mogłam tam jedynie rozdziać się. Jechałam 24 km saniami. Staszek odziewał mnie w długie kalesony pod pończochy. Nie mogłam poruszać się w mieście w takim odzieniu, tak opatulona. Chodziłam więc do Sztabów zdejmować kalesony i wysłuchiwałam ich żalów, że dość mają różnych potrzebujących.

Front na razie nie drgnął. Jeszcze nie ruszyła zimowa ofensywa rosyjska.

W Sieprawiu w nędznej chałupce mieszkał nieopodal nas profesor Jagiellonki[105] z rodziną (żona, mały synek). Zaprzyjaźniliśmy się i odwiedzaliśmy. Ów pan – którego nazwiska nie pomnę, z wykształcenia chyba fizyk – był więźniem Sachsenhausen wraz z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Synek kilkuletni, blady, mizerak, pewnie chorowity. Mieliśmy wiele wspólnych tematów do rozmów, mile spędzaliśmy wieczory. Równie miłe były wieczory z Kasią. Ona należała we wsi do organizatorów teatru amatorskiego. Była nieźle oczytana w literaturze, co podówczas na wsi należało do fenomenów. Jej nędza chłopska, prymitywizm życia był przerażający. Pola prawie nie miała. Jedyna krowa, zimą żywiona (jak świnia) odpadkami, łupinami z kartofli, dawała 3 litry mleka dziennie. Wystarczało to dla 4 osób, tj. Kasi, jej siostrzeńca i dla nas. Piekliśmy na piecu kuchennym placki kartoflane, bez tłuszczu. Kasia raz w tygodniu piekła chleb, wówczas zaś podpłomyki stanowiły ucztę. Chleba tak pysznego w życiu nie jadłam i jeść nie będę. Ogromny bochen starczał nam na tydzień. Przez ten czas zdążyliśmy zemleć w żarnach mąkę na nowy wypiek. Kasza jaglana była rarytasem, szczególnie z mlekiem.

[105] Zob. przypis 44, 45, s. 56.

W Krakowie Niemcy rozpoczęli łapanki na warszawiaków. Roman Lutman zjawił się pewnego dnia u nas, by zamieszkać i przeczekać ten zły czas.

Zamieszkaliśmy wspólnie, tj. odstąpiłam Romanowi mój siennik. Przybyła więc jeszcze jedna gęba do żywienia, prania etc. Trudno. Kto by się wówczas takimi sprawami przejmował. W Krakowie pożyczyłam książki. Wtedy to tonęłam m.in. w Tołstoju („Wojna i pokój"). Roman, jak zwykle, gadał bardzo interesująco i nudy nie zaznaliśmy. Nasze bytowanie w Sieprawiu wspominam jako sielankę po przejściach warszawskich. Swoboda poruszania się, bez strachu o przygody ze szmalcownikami. Odczuwałam, co to znaczy być wolnym, bez niezawinionego piętna.

Kasia ze Staszkiem nosili wodę w wiadrach. Nie mieliśmy studni. Po wodę chodziło się do źródełka, po bardzo stromym zboczu pagórka. Kasia miała nosidła (Ukraińcy nazywali je koromysła i ja też je tak nazywałam), ale Staszek nosił wiadra w rękach, rozchlapując po drodze nieco cennej wody.

Podczas pobytu w Sieprawiu Staszek przyprowadził chłopca, który błąkał się samotnie po lasach i wsi. Chłopiec opowiadał, że jest warszawiakiem, zgubił rodziców i sam wędruje. Przygarnęliśmy go.

Miał około 12 lat. Opowiadał o przejściach w czasie powstania, podawał szczegóły, nazwy ulic. Wszystko wydawało się prawdziwe. W niedzielę przed kościołem sprzedawano krakowskie gazety. Staszek kupił gazetę i wyczytał ogłoszenie zrozpaczonych rodziców z Krakowa o zaginięciu chłopca. Widniała też fotografia naszego podopiecznego. Nie mówiąc nic dziecku, w obawie że ucieknie, zawiadomiliśmy rodziców o jego pobycie w Sieprawiu. Na drugi dzień zjawił się ojciec uciekiniera, poszukiwacza przygód. Okazało się, że nigdy nie był w Warszawie, choć jego relacja wydawała się nam zupełnie wiarygodna. Chłopiec z przerażeniem powitał ojca (pewnie bał się solidnego lania!), no i został zabrany do domu.

W styczniu wzmogły się naloty na zachodzie. Do nas dochodził huk bombardowań. Nie wiedzieliśmy, czy to Śląsk czy może Saksonia[106]. Front wschodni ruszył. Wierzyliśmy, że to już

[106] To raczej niemożliwe, najprawdopodobniej autorkę zawiodła pamięć.

ostatnie chwile okupacji niemieckiej. Na zachód jechały przez nasz Siepraw czołgi, samochody, motocykle. Cofająca się armia niemiecka nie mieściła się na głównych szosach. Pchali się bocznymi drogami, byle na zachód. Mieszkaliśmy z dala od szosy, można było obserwować ruch na drodze z góry obok kościoła, a najlepiej z cmentarza położonego opodal kościoła. Tam był nasz punkt obserwacyjny. Ani Niemcy, ani partyzanci nie pokazywali się w pobliżu naszej chałupy. Niemniej atmosfera nie sprzyjała spokojowi, w powietrzu czuło się napięcie, działy się wielkie rzeczy obok nas. Nadeszła wreszcie pamiętna noc. Staszek przesiadywał na cmentarzu, nasłuchując co się dzieje na szosie. Tłoczyły się pojazdy niemieckie, słychać było język niemiecki. Ja udałam się na spoczynek na moim sienniku. (Wówczas już Roman Lutman nie mieszkał z nami. Wynajął sobie w innej chałupie pokój, jedynie przychodził na jedzenie, które przygotowywałam dla obu panów).

Drzemałam na moim słomianym sienniku, wyczekując powrotu Staszka. Przyszedł późną nocą i szepnął mi: „już są", co znaczyło, że usłyszał na szosie język rosyjski. Spadł z nas ciężar okupacji niemieckiej. Wówczas wierzyliśmy hasłom braterstwa narodów propagowanym przez komunistów. Już nie grożą nam szmalcownicy, Gestapo itd. Ogromne uczucie ulgi, zrzucenia ciężaru, który nas przygniatał. Usnęliśmy błogo.

Uderzeniowe oddziały rosyjskie nie przypominały biedoty w postrzępionych płaszczach zapamiętanej z roku 1939. Teraz świetnie wyekwipowani (zapewne za dolary), ubrani w piękne kożuszki, buty, zaopatrzeni w broń (pepesze) zwisającą już nie na sznurku, jeno na porządnych pasach.

Zachowywali się w stosunku do maruderów niemieckich bezwzględnie. Każdego złapanego Niemca prowadzili po prostu za stodołę i zabijali jednym strzałem. Odczuwałam to jako niezwykłe okrucieństwo. Czemuż nie brali do niewoli?

Jednej nocy do naszej chaty łomotał ktoś w okno. Przerażona gospodyni przyszła na naradę do Staszka, wiedząc, że to Niemiec, i czy go wpuścić. Staszek porozumiał się z Niemcem, który prosił, by go nakarmić. Miał broń. Zdecydowaliśmy (po ludzku), by mu dać jeść. Wszedł. Był w okropnym stanie. Przemarznięty,

szary z głodu i zmęczenia. Nie widziałam go, wiem to od Staszka. Sama pozostałam na moim wyrku. Staszek pilnował „gościa". Kasia przygotowała jedzenie. Zjadł w milczeniu i poszedł. Czy przeżył? Jego szanse były minimalne, nawet gdyby zdobył ubranie cywilne. Nie umiał ani słowa po polsku czy rosyjsku. Bóg z nim!

Rosjanie parli na zachód, goniąc cofające się oddziały niemieckie. Nasłuchiwaliśmy, co się dzieje w Krakowie, czy nie ma nalotów, czy nie trwają walki. W lutym Staszek postanowił udać się pieszo do Krakowa (24 km), bowiem pozostawanie w Sieprawiu straciło sens. Trzeba było wracać do życia, szukać dachu nad głową, pracy zarobkowej. Odprowadziłam Staszka do Słomnik[107] (miasteczko niedaleko Sieprawia). Stałam na szosie wznoszącej się nad doliną, patrzyłam na drogę zawaloną czołgami radzieckimi, pełną wojska i na oddalającą się sylwetkę najdroższego mi człowieka. Płakałam. Sama nie wiem, czy ze szczęścia czy raczej z obawy, że spotka go coś złego, że mój ogromny wysiłek, by go utrzymać przy życiu, utrzymać obok siebie moją wielką miłość, że to wszystko pójdzie na marne, że mi gdzieś po drodze w tym zamieszaniu zginie. Wróciłam pełna niepokoju do naszej chaty w Sieprawiu. Za kilka dni wrócił. Rozejrzał się w sytuacji. Roman Lutman opuścił Siepraw. Znów przy pomocy pp. Kłodzińskich zahaczyliśmy o Kraków.

W prasie i na afiszach widniały ogłoszenia, że należy wracać do przedwojennych miejsc pracy. Mogłam wrócić do Biblioteki Jagiellońskiej. Przyjęto mnie natychmiast. Ponieważ woźni i magazynierzy często opuszczali pracę, udając się na handel (handlowali również książkami z magazynów Biblioteki), często pełniłam dyżury w magazynach i dostarczałam książki do czytelni.

Nie miałam stałego miejsca pracy, tam, gdzie byłam potrzebna – szłam.

Staszek wystarał się o kawalerkę w domu ss. Nazaretanek przy ul. Zwierzynieckiej opodal klasztoru. W czasie okupacji była to siedziba hitlerowskiej organizacji młodzieżowej BDM (Bund der Deutschen Madel)[108]. Tą kamienicą administrował krewny

[107] Zob. przypis 104, s. 110.

[108] Bund der Deutschen Madel– żeńska sekcja nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend.

pp. Kłodzińskich i oddał nam ową kawalerkę. Niedługo przybył nam towarzysz, a mianowicie wujek Staszka p. Langrock (w czasie wojny i po wojnie nosił nazwisko Szawłowski). Owdowiał. Ciotka Róża, od lat schorowana, leżąca w łóżku (choroba reumatyczna), zmarła. Został sam, nie miał nikogo, przyjechał do nas. I znów spaliśmy ze Staszkiem na wąskim łóżku, a w dzień gotowałam dla obu panów.

Wujek Langrock, doktor praw, był człowiekiem ogromnie sympatycznym, cierpliwym i dobrym. Odznaczał się też wielką pracowitością i energią. Wówczas znękany chorobą żony, którą się przez wiele lat opiekował, a szczególnie w warunkach okupacji, został sam (było to bowiem małżeństwo bezdzietne), zagubiony w nowej sytuacji. Było mi go ogromnie żal i starałam się, by mu choć w pierwszych chwilach po śmierci ciotki nieco ulżyć.

Staszek starał się o pracę, marzył o asystenturze u prof. Kutrzeby, który go przed wojną promował na doktora. Jednakże nic z tego nie wyszło. Asystentem został Boguś Leśnodorski (i dobrze!, dobrześmy mu życzyli). Kiedy pytałam Staszka, kim chciałby być, nie zanosiło się bowiem na odbudowanie Prokuratorii Generalnej, odpowiedział, że będzie profesorem uniwersytetu. Pomyślałam: wysoko mierzysz człowieku. W Krakowie pełno było warszawiaków, ze Lwowa nadchodziły transporty wysiedlonych. Chciałam nawiązać kontakt z rodzicami, by dać im znać, że przeżyliśmy powstanie warszawskie.

Poczta niezbyt regularnie kursowała, wolałam szukać jakiejś okazji do Lwowa, szukałam ludzi, którzy tam jeżdżą. Dowiedziałam się, że Rada Główna Opiekuńcza – działająca za okupacji niemieckiej – ma jakieś możliwości przesyłania korespondencji. Udałam się więc do pałacu p. Ronikiera[109], przewodniczącego tej Rady w Krakowie. Byłam fatalnie ubrana. Wyglądałam na żebraczkę. Płaszcz z wielką łatą z boku, jakiś nieprawdopodobny beret podarowany mi nie wiem przez kogo, bucięta przechodzone. Otworzył drzwi zapewne sam pan hrabia, który w drzwiach

[109] Hrabia Adam Ronikier (ur. 1881 – zm. 1952) – konserwatywny działacz polityczny i społeczny, współzałożyciel Stronnictwa Narodowego. W czasie II wojny światowej prezes Rady Głównej Opiekuńczej.

wysłuchał mojej prośby i zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Rozgoryczona odeszłam. Później wystarałam się poprzez ambasadę polską w Moskwie o wysłanie listu, który ojciec otrzymał (podobno oblał łzami radości). Zresztą rodzice odszukali adres p. Kreczmara i przez niego dowiedzieli się, że żyjemy, tylko nie znali miejsca naszego pobytu.

Przyczynki do pobytu w Krakowie w roku 1945

Odwiedzałam dawnych przyjaciół: pp. Friedbergów, p. Feldmanową-Kreczowską.

U pp. Friedbergów urwanie głowy. Zacieśnianie mieszkania, ponieważ oni – jako ludzie niezwykłej uczynności i dobroci – przyjmują przeróżne osoby. Najpierw niejaki p. Zieliński – nauczyciel ze Stanisławowa, historyk. Działacz AK. Wkrótce go aresztowano. Potem zjechali pp. Pohoreccy ze Lwowa, a więc kolega po fachu p. Mariana Friedberga, a może jakiś krewny. PP. Friedbergowie odstąpili im część swego trzypokojowego mieszkania przy ul. Retoryka 3, a sami gnieździli się w jednym pokoju. Kuchnia, łazienka wspólne. Jak wspólne, to zapewne nikt nie chciał sprzątać i czyniła to p. Marysia Friedbergowa. Ten stan trwał latami. Przytaczam te informacje, bowiem krakowskie mieszkania pękały w szwach. Warszawiacy, potem lwowianie, wszyscy gnieździli się u tych nieszczęsnych krakowian. Na razie nie budowano nowych mieszkań, cała lawina ludzi opierała się o krakowskie domy.

P. Kreczowska mieszkała nadal przy Szlaku. Kiedy wrócił profesor Józef Feldman, dokładnie nie wiem. Odzyskał swe przedwojenne mieszkanie przy placu (niedaleko ul. Bronowickiej), którego nazwy nie pamiętam. P. Kreczowska mieszkała na razie z teściową profesora p. Skowrońską. P. Kreczowska była nadal uroczą, fascynującą kobietą. Może to szczęście, że syn jej ocalał, ustrzegł się złego losu w czasie okupacji, rozjaśniało jej twarz.

Odwiedziłam też niejaką p. Gromnicką, która w najgorszych chwilach po aresztowaniu mamy Staszka przygarnęła nas do siebie. U niej zastałam jakąś jej znajomą. Owa pani wyrzekała – jak wielu krakowian – na Żydów, którzy ośmielili się przeżyć okupację i teraz wracają do swych mieszkań – dawno już zasiedlonych przez szacowne krakowskie rodziny aryjskie – i jeszcze bezczelnie dopominają się o własne piernaty, poduszki i garnki. Słuchałam tego ze wzrastającą goryczą, rozpaczą, obrzydzeniem. Wreszcie rozpłakałam się wyznając, że i ja mam męża „Żyda", że narażałam się na śmierć w jego obronie. Powiedziałam, że małostkowość ludzi zabiegających o drobne przedmioty domowe nie stoi w żadnym stosunku do walki o życie i jego ceny. Gorzko płacząc, wyszłam. Czy mój wybuch został zrozumiany – nie wiem. Po prostu puściły mi nerwy.

Kraków w lutym 1945 roku pełen był więźniów Oświęcimia. W Krakowie znajdował się najbliższy węzeł kolejowy, a ta wielonarodowa rzesza pragnęła jak najprędzej wracać do swoich domów, swoich ojczyzn. Widok tych nędzarzy był koszmarny. W pasiakach, stukali trepami drewnianymi, bez skarpet i ciepłej odzieży. Wysiadywali zrezygnowani na krawężnikach w Rynku pod Sukiennicami, szare twarze o odcieniu zielonkawym (na wpół trupy). Kraków organizował pomoc naprędce, ale nie był przygotowany na tę masę ludzką, zresztą sam kiepsko zaopatrzony w żywność. Niektórzy znajdowali oparcie u mieszkańców miasta. Przyznam, że bałam się zaprosić do naszej kawalerki kogoś z nędzarzy. Bałam się wszy, nadto nie wiadomo było, czy to aby nie jakiś bandyta. Pewnie to moje tchórzostwo, że nie zaproponowałam komukolwiek bodaj ciepłego posiłku. Wstydzę się tego.

O losie mamy Staszek nic nie wiedział. Błąkał się po schroniskach dla kobiet. Tu i ówdzie koczowały na słomie rozesłanej na podłodze grupki kobiet, towarzystwo międzynarodowe. Staszek szukał matki, ufając, że przeżyła. Jednakże ja udałam się do „Caritasu", gdzie posiadano rejestr kobiet (ale nie Żydówek) z datą zgonu oraz numerem więźnia. Tam znaleziono nazwisko mamy (miała dokumenty na nazwisko Śreniowska Helena). Zmarła w lutym 1943 roku Zapewne w komorze gazowej

lub po prostu z wycieńczenia. Oddałam Staszkowi kartkę z tą informacją. Schował starannie. Nawet po jego śmierci w 1957 roku karteczki tej nie odnalazłam. Chciałam mieć jej numer obozowy[110].

Wracam jeszcze do plotek obiegających Kraków dotyczących Żydów. Otóż w owych wspomnianych pomieszczeniach, w pustych mieszkaniach, gdzie jedynie słoma leżała na podłodze, znajdowały się punkty oparcia dla Żydów. W Krakowie – wówczas dość głodnym – mówiono z zawiścią, że owi Żydzi otrzymują od organizacji międzynarodowych przydziały żywności, nawet ośmielają się jeść szynkę, a my tu stoimy w kolejkach po chleb gliniasty, ciemny. Takie bezczelne te Żydy!

Ohyda tej zawiści, uczucia rozczarowania, że jeszcze nie wszystkich Hitler wytępił, szerzący się antysemityzm nawet wśród tych, którzy w czasie okupacji odważnie pomagali Żydom, to zjawisko z zakresu psychologii tłumu, nielogiczne i niewytłumaczalne dla mnie.

W tej sytuacji lepiej było pozostać przy fałszywych papierach aryjskich z czasów okupacji, fałszywych nazwiskach, udawaniu (lub szczeremu nawróceniu), uczęszczaniu do kościoła.

My poszliśmy na milicję, złożyliśmy zeznanie, że nazywamy się nie Bieniasz, ale Śreniowscy. Wywołało to wielkie zdumienie wśród milicjantów. Oświadczyliśmy, że już niepotrzebne ukrywanie tożsamości i wydano nam nowe dokumenty na nasze prawdziwe nazwisko przedwojenne.

Staszek postarał się też o sądowe poświadczenie, że posiadał w Stryju kamienicę, której jest jedynym spadkobiercą. Przydały się te papiery później, gdy dawano ekwiwalenty za mienie nieruchome pozostawione na Wschodzie.

W Krakowie otrzymaliśmy list od tatusia. Dowiedziałam się, że matka wraz z Ewą i jej rodziną są w Leżajsku. Gdy toczyły się walki o Lwów, bombardowano miasto. Mały Antek, synek mojej siostry, panicznie bał się bombardowań i siostra wyjechała do powinowatych matki w Leżajsku, zabierając mamę ze sobą. Mo-

[110] Numer obozowy Heleny Śreniowskiej – 32336; zob. www.straty.pl [dostęp XI 2017].

głam więc latem odwiedzić rodzinę, szczególnie pragnęłam uściskać mamę, której nie widziałam od kilku lat. Ostatni raz byłam we Lwowie w lutym 1943 roku, by szukać pomocy po zniknięciu matki mego męża.

W Leżajsku moja rodzina znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Ewa z trudem zdobywała żywność dla małego dziecka, dorośli stale nie dojadali. Spędziliśmy ze Staszkiem pewien czas w owym Leżajsku, wałęsając się po okolicy, pływając łódką po stawie etc. Różnica przeżyć okupacyjnych była ogromna. Ja nie opowiadałam o naszej sytuacji, nie skarżyłam się na nic – o ile pamiętam. Zresztą te przeżycia byłyby niepojęte dla nich. Odjechałam z zamiarem uzyskania jakichkolwiek pieniędzy na pomoc matce. Ale moje zamiary spełniłam dopiero osiadając w Łodzi w roku 1945, gdy miałam stałe dochody i jeszcze dorabiałam katalogowaniem książek w Instytucie Socjologicznym. Te dorobione pieniądze posyłałam mamie.

Ojciec polecił mi, bym odszukała Tadzia Chłopickiego. Jego matka, mieszkająca z mym ojcem we Lwowie, nie znała jego losów. On został zmobilizowany do armii polskiej walczącej przy boku Rosjan, przeżył zdobywanie wału pomorskiego (zajęcie Kołobrzegu) itp. Próbowałam nawiązać z nim kontakt, znając numer jednostki wojskowej, ale nic z tego nie wyszło.

W Krakowie przetrwaliśmy do marca. Wtedy Staszek postanowił wyruszyć w Polskę w poszukiwaniu miejsca do stałego zamieszkania. W przepełnionym Krakowie o pracę było bardzo trudno. Była Wielkanoc. Zostałam sama. Wujek wyprowadził się do obszernego mieszkania prof. Langroda (krewnego) przy ul. Karmelickiej[111]. Dostał pracę w „Nafcie", gdzie i przed wojną we Lwowie pracował.

Staszek zwiedzał Warszawę, gdzie chciałam zamieszkać. Po powrocie oświadczył mi jednak, że na cmentarzu mieszkać nie będzie. Istotnie. Warszawa była wielkim cmentarzem i kupą gruzów. Co dalej? W Warszawie dowiedział się, że tworzy się uniwersytet w Łodzi i wielu znajomych ciągnie do tego niezniszczonego

[111] Jerzy Stefan Władysław Langrod (ur. 1903 – zm. 1990) – prawnik, specjalista w dziedzinie prawa administracyjnego i prakseologii.

przez wojnę miasta. Mimo że posiadaliśmy mieszkanie w Krakowie, nie widzieliśmy perspektyw dla Staszka, by się tam utrzymać. Postanowiliśmy więc próbować szczęścia w Łodzi.

Opuszczenie Krakowa i przyjazd do Łodzi opisałam w artykule pt. „Hotel Monopol" („Tygiel Kultury" 1999)[112].

Ponieważ początkowo nie mieliśmy lokalu, zbieraliśmy się często w czytelni Archiwum Państwowego, gdzie nas życzliwie traktował pan dyrektor Waszkiewicz[113]. Znajdowała się tam biblioteka podręczna, można było na korytarzu porozmawiać. Tam zawieraliśmy znajomości, np. tam właśnie zobaczyłam późniejszego profesora Witolda Kulę[114], który przesiadywał nad książkami w brudnym, wytartym mundurze wojskowym, w którym odbył pieszo wędrówkę z Niemiec do ojczyzny, gdzie miał małego trzyletniego synka Marcina[115]. W Archiwum spotykałam się też z prof. Serejskim[116], by wspólnie uzgodnić moje czynności asystenckie.

Odnotować jeszcze warto przeżycia związane z zakończeniem wojny w maju 1945 roku. Noc z 8 na 9 maja spędziliśmy przy ul. Piotrkowskiej. Tłumy rozentuzjazmowanej ludności przewalały się wąskimi chodnikami tej ulicy. Wystrzelano kolorowe rakiety, ludzie obcy rzucali się sobie na szyję, całowali się z radości, że kosz-

[112] K. Śreniowska, *Hotel „Monopol"*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 49–53.

[113] Ludwik Waszkiewicz (ur. 1888 – zm. 1976) – archiwista, badacz dziejów Łodzi i regionu łódzkiego, działacz społeczny i polityczny, publicysta. W latach 1945–1950 prezes Oddziału Łódzkiego PTH. Dyrektor Archiwum Miejskiego w Łodzi.

[114] Witold Kula (ur. 1916 – zm. 1988) – historyk dziejów społecznych i gospodarczych. Związany z Uniwersytetem Łódzkim, Uniwersytetem Warszawskim (profesor zwyczajny 1963 r.), SGPiS. Współorganizator IH PAN (w latach 1953–1963 sekretarz naukowy).

[115] Marcin Kula (ur. 1943) – historyk, syn Witolda Kuli. W latach 1968–1990 związany z IH PAN. Profesor UW. Wykładał również w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania w Warszawie (od 2008 r. Akademia im. Leona Koźmińskiego).

[116] Marian Henryk Serejski (ur. 1897 – zm. 1975) – historyk historiografii, mediewista. Studia odbył w Warszawie (kontynuowane w ramach stypendiów w Rzymie i Wiedniu). Po zakończeniu II wojny światowej związany z Uniwersytetem Łódzkim (w latach 1945–1965 kierownik Katedry Historii Starożytnej i Średniowiecznej). Profesor IH PAN (twórca i kierownik od 1953 r. do przejścia na emeryturę Zakładu Historii Historiografii).

mar okupacji przeżyliśmy. Nikt nie myślał o Jałcie. Ważny był pokój, jakie takie bezpieczeństwo. Nie myśleliśmy o nowych zagrożeniach, nie przychodziły nam do głowy. Okupacja niemiecka była tak straszna, że radowaliśmy się tym co jest, właściwie samym życiem. Mnie nie zależało na bogactwie. Wojna nauczyła nas raz na zawsze, że należy poprzestawać na małym, na tym, co najkonieczniejsze.

Jesienią 1946 roku uruchomiono szkołę średnią Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci przy ul. Jaracza. Ponieważ znano mnie w tej szkole[117] z czasów okupacji, zaangażowano w charakterze nauczycielki historii. Miałam więc trzecią pracę i jakoś dawałam sobie z tym radę. Moi uczniowie byli przerośnięci. Była to młodzież przeważnie zatrudniona w Rzeszy w czasie wojny. Niemcy wywozili z Łodzi podrostków do pracy. Teraz ci młodzi wrócili, pragnęli nadrobić zaniedbania wykształcenia z lat poprzednich. Jeden z moich najlepszych uczniów miał wybite zęby. Uczyły się też dzieci tzw. repatriantów z ZSRR, niektóre niewładające poprawnie językiem polskim. Sporo było też Żydów ocalałych z ZSRR lub z terenów Polski okupowanej. Oni byli przeważnie ptakami na odlocie, bowiem rodzice ich przygotowywali się do wyjazdu do Izraela[118] lub gdzie indziej na Zachód.

Zadowolona byłam z mojej pracy. Przywykłam w czasie okupacji do nauczania. Podręczniki przedwojenne służyły teraz nadal, nie było innych. W szkole tej przepracowałam do końca 1946 roku, kiedy moja zaawansowana ciąża przeszkodziła mi w dalszej pracy. Tam poznałam kolegów uczących innych przedmiotów, np. prof. Halicza[119] – późniejszego wieloletniego profesora Uniwersytetu, p. Lipko[120] – geografa, zatrudnionego później w Wyższej Szkole Pedagogicznej włączonej następnie do Uniwersytetu. Dyrektorem tej szkoły była p. Szwejkowska z Warszawy.

---

[117] Chodzi zapewne o okres warszawski i pracę Śreniowskiej w tamtejszej szkole RTPD.

[118] „Wówczas nie było jeszcze państwa Izrael. Byłoby poprawniej napisać: Palestyna" – uwaga K. Śreniowskiej.

[119] Benedykt Halicz (ur. 1903 – zm. 1997) – biolog. W latach 1945–1948 nauczyciel w II Państwowym Gimnazjum i Liceum im. G. Narutowicza w Łodzi. Dyrektor Studium Wstępnego UŁ (1948–1949) i Studium Przygotowawczego do Szkół Wyższych (1949–1951).

[120] Stanisław Lipko – geograf, pracownik UŁ, autor podręczników szkolnych.

Jesienią (o ile się nie mylę) Uniwersytet rozpoczął działalność, posiadał bowiem odpowiednie dokumenty i decyzje o utworzeniu tej uczelni w robotniczym mieście Łodzi[121]. Wtedy zajęto budynek przy ul. Lindleya, gdzie na pierwszym piętrze usytuowano historię oraz polonistykę. Prof. Gąsiorowska[122] otrzymała lokal obok katedry prof. Serejskiego. Asystenci prof. Gąsiorowskiej to Anna Rynkowska[123] i Witold Kula. Prof. Serejski początkowo zatrudniał tylko mnie, później krótko także dr Mateusza Siuchnińskiego[124], ucznia prof. Tymienieckiego[125] z Poznania. Nasze pomieszczenia były ciasne, pozbawione mebli. Byłam nieco skrępowana, gdy zgłaszali się pierwsi studenci, np. Jerzy Włodarczyk, p. Czesława Ohryzko, p. Stanisław Zagórny, p. Bandurka, p. Tomczak (późniejszy profesor w Toruniu), Paweł Korzec, p. Wanda Sulikowska, p. Smoleńska (później przeniosła się do Warszawy) i inni, których już nie pamiętam[126]. Rozmawiali-

[121] Szerzej na ten temat zob. W. Puś, *Zarys historii Uniwersytetu Łódzkiego 1945–2015*, Łódź 2015, s. 11–17.

[122] Natalia Gąsiorowska-Grabowska (ur. 1881 – zm. 1964) – historyk nowożytnych dziejów gospodarczych i polskiego ruchu robotniczego, edytor źródeł. Profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej i Uniwersytetu Warszawskiego (w latach 1934–1939 kierownik Katedry Historii Społeczno-Gospodarczej i Geografii Historycznej). Po zakończeniu II wojny światowej profesor Uniwersytetu Łódzkiego i Wyższej Szkoły Pedagogicznej (w latach 1946–1948 rektor). Od 1952 r. pracowała na UW.

[123] Anna Rynkowska (ur. 1903 – zm. 1984) – historyk, archiwistka, badaczka dziejów Łodzi, działaczka społeczna. Przed II wojną światową st. asystent przy Katedrze Historii Społeczno-Gospodarczej OŁ WWP. Po 1945 r. związana z UŁ, wieloletni pracownik Archiwum Państwowego w Łodzi.

[124] Mateusz Siuchniński (ur. 1911 – zm. 1992) – historyk średniowiecza i dziejów najnowszych. Po wojnie związany z UŁ, m.in. z-ca profesora w Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego, wykładowca w Zakładzie Podstaw Marksizmu-Leninizmu.

[125] Kazimierz Tymieniecki (ur. 1887 – zm. 1968) – historyk mediewista. Wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, od 1919 r. związany z Uniwersytetem Poznańskim (profesor zwyczajny 1921).

[126] Jerzy Włodarczyk (ur. 1920 – zm. 1997) – historyk, bibliotekarz. Związany z Uniwersytetem Łódzkim do emerytury w 1990 r. W latach 1981–1984 dyrektor BUŁ. Czesława Ohryzko-Włodarska (ur. 1927 – zm. 1977) – historyk, archiwistka. Stanisław Zagórny (ur. 1918 – zm. 1998) – historyk prawa, absolwent historii i prawa na UŁ. Asystent w Katedrze Historii Państwa i Prawa

śmy na stojąco, bowiem nie było żadnego krzesła. Owi studenci nieco mnie krępowali z uwagi na to, że byli to ludzie ciężko doświadczeni w czasie wojny, niektórzy to byli partyzanci (Korzec, Zagórny), albo jak np. Wanda Sulikowska – córka ziemiańska. A ja tu z nimi na stojąco. Powoli jednak Uniwersytet otrzymał różne meble, przeważnie stare graty, chwiejące się krzesła, rozlatujące stoliki, np. do maszyn. Słomę z podłogi po szpitalu wojskowym zamiataliśmy sami. Książki, które prof. Serejski zdołał kupić i zgromadzić, leżały złożone w Archiwum, przewiozłam je na platformie samochodu (lub wozu konnego, dokładnie nie pamiętam). Sama je znosiłam, układałam – na razie na podłodze. Jednak niedługo otrzymaliśmy półki i mogłam je troskliwie poukładać, no i inwentaryzować.

Prof. Gąsiorowska otrzymała przedwojenny księgozbiór Wolnej Wszechnicy Polskiej Oddział w Łodzi, który gdzieś wytropił Witold Kula. On to właśnie w ogromnym plecaku nosił owe książki i również je układał i inwentaryzował. Pierwsze księgi inwentarzowe Instytutu Historii są właśnie wypełnione ręką Witka i moją.

Katedry p. prof. Gąsiorowskiej i prof. Serejskiego sąsiadowały. Otwarto drzwi przedzielające oba lokale i biblioteka została oddana do użytku studentów. Na Wydziale Humanistycznym była to pierwsza „większa" biblioteka. Od biedy musiała wystarczyć jako biblioteka podręczna. Jednakże nie było w niej żadnych wydawnictw źródłowych, jedynie encyklopedie (przeważnie Brockhaus), „Polska, jej dzieje i kultura", „Wiedza o Polsce" i in. wydawnictwa przedwojenne o charakterze syntez.

UŁ, wieloletni nauczyciel historii w łódzkich szkołach. Mieczysław Bandurka (ur. 1927 – zm. 2003) – historyk, archiwista, polityk, poseł na Sejm PRL IX kadencji. Andrzej Kazimierz Tomczak (ur. 1922 – zm. 2017) – historyk, archiwista. W czasie II wojny światowej żołnierz ZWZ-AK. Po 1945 r. studia na UŁ, następnie związany z UMK w Toruniu, wieloletni profesor tej uczelni. Paweł Korzec (ur. 1919 – zm. 2012) – działacz komunistyczny, historyk dziejów ruchu robotniczego. Studiował na Uniwersytecie Łódzkim. Pracownik Instytutu Historii UŁ, od 1969 r. na emigracji. Wanda Sulikowska (ur. 1925 – zm. 2012) – historyk, bibliotekarz dyplomowany, pracownik Muzeum Sztuki w Łodzi, Instytutu Historii UŁ i Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.

Uniwersytet otrzymywał przydziały materiałów, pończoch itp. Trzeba było zająć się rozdziałem tychże pomiędzy pracowników Uniwersytetu. Zajęłam się tym gorliwie. Otrzymywałam listę osób zatrudnionych z rektoratu, lista ta ustawicznie się zmieniała, nowi ludzie przybywali, inni przenosili się do innych miast. Cięłam bele materiałów, pracowałam ciężko fizycznie. Miewałam od czasu do czasu nieprzyjemności, ponieważ świeżo zatrudnieni ludzie zgłaszali się po przydział, a jeszcze nie figurowali w owym spisie od p. rektora. Zgłaszali do mnie pretensje, zapewne podejrzewali, że nie jestem uczciwa, może myśleli, że zagarniam dla siebie cokolwiek. Jednakże w takiej trudnej sytuacji oddawałam należny mi przydział, by zaspokoić żądania ludzkie. Zresztą rozumiałam potrzeby. Ludzie nie byli chciwi, jeno obdarci i w potrzebie. Wkrótce zaczęłam wywieszać w stołówce sprawozdania z rozdziału owych przydziałów, co – zdaje mi się – spotkało się z aprobatą. Nigdy nie miałam większych kłopotów, widocznie mi zaufano. Uniwersytet założył sklep spółdzielczy przy ul. Narutowicza 41, gdzie mogli zaopatrywać się w tekstylia tylko pracownicy uczelni.

Staszek miewał początkowo wykłady w sądzie na pl. Dąbrowskiego. Sąd udostępnił Wydziałowi Prawa sale na wykłady. On miał ogromną tremę przed wykładami. Towarzyszyłam mu, by dodać otuchy i pewności siebie.

Najpoważniejszym ośrodkiem humanistów był Zakład Socjologii, gdzie królował Józef Chałasiński. On to umiał wydobyć fundusze z ministerstwa i kupował za nie wiele książek w Warszawie od szabrowników. Były to książki zabrane z rozbitych po powstaniu warszawskim mieszkań. P. Chałasiński zatrudnił mnie przy katalogowaniu tych książek i w ten sposób zdobywałam dodatkowe zarobki, które posyłałam mojej mamie, wówczas już osiadłej w Elblągu. Jesienią 1945 roku pojechałam po raz pierwszy do Elbląga. Most na Wiśle w Grudziądzu, wysadzony przez cofających się Niemców, zmuszał do przesiadki. Jechało się mostem pontonowym na drugi brzeg Wisły, a stamtąd przeważnie okazją, tj. zatrzymanym samochodem wojskowym dojeżdżałam do Elbląga. Pierwsza wyprawa odbyła się pociągiem z Grudziądza. Dotarliśmy do Elbląga w ciemnościach. Tam ani tramwaju,

ani żadnej orientacji. Wysiadłam wraz z ludźmi, dopytując się, w którym kierunku mam iść, by dotrzeć do określonej ulicy. Nazwy jej nie pamiętam. Zaproponowano mi marsz na skróty przez cmentarze, liczne w tym mieście obok świątyń. Szłam z grupą ludzi na ślepo. Wreszcie zostałam sama, gdyż moi towarzysze odpadali po drodze, zdążając do swoich domów. Znajdowałam się jednak już na ulicy i wskazano mi, w którym kierunku należy iść. Ciemności zupełne. Żadnej latarni. Dostrzegłam w szparze drzwi światło wewnątrz jakiegoś domu, weszłam i tam zastałam kilku oficerów, którzy wskazali mi ulicę, na którą mam się udać. Było już niedaleko. Odnalazłam rodzinę, Ewę, Bolka i małego Antka oraz mamę. Mieszkali w poniemieckiej willi piętrowej z ogródkiem. Młoda Niemka zgodziła się na służbę. Bolek otrzymał pracę w sądzie, Ewa niedługo po nim została zatrudniona w magistracie. Elbląg we dnie przedstawiał się fatalnie. Ruiny, zgliszcza, ocalałych domów niewiele. Kościoły poburzone, tramwaje nie kursowały. Jednakże elektryczność już w domach działała. Bieda żywnościowa. Ale żyjemy, przeżyliśmy wojnę, idziemy do przodu. Trzeba kraj odbudować, trzeba w nim żyć. W czasie podróży nie myślałam o ryzyku tego przedsięwzięcia. Włóczyło się wielu maruderów Armii Czerwonej, gwałty, nawet morderstwa były na porządku dziennym. Wcale nie myślałam o tym. Jechałam do mamy i nic więcej mnie nie interesowało.

Na Boże Narodzenie 1945 roku pojechaliśmy ze Staszkiem do Karpacza via Wrocław. Znów ruiny, morze ruin. Nocą wrzaski pijanych sołdatów. Jelenia Góra nienaruszona, piękna, Karpacz zachwycał nas. Zatrzymaliśmy się w jakimś domu wczasowym lekarzy i tam spędziliśmy Święta. Mieszkało tam przedziwne towarzystwo. Jacyś byli ziemianie, którzy uciekli przed rewolucją, jakieś przegrane typy. Ale nas to mało interesowało. We dwoje przemierzaliśmy lasy, leśne dukty, niezamarznięty strumień. Z najętym Niemcem pojechaliśmy na Śnieżkę, a raczej pod Śnieżkę, gdzie była gospoda górska na modłę niemiecką urządzona. Piękne to były ferie, pierwsze po wojnie. Tam Staszek spotkał swego kolegę szkolnego ze Stryja. Tenże kolega spędził wojnę na Węgrzech. Pracował w Karpaczu w urzędzie, który zbierał, magazynował, dysponował mieniem poniemieckim.

Na Sylwestra zaprosił nas do siebie. Siedzieliśmy we trójkę, popijaliśmy bimber. Nie mieliśmy zbytniego zaufania do tego pana, nie wiadomo było, co on naprawdę robił w czasie wojny. Zatem rozmowa nie była zbyt wylewna i szczera. Pamiętam, że nigdy w życiu tak się nie upiłam, a mózg mój funkcjonował przedziwnie. Miałam niezwykłą jasność i klarowność słowa, cedziłam je ostrożnie. Staszek tak się upił, że gdyśmy go do domu doprowadzili, pod niemiecką pierzynę runął na łóżko w butach. Rozebrałam go delikatnie i usnęliśmy snem niewiniątek.

Nasze wrażenia z tzw. Ziem Odzyskanych nie były dobre. Obcość, wszędzie dyszała niemiecka Gemütlichkeit[127]. Te piernaty, kompoty w wekach, porządek. Wobec Polaków przesadna uniżoność. Łasili się do nas, co było obrzydliwe. Przecież pozostali Niemcy byli bezbronni. Łobuzy, mordercy dawno uciekli. Żal mi było tych Niemców, a równocześnie budzili wstręt tym przymilaniem się. Gdzie godność, gdzie honor?

Wracaliśmy przez Wrocław. Jakaż ogromna różnica w porównaniu z Jelenią Górą (wówczas jeszcze zwaną Hirschbergiem). Tam wszystko na miejscu. Stare kamieniczki z podcieniami, potok płynący przez miasto, w winiarniach grzane wino z korzeniami. Wrocław okropny! Morze gruzów, jeszcze dymiły, bowiem Festung Breslau broniła się dość długo. Rynek wyglądający jako tako. Zastaliśmy na miejscu Zosię Gostomską[128], znaną mi z Ossolineum. Przybyła z prof. Knotem[129], gdy jeszcze Wrocław się bronił. Zamieszkała w pobliżu Rynku w gmachu biblioteki Uniwer-

[127] Gemütlichkeit (niem.) – atmosfera, przytulność, grzeczność, gościnność. Tu użyte w negatywnym tego słowa znaczeniu.

[128] Zofia Gostomska-Zarzycka (ur. 1899 – zm. 1952) – nauczycielka, publicystka, bibliotekarka. Od 1921 r. związana z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie (z przerwą w latach 1926–1930, kiedy przebywała w Kanadzie). Od 1945 r. pracownik Biblioteki Jagiellońskiej. W 1947 r. kierownik Gabinetu Śląskiego Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu.

[129] Antoni Knot (ur. 1904 – zm. 1982) – historyk, polonista, bibliotekarz, bibliofil, archiwista, edytor, nauczyciel. Związany z UJK, gdzie z czasem został starszym asystentem w Katedrze Historii Oświaty i Szkolnictwa. Po wojnie związał się z Uniwersytetem Wrocławskim i Biblioteką Uniwersytecką, której był dyrektorem. W latach 1947–1949 kierował również Zakładem Narodowym im. Ossolińskich.

sytetu. Ona i p. Knot natychmiast zabrali się do strzeżenia skarbu – księgozbioru, choć był to księgozbiór niemiecki. Niemniej bardzo cenne starodruki, wydawnictwa źródeł do dziejów Śląska i in. Oni się znali na wartości tych książek i ratowali, co się dało.

Zosia przyjęła nas bardzo gościnnie, przenocowaliśmy u niej, w dzień zwiedzaliśmy centrum miasta, częściowo ocalałe, częściowo zaś świecące rozprutymi przez bomby wnętrzami. Gdzieś tam na piętrach wisiały jeszcze dywany, tapety, nawet obrazki. W dole gruzy. Schody zrujnowane. Zaszliśmy do gmachu późniejszego uniwersytetu oraz Ossolineum. Wówczas budynki te świeciły powybijanymi szybami, walały się w nich gruzy, śmieci. Nocą, po zapadnięciu zmierzchu strach było wychylić nos na ulicę. Ciemno, latarnie zrujnowane, pijani sołdaci szukający łupu lub kobiet. Przesiadywaliśmy u Zosi. W Rynku jedliśmy obiad w restauracji niemieckiej. Właściciel Niemiec, obsługa także. Wobec Polaków przesadnie uniżeni, aż drażniąco. Za nic w świecie nie chcieliśmy tam osiąść. Wszystko było obce, zdobyczne. Wiało niedawną wrogością, teraz zamienioną w maskę uśmiechu. Widok Niemców wyjeżdżających – budzący litość i grozę. Nie miałam uczucia odwetu, przeciwnie, żal było patrzeć na te szeregi tułaczy opuszczających swe rodzinne strony i szukających w nieznanym, co im los przyniesie. Byli zmizerowani, starzy lub kobiety z dziećmi, bezbronni. Pilnujący konwoju Polacy zachowywali się spokojnie. Nie widziałam popędzania, krzyków itp. Co tak dobrze znaliśmy z czasów okupacji niemieckiej. Moje świadectwo nie jest pewne. Opisuję to, co widziałam. Być może relacje Niemców byłyby inne, w zależności od tego, na kogo trafili.

Powrót do Łodzi, niewygodna, trudna podróż. W Łodzi znajomi dziwili się naszej wyprawie. Tam w lasach działał Wehrwolf (rok 1945/46). Nie było bezpiecznie. Nam to nie przychodziło do głowy. Tyleśmy przeszli, że strach przed niewiadomym nie powstrzymywał nas od zwiedzania nieznanych nam dotychczas terenów. Ale – powtarzam – osiąść tam na stałe wydawało się nam niepodobieństwem. Tak samo Elbląg był dla nas niewyobrażalny, skoro tam wiało jeszcze niemczyzną. Jedynie centralna Polska wchodziła dla nas w grę.

Wróciliśmy do „naszego" hotelu „Monopol", do naszych prac.

Rozważania o inteligencji w latach 40. XX wieku

Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej otwarło drogę do wymiany myśli na łamach czasopism, książek. Inteligencja polska, przygnieciona brzemieniem wojny, milczała, nie miała warunków do samorealizacji. Istniały w Warszawie jakieś podziemne pisma i wydawnictwa, jednak miały z natury rzeczy bardzo ograniczony zasięg. Sprowadzał się on głównie do problematyki walki, wojny etc. (np. „Kamienie na szaniec" A. Kamińskiego)[130]. Wyzwolenie, a także dość liberalny kurs polityczny umożliwiły osobom różnych orientacji publiczne wypowiedzi. Autorzy, którzy w czasie okupacji pisali do szuflad, starali się publikować swoje prace. Dało to efekt np. w humanistyce w postaci szeregu prac pisanych wedle przedwojennej „mody". Wiele publikował prof. Zygmunt Wojciechowski[131], wznawiał podręczniki historii ustroju Polski Stanisław Kutrzeba, wychodząc naprzeciw potrzebom młodzieży wznawiał też swoje prace np. prof. Jan Rutkowski[132]. „Tygodnik Powszechny" chlubił się wybitnymi nazwiskami (Kutrzeba), wznawiano dawne przedwojenne czasopisma naukowe („Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych" wydawane w Poznaniu, skoro już Lwów był niedostępny. „Kwartalnik Historyczny" wskrzeszono w Krakowie. Wpierw szło kulawo, później gdy redaktorem został Bogusław Leśnodorski, „Kwartalnik" regularnie wychodził). Ukazały się tygodniki (np. „Odrodzenie", „Kuźnica") redagowane przez oso-

[130] Aleksander Kamiński (ur. 1903 – zm. 1978) – pedagog, historyk, działacz harcerski. W czasie okupacji członek kierownictwa Szarych Szeregów, komendant główny Organizacji Małego Sabotażu „Wawer", redaktor naczelny „Biuletynu Informacyjnego", prasowego organu KG ZWZ-AK. Po zakończeniu II wojny światowej związany z Uniwersytetami Łódzkim i Warszawskim.

[131] Zygmunt Wojciechowski (ur. 1900 – zm. 1955) – historyk państwa i prawa. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Od 1925 r. związany z Uniwersytetem Poznańskim.

[132] Jan Rutkowski (ur. 1866 – zm. 1949) – badacz dziejów gospodarczych Polski od XVI do XIX wieku. Od 1919 r. profesor nadzwyczajny, kierownik Katery Historii Gospodarczej Uniwersytetu Poznańskiego. W 1920 r. profesor zwyczajny.

by z tzw. lewicy (Karol Kuryluk, Stefan Żółkiewski)[133]. W Łodzi żywo redagowana przez Króla była „Wieś"[134].

Prof. Bujak wraz z Inglotem wydawali „Wieś i Państwo", miesięcznik na wysokim poziomie, zamknięty później z powodu promikołajczykowskiej orientacji. Redaktorów nie zamknięto. Przykłady przeze mnie przytoczone nie wyczerpują listy wydawnictw, ani naukowych, ani popularnych. Są to jedynie przykłady ożywienia środowiska inteligenckiego, które szukało miejsc do publicznych wypowiedzi.

„Kolaboracja z nowym okupantem" – skrót obelżywy, nieadekwatny do tamtej rzeczywistości. Wszak najszacowniejsi, zasłużeni ludzie (prof. Stanisław Grabski[135], Stanisław Kutrzeba) paktowali ze Stalinem, byli zaproszeni na Kreml. Był wśród nich także prof. Chałasiński[136]. Wszyscy, niezależnie od orientacji politycznej, chcieli się jakoś odnaleźć w nowej rzeczywistości. Któż miał ją budować, jeśli nie Polacy mieszkający nad Wisłą i Odrą. Żadna emigracja nigdy nie jest w stanie dźwignąć kraju z gruzów, zadbać, by instytucje funkcjonowały, by nasza młodzież się kształciła itd.

Dziś wytykanie literatom, że wówczas chcieli zaistnieć, wytykanie młodym uczonym, że pragnęli uporządkować swoje życie, przekazać zdobytą wiedzę, to wszystko zarzuty nieliczące się

---

[133] Stefan Żółkiewski (ur. 1911 – zm. 1991) – historyk literatury, krytyk, działacz polityczny. Redaktor naczelny „Kuźnicy" (w latach 1945–1948), pierwszy dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1956–1959 minister szkolnictwa wyższego.

[134] „Wieś" – tygodnik społeczno-literacki wydawany od 1945 do 1954 r. Przeniesiony z Lublina, wychodził w Łodzi w latach 1945–1949 jako organ prasowy Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej. Pierwszym redaktorem naczelnym „Wsi" był Jan Aleksander Król.

[135] Stanisław Grabski (ur. 1871 – zm. 1949) – polityk, ekonomista, badacz dziejów myśli ekonomicznej. Naukowo związany z Uniwersytetem Jagiellońskim, Akademią Rolniczą w Dublanach, Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytetem Warszawskim. W 1923 r. i w latach 1925–1926 minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, poseł na Sejm RP w latach 1919–1927. Podczas II wojny światowej na emigracji w Londynie. W latach 1945–1947 wiceprzewodniczący Krajowej Rady Narodowej.

[136] S. Grabski jako wiceprzewodniczący Krajowej Rady Narodowej uczestniczył w rozmowach z J. Stalinem, J. Chałasiński nie był członkiem tej delegacji.

z realiami tamtego czasu. Zresztą inteligencja musiała zdobywać środki do życia. Trudno wymagać, by wszyscy chwytali za broń i szli do partyzantki, by się przekwalifikowywali, porzucali status inteligenta itp. My, inteligencja polska odpowiedzieliśmy na potrzeby kraju, potrzeby tamtego trudnego czasu. Wytykanie dziś publicznie, po nazwisku, osobom już nieżyjącym, formułowanie zarzutów kolaboracji – jest doprawdy niesprawiedliwe. Nasze pokolenie, dotkliwie doświadczone już przed wojną (nadprodukcja inteligencji) i w czasie wojny płacące wysoką cenę za przynależność do inteligencji, świadomej warstwy narodu, jest krzywdzone zarzutami, które się obecnie, na fali rozrachunku z przeszłością komunistyczną, dokonywa.

My odbudowaliśmy Polskę, dźwignęliśmy zrujnowane miasta, które stały się ośrodkami nauki, kultury, sztuki i należy nam się odrobina szacunku za nasze trudne, pokrętne życie. Inteligencja polska nie była hołubiona przez władze. Łamano jej morale, drogą nacisków i obietnic (paszporty, studia zagraniczne). Nie wynagradzano nas po królewsku, przeciwnie, żyliśmy w swej masie jak inni przeciętni obywatele tego kraju (gorzej niż górnicy).

Po wojnie rozgorzała dyskusja nad rolą inteligencji w przeszłości. Jej pochodzenie społeczne nie było dobrze oceniane. Wywodziła się bowiem w znacznej części z ziemiaństwa. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej" Józefa Chałasińskiego wywołała szeroką dyskusję[137]. Na łamach „Tygodnika Powszechnego" ogłosił obszerny artykuł m.in. prof. Stefan Kieniewicz[138]. Chałasiński otwierał drogę inteligencji pochodzenia chłopskiego i robotniczego. Zrozumiałe. Idea sama w sobie była słuszna i godna poparcia.

Jednakże w praktyce owo pokolenie z awansu nie potrafiło dogonić inteligenta pochodzącego z takiegoż domu. Przedwojenna inteligencja pochodzenia chłopskiego miała za sobą doskonałe szkoły średnie, potem uniwersytety, przez które przebijała się z trudem. Niemniej potrafiła wyrównać swój trudny start i nale-

[137] Wspomniana przez K. Śreniowską praca ukazała się w 1946 r. Była komentowana zarówno w kraju, jak i na emigracji.

[138] Stefan Kieniewicz (ur. 1907 – zm. 1992) – historyk, badacz dziejów Polski XIX wieku, wydawca źródeł, dydaktyk. Studia odbył na Uniwersytecie Poznańskim, uczestniczył również w seminarium Marcelego Handelsmana na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1958 r. profesor zwyczajny UW.

żała do czołówki uczonych (np. prof. prof. Bujak, Ptaśnik[139], Kot, Pigoń[140] i in.). Powojenna młodzież nie miała dostatecznego wykształcenia średniego, często maturę robiła na jakichś naprędce organizowanych kursach dokształcających. Potem otrzymywała awanse niekiedy drogą przynależności partyjnej, tytuły profesorskie traktowano jak nagrodę za wierną służbę partii.

Dlatego zostali wyuczonymi, ale nie uczonymi. Ich horyzont intelektualny został zawężony. Status inteligenta obniżali, a szczególnie obniżali status uczonego. Im wystarczały togi, birety, sprawowanie funkcji o charakterze urzędniczym (dziekani, rektorzy itd.), dające wiele splendoru, niewymagające niekiedy szerszych horyzontów intelektualnych. Szczególnie miało to miejsce na prowincjonalnych uniwersytetach (nomenklaturowych). Ośrodki naukowe z tradycjami, Uniwersytety Warszawski, Jagielloński, Poznański obroniły się przed napływem niby-profesorów.

Przemiany światopoglądowe następowały powoli i nie całkiem świadomie. Na bieżąco jesteśmy zaangażowani w biegnącą szybko rzeczywistość i nie zawsze zdajemy sobie sprawę z przemian zachodzących w nas. Ja w każdym razie nie byłam zdolna do takiej analizy aktualnych zmian zachodzących we mnie. Na przyjęcie tych zmian, nowe spojrzenie na rzeczywistość społeczną, nakładały się od lat narastające doświadczenia.

Przedwojenne zmaganie się z bezrobociem, rok 1939, ucieczka rządu, kompromitacja sanacji, kompromitacja ludzi wychowanych przez Piłsudskiego i – przecież – odznaczających się, zasłużonych, walczących o wolność w latach 1914–1920. Urok piłsudczyzny pękł jak bańka mydlana.

---

[139] Jan Ptaśnik (ur. 1876 – zm. 1930) – historyk kultury i miast polskich epoki nowożytnej. W 1919 r. profesor nadzwyczajny UJ, od 1920 r. profesor zwyczajny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (w latach 1920–1930 kierownik Katedry Historii Średniowiecznej Powszechnej).

[140] Stanisław Pigoń (ur. 1885 – zm. 1968) – badacz literatury polskiej doby romantyzmu, pozytywizmu, modernizmu, edytor. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wykładowca Uniwersytetów Poznańskiego (w latach 1920–1921), Wileńskiego (w latach 1926–1928 rektor), Jagiellońskiego (od 1930 r.).

W latach 40. stan psychiki mojej i mego Staszka był nieco nadszarpnięty latami okupacji. Nie zawsze reagowaliśmy spokojnie, brakowało nam równowagi. Świadczy o tym np. następujący incydent: wracałam z uniwersytetu, szłam ku „mojej" szkole średniej przy ul. Jaracza. Nadbiegł zdyszany Staszek, prosząc mnie, bym się pospieszyła, bowiem złapał szmalcownika i tam gdzieś przy Jaracza pilnuje go zaprzyjaźniony z nami kolega. Idąc wolno, postanowiłam zachować się spokojnie.

Wiedziałam, że nie potrafię rozpoznać człowieka po kilku latach, mam bowiem kiepską pamięć do ludzkich twarzy, gdy nie są one charakterystyczne. Doszliśmy na miejsce, gdzie na schodkach siedział „aresztant". Staszek zapytał mnie, czy rozpoznaję. Po namyśle odrzekłam, że nie mogę rozpoznać i proponuję puścić go wolno. Człowiek przypadł do moich rąk, gorąco dziękując za decyzję. Spodziewał się – jak mi oświadczył – jakiejś rozhisteryzowanej baby, która go wpakuje w niemałe kłopoty. Nie wiem, czy był winien czy nie. Moje sumienie nakazywało tak właśnie postąpić, czego nie żałuję.

O złym stanie psychicznym świadczyły np. moje koszmarne sny. Uciekałam w nich przez płonące domy, po jakichś strychach, dachach, gonili mnie Niemcy w mundurach. Budziłam się zlana potem, szczęśliwa, że mogę się otrząsnąć z koszmaru. Staszek nauczył się w czasie okupacji tak dokładnie skrywać swoje stany nerwowe, że nikt nie poznałby po nim jakiejś podwójnej osobowości. Nawet po śmierci mamy, a raczej jej zniknięciu, w nocy rozpaczał, w dzień grał świetnie rolę człowieka, któremu nic się nie zdarzyło. Coś z tego pozostało w nim po wojnie. Starałam się odegnać od siebie koszmary. Nieco później, gdy przyszły na świat dzieci – strzegliśmy pilnie, by nie przekazywać im ciężaru dziedzictwa. Na przykład gdy mieszkaliśmy niedaleko więzienia na Radogoszczy, unikaliśmy chodzenia w tamtą stronę z małymi dziećmi, by nie padły pytania, czemu druty, czemu spalony dom etc. Tamte przeżycia były obce dzieciom zrodzonym w nowej rzeczywistości. Zresztą o ile dobrze pamiętam, mój ojciec po powrocie z wojny również nie lubił rozmów na ten temat. Po prostu, kto nie przeżył – ten nie zrozumie.

W czasie obu okupacji rozmawialiśmy wiele o przyszłości. Byliśmy niemal zgodni co do tego, że przedwojenna rzeczywistość nie może powrócić. Niemal wszyscy moi rozmówcy, przyjaciele uważali reformy społeczne za niezbędne i konieczne. Wtedy wierzyliśmy, że zachodnie demokracje posłużą nam za wzór ustrojowy. Po Stalingradzie w kołach, w których się obracałam (lewica żoliborska), stało się jasne, że wyzwolenie spod okupacji niemieckiej przyjdzie ze wschodu. Czy miałam jakiś określony stosunek do tej konieczności po doświadczeniach lwowskich 1939–1941?

W mojej naiwności politycznej jednak wierzyłam w demokrację typu zachodniego, w oswojenie polskiego komunizmu i przystosowanie do naszych polskich potrzeb. Nic nie miałam przeciw socjalizmowi z ludzkim obliczem. Wyrównanie krzywd społecznych wydawało mi się koniecznością, operowałam pojęciem sprawiedliwości dziejowej. Przedwojenna Polska jawiła mi się jako kraj na poły kolonialny, z obcym kapitałem wyzyskującym polską tanią siłę roboczą. Ziemiaństwo nie funkcjonowało w mojej głowie jako sfera jeszcze do czegokolwiek przydatna. Już w dwudziestoleciu międzywojennym odbierałam ziemiańskość jako relikt przeszłości już niezdolny do przodowania narodowi. Spełnili swą misję dziejową w XIX wieku, bijąc się o wolność ojczyzny. Teraz – wedle mego rozumowania – już się skończyli, już się nie liczą. Nic to, że dwory i dworki polskie ratowały od głodu w czasie okupacji ludzi, ukrywały Żydów itd. Lekceważyłam to wszystko. Zresztą już opisując Ossolineum w latach 1939–1941, pisałam – nie bez satysfakcji – o zawłaszczeniu komnat księcia kuratora Lubomirskiego. Ratowanie archiwów podworskich to była moja powinność. Nie kojarzyłam tego z krzywdą ludzką, po prostu o tym nie myślałam.

Powojenne hasła „nowego życia" trafiały do mnie. Pragnęłam równego startu dawniej upośledzonych, cieszyłam się, że już nigdy bezrobocia. „Niech hejnał z wieży Mariackiej szumi czerwonym sztandarem"! Akceptowałam w 100%.

Wieści niepochodzące z prasy jednak do nas docierały. Np. aresztowania AK-owców budziły we mnie niechęć i potępienie. Cóż z tego, że opowiadali się za rządem londyńskim.

Przecież byli to ochotnicy (nie poborowi), którzy bili się o Polskę. W wojsku nie jest ważna orientacja polityczna, według mego mniemania, tylko fakt walki, uczestnictwo w walce. Wydawało mi się czymś niesłychanym karanie ludzi za tę walkę. Chyba to pierwszy raz w dziejach zdarzył się taki tragiczny fakt. Echa tego docierały do mnie z oddali. Podobno Stefan Żółkiewski również był poruszony i oburzony tą rozgrywką, której ofiarami padali niewinni ludzie.

Druga sprawa – tym razem z gazet. Pogrom kielecki. Pamiętam protest pp. Ossowskich na łamach prasy („Kuźnica")[141]. Nie wiedziałam natomiast wówczas o tzw. akcji „wagonowej", tj. o wyrzucaniu Żydów z pociągów i zabijaniu. O tym dowiedziałam się w styczniu 2000 roku z wywiadu z dr Markiem Edelmanem. Był on naocznym świadkiem tych zdarzeń. Zatem antyżydowski kurs trwał i to odgórnie kierowany. Ohyda tych faktów hańbiła imię narodu polskiego. Mnie osobiście natomiast – o naiwności! – wydawało się, że skoro nie ma już Niemców i szmalcowników – jesteśmy bezpieczni. Staszek nerwowy, czujny, nieco inaczej odbierał owo „bezpieczeństwo". W czasie naszych wypraw w okolice Łodzi umknęliśmy jakimś podejrzanym typom (w Rudzie Pabianickiej). W rozmowach z ojcem – który absolutnie nie akceptował zmian w Polsce i po prostu nie chciał dłużej żyć – tłumaczyłam, że to, co się stało, to jedyny ratunek dla nas osobiście, że nie mieliśmy szans przeżycia pod okupacją. Nie widziałam też możliwości życia w odbudowanej przedwojennej Polsce, z korporantami, ekscesami antyżydowskimi etc. Ojciec, który bardzo mnie kochał i byliśmy ze sobą silnie związani emocjonalnie, milczał, nie odpierał moich argumentów.

To wszystko razem pozostawiało jakiś osad niepokoju. Z jednej strony godziłam się na rzeczywistość pojałtańską (bo nie było innej nad Wisłą i Odrą), z drugiej jednak nie pozostawałam zu-

[141] Śreniowska miała najprawdopodobniej na myśli tekst S. Ossowskiego *Na tle wydarzeń kieleckich*, „Kuźnica" 1946, nr 38. Przedruk w: *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*, wybór, wstęp i opracowanie A. Michnik, t. 2, Kraków 2010, s. 116–128.

pełnie bezkrytyczna wobec wydarzeń bieżących. Władze partyjne (Borejsza i in.) ogromnie zabiegały o pozyskanie inteligencji, przynajmniej jej części. Udawało się to. Nawet ludzie zdecydowani pozostać w opozycji służyli polityce władz (np. prof. Zajączkowski zabiegał o publikację, także prof. Wereszycki i wielu innych). Wszak Stanisław Grabski i Stanisław Kutrzeba byli członkami polskiej delegacji na Kreml (także Chałasiński). Ludzie opozycyjnie nastawieni do komunizmu ze względu na wyższą politykę lub też ze względów ambicjonalnych nie chcieli pozostawać w cieniu. Każdy przecież chciałby jakąś rolę odgrywać, czymś zaznaczyć swoją obecność.

Wiele spraw odsłoniło mi się dopiero w latach 80. na podstawie lektur z tzw. drugiego obiegu.

Partia! Partia była nie dla mnie. Tam panowała dyscyplina zachowań, rytuał gestów, przemówień itp. To nie dla mnie. Wyłaziłam z ram. Nikogo słuchać nie chciałam, nie uznaję narzuconych autorytetów. Zresztą nigdy w żadnej partii nie byłam i właściwie po co mi takowa. Chodzenie w równym szeregu to nie dla mnie. Zaraz bym wyskoczyła na pierwszym lepszym zebraniu partyjnym z czymś „niepolitycznym" i zaraz by mnie wyrzucono.

Zatem kształtowałam swoje poglądy wedle własnego uznania, a także w związku z kontaktami przyjacielskimi, kręgiem znajomych itd.

Rzeczywistość zakłamana lub przemilczana przez prasę nie docierała do mnie w całej nagości i prawdzie. Raz po latach – Nina[142] mi powiedziała, że dziwi ją nasza niewiedza z lat 40. o tym, co się dzieje w kraju. Mnie też dziwi. Uważam to za moją głupotę, a na pewno naiwność w sprawach politycznych. Przeżywaliśmy rewolucję i wojnę domową. Rewolucja obaliła bariery klasowe. Przestały obowiązywać reguły zachowań „panien z dobrego domu" (wyróżnianie się strojem, co uważałam za niezwykle wygodne i ważne!), zresztą szło to w parze z naszą biedą. Nie stać nas było na suknie, panów na garnitury itp. Przedwojenny styl ubierania się był ogromnie niewygodny i krępujący, nadto zobowiązywał do określonych zachowań. Precz z tym.

[142] Chodzi o Ninę Assorodobraj-Kulę.

W mojej świadomości zniknęło pojęcie mezaliansu. Osoby z kręgów uniwersyteckich obnosiły swe tytuły, pozostawały w „swoim" kółku, tylko w nim dyskutowały, mądrzyły się itd. Mnie to było obce, nawet nieco śmieszyło (np. u Niny). Teraz w miejsce pochodzenia rasowego weszło pochodzenie społeczne. Najlepsze – robotnicze, nieco gorsze – chłopskie, najgorsze – inteligencja pracująca. Ja właśnie do tych najgorszych należałam. Ale nie czułam się najgorsza. Rasowe uprzedzenia nie zniknęły. Hitlerowcy pozostawili głęboki ślad swej doktryny. Oni też doprowadzili do skłócenia środowisk wielonarodowych. Niechęć ta pozostała do dziś. W Łodzi na przykład, gdzie przed wojną Żydzi, Polacy i Niemcy (i inni) żyli zgodnie obok siebie, skłócili wszystkich. Żydów odizolowali i wymordowali, Niemcom oferowali Volkslistę i przyjęcie obywatelstwa Rzeszy, Polaków skupili w oddzielnych rejonach miasta, oddzielili w tramwajach, zabronili im wstępu do parków, lokali etc. Biada Niemcowi, który odmówił podpisania Volkslisty. Za to karano srogo.

No i po wojnie zostaliśmy w Łodzi podobno jednonarodowej – polskiej. Teraz (tj. w 2000 roku) odrabiamy zaległości, wskrzeszamy pamięć o wielonarodowym mieście. W mojej osobistej sytuacji podziały rasowe równały się zbrodni, natomiast otwarcie na innych, ponoć „obcych" mieszkańców, pozostawało. Te reguły nie zawsze były wygodne dla rządów PRL, szczególnie wyszły na jaw w 1968 roku.

Zapewne moja próba analizy postaw społeczno-politycznych jest mało wnikliwa. Trudno mi się uporać po latach z tym problemem.

Aliści wyznać ze wstydem muszę, że „klasyfikacja" ludzi w latach 40. i 50. jakiś ślad we mnie zostawiła. Jakiś osad tlił się. Na niektórych ludzi patrzyłam jak na „mniej ważnych", bo ponoć reakcjoniści. Inni „ważniejsi", bo akceptują socjalizm, chcą przemian społecznych, wpuszczenia szerokiego nurtu młodzieży chłopskiej i robotniczej na studia wyższe, chcą państwa opiekuńczego, pokoju na świecie („Wygramy walkę o trwały pokój"), „wyprowadzenia ludzi z piwnic i poddaszy do jasnych, godnych człowieka pomieszczeń". Przecież to wszystko słuszne, jakże tego nie popierać.

Wspomniałam powyżej, że mieliśmy kłopot z nauczaniem, skoro przedwojenne podręczniki nie wystarczały. Podręczniki szkolne pełne były kultu Marszałka, te uniwersyteckie (i szkolne) nie uwzględniały roli tzw. mas, czyli roli ruchu robotniczego. Nie uwzględniały wagi opinii społecznej, eksponowały kult silnej indywidualności itp. (A kult Stalina w najlepsze kwitł i jakoś nie kwapiliśmy się, by zwalać zwycięskiego generalissimusa z pomników. Mało tego, sądziłam w mej naiwności, że on jest doprawdy obrońcą pokoju, stoi na jego straży, a ja się okropnie bałam wojny, miałam jej dość).

Z inicjatywy prof. Serejskiego zabraliśmy się do opracowania podręcznika historii starożytnej. Prof. Serejski był autorem takiego podręcznika dla szkół średnich już przed wojną. Zatem wiedział, jak się to robi, jakie są wymogi dydaktyczne, jak dostosować podręcznik do poziomu ucznia. Zaproponował współpracę p. Marianowi Goliasowi, znakomitemu filologowi, autorowi podręczników greki i łaciny, a także wieloletniemu nauczycielowi szkół średnich we Lwowie, mojemu wychowawcy klasowemu. Drugim współpracownikiem został p. dr Bogumił Zwolski[143], ogromnie doświadczony dydaktyk, uczeń prof. Kościałkowskiego z Wilna[144]. Czwartą osobą w tym zespole zostałam ja – wówczas asystentka prof. Serejskiego. Była to dla mnie ogromnie zaszczytna propozycja. Byłam najmłodsza w tym zespole, najmniej doświadczona. Porwałam się na to przedsięwzięcie, ufając, że posiadam zdolności popularyzatorskie, poduczę się historii starożytnej i może sprostam zadaniu. Zespół pracował zgodnie. Prof. Serejski wydostał z Ministerstwa Oświaty program szkolny i w oparciu o wymagania tego programu punkt po punkcie próbowaliśmy realizować nasze zamierzenia[145].

[143] Bogumił Zwolski (ur. 1910 – zm. 1979) – badacz historii Litwy i dziejów powszechnych. Studia odbył na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Po 1945 r. wykładowca średniowiecznej historii powszechnej na Uniwersytecie Łódzkim.

[144] Stanisław Kościałkowski (ur. 1881 – zm. 1960) – historyk, badacz dziejów Litwy, prof. Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Po 1945 r. na emigracji.

[145] Efektem pracy wspomnianego zespołu były podręczniki historii starożytnej i wczesnego średniowiecza, które ukazały się pod redakcją M. H. Serejskiego w latach 1947–1954.

Ewentualne powodzenie naszej pracy byłoby sowicie nagrodzone, a przecież wszyscy czworo byliśmy w biedzie, pozbawieni domów, mieszkań, odzieży etc. Jak wspominałam – w zbiorach poniemieckich znalazło się nieco dzieł dotyczących historii starożytnej. Niemieccy uczeni kładli nacisk na rolę niewolników (Pohlmann, Meyer), na historię gospodarczą[146]. Tego nam właśnie było potrzeba. Podręcznik miał uwzględniać całokształt życia społeczności starożytnej, nie tylko wolnych i bogatych, sięgać nie tylko do skarbca kultury starożytnej (co było nieco trudne dla p. Goliasa). Zabrałam się z zapałem do studiowania. Podzieliliśmy tematy równo między siebie, nie było odstępstw od decyzji. Podręczniki rosyjskie jeszcze do nas nie docierały.

Otrzymałam – nie pamiętam skąd – książkę Miszulina o Spartakusie (najprawdopodobniej w języku rosyjskim, pewnie wówczas jeszcze nie było polskiego tłumaczenia)[147]. Wykorzystałam ją do rozdziału naszego podręcznika na ten właśnie temat. Zresztą książka zrobiła na mnie duże wrażenie.

Spartakus jako bohater bardzo mi imponował. Chętnie o nim pisałam w podręczniku. Innych książek od „ruskich" na razie nie znałam, bo w tamtych latach (1946, 1947) jeszcze do nas nie docierały. Moją wiedzę na temat historii starożytnej wykorzystywałam później w wykładach w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a także na kursach dla nauczycieli, które zorganizował p. dr Mateusz Siuchniński – wówczas asystent prof. Serejskiego, mój kolega.

Tenże pan był dla mnie wielce uprzejmy, jednak nie cieszył się moją sympatią, ponieważ był nieprawdopodobnie leniwy. Zresztą pewien epizod – wcale nie świadczący o jego odwadze – właśnie opiszę.

Było lato (może wiosna 1946 roku, daty nie jestem pewna). Siuchniński, wtedy jeszcze chodzący w mundurze oficerskim Ludowego Wojska Polskiego – zachęcił prof. Serejskiego do wyjazdu do Marchwacza (za Sieradzem), gdzie w porzuconym majątku Niemojewskich znajdowały się jakieś książki podworskie.

---

[146] Robert von Pöhlmann, *Griechische Geschichte und Quellenkunde*; Eduard Meyer, *Geschichte des Altertums*, Bd. 4: *Das Perserreich und die Griechen*.

[147] A. W. Miszulin, *Powstanie Spartakusa*, Warszawa 1952.

P. Siuchniński dostarczył samochód wojskowy (ciężarowy) i wybraliśmy się we czwórkę, tj. profesor, p. Siuchniński, Staszek i ja do owego Marchwacza. Kierowcą był Rosjanin. Dwór piękny, w parku nad stawem. Panowie poszli na strych, stamtąd znosili starodruki, mnóstwo romansów francuskich itp. Profesor wybrał cenne dla nas starodruki, poczem panowie poszli się kąpać w stawie, ja natomiast zostałam, zapewne nie miałam kostiumu kąpielowego.

Szofer kręcił się po komnacie, gdzie leżały książki, ubrania kąpielowiczów. Gdy Staszek wrócił, by się ubrać, szofer na jego oczach zabrał mu złote wieczne pióro, pamiątkę po ojcu. Staszek zażądał zwrotu, spotkał się z odmową. Gdy wrócili panowie, Staszek zwrócił się do oficera, tj. p. Siuchnińskiego z prośbą, by nakazał zwrot pióra. Siuchniński nie reagował. Zebraliśmy księgi, załadowaliśmy na samochód i puściliśmy się w podróż powrotną. Staszek znów nalegał, by wymusić zwrot pióra. Szło mu nie tyle o cenną wówczas rzecz, ile o pamiątkę. Przecież on nic z domu rodziców nie miał. Po drodze zatrzymaliśmy się na krótki postój w jakimś miasteczku (może w Sieradzu?), szofer odszedł niedaleko i powrócił już bez pióra. P. Siuchniński zapytał o to, pióra złodziej już przy sobie nie miał. Oficer nie miał odwagi wymusić na podwładnym zwrotu ukradzionej rzeczy. Nie mogliśmy pojąć, że miał podstawy do obaw, gdyby zachował się inaczej.

Wracając do sprawy literatury radzieckiej. W roku 1948 (o ile dobrze pamiętam) pierwszy raz zobaczyłam na własne oczy podręcznik Siergiejewa i na podstawie tego podręcznika właśnie wykładałam nauczycielom historię starożytnego Wschodu oraz Grecji[148]. Podręcznik Maszkina – „Starożytny Rzym" – poznałam dopiero później i to już w polskim tłumaczeniu[149]. Kupił mi tę książkę w prezencie p. Siuchniński.

[148] W. S. Siergiejew, *Historia starożytnej Grecji*, Warszawa 1952.
[149] N. A. Maszkin, *Historia starożytnego Rzymu*, Warszawa 1951.

***

Tu przerwę tok narracji. Po namyśle sądzę, że pamiętnik mój jest zbyt korzystny dla mnie. Nie piszę o sprawach mrocznych. Wybieliłam siebie. Do spraw mrocznych zaliczam wykład w Wyższej Szkole przy KC PZPR[150], który wygłosiłam na zaproszenie prof. Żanny Kormanowej[151], gdzieś na początku lat 50. Wykładałam o Wacławie Sobieskim[152]. Wtedy przygotowałam pracę obszerniejszą o tym historyku. Nigdy jej nie drukowałam. Zniechęcił mnie do tego prof. Serejski. Była to książka podobna w koncepcji do mojej pracy doktorskiej o Stanisławie Zakrzewskim. To jest rozrachunkowa z przedstawicielami historiografii przedwojennej. Wydawało mi się wówczas, że można budować nowe spojrzenie na ujęcie dziejów wówczas, gdy się dokona rozliczeń z dotychczasowym dorobkiem nauki i wykaże sens takiej rewizji obrazu historycznego. Przecież nie można pomijać tego, co dotychczas obowiązywało w nauce. Zatem moje założenie było – jak sądzę – uczciwe. Chciałam się rozeznać w spuściźnie naukowej. Niektóre prace Wacława Sobieskiego nadawały się do przemyślenia. Jednakże jego podręcznik dziejów Polski pomyślany jako podręcznik uniwersytecki w żaden sposób nie mógł być przeze mnie akceptowany. Jest tam spiskowa teoria dziejów (wszystkiemu winni Żydzi itp.), przebija jak na dłoni endecka mentalność. Z jednej strony Zakrzewski – apoteozujący wielkich ludzi i ich wpływ na dzieje (masa jest niczym!), z drugiej – jego przyjaciel z czasów studenckich, historyk Sobieski przesiąknięty doktryną endecji.

[150] Chodzi o Instytut Kształcenia Kadr Naukowych.

[151] Żanna Kormanowa z d. Zelikman (ur. 1900 – zm. 1988) – badaczka dziejów ruchu robotniczego. Przed wybuchem wojny związana z Komunistyczną Partią Polski. Od 1961 do 1970 r. kierowała Katedrą Historii Ruchów Społecznych UW, prowadząc jednocześnie wykłady w Akademii Nauk Politycznych, w latach 1950–1957 także w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych (od 1956 r. Instytucie Nauk Społecznych) przy KC PZPR.

[152] Wacław Sobieski (ur. 1872 – zm. 1935) – historyk dziejów Polski i Europy XVI–XVIII wieku. Związany z Uniwersytetem Jagiellońskim (w 1910 r. prof. nadzwyczajny).

O Sobieskim właśnie wygłosiłam wykład, podobno się podobał – jak mnie uprzejmie poinformowała prof. Kormanowa. No i to właśnie sprawa mroczna. Szłoby tu o to, że miało to miejsce w szkole przy KC. Sam temat wydaje mi się po dziś dzień słusznie ujęty i nie wycofuję się z tez na temat prof. Sobieskiego, który był w swoim czasie wysoko cenionym historykiem. Zresztą padł ofiarą czystki wśród profesorów. Na skutek sporu o autorstwo odparcia najazdu bolszewickiego w 1920 roku pozbawiono go katedry, co skończyło się nagłym zgonem na serce. Miało to miejsce w latach 30. XX wieku.

Problem rewizjonizmu historycznego powstaje zawsze po wielkich przewrotach dziejowych. Po pierwszej wojnie, odzyskaniu niepodległości również inne było spojrzenie na naszą przeszłość. Sądzono, że już czas na porzucenie roli pokrzepiania serc, sytuacja polityczno-społeczna Polski nakazywała na nowo pisać jej dzieje. Powstała synteza dziejów pod auspicjami PAU – niestety niewypał, podobnie jak synteza PWN, z takim trudem montowana przez prof. Tadeusza Manteuffla[153].

Po II wojnie znów dokonywano rozrachunku z przeszłością, a to wymagało nowych ujęć historycznych. Zaklinano się na marksizm-leninizm, jednakże wydaje mi się, że – w przeważającej liczbie prac historycznych – był to raczej szyld, deklaracja. W istocie szło o nadrobienie zaniedbań przedwojennej historiografii, tj. zerwanie z „historią królów", przejście do dziejów narodu, gospodarki, dziejów poszczególnych klas społecznych: chłopów, robotników.

„Historia jest historią mas" – głosiło sztandarowe hasło. Istotnie! Jest ona niewątpliwie historią mas. Zależało nam jedynie na tym, by nie zwulgaryzować tejże historii, nie ograniczyć się do hasłowego dokumentowania z góry przyjętej tezy. Jak najdalej od wybiórczego manipulowania źródłami! Tym miała się różnić historiografia polska od radzieckiej, w pewnym stopniu

[153] Tadeusz Manteuffel (ur. 1902 – zm. 1970) – historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, uczeń Jana Karola Kochanowskiego i Marcelego Handelsmana. W czasie wojny członek ZWZ-AK, współorganizator tajnego nauczania. Od 1953 r. dyrektor Instytutu Historii PAN.

zwulgaryzowanej. Dlatego historiografia polska czasów PRL ma duże osiągnięcia i nie zboczyła z drogi prawdziwie naukowej. Akceptacja statusu władzy nie oznaczała – dla ludzi inteligentnych – podlizywania się tej władzy, płaszczenia przed nią. Historycy służyli nauce, niekoniecznie posiadając legitymacje partyjne, choć te ułatwiały start młodym, uznanie przez władze starszych. Jednak na czoło wysunęli się bezpartyjni historycy, jak np. Stefan Kieniewicz, Witold Kula, prof. Tymieniecki, prof. Rutkowski i in. W latach 40. i 50. do roku 1957 należał do czołówki Stanisław Śreniowski, również bezpartyjny.

Pilna potrzeba stworzenia nowych podręczników dla szkół podstawowych, średnich i wyższych przez szereg lat przyciągała uwagę, czas i pracę historyków. Na nowy obraz historii składały się także wysiłki tzw. reakcjonistów (np. prof. Zajączkowski jako współautor podręcznika dla szkół średnich)[154]. Prof. Natalia Gąsiorowska nie wahała się przyciągnąć p. prof. Wereszyckiego itp.[155] Wszyscy, i ci dobrze widziani przez władze, i „reakcjoniści" pracowali dla dobra młodzieży. Wszyscy odbudowywaliśmy Polskę z gruzów, dźwigaliśmy szkolnictwo, każdy wedle swych sił i umiejętności. To tu nad Wisłą rozstrzygały się losy narodu, nie na emigracji, choć nie neguję również jej wielkich zasług.

Nad podręcznikiem historii starożytnej pracowaliśmy pod wodzą prof. Serejskiego kilka lat. Zmieniały się jednak programy i stanęliśmy wobec konieczności dopisania początków średniowiecza.

Znów rozdano role, każdy pisał to, co mu przypadło. Mnie akurat przypisano m.in. rozdziałek o Słowianach. Nie miałam o tym pojęcia. Zabrałam się gorliwie do lektur, ale mi nie wychodziło. Pisałam, poprawiałam, profesor Serejski odrzucał. Okropnie się męczyłam z tego powodu.

Józef w wózku dziecinnym spał, gdy ja się mozoliłam nad Słowianami. Ostatecznie po iluś tam redakcjach poprosiłam,

---

[154] Chodzi o Stanisława Franciszka Zajączkowskiego (ur. 1890 –zm. 1977) – historyka mediewistę, prof. USB, po 1945 r. związanego z UŁ.

[155] Autorka miała zapewne na myśli podręcznik H. Wereszyckiego *Historia polityczna Polski 1864–1918*, Warszawa 1948. W okresie stalinowskim został on potępiony jako nieprawomyślny i stał się pretekstem do ataków na H. Wereszyckiego na konferencji otwockiej na przełomie 1951/1952 r.

by profesor – świetny znawca wczesnego średniowiecza, sam napisał o tych nieszczęsnych Słowianach.

Zrzekałam się na jego korzyść tej cząstki honorarium, byle się pozbyć Słowian. Profesor był nieubłagany. Termin oddania podręcznika do druku upływał i wtedy zmuszona byłam oświadczyć, że nie jestem w stanie tego wykonać. Spotkałam się z wymówkami, że to przeze mnie opóźnia się wysłanie do druku, ultimatum, że muszę przez jedną noc wykończyć zadowalającą wersję tego rozdziału. Wszystko to podane w tonie nieco obraźliwym, awantura! Wtedy po prostu wyszłam i nie pokazałam się przez kilka dni. Profesor wysłał egzemplarz do druku z „dziurą" na temat Słowian.

Po paru dniach pojawiłam się nieco uspokojona i oświadczyłam, że zrywam więź z podręcznikiem średniowiecza, a właściwie szło tylko o tych nieszczęsnych Słowian. Wtedy doszło do ugody. Profesor przyjął którąś tam z rzędu moją redakcję tekstu i wysłał jako uzupełnienie do drukarni. Rozdziałek o Słowianach jest nieudany. Czemu pan Serejski nie chciał tego napisać – pewnie przez upór. Mnie na tym nie zależało.

Później podręczniki historii starożytnej pisali p. Zwolski i p. Kappesowa[156]. Ten rozdział mego życia zakończyłam.

Honoraria z tej roboty pozwoliły nam przede wszystkim na jakie takie ubranie (także tatusiowi wysłałam do Elbląga nieco nowej, eleganckiej odzieży, bo wrócił ze Lwowa obszarpany, w dziurawych butach), nieco najniezbędniejszych sprzętów do domu itp. Była to ciężka praca, szczególnie po urodzeniu syna w roku 1947. Przybyło pracy koło dziecka, trzeba było zatrudnić pomoc domową, wreszcie usilnie starać się o mieszkanie, bowiem w „kołchozie" przy ul. Kościuszki 60 trudno było się pomieścić. Staszek wystarał się o mieszkanie w willi przy ul. Laurowej 2 i tam zamieszkaliśmy od czerwca 1947 roku. Dziecko miało ogród, powietrze. Odpadły wyprawy do parku, które zajmowały masę mojego czasu. Staszek pilnie pracował nad habilitacją, wiele publikował, harował ciężko. Żywo uczestniczył w życiu naukowym, wyjeżdżał na różne konferencje, zjazdy. Dziecko rozdzieliło nas. Przed urodzeniem Józka byliśmy wszędzie razem.

[156] H. Evert-Kappesowa i B. Zwolski przygotowali podręcznik *Historia starożytna dla klasy VIII* (I wyd. 1958).

Obowiązki domowe, obciążające mnie, dość często uniemożliwiały wyjazdy. Nie miałam komu powierzyć opieki nad dzieckiem. Moja rodzina osiedliła się w Elblągu.

Lata 1945–1957 to najszczęśliwsze lata mego życia. Wojna się skończyła, wygrałam z Hitlerem moją prywatną wojnę. W czasie wojny, gdy siedzieliśmy w piwnicach podczas powstania warszawskiego, miałam dość mordu, śmierci, zniszczenia. Marzyłam o tym, by przeżyć – choć szanse na przeżycie były nikłe. Chciałam, by wokół mnie wszystko się rodziło: zboża na polu, zwierzęta. Wyobrażałam sobie wory mąki, kasz w mojej spiżarni, połcie słoniny. Chciałam mieć dużo dzieci, by wszystko wokół mnie rozmnażało się, wzrastało. Koniec wojny – wydawało się – przyniesie realizację tych marzeń, które mnie nawiedzały w ciemnej piwnicy. Lata 40. odczuwałam jako okres wzlotu. Zakneblowane w dobie wojny usta można było otworzyć, pisać do powstających czasopism, planować awanse naukowe, dużo czytać, chłonąć ocalały świat. Obecnie dokonuje się sądu nad postaciami ludzkimi z owego czasu. Kto za władzą, kto przeciw itp. Sędziowie nie zdają sobie sprawy z atmosfery lat 40. i następnych. Niedobitki inteligencji polskiej pragnęły zaznaczyć swą obecność. Wszyscy garnęli się do działania, myślenia. Wiedzieliśmy, że trzeba od nowa żyć, że przedwojenna przeszłość nie może i nie powinna powrócić w dawnym kształcie.

Dziś oskarża się np. literatów o lizusostwo, także innych humanistów o toż samo. Nie zawsze było to lizusostwem. Ambicje, by zaistnieć w świecie kultury, nauki, ambicje samorealizacji niekoniecznie zaspokajano drogą podlizywania się władzy. Władza jednak wyciągnęła rękę do inteligencji. Borejsza prowadził wyraźną politykę idącą w tym kierunku. Namawiał emigrantów do powrotu, wracających wspomagał nie tylko wydawaniem ich książek, ale również np. oferował mieszkania w Warszawie (Tuwim i inni). W tamtej rzeczywistości przyjmowanie ułatwień ze strony władzy było czymś naturalnym, umożliwiało najskromniejsze warunki bytowe. Młodsi (wtedy 30-latkowie) pragnęli rozwinąć skrzydła. Ambicja niekoniecznie musi być połączona z karierowiczostwem, lizusostwem itp.

Współcześnie trudno jest ocenić ówczesną sytuację. Nie chciałabym zamazywać obrazu, uniewinniać zachowań nie-

smacznych. Jednakże w tamtej atmosferze „wyładowania" zdeptanych przez wojnę ambicji, dążeń itd. przeżywaliśmy wszyscy (ci z prawa i ci z lewa) rodzaj euforii. Współczesny sąd historii bywa niesprawiedliwy, zbyt ostry, nietolerancyjny dla arywistów. Np. Jana Kotta źle się ocenia pod względem moralnym. Także Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza[157] itd. Czy uzdolnieni ludzie, wybitni intelektualiści nie są godni szacunku, mimo ich słabości (np. kobieciarze), mimo naiwności – co jest częstym grzechem uczonych, literatów i in. Mowa tu o naiwności politycznej.

Adam Polewka (w latach 40. I sekretarz partii w Krakowie) – znany mi z czasów Ossolineum, stary przedwojenny sympatyk komunistów, roztaczał przede mną po wojnie wizje politycznego oddziaływania Polski na ZSRR. Wyobrażał on sobie, że Polska ma wielką misję cywilizacyjną (kulturalną). Dowodził, że to my, Polacy zbudujemy prawdziwą ojczyznę sprawiedliwości społecznej, wzór dla Wschodu i dokonamy podboju cywilizacyjnego ZSRR. Przecież to piękne, a jakże naiwne! Polska lewica czy lewicująca inteligencja szczerze wierzyła w ową sprawiedliwość społeczną. Nie wiedziała, jakie siły stoją za rządzącymi naszym krajem. Inteligencja bywa często naiwna politycznie. Była też w dużej mierze naiwna w latach 40. XX wieku.

***

Lata powojenne, gdy Łódź została zastępczą stolicą – opisało wielu pamiętnikarzy. W tamtym czasie stałam się bywalcem kawiarń. Staszek pracował w „Czytelniku", bywaliśmy więc we „Fraszce", gdzie gromadziła się elita literacka, artystyczna.

[157] Jerzy Andrzejewski (ur. 1909 – zm. 1983) – prozaik, publicysta, w czasach późnego PRL związany z opozycją demokratyczną. Jarosław Iwaszkiewicz (ur. 1894 – zm. 1980) – prozaik, poeta, tłumacz, librecista i eseista. Członek grupy poetyckiej Skamander, współpracownik „Wiadomości Literackich", w latach 1959–1980 prezes Związku Literatów Polskich, w latach 1952–1980 poseł na Sejm PRL, dyplomata.

Potem „Marago" przy ul. Piotrkowskiej, to lokal gromadzący inteligencję. Staszka obsiadły różne sympatyczne baby. Irena Szymańska[158] pracowała wówczas w „Czytelniku", Marysia Szletyńska[159], siostra reżysera i aktora, Aniela Mikucka, asystentka prof. Muszkowskiego[160] (mieszkała w kamienicy „Czytelnika", podobnie jak my). Stanowiły one wesołe i ciekawe towarzystwo. Nade wszystko zaś Nina Assorodobraj i jej (wkrótce) mąż Witold Kula – to najbliżsi przyjaciele. Nina mieszkała w pokoju odnajmowanym przez Borejszę przy ul. Andrzeja[161]. Witold wraz z Marcinkiem i babcią Jabłońską przy ul. Legionów[162], w okropnym mieszkaniu na III piętrze w podwórzu. Zdaje mi się, że nosił węgiel z piwnicy. Po zawarciu małżeństwa Kulowie zamieszkali przy ul. 1 Maja, w dużym przedwojennym mieszkaniu kilkupokojowym. Ten dom został rozebrany, nie ma go już. Stamtąd dopiero po powrocie z Paryża w roku 1948 przenieśli się do Warszawy, skoro odbudowano już domy na Żoliborzu.

Bywaliśmy na każdej premierze teatralnej. Łódź miała wówczas Teatr Wojska Polskiego, miała Schillera[163], wybitnych aktorów, świetne spektakle. Później miała też Dejmka[164] i bywaliśmy

[158] Irena Szymańska (ur. 1921 jako Irena Wiernik – zm. 1999) – pisarka, wydawca, tłumaczka. Członek Związku Literatów Polskich (do 1983 r.) i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (w latach 1989–1999). Związana z Wydawnictwem „Czytelnik" i Państwowym Instytutem Wydawniczym.

[159] Maria Szletyńska – siostra Henryka Szletyńskiego, wybitnego reżysera teatralnego i pedagoga, który pracował m.in. jako aktor i reżyser we wspominanym przez K. Śreniowską Teatrze Wojska Polskiego.

[160] Jan Muszkowski (ur. 1882 – zm. 1953) – profesor (w latach 1928–1939 wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, od 1945 r. związany z Uniwersytetem Łódzkim), działacz społeczny, bibliotekarz, bibliolog i bibliograf. Przed II wojną światową pracownik Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i dyrektor Biblioteki Ordynacji Krasińskich.

[161] Dzisiaj Andrzeja Struga.

[162] Dzisiaj Zielona.

[163] Leon Schiller (ur. 1887 – zm. 1954) – reżyser, krytyk, teoretyk teatru. Związany z teatrami w Warszawie, Łodzi, Lwowie. Po zakończeniu II wojny światowej pełnił funkcję rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi.

[164] Kazimierz Dejmek (ur. 1924 – zm. 2002) – reżyser i aktor teatralny. Dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Nowego w Łodzi, Teatru Narodowego w Warszawie.

stale na spektaklach przez niego reżyserowanych. Kina obfitowały raczej w filmy radzieckie, np. „Świniarka i pastuch", o sowchozach, filmy wojenne itp. W Teatrze im. Jaracza oglądałam „Młodą Gwardię" Fadiejewa[165]. Myślałam, że nie ma sztuki o bohaterach Armii Krajowej, modliłam się, by nigdy nie powstały sytuacje, kiedy trzeba płacić życiem za walkę, myślałam o moich przyszłych dzieciach.

Otóż właśnie – dzieci. Skoro wojna się skończyła, trzeba postarać się o dzieci. Józef urodził się 5 II 1947, Basia 17 I 1949. Narodziny dzieci, opieka nad nimi oderwała mnie od całkowitego oddania się sprawom naukowym, a także przyjemnościom kawiarnianym i teatralnym. Trzeba było koniecznie postarać się o mieszkanie, bowiem pokój w domu „Czytelnika" nie wystarczał.

Staszek energicznie starał się o odpowiednie mieszkanie. Skoro Łódź była miastem zadymionym, wolał wynieść się na przedmieścia. Zamieszkaliśmy przy ul. Laurowej 2 – po wielkich bojach o przydział mieszkania. Mieszkanie to zajmowała matka Stefana Żółkiewskiego. On życzliwie odniósł się do naszych starań, natomiast sąsiad z parteru uważał, że willa poniemiecka jest jego własnością i nie zamierzał nas wpuścić. Wielkie to były boje, choć mieliśmy decyzję urzędu kwaterunkowego i przydział mieszkania. Wreszcie w czerwcu 1947 roku zdołaliśmy się wprowadzić. Pewną pomocną rolę odegrała niejaka Hanna Szmuszkowicz. Postać dziwna. Dawna przedwojenna sympatyczka KPP. Jej rola była o tyle niejasna, że wpraszała się, narzucała z przyjaźnią. Niezręcznie było jej odmawiać (Nina znała ją sprzed wojny i trzymała się z daleka, czemu – nie chciała powiedzieć). Niewątpliwie miała ona jakieś chody w UB. Kiedy raz odwiedził mnie prof. Stefan Inglot – mój dawny szef z Ossolineum, człowiek, którego ogromnie ceniłam, szlachetny, przyzwoity – zostałam wezwana na UB. Inglot należał do ludowców, mikołajczykowców, wydawał czasopismo „Wieś i Państwo", był źle notowany przez władze. Badano mnie więc na UB przy ul. Anstadta, także Staszka i naszą nianię do dziecka. Ponieważ wówczas karmiłam niemowlę

[165] Autorka wspomina o filmie Siergieja Gierasimowa z 1948 roku, który powstał na podstawie książki Aleksandra Aleksandrowicza Fadiejewa *Młoda gwardia.*

i byłam skrępowana godzinami karmienia – p. Szmuszkiewicz bez trudu zabezpieczyła mi szybkie przesłuchanie. Potem w Wyższej Szkole Pedagogicznej również popisała się swoimi koneksjami, legitymacją partyjną, o czym poniżej.

Jednak nie można jej jednoznacznie zaszufladkować. Wyszła za mąż za matematyka, prof. Mazura[166], przeniosła się do Warszawy i podobno w 1968 roku broniła studentów, których usiłowano wyrzucić z Uniwersytetu Warszawskiego. Czy można zatem jednoznacznie zaszufladkować człowieka, który w toku życia zmienia swoje opcje, postawy itd.?

Staszek wszczął starania o uzyskanie wykładów na UŁ. Zatrudniono go w charakterze zastępcy profesora na Wydziale Prawa w miejsce ustępującego p. Mariana Grabskiego[167]. Staszek energicznie przykładał się do pracy nad habilitacją, a także do dydaktyki uniwersyteckiej. Zaproponowano mu objęcie stanowiska prorektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Rektorem tejże nowo utworzonej Szkoły była prof. Gąsiorowska-Grabowska. Pani profesor była w owym czasie ogromnie zajęta licznymi pracami. Była wszędzie: współpracowała w tworzeniu uniwersytetu, kursów dokształcających, przedsiębrała różne inicjatywy wydawnicze (owocnie!), zasiadała w prezydiach itd. itd. Staszek więc miał służyć w charakterze murzyna, organizować uczelnię, inicjować programy nauczania, zapewniać studentom sprawy bytowe itd. Ogromna to była praca. Spełniał ją niezbyt ochotnie.

Staszek pilnie pracował w WSP. Proponował wykłady starszym i młodszym, organizował poszczególne wydziały, zajmował się rekrutacją, starał o domy studenckie, dbał o finanse itp. Jego niezbyt interesowały takie czynności organizacyjne. Wolał pracę naukową. Niemniej wykazał duże zdolności organizacyj-

[166] Stanisław Mieczysław Mazur (ur. 1905 – zm. 1981) – polski matematyk, najbliższy współpracownik Stefana Banacha i jeden ze współtwórców lwowskiej szkoły matematycznej. W latach 1946–1948 był profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, następnie Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie kierował Katedrą Matematyki II (do 1952 r.) i Katedrą Analizy Matematycznej (w latach 1952–1969). Od 1969 r. pracował w Instytucie Matematyki PAN.

[167] Marian Grabski (ur. 1897 – zm. 1965) – doktor praw, adwokat, uczestnik Powstania Warszawskiego. W latach 1945–1951 zastępca profesora w Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego na UŁ.

ne, czego się po nim nie spodziewałam. To on wywalczył w Ministerstwie status rektora WSP, powołał – na wzór uniwersytetów – dziekanów, wydziały. Chciał, by „jego" szkoła była mini uniwersytetem. To wszystko firmowała pani profesor Gąsiorowska, akceptowała, podpisywała należne jej pisma itd.

Sama niewiele miała czasu na aktywne działanie. Staszek w owym czasie zyskał wielu przyjaciół. Ludzie byli mu wdzięczni za możliwość dodatkowej pracy. Pozyskał wybitnych uczonych (np. prof. Józefa Dutkiewicza[168]). Młodsza kadra uniwersytetu – późniejsi profesorowie – tam właśnie zdobywała szlify.

Koło Staszka zaczęła uwijać się w końcowych latach 40. p. Hanna Szmuszkiewicz, aktywna przy organizowaniu matematyki. Prof. Gąsiorowska ustąpiła ze stanowiska rektora (ku uciesze Staszka, bowiem firmowanie jej stanowiska przy równoczesnym tyraniu w jej imieniu wreszcie zaczęło mu dokuczać). Staszek został rektorem w miejsce pani profesor. Były to już końcowe lata „luzu", liberalizmu, flirtu z inteligencją. Szły inne czasy, inne trendy. Od czasu do czasu padało pytanie, dlaczego to p. rektor WSP nie zgłosi się do Partii. Zbywał to milczeniem lub jawnie wyznawał, że go to nie interesuje. Pierwsze poważniejsze zatargi z władzą zaczęły się wówczas, gdy z domu studenckiego znikali poszczególni studenci. Staszek czuł się odpowiedzialny za młodzież, słał pisma lub telefony do władz bezpieczeństwa, by wyjaśniły, co się dzieje ze studentami. Władza odbierała to ze zdziwieniem i niechęcią.

Nie otrzymywał jasnych odpowiedzi. Wtedy ponawiał pytania, poszukiwania studentów. Zatrudnił ludzi „neutralnych", takich jak np. p. Marian Golias, którego wybrano prorektorem. Właśnie wrócił do kraju z emigracji prof. Jan Adamus[169]. Prosto od Andersa w objęcia UB. Wrócił do żony i dwu córek.

---

[168] Józef Dutkiewicz (ur. 1903 – zm. 1986) – historyk, badacz dziejów XVIII–XIX wieku, historyk dyplomacji. Absolwent UJ, w 1926 r. doktor nauk historycznych, po wojnie związany z UŁ. Kierownik Katedry Historii Nowożytnej Polski (1947–1948) oraz Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej (1948–1973).

[169] Jan Adamus (ur. 1896 – zm. 1962) – historyk państwa i prawa, badacz dziejów historiografii. Przed 1939 r. związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie i Stefana Batorego w Wilnie. Po wojnie wykładowca (w 1958 r. profesor zwyczajny) Uniwersytetu Łódzkiego.

P. Adamusowa dzielnie sobie radziła w czasie jego nieobecności, pracowała w spółdzielni uniwersyteckiej, utrzymywała obie dziewczynki. Adamusowi zaproponował Staszek z miejsca stanowisko dyrektora biblioteki WSP. Zdając sobie sprawę z jego sytuacji w kraju, zwrócił się do kolegi prof. Juliusza Bardacha – członka PZPR[170], o interwencję w UB kanałami partyjnymi, by zapewnić bezpieczeństwo Adamusowi. Bardach, który wysoko cenił Adamusa, poważnego uczonego, chyba zadziałał, bo p. Adamusa zostawiono w spokoju. Potem Adamus otrzymał stanowisko profesora na UŁ.

Te wszystkie „samowolne" czyny Śreniowskiego nie były dobrze widziane w partii. Hanna Szmuszkowicz zaczęła się coraz bardziej szarogęsić[171]. Staszkowi przyświecały wzory przedwojennych uczelni, których rektor był niezawisły, samodzielny w decyzjach (w porozumieniu z senatem akademickim). Żadna partia nie miała nic do gadania. Ten model nie podobał się władzom. P. Szmuszkowicz zadbała o silniejszy wpływ na aktyw partyjny. Obradował on np. w pokoju rektora, a gdy rektor przychodził, musiał urzędować w sekretariacie (skoro był bezpartyjny). P. Szmuszkowicz rozbudowała studia zaoczne do gigantycznych rozmiarów. Nie pytała o zgodę rektora itp. Do Staszka przychodzili panowie z UB, wydając mu polecenia w różnych sprawach, do których nie miał zamiaru się stosować.

Zaproponowano mu współpracę z tym urzędem. Odmówił. Ponowiono propozycję i spotkano się znów z odmową. Wtedy zorientował się, że grozi to aresztowaniem. Pojechał do Warszawy, do swego dawnego kolegi uniwersyteckiego, wysoko postawionego we władzach partii – p. Rozmaryna[172].

Przedstawił sytuację, tamten poradził: rzuć wszystko, uciekaj, bo cię zamkną. Tak też uczynił. Przyjechała jakaś tam delegacja z ministerstwa, telefonicznie zawiadomiłam, że jest chory. Prorektor p. Golias niepoinformowany o sytuacji nie mógł daro-

---

[170] Raczej PPR.

[171] Hanna Szmuszkowicz (ur. 1910 – zm. 1993) – matematyk, zastępca profesora i rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi.

[172] Stefan Rosmarin (ur. 1908 – zm. 1969) – prawnik, konstytucjonalista. Współtwórca konstytucji z 1952 roku. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek Polskiej Akademii Nauk.

wać Staszkowi, że w środku roku akademickiego nieodpowiedzialnie po prostu wszystko porzucił. Nigdy nie dowiedział się prawdy. Dowodów na opisywaną tu sytuację nie mam. Jest jedynie pisemna rezygnacja wystosowana do ministerstwa. I tyle.

P. Szmuszkowicz pośpiesznie zajęła stołek rektorski. Staszek był raczej usatysfakcjonowany, że nie musi pełnić już funkcji urzędnika, organizatora. Wolał zająć się nauką. Wystarczała mu praca na Uniwersytecie Łódzkim.

Zorganizował znaczący ośrodek badań nad dziejami chłopów. Skupił wokół siebie młodych zdolnych ludzi. Niestety wkrótce po jego nagłej śmierci w 1957 roku zespół się rozpadł. Niektórzy ulegli naciskom i porzucili badania nad dziejami chłopów. Sądzono, że nie leży to na linii badań historii prawa polskiego, wykracza poza tę dyscyplinę. W ten sposób cały wysiłek badawczy i organizacyjny poszedł na marne.

Niemniej jeszcze po dwudziestu pięciu latach od jego śmierci zbierali się w Dzień Zaduszny uczniowie przy grobie, co mnie ogromnie wzruszało. Utrzymywali także ze mną kontakt, odwiedzali mnie. Dopiero działalność Józka w KOR wypłoszyła ludzi. Na przykład bardzo lubiany przez nas p. sędzia Michał Kłos zerwał z nami kontakty. Pewnie obawiał się o swoje stanowisko i rodzinę. Lubię do dziś p. Michała. Również serdecznie wspominam Stasia Zagórnego, p. Bortkiewiczową[173], prof. Kodrębskiego[174].

P. Stankiewicz był przez pewien czas bliski naszej rodzinie, ale na tle różnic politycznych (my skłanialiśmy się ku opozycji demokratycznej, on twardogłowy PZPR-owiec) rozeszliśmy się i to z awanturą[175].

[173] Filomena Elżbieta Bortkiewiczowa (ur. 1920 – zm. 1993) – historyk państwa i prawa polskiego. Jednym z promotorów jej doktoratu był S. Śreniowski. Zatrudniona na UŁ od 1950 r. w Katedrze Prawa Rzymskiego, później w Katedrze i Zakładzie Historii Państwa i Prawa Polskiego, którym kierowała w latach 1972–1987. Zajmowała się historią społeczną-gospodarczą oraz historią chłopów polskich XIX i XX wieku.

[174] Jan Kodrębski (ur. 1936 – zm. 1997) – prawnik, romanista, znawca kultury antycznej, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, wykładał prawo rzymskie i historię doktryn politycznych.

[175] Zbigniew Stankiewicz (ur. 1930 – zm. 1990) – historyk nowożytnych dziejów Polski, badacz historii wsi, historyk prawa. Od 1962 r. związany z Instytutem Historii UŁ, pełnił funkcję dyrektora w latach 1984–1990.

Zakończmy sprawę WSP. Miałam tam godziny zlecone, wykładałam historię starożytną. Niewiele było tych godzin. Po prostu zahaczyłam się tam, ponieważ chwilowo zajmowałam się głównie dziećmi i chciałam mieć kontakt z nauczaniem. Gdy Staszek opuścił WSP, a było to w toku roku akademickiego, zostałam z zamiarem podziękowania z końcem roku i zaprzestania pracy tamże.

W międzyczasie zorganizowano zebrania młodzieży, która miała oceniać swych wykładowców. Zebranie było starannie wyreżyserowane – wystąpienia studentów z góry uzgodnione z władzami (tj. z UB). W czasie zebrania wystąpił z krytyką mojej osoby student I roku historii Józef Śmiałowski[176]. Zarzucił mi niedbałe prowadzenie zajęć, spóźnianie się, nadto był ogromnie zgorszony, że zamiast wykładać własnymi słowami, cytuję źródła przetłumaczone z oryginału. Co do spóźnienia, być może zdarzyło mi się coś podobnego. Mieszkaliśmy wówczas przy ul. Laurowej na Radogoszczy, komunikacja nie była najlepsza. Natomiast reszta zarzutów nie miała w ogóle sensu i student I roku nie był w żadnym stopniu kompetentny. Wziął mnie w obronę p. Roman Kaczmarek, wówczas pracujący w Archiwum i równocześnie jako wykładowca[177]. Rozumiałam, że jest to nagonka na mnie z powodu męża, nie przejęłam się zbytnio, ponieważ i tak nie miałam zamiaru pozostawać w WSP.

Przy okazji osoby p. Romana Kaczmarka, chciałabym słów parę powiedzieć na temat stosunku przybyszów do łodzian, którzy tutaj przeżyli wojnę. Uważałam ich (podobnie jak krakowiaków) za „szczęściarzy". Pozostawali w swym rodzinnym mieście, wyszli z wojny „zasobni" we własne mieszkania, umeblowane, zaopatrzone jako tako, co wydawało mi się szczytem luksusu.

Mój stosunek do nich był krzywdzący. Wcale nie interesowałam się ich przeżyciami okupacyjnymi. Wcale nie rozumiałam tragedii młodzieży wywożonej przymusowo do Rzeszy. Wcale

[176] Józef Śmiałowski (ur. 1926 – zm. 2003) – historyk dziejów społeczno-gospodarczych, prof. UŁ. Długoletni kierownik Katedry Historii Społeczno-Gospodarczej. W latach 1985–1989 wicedyrektor IH UŁ.

[177] Roman Kaczmarek (ur. 1912 – zm. 1985) – archiwista, historyk, badacz i popularyzator przeszłości regionu łódzkiego, działacz polityczny i społeczny, nauczyciel, poseł na Sejm PRL IV i V kadencji.

nie wiedziałam, że ich wypędzono ze śródmieścia, zepchnięto na jakiś określony obszar. Wcale nie interesowałam się ich sytuacją materialną (kartki żywnościowe), możliwością zarobkową etc. Po prostu nie miałam pojęcia o tym, co tu ludzie przeszli. Ruiny getta straszyły pustką, poza placem Wolności groza wiała z tamtych ulic. Ta groza docierała do mojej świadomości. Los tzw. Aryjczyków-łodzian mało mnie interesował. Spośród tych ludzi niektórzy mieli aspiracje do objęcia stanowisk uniwersyteckich. Ania Rynkowska została asystentką prof. Gąsiorowskiej. Była to ogromnie zacna i sympatyczna osoba. Jednak lekceważyłam jej możliwości zyskania awansów, habilitacji itp. Była dobrą archiwistką i w moim mniemaniu winna była tam pozostać, co też uczyniła. Pan Kaczmarek również, w mym mniemaniu, nie nadawał się na uniwersytet.

Bardzo ceniłam p. Eugeniusza Ajnenkiela, którego poznałam na zebraniach Polskiego Towarzystwa Historycznego[178]. Był to niezwykle inteligentny i ciekawy człowiek. W okolicy, gdzie mieszkałam, było sporo inteligencji. Jednakże nie mogłam z nią znaleźć wspólnego języka. Były to osoby ze średnim wykształceniem, nastawione raczej na działalność praktyczną (ekspedientki, urzędniczki niższego szczebla itp.). W moim przekonaniu Łódź nie miała po prostu inteligencji w rozumieniu lwowiaków, krakowian, warszawiaków. Byłam ogromnie niesprawiedliwa w moich ocenach m.in. z tego powodu, że po prostu nie czyniłam wysiłków, by się czegokolwiek dowiedzieć o dziejach tego miasta. Znałam niektórych łodzian, jak np. prof. Małowista[179], jednak oni kształcili się w pobliskiej Warszawie przed wojną (np. p. Missalowa[180]) i albo nie wracali do swego rodzinnego miasta, albo

[178] Eugeniusz Ajnenkiel (ur. 1900 – zm. 1981) – działacz socjalistyczny, dokumentalista, historyk-amator, badacz i popularyzator dziejów Łodzi. W latach 1945–1948 wiceprezydent m. Łodzi.

[179] Marian Małowist (ur. 1909 – zm. 1988) – historyk dziejów gospodarczych. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Po zakończeniu II wojny związany z UW. Kierownik Zakładu Historii Powszechnej (od 1949 r.), kierownik Zakładu Historii Średniowiecznej (od 1955 r.).

[180] Gryzelda Missalowa (ur. 1901 – zm. 1978) – nauczycielka, badaczka dziejów społeczno-gospodarczych XIX wieku. Związana z Uniwersytetem Łódzkim (od 1947 r.), profesor zwyczajna od 1970 r.

też po powrocie zajmowali stanowiska np. nauczycieli lub w administracji szkolnej itp. Pojęcia nie miałam o życiu artystycznej Łodzi przed wojną, o umuzykalnieniu tego miasta (nb. dzięki Niemcom łódzkim). Uważałam je (tj. owo miasto) za „gorsze" od znanych mi dużych miast polskich. Tyle pychy było we mnie w stosunku do Łodzi, w której przecież spędziłam całe dorosłe życie i temu miastu oddałam swoje siły. Właściwie nigdy go nie zaakceptowałam, do dziś pozostałam emigrantem ze Lwowa. Wcale się tu nie zakorzeniłam. Dopiero od czasów KOR, a później „Solidarności" zaznałam od łodzian tyle dobrego, że poczułam się „u siebie". Ale to łodzianie mnie zaakceptowali, a ja lepiej poczułam się wśród nich.

***

W roku 1949 przyszła na świat Basia[181]. W dniu mego połogu Staszek miał colloquium habilitacyjne. Basia urodzona z niedowagą, została mi oddana z kliniki chora na biegunkę. Wiele się napracowałam, by ją utrzymać przy życiu. Potem chowała się dobrze, miała ogromnie zazdrosnego brata, który z początku jej nie akceptował. Były to dla mnie trudne lata.

Kiedy chodziłam już z Basią w ciąży, w roku 1948 byliśmy ze Staszkiem na Zjeździe Historyków we Wrocławiu. Uprosiliśmy p. Goliasową, by zamieszkała u nas przez czas naszej nieobecności. Baliśmy się pozostawić dwuletniego Józka pod opieką niani. P. Goliasowa wywiązała się na medal ze swej roli.

Zjazd we Wrocławiu, pierwszy powojenny zjazd historyków, zgromadził starą kadrę uczonych i nowych, młodych[182]. Do tych młodych zaliczali się np. Witold Kula, Śreniowski, Małowistowie, Celina Bobińska[183], Bogusław Leśnodorski. Do „starych"

[181] Chodzi o Barbarę Śreniowską po mężu Szafran.

[182] Autorka ma na myśli VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich, który odbył się we wrześniu 1948 r. we Wrocławiu.

[183] Celina Bobińska (ur. 1913 – zm. 1997) – historyk dziejów nowożytnych, metodolog historii, od 1950 r. kierownik Katedry Historii Polski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prezes Marksistowskiego Zrzeszenia Historyków.

Roman Lutman, który wystąpił z referatem o Diltheyu, bronił „idealistycznej" historiografii. Referat był ogromnie erudycyjny (bo Roman był nieprzeciętnym erudytą). Pogrzebał się w oczach osób marksizujących. „Młodzi" proponowali nowe kierunki badawcze (dzieje chłopów, klasy robotniczej, dzieje gospodarcze i in.). Tam powstała grupa historyków zwana historykami marksistami[184]. Do niej przystali wyżej wymienieni, także prof. Gąsiorowska, M. H. Serejski.

Krótki był żywot tych „marksistów". Poza zebraniem we Wrocławiu, innych zebrań nie było. Po prostu jakoś wszystko się rozlazło, rozmyło. Stanowili oni jakiś zalążek do podjęcia tematów dotąd w historiografii zaniedbanych. Niewątpliwie oddziałali na stan naszej nauki historycznej od 1948 do lat 70., bowiem wówczas już trudno u nas mówić o jakimkolwiek marksizmie. Wrocław był wówczas piękny, dźwigał się z ruin. Miasto poprzecinane kanałami nad Odrą, pełne zieleni. Piękna dzielnica willowa, gdzie mieszkali profesorowie (Karłowice, tam mieszkali np. pp. Malczyńscy[185]). Zapraszano nas na kolacje, przyjęcia. Byłam na bardzo eleganckim przyjęciu u pp. Wereszyckich.

W czasie dyskusji naukowych byłam obecna przy pojedynku Witolda Kuli z prof. Rutkowskim. Świetne. Profesor Rutkowski znakomicie się bronił, polemizował z młodym, świeżo upieczonym docentem. Wszystko odbywało się w atmosferze dyskusji naukowej. Błyskotliwość obu dyskutantów po prostu mnie zachwyciła.

Czy byliśmy u Romana[186] przy ul. Solskiego – nie pamiętam. Bywałam tam później, kiedy przyjeżdżałam do Wrocławia dla studiów archiwalnych, gdy przygotowywałam rozprawę doktorską o Stanisławie Zakrzewskim.

Wracaliśmy sleepingiem do Łodzi z uwagi na moją ciążę. Chyba pierwszy raz w życiu jechałam sleepingiem.

---

[184] Autorka ma na myśli Marksistowskie Zrzeszenie Historyków. Jego rola w powojennej historiografii polskiej pozostaje przedmiotem sporu. Por. R. Stobiecki, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna… skomplikowana*, Warszawa 2007; T.P. Rutkowski, *Nauki historyczne w Polsce 1944–1970. Zagadnienia polityczne i organizacyjne.*

[185] Chodzi o Ewę i Karola Maleczyńskich.

[186] Chodzi o Romana Lutmana.

Przełom lat 40. i 50. to okres mojej dorywczej tylko pracy zawodowej. Cała oddawałam się dzieciom i trosce o ich zdrowie i wychowanie. Dopiero po powstaniu Polskiej Akademii Nauk profesor Serejski znów mnie zatrudnił przy swoim boku, ale wówczas już zdecydowanie podjęłam studia nad dziejami nauki historycznej.

Staszek ogromnie dużo pracował. Pisał wiele. Wieczorami dyktował mi swoje prace przepisywane przeze mnie na maszynie. Zdaje mi się, że wszystko cokolwiek napisał, ja mu przepisywałam. Często gdy dzieci już spały, on mi wykładał swoje koncepcje naukowe. Chodził przy tym po pokoju, bo mu się w ten sposób lepiej myślało. Nie zawsze nadążałam za tokiem jego myśli z uwagi na ogromne zmęczenie. Jednak czasy głodu, niedożywienia, a później ciąże dawały znać o sobie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak jestem fizycznie i nerwowo wyczerpana. Po prostu nie miałam skłonności ku temu, by się nad sobą rozczulać. Robiłam, co trzeba i nawet ponad swoje siły. Bardzo mi zależało na tym, by się nie dać zepchnąć na pozycję żony-matki.

Koniecznie chciałam samorealizacji naukowej. No i dzięki pomocy Staszka, który dawał mi „urlopy" na siedzenie w bibliotece, wyjazdy do archiwów – podczas gdy on oddawał się dzieciakom – mogłam w roku 1956 zrobić doktorat. W 1957 roku już Staszka nie było.

Lata 40., sprawy rodzinne

W 1946 roku przyjechał ze Lwowa mój tato wraz z ciotkami. Wówczas już Ewa z rodziną i mamą mieszkała w Elblągu. Tam też udał się ojciec. Zamieszkali przy ul. Chrobrego 3. Naprzeciw, w zrujnowanym domu jednopiętrowym wyglądającym na niegdysiejszy pałacyk zamieszkały ciotki na I piętrze. Była to niezwykle piękna ulica, pełna zieleni, domy w ogrodach. Niedaleko był ostatni przystanek tramwaju nr 3, którym jechało się do śródmieścia. Moja siostra pracowała w magistracie jako prawnik,

Bolek Kozel, jej mąż, był sędzią. Ojciec niechętnie usposobiony do władzy, nawet wrogo, zdecydował się jednak na zatrudnienie jako notariusz. Cała rodzina była anty. Jednak wiernie i gorliwie służyła władzy, a właściwie trudno to tak nazwać. Przecież musieliśmy z czegoś żyć i *nolens volens* godziliśmy się na pracę, jaką nam oferowano. Ciotka Maryna została nauczycielką, Hala pracowała jako farmaceutka w aptece. Dziwne tam było wokół towarzystwo. Sporo ex ziemian. Na przykład zamieszkała tam pani Jełowicka. Niegdyś posiadała wspaniały pałac i sporo ziemi w Szutromińcach (niedaleko Zaleszczyk). Tam wujek Chłopicki był leśniczym (lasy państwowe).

Ciotka Chłopicka nie była zapraszana do dworu, zapewne z powodu niskiego statusu społecznego. Raz jeden tam byłam z ciotką, miałam wówczas ok. 7 lat. Zaproszono nas na podwieczorek, lokaj w rękawiczkach podawał do stołu. Mnie kazano popisywać się deklamacją. Za to nazajutrz otrzymałam ze dworu koszyk moreli. Jeden raz w życiu widziałam taką wielkopańską siedzibę. Otóż w Elblągu moja ciotka bywała serdecznie zapraszana do pań Jełowickich. Wtedy już nie raził widocznie jej niski status społeczny. Także moją matką opiekowała się w chorobie ex ziemianka, malarka. Zostawiła nawet dość duży portret mamy (nieudany!). Owa pani po prostu nic nie umiała robić. Nie miała wykształcenia, żadnego zawodu. Klepała biedę, natomiast odpłatnie opiekowała się mamą doskonale. Moja siostra usiłowała wynaleźć jej pracę, ale ona do niczego się nie nadawała. Biedni tacy ludzie przegrani z powodu rewolucji w Polsce. W Elblągu nie było wiadomo, kto jest kim, jaką ma przeszłość itd. Tak było – jak sądzę – wszędzie na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

W roku 1948, na początku maja, wybrałam się do Elbląga, by na lato poszukać czegoś nad morzem (raczej zalewem). Wypuściliśmy się z tatą – jak za dawnych czasów – na wędrówkę pieszą. Piękna to okolica. Z jednej strony zatoka, szosa wzdłuż brzegu morskiego, po drugiej stronie zalesione wzgórza. Do dziś mam w oczach urok tamtej wyprawy. Po drodze – jak to mieliśmy w zwyczaju – odpoczywaliśmy w jakiejś knajpce, popijając trunki.

Jacy byliśmy szczęśliwi, jak czuliśmy bliskość mimo wojennej rozłąki. Byłam do ojca ogromnie przywiązana. Nie wiedziałam, że to już nasza ostatnia wyprawa. Po dwu tygodniach choroby ojciec zmarł.

Matka powtórzyła mi rozmowę z nim w wieczór przed zgonem. Był piękny maj. Ojciec mówił, że ma dość życia, że chce umrzeć. Matka przekonywała go, że w obliczu pięknej wiosny nie należy pragnąć śmierci. Na to usłyszała odpowiedź: „Cóż to, wiosny nie widziałem". Ojciec nie chciał żyć pod rządami komuny. Miał doświadczenia z wojny 1914–1918. Spędził kilka lat w obozie jeńców w Astrachaniu nad Morzem Kaspijskim. Uciekł po wybuchu rewolucji. Był zdecydowanym przeciwnikiem komuny, nie mógł przeboleć następstw Jałty. Wówczas nie całkiem ojca rozumiałam. Ileż w nim było mądrości, realizmu. Umarł 25 maja 1948 roku. Wieść o jego złym stanie doszła mnie w przeddzień śmierci. Natychmiast udałam się w podróż. Jechałam nocą, właśnie gdy on konał. Gdy przybyłam do szpitala, zastałam jeszcze na łóżku jego zwłoki. Mogłam jedynie ucałować jego ręce.

Potem pomagałam Ewie zorganizować pogrzeb. W owym czasie było to niezmiernie trudne. Nie było ani zakładów pogrzebowych, ani stolarza, któryby zrobił trumnę. Ponieważ ojciec chciał być w domu, przywiozłyśmy zwłoki w jakiejś naprędce zbitej skrzyni z nieheblowanych desek. Pamiętam tę drogę ze szpitala. Skrzynię ustawiono na furmance, ciało kołysało się wewnątrz skrzyni. Ewa dzięki znajomościom w urzędzie miasta wystarała się o trumnę, ja się zajęłam wyszukaniem na pobliskim cmentarzu miejsca pochówku. Dopiero gdy mogliśmy przenieść zwłoki do trumny, ustawić je na stole jadalnym, ozdobić kwiatami, można było organizować pogrzeb. Ciotki – ogromnie pobożne, załatwiły księdza. Mama była nieprzytomna z rozpaczy. Staszek zostawił Józka pod opieką młodej niani i przyjechał, by być ze mną. Pośpiesznie, zaraz po pogrzebie wracaliśmy do dziecka do Łodzi. Niestety ojciec nie doczekał wnuczki, a tak chciał, bym miała dziewczynkę.

Od tego czasu jeździłam co rok na krótki czas do Elbląga, najpierw z Józkiem, potem z dwójką dzieci. Chciałam być z mamą,

odwiedzać ciotki. Stamtąd jeździliśmy do Ustki na całe wakacje. Potem zwiedzaliśmy gruzy Gdańska, gruzy Słupska, gruzy Szczecina. Same cmentarzyska, Elbląg był też cmentarzyskiem. W roku 1954 w lutym zmarła moja mama. W silny mróz, trzeba było kilofem rozbijać grudy, by wykopać grób. Dzień jej śmierci to 13 II 1954. A my pchaliśmy życie naprzód. Staszek habilitował się w lutym 1947, utrzymywaliśmy ścisłe więzi przyjaźni z Niną i Witoldem Kulami. Po opuszczeniu przez nich Łodzi bywaliśmy częstymi gośćmi w Warszawie przy ul. Stołecznej 14. U Kulów czułam się jak w domu. Byli mi bliżsi niż rodzina.

W roku 1956 uzyskałam stopień doktora. Napisałam książkę o Stanisławie Zakrzewskim, moim lwowskim profesorze. Była to analiza twórczości naukowej Zakrzewskiego, powiązana z jego poglądami politycznymi. „Wynalazłam" określenie go jako neoromantyka, co wówczas zostało odebrane jako novum w nauce. Kierowałam się znajomością szkół historycznych: pozytywistycznej, w której wychowano Zakrzewskiego, następnie pokazałam, jak się wyłamał z tamtych kanonów metodologicznych. Nadto uwypukliłam jego koncepcję roli jednostki w historii, negację tzw. tłumu, mas, których – jego zdaniem – wybitna osobowość używa jedynie jako tworzywa dziejów, dowolnie je kształtując. Powiązałam to z kultem Piłsudskiego, nakreśliłam rolę Zakrzewskiego jako senatora sanacyjnego w sejmie lat 30. Książkę opublikowało Łódzkie Towarzystwo Naukowe mimo sprzeciwu prof. Zajączkowskiego. Był on uczniem Zakrzewskiego, moją książkę uważał za zniewagę wobec mistrza.

Recenzował ją dla wydawnictwa prof. Kazimierz Tymieniecki. Wydał pozytywną opinię, radził mi jedynie, by się wyrzec rozdziału o sejmie lat 30. Recenzja prof. Tymienieckiego przechyliła szalę na moją korzyść i – wbrew prof. Zajączkowskiemu, który miał ważny głos w ŁTN – książkę wydano.

Pomysł klasyfikowania szkół historycznych spotkał się z życzliwością historyków. Moje nazewnictwo: historiografia „neoromantyczna" przyjęło się w nauce. Pochlebnie wyrażali się o książce prof. Adamus, prof. Dutkiewicz. Trafną ocenę tej pracy dał prof.

Andrzej F. Grabski[187] w swojej recenzji z lat 90., gdy starałam się o stopień profesora. Recenzja ta znajduje się w moich papierach.

Po doktoracie urządziliśmy w naszym domu przy ul. Laurowej przyjęcie dla reprezentantów Rady Wydziału. Był na nim obecny mój antagonista prof. Zajączkowski. Uzyskałam stopień adiunkta przy prof. Serejskim.

Nadszedł fatalny rok 1957. W maju Józef uległ wypadkowi, mianowicie uczestnicząc w zabawie, został trafiony w oko przez rozbrykanego kolegę. Pęknięcie siatkówki. Był to dla nas wielki cios. Staszek troskliwie zajął się synem, oddał pod opiekę najwybitniejszemu w Łodzi okuliście (prof. Sobańskiemu). Przystąpiliśmy do intensywnej kuracji. Trzeba było pilnować chłopca, by jak najmniej się poruszał. Czytaliśmy mu godzinami. Zastrzyki, zakrapianie oka. Powoli stan się poprawiał. W lipcu lekarz pozwolił na wyjazd do Ustki. Zabraliśmy oboje maluchów i – jak co roku – udaliśmy się nad morze. Czas płynął pogodnie, słońce dopisywało. Jednego dnia sierpniowego Staszek udał się z dziećmi na plażę, ja pozostałam w domu, by sprzątnąć tumany piasku, które znosiliśmy z plaży. Przyszłam na plażę nieco spóźniona. Jak zwykle spotkałam się z wymówkami ze strony Staszka. Wolałby, bym była z rodziną miast porządkować nasz pokój. Był upał sierpniowy.

Dzieciaki chlapały się w wodzie pod okiem ojca, potem Staszek zostawił je na plaży, by samemu zażyć kąpieli. Zdrzemnęłam się nieco na kocu w cieniu rzucanym przez kosz. Wówczas przybiegł Józek, wykrzykując, że tato się utopił. Myślałam, że to kiepski żart, ale ujrzałam, że ludzie wynoszą bezwładne ciało z wody. Zbiegli się lekarze znajdujący się na plaży. Uważano to za utonięcie i ratowano w sposób stosowny do takiego wypadku. Stałam obok nieprzytomna ze strachu. Nie przyszło mi na myśl, że to zawał.

Dzieci zabrała do domu pani Stankiewiczowa. Widziałam parogodzinne zabiegi, by przywrócić do życia Staszka. Wezwano

[187] Andrzej Feliks Grabski (ur. 1934 – zm. 2000) – historyk, badacz dziejów historiografii i średniowiecza. Uczeń M. H. Serejskiego, związany z Instytutem Historii PAN i Uniwersytetem Łódzkim. Kierownik Zakładu, a następnie Katedry Historii Historiografii (w latach 1986–2000).

pogotowie ze Słupska. Lekarz stwierdził zgon. Nie rozumiałam o czym mówi, zaprzeczyłam, w rozpaczy sądziłam, że się myli, nie mogłam uwierzyć w tę wiadomość. Ciało na noszach przeniesiono do kostnicy. Nie opuszczałam zmarłego na krok. Sądziłam, że się ocknie, nie umiałam pojąć prawdy. W owej kostnicy był ogromny nieporządek, ponieważ malowano ściany. Wszystko zachlapane wapnem, wiadra, pędzle, ścierki walały się po podłodze. Nie odstępowałam męża na krok. Wreszcie pod wieczór trzeba było iść do dzieci, ułożyć je do snu. Nie chciałam od razu powiedzieć im prawdy. Usnęły z nadzieją, że tato rankiem wróci „ze szpitala". Późnym wieczorem wróciłam do kostnicy. Przepłaciłam cmentarnego stróża, by mi otworzył kostnicę. Paliłam świece i czuwałam przy zwłokach, obawiając się, że gdyby się ocknął i nie miał nikogo do pomocy, mógłby nastąpić szok i zgon. Wciąż nie wierzyłam w ostateczność. Przed północą zdecydowałam się jednak na pozostawienie zwłok. Wróciłam do dzieci, rozmyślając, co i jak im rano powiem. Nadszedł ów ranek. Powiedziałam, że tato już do nas nie wróci. Okropny krzyk obojga. To było nie do zniesienia. Tymczasem trzeba było zająć się formalnościami. Na szczęście był w Ustce p. Stankiewicz. Jego żona zajęła się dziećmi, a my udaliśmy się do Słupska, tam bowiem trzeba było załatwiać formalności, transport zwłok do Łodzi itp.

Powiadomiłam siostrę w Elblągu, uniwersytet, przyjaciół. Uniwersytet przysłał dwu woźnych do pomocy, Ewa zabrała dzieciaki do Elbląga. Wracałam w towarzystwie woźnych. Całą noc w pociągu przepłakałam. P. Stankiewicz został, by przewieźć ciało do Łodzi na cmentarz Radogoszcz. Przyjechali Witkowie[188]. Poczułam się raźniej, wiele mi pomogli. Potem pogrzeb 15 VIII. Z księdzem. Przemówienie nad grobem wygłosił prorektor prof. Karol Dejna[189]. Stałam nad mogiłą w towarzystwie Witka i Niny. Ponieważ były wakacje, niewiele osób z uniwersytetu przybyło.

---

[188] Nina i Witold Kulowie.

[189] Karol Dejna (ur. 1911 – zm. 2004) – językoznawca, slawista. Profesor Uniwersytetu Łódzkiego od 1954 r., w latach 1956–1959 prorektor, w latach 1970–1979 zastępca dyrektora Instytutu Filologii Polskiej.

Po pogrzebie udałam się natychmiast do dzieci do Elbląga. Pod koniec wakacji wracaliśmy do Łodzi i weszliśmy do pustego mieszkania. Nowy szok. Basia wpadła w stan nerwowy; w nocy zrywała się z krzykiem, płaczem. Trudno ją było utulić. Józef smutny. Chodziliśmy jak błędni. Wszystko nam z rąk wypadało. Tak się skończyło moje szczęście – latem 1957 roku.

Dzieci poszły do szkoły: Józef do klasy piątej, Basia do drugiej. Jeszcze szereg spraw urzędowych związanych ze śmiercią. Starania o rentę sierocą itp. Wiele pomagał mi Witold[190]. P. Stankiewicz pełnił rolę pogotowia ratunkowego w razie konieczności np. wyjazdu do Warszawy. Gosposia Jasia Sztaniec na razie pozostała.

Zaczęłam więc samodzielne życie, szczęśliwa, że choć doktorat mam za sobą. Zostałam z wieloma materiałami do dziejów chłopów, górą odpisów archiwalnych. Trzeba było pomyśleć o publikacji tych źródeł, wybrać niektóre, starać się o wydanie. Pomógł mi prof. Kieniewicz, no i Witold[191].

Z prof. Serejskim, który życzliwie się do mnie odniósł – stosunki nie układały się najlepiej. Ignorował mój awans naukowy, żądał, bym mu była maszynistką, bym służyła jego zainteresowaniom naukowym, a zajmował się wówczas gorliwie Lelewelem. Wreszcie doszło do awantury z mej strony, mianowicie odmówiłam wykonywania poleceń i zaproponowałam, by mnie wyrzucił. Scysja była ostra. Profesor wykazał się umiarem i życzliwością. On nie rozumiał, że muszę się uporać ze spuścizną po mężu. Przesiadywałam do późna w nocy, borykając się z trudnościami, skoro nie znałam dokładnie problematyki, którą zajmował się Staszek. Skończyło się uładzeniem wzajemnych stosunków między mną a profesorem Serejskim dzięki jego wyrozumiałości i taktowi. Z kim innym nie poszłoby tak gładko. Zawdzięczam to panu Serejskiemu.

Zabrałam się do habilitacji. Znów harowałam nocami. Nie pytając profesora o zdanie – zajęłam się legendą bohatera narodowego na przykładzie Kościuszki. Prof. Serejski prowadził seminarium historiograficzne na wyższym poziomie, zapraszał profesorów: Adamusa, Dutkiewicza. Czasem bywał też prof. Kra-

[190] Kula.
[191] Witold Kula.

kowski[192]. Przychodzili pp. Pawłowscy: Ija[193] i Tadeusz[194]. Stale bywał p. Grabski, p. Bronowski[195]. Seminarium to było znaczącym wydarzeniem na UŁ. Zbierał się zespół interdyscyplinarny, dyskusje były na wysokim poziomie. Przychodzili przecież wybitni erudyci. W tym środowisku szkoliłam się znakomicie. Profesor powierzał mi prowadzenie ćwiczeń, po jego wyjeździe do Warszawy powierzył mi wykład wstępu do badań historycznych. P. Zwolski zerwał kontakty z Serejskim. Zaszło bowiem wielce nieprzyjemne wydarzenie. Zwolski wraz z p. Kappesową opracowali wybór źródeł z historii starożytnej do użytku studentów. Przetłumaczyli z oryginałów greckiego i łacińskiego owe źródła. Profesor zapragnął firmować swoją osobą to wydawnictwo. Zatem na stronie tytułowej figurowało jego nazwisko jako wydawcy, na odwrocie małym drukiem nazwiska faktycznych wydawców. P. Zwolski uznał to za nieuczciwe. Ponadto opowiadał mi, że profesor głośno przywłaszcza sobie moje osiągnięcia naukowe z pracy o Zakrzewskim. Często obserwowałam, jak z góry traktował prof. Adamusa i Dutkiewicza, pouczając ich na seminarium. Raziło mnie to.

Później Nina wytoczyła mu sprawę przed sądem koleżeńskim za przejęcie koncepcji dotyczących Lelewela. Trudno tu mówić o plagiacie, a jednak coś z tego było. W owym sądzie uczestniczył Boguś Leśnodorski. O ile pamiętam, wyrok nie był dla profesora Serejskiego pomyślny.

Wtedy byłam przekonana, że p. Serejski zbyt zadziera nosa, robi się ważnym profesorem i nie liczy z ludźmi. To mnie również do niego zniechęcało. Jednak był mi życzliwy. W co nie wątpię. Nie inwestował w moje wykształcenie, skoro byłam babą obarczoną dwojgiem dzieci. Inwestował (pewnie słusznie) w bardziej niezależne osoby, np. w pana Grabskiego. Po mnie trudno było oczekiwać poważniejszych postępów w pracy naukowej, skoro

[192] Stefan Krakowski (ur. 1912 –zm. 1999) – historyk dziejów epoki średniowiecza. Profesor UŁ, kierownik Katedry Historii Polski Średniowiecznej.

[193] Ija Lazari-Pawłowska (właściwie de Lazari) (ur. 1921 – zm. 1994) – filozof, etyk, prof. UŁ, założyciel i kierownik Katedry Etyki.

[194] Tadeusz Pawłowski (ur. 1924 – zm. 1996) – filozof, metodolog, prof. UŁ.

[195] Franciszek Bronowski (ur. 1928 – zm. 1992) – badacz dziejów nowożytnych, historyk historiografii.

byłam głównym dostarczycielem środków do życia, gospodynią domową i czym tam jeszcze. No i dobrze. Taki los mi przypadł.

Dzieci uczyły się bardzo dobrze, nie sprawiały najmniejszych kłopotów. Wiele pomagali Kulowie. Najpierw, po śmierci Staszka przyjeżdżali w niedziele na Laurową. Pewnie bali się, że załamię się nerwowo. Nigdy im tego nie zapomnę. Witek starał się zastępować dzieciom ojca. Doprawdy wzruszające! Takiej przyjaźni się nie zapomina.

Uczniowie Staszka odwiedzali nas często. Bardzo mi to było miłe, dawało poczucie bezpieczeństwa, tkwienia w środowisku przyjaznym.

Dzieci rozsmakowały się w harcerstwie. Józef od razu wysunął się na czoło, miał instynkt przywódcy. Doskonale umiał organizować gry harcerskie. Okolica, w której mieszkaliśmy, sprzyjała temu. W pobliżu Las Łagiewnicki, przed domem ogromny teren Parku Julianowskiego. Nasz dom stał się ośrodkiem zebrań młodzieżowych. Zawsze pełno było dziewcząt i chłopców, gwarno.

W niedziele przygotowywałam ciasto jak koło młyńskie, po któ-

rym za godzinę nie zostawało śladu. Ponieważ mieszkanie było trzypokojowe, można się było pomieścić. Na razie po śmierci męża miałam stałą gosposię, która wiele pomagała. W następnych latach doszło do nieporozumień. Dziewczyna się puszczała, urodziła synka, którego w niedługim czasie oddała na wychowanie do rodziny na wieś. Tryb jej życia nie był uporządkowany. Nadal szukała partnera. Zapewne w szkole koledzy wyśmiewali się z Józka, że u nas „taka" mieszka. Dochodziło do awantur między Józkiem a gosposią. On jej nie szanował, ona skarżyła się przede mną, że ją lekceważy. Kiedy zaś ona gdzieś po nocach się włóczyła, wymówiłam jej pracę. Po pewnym czasie przyjęłam dochodzącą gosposię, starszą osobę, wdowę. Bardzo lubiliśmy ją za rzetelność, stateczność, dobroć. Gdy dzieci nieco podrosły, nie mogłam dłużej utrzymywać czterech osób. P. Tucholska znalazła sobie inną pracę, ale nas często odwiedzała i pozostawaliśmy z nią w kontakcie aż do jej nagłego zgonu. Teraz odwiedzam czasem jej grób na cmentarzu Radogoszcz.

Skończyły się wyjazdy wakacyjne. Nie miałam na to pieniędzy. Dzieci jeździły na obozy harcerskie. Nie było tam dobrej opieki. Toteż stale gnębiła mnie trwoga o nie. Wyjeżdża-

łam do Ciechocinka na kurację. W ten sposób pomagałam sobie w poruszaniu się, spędzając tam czas na intensywnej gimnastyce. Dzieciaki pisywały często, gdy otrzymywałam list, niepokoje oddalały się, tylko myśl, co mogło się stać w międzyczasie, ustawicznie mnie gnębiła.

Zabrałam się do pracy nad rozprawą habilitacyjną. Była to konieczność życiowa, ponieważ posada adiunkta nie dawała stabilizacji zawodowej. Prof. Serejski przeniósł się do Warszawy, gdzie wybudował sobie dom na Mokotowie. Nasze stosunki rozluźniały się. Wydano zakaz łączenia etatów. Dotychczas pracowałam w PAN i na połowie etatu na UŁ. Musiałam wybierać.

Udałam się po radę do prof. Manteuffla. Wiedziałam, że pewnie niezbyt chętnie na mnie patrzy, pewnie byłam dlań za „czerwona", no i baba obarczona dwojgiem dzieci nie rokowała nadziei na realizację ambitnych planów naukowych. Uniwersytet Łódzki zapraszał mnie na cały etat. Prof. Manteuffel, którego ogromnie szanowałam i liczyłam się z jego zdaniem – radził mi, by zrezygnować z pracy w PAN, skoro i tak prof. Serejski jest w Warszawie, dojazdy doń były dla mnie prawie niemożliwe. Nie miałam z kim zostawiać dzieci. Zrezygnowałam więc z pracy w PAN i przeszłam do UŁ.

Prof. Dutkiewicz przygarnął mnie do swojej Katedry. Zajmowałam się nadal historiografią. Interesował mnie kult bohatera. Jak się rodzi bohater narodowy? Czy tylko jest to twór propagandowy, czy też spontanicznie uznaje go naród? Takie studia prowadziłam na przykładzie kariery Kościuszki. Owocem tego była książka „Kościuszko. Bohater narodowy". Do habilitacji wymagany był druk pracy. O szybkim wydaniu nie było mowy. Wystarałam się w rektoracie o fundusz na pokrycie kosztów publikacji w postaci broszury (150 egzemplarzy). Druk ów załatwiłam w Warszawie, na Politechnice Warszawskiej, gdzie posiadano odpowiednie wydawnictwo. Książka nie znalazła się w sprzedaży, tylko rozesłałam ją do bibliotek. To wystarczyło do ukończenia przewodu habilitacyjnego. Mimo że książka nie została rozprzedana, uzyskała bardzo dobre opinie. Ludzie pisywali do mnie (np. prof. Markiewicz[196]) z pytaniami, gdzie można by książkę

[196] Śreniowska wspomina w tym miejscu o Henryku Markiewiczu (ur. 1922 – zm. 2013) – filologu polskim, teoretyku i historyku literatury, związanym z UJ.

otrzymać. Wysyłałam egzemplarze własne, póki ich starczyło. Później za pośrednictwem p. Michowicza PWN wydało tę książkę w roku 1973[197]. Wszystkie redakcje książki konsultowałam z Kulami. Nie było już Staszka, nie było z kim wieczorami obgadywać koncepcji, planów pracy.

Teraz jedynymi serdecznymi konsultantami byli Nina i Witek. Oni dodawali mi otuchy, bowiem nie należę do osób pewnych siebie, chociaż umiem grać rolę człowieka przekonanego o własnych racjach.

Colloqium habilitacyjne przeżywałam okropnie. Przyjechali recenzenci pracy, prof. prof. Herbst i Leśnodorski. Byłam tak stremowana, że gdyby nie słowa otuchy Bogusia Leśnodorskiego, może byłabym się załamała.

Jakoś to wszystko poszło. Zatwierdzenie habilitacji również gładko przeszło. Pewnie przyczynił się do tego Witold, który był członkiem komisji kwalifikacyjnej. Ale nie wiem na pewno, nie dopytywałam się. Recenzje (prof. Łojka[198], prof. S. Kieniewicza) były dobre. Łojek szczególnie wysoko ocenił koncepcję pracy i jej wykonanie. Prof. Kieniewicz, choć akceptował „dzieło", jednak wytknął wiele niedostatków w sensie nieznajomości szeregu wydawnictw.

Byłam więc samodzielnym pracownikiem naukowym. P. Libiszowska[199] przekazała mi prowadzenie dziekanatu dla studiów zaocznych. Gorliwie tym się zajęłam za bardzo niski dodatek do pensji. Ale w mojej sytuacji każdy grosz się liczył.

Dzieciaki po ukończeniu szkoły podstawowej zapisałam do I Liceum im. Kopernika, jednej z najlepszych szkół w Łodzi. Harcerstwo nadal uprawiali. Przeszło im dopiero na studiach uniwersyteckich. Oboje studiowali socjologię, a w szczególności socjologię kultury.

---

[197] K. Śreniowska, *Kościuszko – bohater narodowy. Opinie współczesnych i potomnych 1794–1946*, Warszawa 1973.

[198] Jerzy Łojek (ur. 1932 – zm. 1986) – historyk, pisarz, publicysta historyczny. Pracownik IBL PAN. Od lat 70. związany ze środowiskami opozycji niepodległościowej.

[199] Zofia Libiszowska (ur. 1918 jako Z. Gołuchowska – zm. 2000) – historyk, badaczka dziejów Polski i historii powszechnej XVIII w. Związana z Uniwersytetem Łódzkim (w latach 1984–1987 dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego).

Rok 1968 przeżyłam tragicznie[200]. Zaangażowanie Józka w ruch studencki, jego temperament przywódczy. Wybrano go na przewodniczącego delegacji studentów socjologii do pertraktacji z władzami uczelni. On szalał na wiecach, przemawiał, wykłócał się z władzami. Namierzyło go UB. Przeżywaliśmy pierwsze rewizje w domu, zatrzymania Józka. Dla mnie był to ciężki cios. Na szczęście nie wyrzucono go z uczelni, podobno na skutek zdecydowanej postawy rektora J. Piątowskiego[201], wyrzuconego zresztą z dnia na dzień przez władze partyjne. Józef na skutek wyroku sądu dyscyplinarnego został na rok zawieszony w prawach studenta. O ile dobrze pamiętam, w owym sądzie dyscyplinarnym zasiadał prof. Matuszewski[202].

Józef miał doskonałe wyniki nauczania. Przed wydarzeniami marcowymi otrzymał podziękowanie od dziekana za najlepszy wynik sesji egzaminacyjnej. Był uczestnikiem seminarium prof. Jana Lutyńskiego[203], który zawsze go chronił; Józef np. nie mógł uczęszczać na seminarium, gdy go wzywano na przesłuchania do UB. Świadkiem pierwszej rewizji w domu był Jacek Lao, wówczas student Wydziału Prawa. Ja byłam w pracy i tylko telefonicznie zawiadomiła mnie Basia o tym, co się tam dzieje.

Później, w czasach KOR przyzwyczaiłam się do zatrzymań, rewizji, ale to wielkie obciążenie psychiczne. Przy tym trzeba funkcjonować na UŁ w jakimś innym wymiarze, innej rzeczywistości. Niby nic się nie dzieje. Tymczasem wciąż coś się dzieje i żyło się na niby w jednym lub drugim wymiarze.

---

[200] Szerzej o „wypadkach marcowych" zob. *Marzec '68 w Łodzi*, red. S. Nowinowski, Łódź 2010.

[201] Józef Stanisław Piątowski (ur. 1914 – zm. 1986) – prawnik cywilista. Wykładowca i profesor Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1957–1962 dziekan Wydziału Prawa i Administracji UŁ. W latach 1965–1968 rektor UŁ.

[202] Śreniowska przywołuje Józefa Matuszewskiego (ur. 1911 – zm. 2003) – mediewistę, historyka prawa. Po wojnie pracownika naukowego UAM. Od 1961 r. związanego z UŁ, kierującego Katedrą Powszechnej Historii Państwa i Prawa.

[203] Jan Lutyński (ur. 1921 – zm. 1988) – socjolog, politolog, wykładowca i profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.

Moja mama zmarła w 1954 roku. Siostra przeniosła się do Gdańska, sprzedała dom w Elblągu. Jej syn Antek kończył Politechnikę Gdańską, przez 4 lata pływał po morzach. Bolek Kozel, mój szwagier, był prokuratorem w Gdańsku. Bezpartyjny. Ale posłuszny. Ewa – radca prawny, bezpartyjna, posłuszna, ostrożna. Utrzymywaliśmy stosunki rodzinne. Jeździłam raz w roku do Gdańska, Ewa mnie odwiedzała. Nigdy nie kłóciłam się z moją siostrą, jednak nie było między nami porozumienia. Żyłyśmy w innych światach, miałyśmy odmienne doświadczenia życiowe. W pewnym sensie byłyśmy sobie obce.

Zdaje mi się, że ona nie orientowała się w tej obcości. Zawsze przyjmowała mnie ze łzami radości w oczach. Była dobrym człowiekiem, ale – w moim odczuciu – z innego świata. Ja nie lubiłam się jej zwierzać, moje życie przebiegało tak odmiennymi ścieżkami, że – jak mi się zdawało – nie ma mowy, byśmy się mogły do końca zbliżyć. A jednak po jej śmierci odczułam pustkę. Nie ma do kogo dzwonić, ani pisać listów. W 1989 byłam u niej w czasie wakacji, ponieważ już nie wstawała z łóżka. Potrzebowała pomocy, opieki. Jednak na skutek sprzedaży ul. Laurowej trzeba było wracać do Łodzi, by się przeprowadzić[204]. Wszystko przygotowała Basia, ale przeprowadzka wymagała mojej obecności. W roku 1989, 1 czerwca Ewa zmarła.

Cofnę się jednak do lat 70. Wydarzenia radomskie, powstaje KOR. Józef figuruje na liście współzałożycieli[205]. Mnie o zdanie nie pytał. Postawił mnie przed faktem dokonanym. Miał prawo wyboru drogi i nie chcąc tracić syna, akceptowałam jego postawę. Nie wiedziałam, że przyjdzie mi drogo płacić za jego walkę. Także Ewa wiele ucierpiała, choć nie angażowała się w żadną działalność. Władze traktowały nas łącznie. Nie odcięłam się od syna, zatem akceptuję jego działalność. Zaczął się niezwykle przykry, a równocześnie podniecający i mobilizujący do walki okres naszego życia

Józef bardzo aktywnie zaangażował się w wydawanie „Robotnika". Wraz z Henrykiem Wujcem[206] publikowali to pismo,

[204] Krystyna Śreniowska przeprowadziła się na ulicę Jaracza, do maleńkiej kawalerki, w której mieszkała do śmierci.

[205] J. Śreniowski dołączył do grona założycieli KOR kilka miesięcy później.

[206] Henryk Wujec (ur. 1940) – polityk, działacz opozycji w okresie PRL (w latach 1976–1977 współpracownik KOR), poseł na Sejm X, I, II, III kadencji,

ogromnie tępione i groźne dla władzy, skoro penetrowało i organizowało środowisko robotnicze. Do naszego mieszkania przy Laurowej zgłaszali się przeróżni ludzie ze skargami, prośbą o radę, interwencję. Wśród nich wielu nasłanych agentów. Nie zawsze mogliśmy się połapać, kto jest kim. Do Józka przychodziło wielu petentów. Pisał skargi, doradzał jako „prawnik". Na pamięć znał kodeks pracy. Bywał w sądach i kolegiach, by radzić i dodawać otuchy podsądnym. Represjonowano strajkujących. Józef wspomagał rodziny robotnicze także materialnie z funduszy KOR. Stale w biegu, nie dosypiał, stale śledzony, ukrywający się, uciekający, tj. gubiący tzw. „ogony". Czasem zatrzymywano go na ulicy, wsadzano siłą do samochodów i zamykano w areszcie. Początkowo chadzałam po prokuratorach, żądając rejestru zatrzymanych. Załatwiano mnie uprzejmie. Potem biegałam po komendach, szukając syna. Tam mnie okłamywano, że go nie ma, podczas gdy właśnie był obok. Zanim dojechałam do domu, już go wypuszczano. Józef był doskonałym reporterem dla „Robotnika". Stale w rozjazdach, zbierał informacje bezpośrednio w terenie. Wyjeżdżał więc często, do czego przywykłam. Niemniej czułam stały niepokój, co się z nim dzieje, czy wróci pobity, czy nie odbiorą mu pieniędzy publicznych, które woził, by udzielać zasiłków poszkodowanym. Powoli nauczyłam się z tym żyć. Rewizje bywały przeważnie, gdy byłam sama w domu. Basia wtedy pracowała na wsi pod Siedlcami. Wróciła do Łodzi dopiero w roku 1980 (?).

W czasie rewizji ginęły niepostrzeżenie różne moje notatki, teksty odczytów. Od razu nie mogłam się w tym rozeznać. Dopiero po pewnym czasie, gdy sięgałam po te zaginione materiały, orientowałam się, że zostały po prostu zabrane. U nas czasem bywało sporo książek i wydawnictw drugiego obiegu zanim zostały rozkolportowane. Rewizje natrafiały na te wydawnictwa i zabierano wszystko. Sąsiedzi z dołu bali się lub – jako towarzysze partyjni – być może współpracowali z SB. W każdym razie podsłuch w mieszkaniu nie mógł się chyba obejść bez ich wiedzy i zgody. Ze strony tych sąsiadów narażona byłam na szereg szykan i musiałam milczeć i znosić owe przykrości. Natomiast

---

wiceminister rolnictwa w rządzie Jerzego Buzka, w latach 2010–2015 doradca prezydenta RP ds. społecznych.

sąsiedzi z innych domków na naszej ulicy Laurowej i sąsiednich otaczali nas daleko idącą opieką i dowodami solidarności.

Na uniwersytecie funkcjonowałam jakby nigdy nic. To była inna sfera działalności. Co prawda oczekiwałam, że mnie wyrzucą i nie wiem, czemu to nie nastąpiło. Kto mnie ochraniał? Prof. Dutkiewiczowi opowiedziałam o mojej sytuacji. Współczuł, był ogromnie życzliwy, ale nic nie mógł zdziałać.

Na uczelni grunt był grząski. Nie wiadomo było, kto jest kim, kto ubek, kto nie. O wielu osobach mówiło się w zaufaniu. Często rozprawialiśmy z dr Bronowskim o naszej dziwnej sytuacji.

Przedtem fatalny rok 1968 doprowadził do wyrzucenia wielu kolegów. „Parszywe Żydy", np. pp. Korzec, Błaszczyk zostali wydaleni. Ich miejsce zajęli protegowani partii, tzw. docenci marcowi[207]. Potem habilitowali się. Ale nie byli to prawdziwi uczeni. Ludzie o wąskich horyzontach badawczych, funkcjonariusze partii, posłuszni jej rozkazom. Zależni, nie wolni. Wśród nich byli ludzie uczciwi (np. p. Wachowska[208]), ale nie dorastali do roli, jaką im wyznaczono. Udawali prawdziwych profesorów, nie mając pojęcia, co to znaczy „prawdziwy". Mnie lekceważono, skoro nie zajmowałam się historią faktu, historią np. gospodarczą, polityczną. Jakaś tam historiografia, metodologia – to coś niepotrzebnego, coś co stoi z boku. Były też lizusy, które niby komplementowały mnie, a w istocie lekceważyły. Za to nie lekceważyła mnie młodzież. Miałam sporo uczniów, seminarium ożywione. Nawet mi zazdroszczono tych uczniów. Szli do mnie najzdolniejsi, i najbardziej zbuntowani wobec rzeczywistości politycznej. Z czasem mój krąg stanowił jakiś azyl, ferment, jednym słowem groźny dla władzy ośrodek myśli.

Trudno mi po kolei odtwarzać sytuację na UŁ. Cofnę się do lat 70. Pamiętam doskonale posiedzenie Rady Wydziału pod prze-

[207] Leon Błaszczyk (ur. 1923 – zm. 2016) – filolog klasyczny, historyk. W latach 1964–1966 dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego, dyrektor IH UŁ (1967–1968). Od 1968 r. na emigracji..

[208] Barbara Wachowska (ur. 1929 – zm. 2005), ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Łodzi i historię na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1957 r. związana z UŁ. Przez wiele lat kierowała Zakładem, a następnie Katedrą Historii Polski Najnowszej. Była również wicedyrektorem Instytutu Historii.

wodnictwem ówczesnego dziekana prof. Michowicza[209]. Było to po ukonstytuowaniu się KOR.

Zapewne nakazano p. Michowiczowi napiętnować jawną opozycję w kraju. Zaczął bowiem posiedzenie Rady od informacji, że oto ujawniła się opozycja. Mówił o tym ze zdziwieniem. Siedziałam naprzeciw. Nie mrugnęłam okiem. Jednak coś mnie podrywało, by krzyknąć: „On cesarza koronę znieważa, ukrzyżuj, bo powiemy, żeś ty wróg cesarza". Pana Zwolskiego nie było obok mnie, by powstrzymać moje spontaniczne okrzyki. Jednak nie zdobyłam się wówczas na protest. Czułam, że jestem osobiście zbyt zaangażowana, że jestem „stroną" tego sporu z władzą i nie mogę wystąpić. Miałam zresztą na sumieniu inne sprawy, jak np. walkę o powrót Gromca[210] na uczelnię.

Kilka z rzędu rad wydziałowych zajmowała ta sprawa. Ogromnie się w nią zaangażowałam. Później, już w czasie „Solidarności", strajków studenckich, wiele napracowałam się, by dowodzić moich racji. Niestety środowisko naszego wydziału było solidarne w oporze przeciw „nowościom". Jedni z uwagi na partię, inni woleli mieć święty spokój i pod togą profesorską ukrywali zwykły oportunizm, tchórzostwo. Ludzie byli zastraszeni, przywykli do milczenia. Właściwie była to niepisana konwencja (owo milczenie). Łamanie tej konwencji zakrawało na donkichoterię. Taka jakaś Śreniowska – po prostu jest niepoważna, wygłupia się.

Pamiętam proces Józka w 1985 roku w lutym. Na procesie byłam sama. Jedynie Henio Michalak[211] wytrwał na korytarzu (nie dostał

[209] Waldemar Michowicz (ur. 1929 – zm. 2005) – historyk, profesor Uniwersytetu Łódzkiego (w latach 1973–1975 wicedyrektor Instytutu Historii, w latach 1975–1981 dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego, w latach 1981–1994 kierownik Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej.

[210] Włodzimierz Gromiec (ur. 1937 – zm. 2007) – historyk filozofii. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, uczeń Bronisława Baczki i Leszka Kołakowskiego. Od 1961 r. związany z UŁ. Od połowy lat 70. działał w opozycji demokratycznej. Szykanowany przez UB, inwigilowany, nękany pogróżkami. Oskarżony o „szkodliwy wpływ na młodzież" i prowadzenie „nielegalnej działalności politycznej". Próbowano usunąć go z uczelni już w 1976 r. (ze względów formalnych okazało się to niemożliwe), odsunięto go więc od zajęć ze studentami. Ostatecznie zwolniony z UŁ 1 X 1977 r., po podpisaniu listu w obronie robotników z Radomia i Ursusa. Przywrócony do pracy 1 III 1981 r.

[211] Henryk Stanisław Michalak (ur. 1947 – zm. 1994) – historyk, polityk, przedsiębiorca, poseł na Sejm X kadencji. W 1975 r. ukończył studia historyczne

przepustki na salę sądową) i po wyroku pocieszał mnie. Pytał mnie prof. Jedlicki[212], kto z moich kolegów był obecny na procesie. Gdy odpowiedziałam, że nikt – był ogromnie zdumiony. W środowisku warszawskim było to nie do pomyślenia. W Łodzi właśnie tak.

Zwykle siadałam na radzie wydziału obok Bogdana Zwolskiego. Nie tylko z racji naszej wieloletniej przyjaźni. On był spokojny, rozsądny. Mogłam go słuchać w razie rozgorączkowania i popełniania głupstw. Dawniej tym rozsądnym był Staszek. Ale Staszka już nie było. Nie miał kto uczyć mnie, jak mam się rozsądnie sprawować. Teraz tę rolę pełnił Zwolski. Potem, gdy mnie podrzucał samochodem do domu, wymienialiśmy podczas jazdy nasze opinie, które przeważnie były zgodne. Mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, często odwiedzałam gościnny dom pp. Zwolskich. Przyjaźń nasza datowała się od czasu wspólnej pracy nad podręcznikiem historii starożytnej. Potem wspólne rozczarowania, wspólne klęski i sukcesy. P. Zwolski, wieloletni prodziekan, potem dziekan (bezpartyjny), cieszył się ogromnym autorytetem z uwagi na swoją prawość i rzetelność. Liczyłam się z jego zdaniem.

Narodziny „Solidarności”

Sierpień 1980 roku spędzałam w Ciechocinku. Przerwano komunikację kolejową, zostałam tam bez pieniędzy, niespokojna co się w domu dzieje. Józef – jak wiadomo – siedział w Warszawie u Kuronia[213], odbierał telefony z całej Polski, potem informowali zagranicę

---

na Uniwersytecie Łódzkim. Po kierunkiem K. Śreniowskiej napisał doktorat, którego drukowana wersja *Józef Szujski 1835–1882. Światopogląd i działanie*, ukazała się w Łodzi w 1987 r. Po skończeniu studiów został zatrudniony na UŁ, gdzie pracował przez 18 lat. Od roku 1975 w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii, następnie w Katedrze Historii Historiografii.

[212] Jerzy Jedlicki (ur. 1930 – zm. 2018) – historyk idei, badacz dziejów kultury XVIII–XX w. i historii społecznej. Działacz opozycji w okresie PRL. W 1989 r. otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych. Zawodowo związany z Instytutem Historii Polskiej Akademii Nauk (obecnie na emeryturze).

[213] Jacek Kuroń (ur. 1934 – zm. 2004) – polityk, historyk. Działacz tzw. Czerwonego Harcerstwa, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników, minister pracy i polityki socjalnej, poseł na Sejm X, I, II, III kadencji.

(m.in. Radio Wolna Europa). Aresztowanie Kuronia i Józka. Józka odstawiono do Łodzi. Tu na komendzie zebrała się grupa oficerów SB i poprosili Józka, by ich poinformował, co się w kraju dzieje. Uczynił to chętnie, miał przecież wiadomości z pierwszej ręki. Potrzymano go i wypuszczono. Zaraz się zmył, na Laurową nie zaglądał.

Dzieci mnie ostrzegły, bym nie wracała, póki się ubecja nie uspokoi. Rzeczywiście skoro moja siostra wspomogła mnie finansowo, mogłam czekać w Ciechocinku na koniec sierpnia, na zawarcie porozumień gdańskich. Józef przebywał na terenie stoczni, tam pomagał w montowaniu prasy. Gdzie się podziewała Basia, nie pamiętam. Zdaje mi się, że ona jeszcze mieszkała na wsi pod Siedlcami, gdzie pracowała w szkole. Pewnie była z harcerzami na obozie.

Już dobrnęłam do 1980 roku. Sporo jednak pozostało jeszcze do relacjonowania o latach wcześniejszych.

Moje prace na Studium Zaocznym Wydziału skończyły się rezygnacją po siedmiu latach. Nie dotrwałam do końca drugiej kadencji, ponieważ rektor Janusz Górski[214] rozbudowywał uczelnię, kazano mi organizować oddział w Piotrkowie Trybunalskim. Protestowałam przeciw zarządzeniom i pomysłom rektora. Argumentowałam, że UŁ nie stać na ekspansję wszerz, skoro ma słabą naukowo kadrę, która powinna mieć czas na kształcenie się zamiast jeździć do Piotrkowa. Starłam się z rektorem w tej sprawie, no i byłam źle widzianym prodziekanem. Zrezygnowałam więc. Zresztą dojazdy poza Łódź były dla mnie ogromnie męczące z uwagi na konieczność prowadzenia domu i inne obowiązki domowe poza pracą zawodową. Moje miejsce zajął prof. Stankiewicz. Od razu dostał podwójne wynagrodzenie, skoro był partyjny i dobrze widziany.

Moja sytuacja na uczelni była trudna. Jawnie występowałam przeciw wielu sprawom. Byłam w tym osamotniona. Jedynie studenci trzymali mnie przy życiu. Tylko dla nich chciałam pracować, tylko na zajęciach z nimi dobrze się czułam. Wiedziałam, że jestem tam obserwowana przez donosicieli, ale nie stanowili oni większości i po prostu nie obchodzili mnie.

[214] Janusz Górski (ur. 1929 – zm. 1986) – ekonomista, polityk. Członek PZPR. W latach 1978–1981 minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. W latach 1972–1975 rektor Uniwersytetu Łódzkiego.

Henio Michalak zrobił piękny doktorat. Opracował Szujskiego. Miewał przed tym odczyty w PTH i Łódzkim Towarzystwie Naukowym. Wszędzie go protegowałam. Zazdroszczono mi ucznia. P. prof. Brodowska któregoś razu powiedziała, że tylko pogratulować mi nowego adepta nauki. Z Heniem zgodnie pracowaliśmy. On bardzo dobrze wywiązywał się z zajęć ze studentami. Odważnie toczył z nimi dyskusje na tematy polityczne. Doktorat był znakomity, błyskotliwy. Po obronie, gdy wkroczył na salę, by wysłuchać werdyktu Rady Wydziału, rozpłakałam się ze zdenerwowania. Przy pełnej sali uściskałam go i pogłaskałam po głowie.

Mój stosunek do seminarzystów, studentów też miał cechy opiekuńcze. Pamiętam zebranie przed wypadkami marcowymi w Łodzi. Zeszliśmy się w Kole Studenckim Historyków. Miałam wtedy mówić o Kościuszce. Jednakże młodzież zaczęła zwierzać się ze swoich zamiarów wyjścia na ulice, zorganizowania manifestacji solidarnościowej ze studentami z Warszawy. Tłumaczyłam im, że uważam to za niebezpieczne. Pamiętam, że użyłam argumentu: „Nie chcę, by was bito, jesteście naszymi dziećmi, chcę was bronić". Naturalnie wyszli na ulicę, podobnie jak to uczynił mój syn. Przecież nie można zabronić ludziom ze świadectwem dojrzałości czynienia tego, co uważają za słuszne. Pamiętam też, jak w czasie walki o krzyże na uczelni przestrzegałam, by tego nie robić. Władze uznałyby to za prowokację. P. Stankiewicz był wtedy – o ile się nie mylę – dyrektorem Instytutu Historii. On pierwszy zabroniłby i awantura gotowa.

Żydzi. Ukraińcy

Na poprzednich stronach wspominałam o przyjaźniach z Żydami przed wojną, o moich koleżankach szkolnych z domów żydowskich, o sąsiadach w Stryju.

Mimo to pewnie dziwne się wyda, że nie miałam pojęcia o kulturze polskich Żydów, szczególnie Żydów ortodoksyjnych.

Właściwie dopiero po wojnie dowiadywałam się o tym z opowiadań Adolfa Rudnickiego, później Juliana Stryjkowskiego i innych. Jak wspomniałam, moje kontakty z Żydami ograniczały się do osób spolonizowanych, wyemancypowanych ze środowisk ortodoksyjnych. Byli to ludzie przeważnie zlaicyzowani, niemający kontaktów z gminą żydowską, z rabinami.

Tak blisko mieszkaliśmy obok siebie, a nie znaliśmy naszych kultur, specyfiki narodowej. Odrębność Żydów można było łatwiej obserwować w małym miasteczku (Stryju, Skolem itp.) niż we Lwowie. Stanowili oni duży procent ludności miast polskich, a mimo to żyli odrębnym życiem. Bliższa styczność polegała na zakupach w sklepach żydowskich (np. we Lwowie przy ul. Boimów – tekstylia).

Nie interesowałam się wówczas odrębnością tej kultury. Kontakty były powierzchowne. Tolerancja, szacunek – owszem. Ale bez ciekawości z mojej strony. Niewiara w brednie antysemickie (mord rytualny), odrzucanie wszystkiego, co zniesławiało ten naród. Dopiero lata powojenne, po tragedii Holocaustu, zwróciły moją uwagę w stronę żydowskości.

Teraz, gdy jestem stara, coraz więcej interesuję się kulturą i losami Żydów polskich. W Łodzi do 1967 roku mieszkał prof. Kuba Goldberg[215]. Wówczas był asystentem na UŁ. Zaprzyjaźniliśmy się, lubiłam bywać w domu pp. Goldbergów. Co nieco słyszałam od prof. Goldberga o getcie łódzkim, jego osobistych losach. Bardzo żałowałam jego decyzji wyjazdu do Izraela, decyzji jakże słusznej.

O chasydach dowiedziałam się z lektur, o sytuacji prawnej małżeństw rytualnych bez akceptacji polskich władz cywilnych – również dowiedziałam się po wojnie. W czasie okupacji dowiadywałam się o wielkiej liczbie małżeństw mieszanych i dziwiłam się, że te sprawy jakoś przed wojną nie były mi znane. Być może moja osobista sytuacja pchała mnie w kręgi ludzi

[215] Jakub Goldberg (ur. 1924 – zm. 2011) – historyk zajmujący się dziejami Żydów w Polsce, relacjami polsko-żydowskimi w czasach nowożytnych. Po zakończeniu II wojny światowej związany z Uniwersytetem Łódzkim. Od 1967 r. w Izraelu. Wykładowca Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

znajdujących się w podobnym położeniu. Nie zwykłam interesować się tym, kto kogo rodził. Do dziś wydaje mi się to bez znaczenia. Ważny jest człowiek, a nie jego rodzice.

Inaczej nieco wyglądała sytuacja kontaktów z Ukraińcami. Dzielił nas obrządek. Jednak bywaliśmy w czasie wakacji w cerkwiach grekokatolickich, skoro we wsiach ukraińskich nie było kościołów. Ludność ukraińska spode łba patrzyła na Lachów w cerkwi. Jednak nam to nie przeszkadzało. Jedynie mnie jako dziecku nudziło się na mszach w cerkwi z powodu przedłużających się ceremonii. Natomiast zachwycały chłopskie chóry zestrojone spontanicznie, gdyż Ukraińcy byli obdarzeni szczególnym talentem muzycznym.

Instytut Historii UŁ (w karykaturze czy w rzeczywistości??)

W Instytucie Historii UŁ po śmierci prof. Dutkiewicza, dr Bronowskiego i innych porządnych osób i zainteresowanych rzeczywiście nauką czy nauczaniem (jak np. pp. Zwolscy) pozostały różne kategorie pracowników:

Ludzie porządni, spokojni, oddani młodzieży, nauczaniu, studiowaniu. Znaleźli się w mniejszości.

„Uczeni", którzy pojmowali swą rolę bądź w sensie sprawowania stanowisk administracyjnych (dziekani, prodziekani, dyrektorzy Instytutu itp.), bądź jako wykonawcy poleceń partyjnych, tj. bierni, gotowi służyć partii na każde skinienie. Oni to otrzymali stanowiska w 1968 roku, byli po prostu funkcjonariuszami partii. Niby pracowali naukowo, aliści nie wykształcili ośrodka myśli oryginalnej. Owszem, pisali, publikowali niewiele, niezdolni do samodzielności. Właściwie nie można wszystkich uważać za nieuczciwych, niezdatnych. Nie znali języków obcych, uciekali w razie odwiedzin obcych uczonych, skoro nie mogli się porozumieć ani zrozumieć wykładów. Oni po prostu nigdy nie

widzieli uniwersytetu z prawdziwego zdarzenia. Trudno więc było żądać, by funkcjonowali inaczej niż jako partyjni biurokraci. Ambitniejsi pisali wiele, dorobek naukowy liczył się na liczbę stron. Życie naukowe (towarzystwo naukowe, historyczne) niemal zamarło. Tam bowiem trzeba było inicjatywy, a nie wykonywania poleceń.

Grupa ubeków czy esbeków [...]

Grupa tchórzy, asekurantów. Dbali jedynie o to, by pracować, by się nie wychylać. Owszem, byli wśród nich zdolni ludzie. Oni przeważnie dorastali w latach pięćdziesiątych. Wówczas zwichnięto im kręgosłup moralny. Nie podnieśli się z tej klęski. Do nich należeli: Stankiewicz, Michowicz, Barszczewska[216] i in. Asekuranci, posłuszni, walczyli jedynie o to, by nie dać się zepchnąć na dalszy plan, co im się udawało.

Ze Zbigniewem Stankiewiczem łączyły mnie kiedyś więzi przyjaźni. Po śmierci Staszka wiele mi pomógł np. w opiece nad dziećmi. Starał się wpływać na Józka. Straszył go, przestrzegał przed buntem młodzieńczym. Wyobrażał sobie, że znajdzie autorytet w oczach Józefa, że ten posłucha go w swych decyzjach życiowych. Józef jeszcze jako podrostek przestał odwiedzać gościnny dom pp. Stankiewiczów z uwagi właśnie na „pouczenia", jakich tam wysłuchiwał. Z. Stankiewicz został przygarnięty do katedry Heleny Brodowskiej, jednak i tam stosunki się ochłodziły. Potem awansował na docenta, profesora. Został dyrektorem Instytutu Historii. Od strony naukowej był to poważny uczony, ze sporym dorobkiem. Rozeszliśmy się w 1968 roku. Wówczas wkroczył do mego pokoiku w Instytucie, by mi zakomunikować, że właśnie przyjęto go w szeregi partii. Powiedziałam tylko jedno słowo: „Teraz?" i koniec przyjaźni. Wydawało mi się haniebne zasilać szeregi partii wówczas, kiedy ona odsłoniła swe prawdziwe oblicze i w moich oczach zupełnie się skompromitowała.

[216] Alina Barszczewska-Krupa (ur. 1932 – zm. 2001) – historyk, badacz dziejów XIX wieku. Była dyrektorem Instytutu Historii (1976–1981), pełniła funkcję dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ (1987–1990). Od 1990 r. kierowała Katedrą Historii Polski.

Pod koniec mojej pracy na UŁ doszło między nami do poważnej scysji. Było to w latach 80., kiedy Józef odsiadywał wyrok. Wróciłam wówczas właśnie z Braniewa, przejęta walką więźniów politycznych o poprawę traktowania ks. Zycha[217] przez władze więzienne. Głodówka zakończyła się sukcesem, bowiem księdzu dodano towarzysza do celi, już nie był sam. Józef cały zaangażowany w tę sprawę, ja przejęta i cała rozdygotana. Wtedy pan Stankiewicz, nieświadom tych przeżyć, wkroczył do mojego pokoiku w IH i pouczał mnie, że źle wychowałam syna, że jestem winna jego uwięzieniu itp. Wpadłam w furię. Powiedziałam mu, że nie znoszę tchórzy, że mam wspaniałego syna i te wszystkie układne facety są nic nie warte. Rozmowa nabierała tempa, głosy się podnosiły. Ostatecznie Stankiewicz wyszedł. Później niejednokrotnie publicznie ganiłam go za asekuranctwo. Był niby układny, niby nic między nami nie zaszło. Gdy odeszłam na emeryturę, a po mnie objął zakład prof. Grabski – p. Stankiewicz przekazując mu ów zakład (rychło zamieniony na odrębną katedrę, o co ja daremnie się starałam), miał ponoć powiedzieć: „Spuściznę po Śreniowskiej może pan wyrzucić". Opowiadał mi świadek tej sceny.

Do życzliwych mi ludzi należała p. Libiszowska. Ona też uważała za swój obowiązek wychowywać mnie na posłusznego władzy obywatela. Np. przestrzegała przed zapisaniem się do „Solidarności" itp. Czyniła to na pewno z życzliwości. Jej taktyka życiowa polegała na konformizmie. Skoro była hrabianką, jej sytuacja w PRL nie była łatwa. Wygrała na tym. Nie zazdroszczę.

W dobie „Solidarności" zyskałam popularność wśród studentów. Popierałam ich wystąpienia, strajki. W czasie strajku studentów odstąpiłam mój pokój uczennicom, dostały klucz, mogły tam na grzałce gotować herbatę, spać. Odwiedzałam strajkujących, przynosząc im wałówkę, dając datki pieniężne. Studenci zaprosili mnie do sali obrad z ministrem Górskim. Siedziałam tam z prof. Lutyńskimi, Pawłowskimi, prof. Wróblewskim i in.

---

[217] Sylwester Zych (ur. 1950 – zm. 1989) – ksiądz, uczestnik opozycji w czasach PRL, szykanowany i prześladowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Kapelan Konfederacji Polski Niepodległej. Zginął zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach.

Potem, skoro dopuszczono studentów do udziału w wyborach władz uniwersyteckich, oni właśnie mnie wypromowali na wicedyrektora Instytutu do spraw młodzieży. Jednakże okres wolności szybko się skończył. Niewiele mogłam zdziałać.

Następnie internowania, potem ukrywanie się Józka, jego wpadka z bibułą, proces, więzienie. Wszystko to rozszczepiło moje życie na dwa poziomy: jeden – praca na UŁ jakby nic się nie działo, drugi – to związek ze światem prześladowanym, więzionym. Paczki do więzień dla Józka i Basi, odwiedziny itd. Wszystko to załatwiałam w dniach wolnych od zajęć dydaktycznych i dziwiono się, że nie opuszczam zajęć uniwersyteckich. Zawsze byłam na miejscu, gdy trzeba było wypełnić obowiązki dydaktyczne. Stan wojenny uczynił niemożliwymi jakiekolwiek prace naukowe, pisanie artykułów, recenzji itp. Wówczas zwrócił się do mnie prof. Zajewski[218] o recenzję jego książki. Odpisałam, że *inter arma silent muzae.* Ludzie żyjący na innej niż ja płaszczyźnie, w stanie normalności – nie pojmowali, że my, opozycja żyjemy na innym poziomie, w innym świecie, na pół jawnie.

Gdy Józek zbiegł z więzienia w Łowiczu, ukrywał się, nie miałam z nim bezpośredniego kontaktu. Były próby ze strony SB, obietnice wyjazdu za granicę itp. Wszystko odrzucałam. Po półtora roku dał mi znać, bym przyjechała go odwiedzić. Przygotowałam jazdę. Najpierw przy pomocy o. Miecznikowskiego[219] do Częstochowy. Tam zatrzymaliśmy samochód na rogatkach, by się do nas kto nie doczepił. Dotarłam pod wskazany przez Józka adres, skąd miano mnie przerzucić do Krakowa. Tam mieliśmy się spotkać, by wyjechać na kilka dni w góry. Wszystko jakoś szło. W Częstochowie miałam okropne przygody, bowiem wskazany adres nie był właściwy. Na tej samej ulicy mieszkali ludzie o takimże nazwisku i poplątałam rzecz. Omal nie wpadłam w sieci esbeckie. Jakoś się udało po wielu przykrościach

[218] Władysław Zajewski (ur. 1930) – historyk, poeta. Studia odbył na Uniwersytecie Łódzkim (gdzie doktoryzował się w 1961 r.), habilitację uzyskał na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1963–2000 związany z IH PAN.

[219] O. Stefan Miecznikowski (ur. 1921 – zm. 2004) – jezuita, kapelan łódzkiej „Solidarności".

i wreszcie doczekałam się moich zbawców z Krakowa. Tam nie zatrzymywaliśmy się. Józek wyszedł do samochodu i pojechaliśmy do pięknej górskiej krainy. Nieco nagadaliśmy się. Mnie cały czas prześladował strach, że go zdekonspiruję. Okropnie mnie to gnębiło, co on wyczuwał. Rozumiał jednak, że boję się o siebie. Źle zrozumiał. Starliśmy się o to po powrocie do Krakowa. Wyjaśniłam mu, w czym rzecz.

Widzenie z nim po tak długim czasie to ogromna ulga. Na dworzec odprowadzała mnie przyjaciółka Józka. On nie mógł przebywać w okolicach dworca, gdzie zwykle pełno tajniaków. Wróciłam pociągiem do Łodzi bez przeszkód.

Lata 70. wspominam jako okres niby to „heroiczny", jednakże ów „heroizm" nie wynikał z moich decyzji. Po prostu przystałam na określone zachowania ogromnie utrudniające życie, wprowadzające element niepewności, stałego zagrożenia, ogromnych lęków i przykrości. Przystałam na decyzję Józka przystąpienia do KOR. Mnie nikt nie pytał o zgodę. Nie było rodzinnych debat ani dyskusji. On wybierał, sądząc, że przysługuje mu prawo wyboru, bez kalkulacji, jak to się odbije na mnie oraz Basi. Milczałam, choć byłam pełna obaw. W owym czasie nikt nie wierzył w skuteczność działania tej grupy, najwyżej – w mojej opinii – mogli doprowadzić do chwilowej demonstracji politycznej, ale ta w najmniejszym stopniu (wedle mojego mniemania) nie mogła ruszyć z posad komuny. Komunie dawałam jeszcze sto lat życia i KOR to miała być walka z wiatrakami. Niemniej milczałam i pokornie stanęłam na gruncie KOR. Znosiłam liczne rewizje, znikania Józka na 24, a później 48 godzin. Znosiłam inwigilację domu, następnie podsłuch telefoniczny i podsłuch mieszkania. Zgromadzeni u nas ludzie milczeli, zaopatrzeni w kartki papieru pisali na nich, unikając rozmowy. Trudno mi było przyzwyczaić się do tych ograniczeń we własnym domu. Ale mój dom już nie był moim. Oddałam go dobrowolnie do dyspozycji odwiedzającym licznie Józka ludziom. Nie przychodziło mi do głowy, że mogłabym zaoponować. Przeciwnie, solidaryzowałam się i akceptowałam wszelkie poczynania syna i jego przyjaciół. W domu bywali też nieprzyjaciele (SB-owcy) udający przyjaciół. Częściowo wiedzieliśmy, kto jest kim, częściowo zaś

nie odkrywaliśmy agentów. Rewizje przeważnie odbywały się wówczas, gdy byłam sama w domu. Po wyjściu esbeków czułam się jak wyciśnięta szmata, rozdygotana. Nie wiedziałam, co z Józkiem, kiedy wróci i czy wróci. Wracał często późną nocą. Cichutko otwierał drzwi. Wówczas dopiero pozbywałam się lęku. Miewał przy sobie spore sumy pieniężne należące do organizacji.

Łatwo więc mógł stać się ofiarą napadu – nieznani sprawcy przecież na każdym kroku popełniali zbrodnie i pozostawali bezkarni. Wszystko to odbywało się w klimacie pozornej normalności. Funkcjonowałam na uczelni, w domu. Przyjmowałam tłumy zebrane na dyskusje, latający uniwersytet, liczne narady. Przyjeżdżali ludzie spoza Łodzi, nocowali. Czasem mieszkali tydzień lub dłużej. Wiele miałam pracy, sprzątania mieszkania, schodów, podwórka. Przemieszkujących karmiłam, gotowałam dla kilku osób. W czasie zebrań parzyłam herbatę, przygotowywałam kanapki. Czasem któraś z „działaczek" zaczynała gospodarować w mojej kuchni, nie pytając o przyzwolenie. Wydawało im się, że to dom Józka i on może rozstrzygać o prawach gości, którzy się szarogęsili.

W tych warunkach trudno było podejmować pracę naukową, ledwo zdołałam przygotowywać się do wykładów i ćwiczeń. Moi magistranci przychodzili na narady indywidualne odnośnie prac dyplomowych, czasem odprowadzani przez chmary ubecji do domów lub tramwajów. Zdarzały się zabawne sytuacje. Pamiętam, jak pewnego razu jeden z funkcjonariuszy pełzał pod moją kozetką, szukając – być może – bibuły. Weszłam do pokoju, on na kolanach przepraszał mnie za swoje czynności. Wybuchnęłam śmiechem, co go ogromnie zdziwiło. Wyglądał jak pies na tej podłodze, co mi się wydało zabawne. Rewidujący mieszkanie nie mogli pojąć, że nie okazuję strachu. Było to dla nich dziwne. Zaskakiwał ich spokój, względna uprzejmość, dystans. Podpisywałam protokoły przeszukań prawie bez oporu. Nie badałam od razu, czy co zginęło. Zginął mi egzemplarz Konstytucji 3 Maja z 1791 roku. Kto wziął? Może odwiedzający nas przyjaciele? Oni znali się na wartości książek.

Straty odkrywałam po upływie pewnego czasu. Nie byłam w stanie równocześnie w trzech pokojach patrzeć na ręce

funkcjonariuszom. Trudno byłoby się skarżyć na ich zachowanie. Nie rozrzucali rzeczy, ani książek, ani papierów. Składali w porządku rzeczy obejrzane. Zachowywali się również dość grzecznie, skoro nie dałam powodu do awantur. Na ul. Lutomierskiej w Komendzie Wojewódzkiej MO również traktowano mnie z galanterią. Przy wejściu na dyżurce rozmawiałam z jakimś aniołem na piętrze przez telefon. Tytułował mnie pani profesor i w ogóle wersal. Gdy internowano Basię 9 maja (niedziela) 1982 roku, poszłam na komendę dowiedzieć się, co z Basią.

Poinformowano mnie, że właśnie jest internowana, zapytałam, czy mogę jej podać plecak z niezbędnymi rzeczami, niezwykle uprzejmie zezwolono. Poszłam więc do domu, by spakować nieco odzieży, jedzenia (konserw) i oddałam na owej portierni, gdy mi anioł z nieba zezwolił. Wszystko odbywało się grzecznie, spokojnie. Ale ten spokój wiele mnie kosztował. Wyszłam na ulicę zdążając do tramwaju i gorzko płakałam. Spotkałam prof. Matuszewskiego. On niby nie widział moich łez, zabawiał mnie „naukową" rozmową, z której nic nie pojmowałam, bowiem znajdowałam się w innym świecie. Zapytałam go, czy nie orientuje się, co się w kraju dzieje i powiedziałam, że właśnie zabrali mi córkę. On – chyba – udawał, że nie jest zorientowany, moich łez i stanu rozdrażnienia nie dostrzegał.

Oto przykład (jeden z wielu) życia na różnych płaszczyznach, różnych poziomach. Tak rozszczepiała się nasza rzeczywistość. Inny przykład: stan wojenny, zebranie Instytutu, narada, jak obsadzać stanowiska w zamkniętym budynku, by strzec zagrożonego (przez „Solidarność") mienia uniwersyteckiego.

Rozdysponowano, kiedy kto ma siedzieć na bramce. Wreszcie dochodzimy do planów na 24 grudnia. Nikt nie chce w dzień wigilijny dyżurować. Wtedy zgłaszam się na ochotnika, wołając: „Ludzie, ja mam syna w więzieniu", dla mnie nie ma wigilii. Konsternacja, krępująca cisza. Godzę się na dyżur. Cisza!

Jednakże w ów dzień po raz pierwszy odwiedzałam internowanych w Łęczycy i wcale nie byłam na żadnym bzdurnym dyżurze.

Po internowaniu Józka – a przyszli po niego w pierwszej kolejności, wkrótce po północy – przez pierwsze tygodnie nie mogłyśmy się dowiedzieć, dokąd zabrano internowanych. Byłam

pełna jak najgorszych przeczuć, wyobrażałam sobie, że – być może – wywiozą internowanych w głąb Rosji.

Trudno było zdobyć jakiekolwiek informacje. Energicznie działała Basia. Z jej relacji mam obraz nocy z 12 na 13 grudnia, od niej wiem, że 13 XII nie było dostępu do Komendy Wojewódzkiej. Strzegł jej rząd milicji z psami. Po drugiej stronie ulicy kłębił się tłum kobiet, które chciały zdobyć informacje o swoich bliskich. Basia poszła do komendy garnizonu wojskowego, bo skoro stan wojenny, to może komenda garnizonu udziela jakichś informacji.

Odeszła uprzejmie poinformowana o niemocy wojska. Po upływie 2 tygodni wypuszczono z Łęczycy dr Marka Edelmana[220] i on właśnie – via Zosia Gromiec[221] – przekazał nam wiadomość, że Józef jest w Łęczycy. Zebrałyśmy więc dużo odzieży (dali nam socjologowie ze zbiórki) dla różnych więźniów, nieco żywności i w mglisty ranek 24 XII dowieźli nas pp. Mazurkowie swoim maluchem pod bramę więzienia w Łęczycy. Sam gmach więzienny budził grozę. Tam przecież więziono powstańców 1863 roku i w tejże carskiej turmie siedzieli nasi chłopcy. Przed bramą w topniejącym śniegu kobiety rozłożyły dary dla swych bliskich, dary wigilijne. Znalazłyśmy się z Basią w tłumie kobiet. Byłam chyba najstarsza. Zadzwoniłam do furty więziennej; na pytanie, kim jestem, odpowiedziałam, że św. Mikołajem. W bramie ukazało się oko strażnika i wyłuszczyłam mu, że oto właśnie przywiozłyśmy dary dla naszych bliskich. Poinformował mnie, że potrzebny mu spis nazwisk, który musi skontrolować w biurze więziennym, a potem, jeśli naczelnik więzienia zezwoli, przyjmie nasze podarunki. Trwało to dość długo. Doręczyłyśmy spis. Zanim wewnątrz załatwiono formalności, zajęłyśmy się

[220] Marek Edelman (ur. 1919 – zm. 2009) – lekarz kardiolog, działacz polityczny i społeczny związany z opozycją demokratyczną, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim.

[221] Helena Zofia Gromiec (ur. 1939) – redaktor, absolwentka studiów dziennikarskich Uniwersytetu Warszawskiego. W czasach PRL zaangażowana w działalność opozycyjną (KOR, „Solidarność"). Pracownik Wydawnictwa Łódzkiego. Redaktor „Kroniki Miasta Łodzi". W latach 1998–2004 związana z Teatrem Nowym w Łodzi.

sporządzaniem paczek. Kłopot był z odzieżą. Niektórych ludzi znałyśmy z nazwiska (lub nie) i nie wiadomo było, jak rozdysponować odzież. Wiedziałyśmy, że w czasie aresztowań 12 grudnia niektórych brano w piżamach, jeśli stawiali opór i nie chcieli dobrowolnie się ubrać. Stosowanie przemocy w ową noc było dość częste (wyważanie drzwi, wywlekanie z łóżek etc.).

Zatem ciepła odzież i bielizna na pewno była potrzebna. Basia komenderowała kobietami i paczki przygotowałyśmy, do tego krótkie listy z życzeniami, opłatkami.

Strażnik więzienny udzielił informacji co do nazwisk internowanych. Okazało się, że niektóre rodziny przyjechały na darmo, bowiem ich bliscy byli (pewnie) w Sieradzu. Paczki przyjęto, nie byłyśmy pewne, czy zostaną doręczone. Udałyśmy się z Barbarą na dworzec kolejowy, bowiem pp. Mazurkowie odjechali do rodziny na wigilię. Wróciłyśmy po południu do domu. Wtedy rozkleiłam się. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem w szoku. Położyłam się w ubraniu, by się nieco przespać. Basia zbudziła mnie o 12 w nocy i wtedy ułożyłam się do snu niepomna na wieczór wigilijny. Jak można było w nastroju świątecznym jeść rybę, skoro myśli nasze były w więzieniu, z nimi, zamkniętymi w srogiej twierdzy.

Potem z końcem grudnia przewieziono naszych chłopców do Łowicza. Nie informowano więźniów, dokąd ich przewożą. Jechali nocą w nieznane. Po drodze odłączono p. Barańskiego[222]. Nie wiadomo było, dokąd go zabiorą. Stała niepewność, nieinformowanie rodzin, co się dzieje z ich bliskimi, ogromnie dokuczało nam i więzionym.

Żadnych terminów co do odsiadki, zwolnień – nie było. Wszystko niepewne, zdobywanie wiadomości przypadkowo.

Ten los zintegrował rodziny więzionych. Poznawały się w poczekalniach więziennych, nawzajem informowały o bliskich i w ten sposób – nie tylko w celach więziennych, ale także z drugiej strony „na wolności" (o ile to była wolność!) – cementowa-

[222] Władysław Wincenty Barański (ur. 1922 – zm. 2014) – nauczyciel fizyki, działacz opozycji demokratycznej w Łodzi. W 1981 r. współpracownik i publicysta „Solidarności z Gdańskiem", pisma wydawanego przez łódzkie środowisko KSS KOR.

ła się wspólnota narodu uciskanego. Nie wiem, czy reżyserowie stanu wojennego przewidzieli umocnienie jedności oporu.

Wspólnota losu zbliżała nas, narzucała solidarność, pomoc wzajemną.

Otrzymywałam wiele darów dla internowanych. Darczyńcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że i nas, rodziny więzionych, obowiązuje regulamin więzienny. Terminy odwiedzin, waga paczek itp. Bywałam często w kłopocie. Paczka mogła mieć jedynie 3 kg. Paczki ważono, czasem nadwagę odrzucano. Masa jadła (np. kiełbasy) czekała w domu na swoją kolej. Witaminy rozdzielałam w poczekalni więziennej, skoro miałam ich nadmiar. Odwiedziny trwały jedynie 60 minut w obecności strażnika więziennego. Sala tzw. widzeń była szczupła, nie wpuszczano wszystkich naraz, trzeba było czekać na swą kolej nieraz kilka godzin. W międzyczasie pan naczelnik oraz inni oficerowie straży więziennej wzywali rodziny internowanych na rozmowy. Może spodziewali się pozyskać współpracowników, którzy zechcą perswadować uwięzionym, że opór ich jest bezcelowy. Mnie też wzywano na takie „rozmowy". Opędzałam się jak mogłam, nie ukrywałam, po czyjej jestem stronie. Dość prymitywne były te sposoby podejścia nas, rodzin internowanych. Odwiedziny nie obywały się bez wymiany grypsów, prasy itp. Odwiedzający nie podlegali rewizji, jedynie więźniowie.

W pociągu do Łęczycy poznałam o. Miecznikowskiego. On to docierał do więźniów, zezwalano mu na odprawianie mszy. Pierwszą mszę odprawił jeszcze w Łęczycy. Tam po raz pierwszy otwarto cele i więźniowie mogli wzajem policzyć się. Ponoć (wiem to od o. Miecznikowskiego) wychodzili z cel padając sobie w objęcia.

Okres internowania przedłużał się. Zwalniano wcześniej tych, którzy decydowali się podpisać tzw. lojalkę, tj. obietnicę, że na wolności nie będą kontynuowali działalności opozycyjnej. Niektórzy dali się skusić paszportem i wyjeżdżali z rodzinami za granicę. „Twardzi", tj. ci, którzy odmawiali wszelkich „łask" – siedzieli, na razie bezterminowo. Władze więzienne godziły się na pewne rozluźnienie rygorów. W Łowiczu odwiedziny odbywały się w dużych grupach. Więzionych przyprowadzano

do podłużnej sali, gdzie znajdowały się przeszklone boksy. Tam umieszczano więźniów. Szukając Józka, przechodziłam wzdłuż boksów, a z każdego wychylała się znajoma twarz. Po drodze więc obcałowywałam chłopców, padaliśmy sobie w objęcia. Gdzieś tam w kącie siedział klawisz, na którego nikt nie zwracał uwagi.

Dojazd do więzienia był dość wygodny. Osobny przystanek kolejowy znajdował się vis a vis więzienia. Przechodziło się jedynie przez tory i już znajdowaliśmy się u bram więziennych. Z pociągu wysiadaliśmy na przedmieściach Łowicza. Nie było tam ani kiosku, ani bufetu. Często bywałam bardzo spragniona. Józef poinformowany przeze mnie przygotowywał w celi kawę lub herbatę i podążał przez podwórze więzienne ze słoikiem płynu na odwiedziny. Ogromnie czekałam na jego poczęstunek. Przyjmujący paczki nie ważyli dokładnie, przyjmowali z nadwagą. Do cel doręczaliśmy telewizory, czasem też książki, które dokładnie przetrząsano, czy nie ma w nich jakiejś zakazanej korespondencji. Na otwarcie bram więziennych nieraz przychodziło długo czekać. Szczególnie wiosną i latem staliśmy w upale na betonowym skrawku chodnika i nawet nie było gdzie usiąść. Zosia Jabłońska[223] siadała na pobliskiej łące (zresztą podmokłej, tam teren był bagnisty). Piękna Zosia, z dala bieliła się na trawie jej suknia. Wreszcie nas wpuszczano.

Tam w małej poczekalni kłębił się tłum kobiet, gorączkowe oddawanie paczek, oczekiwanie na tzw. widzenie. Często wezwania do naczelnika więzienia, o czym wyżej wspomniałam. Potem owa godzina spędzona z bliskim, kochanym. Gadanie o sprawach ważnych i nieważnych, chaotyczne, pośpieszne. Czasem jakieś zlecenia, np. doręczenie grypsu Edkowi Pińkowskiemu[224], który był w szpitalu.

Poszłam z tym grypsem do szpitala w Łodzi. Dotarłam, pogadałam, poczem wyszłam ze szpitala im. Kopernika z ogonem ubeków. Ale „misję" spełniłam. Czasem ktoś z odwiedzających

[223] Zofia Jabłońska, żona internowanego Jerzego Piotra Jabłońskiego.

[224] Edward Pińkowski (ur. 1948) – przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarność" w Zakładach Wyrobów Obiciowych „Vera", internowany w stanie wojennym. Współorganizator ucieczki J. Śreniowskiego ze szpitala w Łowiczu w stanie wojennym.

więzienie zapraszał mnie do samochodu i odwoził do Łodzi. Tak skorzystałam z auta mego kolegi z Instytutu Historii, partyjnego, który odwiedzał swego przyjaciela internowanego i przywoził rodzinę owego pana. Legitymację partyjną – owszem – posiadał, aliści dotrzymywał przyjaźni – co mu się chwaliło.

U nas na wolności były ogromne braki żywnościowe. Natomiast kantyna więzienna otrzymywała sporo dżemów z wytwórni w Łowiczu. Dałam Józkowi pieniądze na tzw. wypiskę i kupił mi cały plecak tych dżemów. Był to środek płatniczy. Dżemy można było wymienić na inną żywność.

W więzieniu odbywały się śluby. Anka Dodziuk[225] w ten sposób wydobyła Bikonta[226]. Żenili się w więzieniu. Prosili na świadka Józka, ale naczelnik więzienia zabronił. Takiego „przestępcy" nie można było uhonorować godnością świadka.

Nadeszło lato. Józef pod pozorem ataku kolki nerkowej znalazł się w szpitalu. Tam był pilnowany, jednakże w szpitalu znajdowała się grupa internowanych i przecież przy każdym łóżku nie można było postawić strażnika. Nadto w upalne letnie dni nasi chłopcy wychodzili w piżamach do ogrodu szpitalnego. Basia uświadomiła mnie pewnego dnia, że Józek przygotowuje ucieczkę. Była zdziwiona, gdy oświadczyłam, że powinien był od dawna próbować. Basia wraz z przyjaciółmi przygotowywała ucieczkę (odzież, samochód, ubezpieczenie itp.).

Na czas ucieczki i poszukiwań zbiega trzeba było opuścić mieszkanie przy Laurowej. Ucieczka udała się, choć przygotowania częściowo zawiodły. Rodzeństwo spotkało się gdzieś na umówionej stacyjce kolejowej, dalszy przerzut zbiega poszedł gładko. Melina była przygotowana, dowóz żywności, kartki żywnościowe – wszystko „grało". Od sierpnia 1982 roku nie widziałam się

[225] Anna Dodziuk (ur. 1947) – psychoterapeutka, publicystka, w okresie PRL działaczka opozycji demokratycznej, współzałożycielka i redaktor „Tygodnika Mazowsze".

[226] Piotr Bikont (ur. 1955 – zm. 2017) – reżyser filmowy i teatralny, dziennikarz, publicysta, krytyk kulinarny, muzyk i tłumacz, działacz opozycji w PRL. Współpracował z KSS „KOR", był członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS. Od 13 grudnia 1981 do 12 października 1982 r. internowany w Łowiczu i Kwidzynie.

z synem przez półtora roku. Nie wiedziałam dokładnie, gdzie się ukrywa, jak mu się żyje. Tylko mniej więcej byłam zorientowana w okolicy jego pobytu. W listach przesyłanych przez okazję nazywało się „pozdrowienia z Pułtuska". Basia otrzymała dobrą pracę w szpitalu w Łagiewnikach. Żyłyśmy razem (z naszym Burkiem) i jakoś pchało się to życie. Na uczelni dziwiono się, że nie opuszczam zajęć. Starałam się dokładnie wypełniać moje obowiązki. Odwiedziny w więzieniu organizowałam w soboty lub dni wolne od wykładów, seminariów, ćwiczeń.

Internowanych studentów odwiedzali dziekani, dawni strajkowicze siedzieli przecież w więzieniach. Wyjazdy zagraniczne, pożegnania. Odwiedziny robotników, którzy opowiadali mi, jak wkraczało ZOMO do ich fabryk. Romek Bosakowski[227] pokazywał fioletowe ręce od pobicia. Internowanych przeniesiono z Łowicza do Kwidzynia. Tam doszło do okropnych scen, gdy do więzienia wtargnęło ZOMO i bezbronnych bito na korytarzu. Wrażliwsi (Mirek Michalik[228]) wpadli w chorobę nerwową. Sceny bicia odtwarzał mi Radek Tatarowski[229]. Okropieństwo!

Byłam przepojona tymi okrucieństwami, relacje bezpośrednich świadków i ofiar wstrząsały mną, wyobraźnia potęgowała grozę.

Józef miewał podopiecznych KOR, „nieudaczników". Pomagali im, ludziom prześladowanym, bezbronnym. Wśród tych osób byli też ludzie lekko chorzy psychicznie. Okazywali mi wiele serca. Jednakże owe odwiedziny były ogromnie męczące. Wysiadywali godzinami, by mnie zabawiać, nie zdając sobie sprawy z tego, że po prostu nie miałam czasu na gadanie. Przecież funkcjonowałam na uczelni. Ich dobre serca wzruszały, a równocześnie męczyły.

---

[227] Romuald Bosakowski (ur. 1956), absolwent Wydziału Prawa i Administracji UŁ. Składał, drukował i kolportował druki ulotne, organizował żywność dla rodzin internowanych.

[228] Mirosław Michalik (ur. 1950 – zm. 2013) – nauczyciel szkolny. Brał udział w kolportażu druków ulotnych. Współpracował z Biurem Interwencyjnym KOR. Internowany w stanie wojennym.

[229] Chodzi o Konrada Tatarowskiego (ur. w 1948 r.), absolwenta UŁ, dr filologii polskiej. Kolportera prasy niezależnej, współpracownika KSS KOR, współzałożyciela NSZZ Solidarność na UŁ. Internowanego w stanie wojennym, pracownika Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

Niekiedy otrzymywałam od nich pomoc. W naszym domku na przedmieściu trzeba było rąbać drzewo na rozpałkę, zrzucać śnieg z dachu, gdy duży napadał, bowiem topniejąc, zalewał strych i sufit w mieszkaniu. W tych pracach pomagali mi dawni „klienci" Józka. Był też niejaki Wacek (jakie nazwisko, nie pamiętam), prawdopodobnie z SB.

Internowani – zarówno w Łęczycy, jak też w Łowiczu – byli oddzieleni od więźniów kryminalnych. Więzienie w Łowiczu było przeznaczone dla recydywistów. Zarówno internowani, jak też kryminalni byli rozmieszczeni w pawilonach parterowych na terenie ogrodzonym. Recydywiści byli wywożeni do pracy np. na kolei. Z więzienia ponad torami prowadziły schody ogrodzone siatką, po których więźniowie przechodzili do wagonów, którymi przewożono ich do pracy. Widok był okropny. Jak zwierzęta w klatce szli gęsiego do wagonów, które zamykano. Mieli jedynie wąskie okienka jak w wagonach bydlęcych. Internowani posiadali sporo żywności. Weszli w kontakt z jednym klawiszem i ten po kryjomu przenosił żywność dla więźniów. Wszystko to poruszało moje ludzkie sumienie, wywoływało nadwrażliwość. Owi więźniowie najprawdopodobniej już tak przywykli do swego losu, że nie wiem, czy potrafiliby dobrze czuć się na wolności.

Jednak kontrast w traktowaniu więźniów różnych kategorii był ogromny. Internowani korzystali latem z boiska, grzali się w słonku, gotowali w celach, czytali książki, dyskutowali, śpiewali.

Wracam jeszcze do moich gości przy ul. Laurowej. Tygodniami przesiadywał u mnie młody góral z Łopusznej, któremu maszyna obcięła palce u ręki. Józef leczył go, chadzał do znanych chirurgów. Ręka się zagoiła, kalectwo zostało. Jednak ów góral ożenił się, prowadził gospodarkę, żył normalnie. Byliśmy u niego z Marysią na Boże Narodzenie.

Spośród osób opozycji częstym gościem bywał Stefan Kowalczyk z Rudy Śląskiej. Internowany w „Grossrosen", wypuszczony, wyjechał do Kanady. Stamtąd pisał i telefonował wielokrotnie. On też należał do tych, którzy informowali mnie o nocy z 12 na 13 grudnia, o fatalnych warunkach więziennych, bowiem

Łambinowice to dawny KC-Lager Grossrosen[230]. Tam stały jeszcze po Niemcach baraki zimne, przewiewne. W nich trzymano robotników ze Śląska. Józef krążył po Polsce jako reporter „Robotnika". Bywał częstym gościem na Śląsku, w Krakowie, Gdańsku. Ze Śląska przyjeżdżał do nas działacz górniczy, inicjator wolnych związków zawodowych, niejaki Józef.

On to został zmuszony przez SB do emigracji wraz z rodziną. Pamiętam, jak ciężkie było jego rozstanie z Polską. Nie miał jednak innego wyjścia, skoro mu żyć nie dawali w przeróżny sposób.

Z Krakowa zjeżdżała wesoła kompania studencka. Czasem przyjeżdżali pod nieobecność Józka. Raz nocował u nas Bogdan Borusewicz[231], wówczas działacz KOR. W Gdańsku Józef znajdował oparcie u p. Walentynowicz[232], jeździł tam na zebrania „Robotnika", uczestniczył w tzw. nielegalnych obchodach „Grudnia" w stoczni. U swej ciotki Ewy nie pokazywał się, bowiem chodził za nim „ogon" i nie chciał narażać Antka. Zresztą naraziłby się na reprymendę, bowiem moja siostra, żona prokuratora uważała, że jego robota to istne szaleństwo. Kozłowie żyli w innym świecie, innymi problemami.

Po ucieczce Józka w domu bywało ciszej. Jedynie – jak wspominałam – odwiedzali mnie różni dawni jego podopieczni. W tym czasie ważną rolę odegrał p. Jakobson. Był to prawnik, potem adwokat – który zaprzyjaźnił się z Józkiem. Miewał kontakty z osobami ukrywającymi się[233]. Wiele mi pomagał, nawet węgiel zsypywał do piwnicy, psa przechowywał, gdy jeździłam z Basią

---

[230] Stalag Lamsdorf nie ma nic wspólnego z KL Gross-Rosen. Autorce zapewne chodzi o obóz w Kamiennej Górze (niem. Landeshut), gdzie istniała filia KL Gross-Rosen. Od 1945 do 1954 r. były tam koszary (jednostka karna), a następnie więzienie. Od I do IV 1982 r. przebywali tam internowani z Dolnego Śląska.

[231] Bogdan Borusewicz (ur. 1949) – polityk, w czasach PRL działacz opozycji demokratycznej. W 2005 r. senator VI, VII, VIII, IX kadencji. W latach 2005–2015 marszałek senatu VI, VII, VIII kadencji. Od 2015 r. wicemarszałek senatu IX kadencji.

[232] Anna Walentynowicz (ur. 1929 – zm. 2010) – opozycjonistka, działaczka Wolnych Związków Zawodowych, współzałożycielka NSZZ „Solidarność".

[233] Walenty Jacobson (ur. 1930), prawnik.

do Józka, a potem – po internowaniu Basi – również świadczył mi wiele dobrego. Zaopatrywał w ciekawe lektury drugoobiegowe, prasę itp.

Wśród nawału ludzi w naszym domu bywał też jeden esbek (nazwiska nie pamiętam, zresztą pewnie miał jakiś pseudonim). On był kolporterem prasy nielegalnej. Znał różne adresy i przed internowaniem sypnął szereg ludzi – co wiem od Józka. Od niego kupiłam tanio używany telewizor, mój pierwszy telewizor. Krótko mi służył, bo był to grat. Gdy już wszystkich wyłapano i w domu nieraz panowała męcząca cisza – zjawił się u mnie ów człowiek i opowiadał, że właśnie przenosi się na Śląsk. Wtedy odkryłam twarz. Siedziałam milcząc, jakbym kij połknęła. Nie wytrzymał mego milczenia – poszedł. Czasem odwiedzała mnie Ewa Wiśniewska i przemieszkiwała kilka dni.

9 maja, w „dzień zwycięstwa" przed południem zjawiło się kilku rozbawionych panów, którzy powiedzieli do Basi: „Pani z nami pozwoli". Ów dzień to nowa fala internowań. Wtedy zabrano też Zosię Gromiec. Dziewczyny trzymano w podziemiach na ul. Lutomierskiej, a za dwa – trzy dni przewieziono je do Gołdapi.

Do Gołdapi jeździłam trzykrotnie. Były to zgoła inne wyprawy niż do więzień, gdzie przetrzymywani byli internowani.

Po raz pierwszy odwiedziłam córkę pod koniec maja 1982 roku. Jechaliśmy samochodem z Krzysztofem Turowskim[234]. Wiozłam paczki dla Basi oraz Zosi Gromiec, której nikt nie odwiedzał, skoro p. Włodek[235] siedział w Łowiczu. Jazda trwała całą noc. Wczesnym rankiem dotarliśmy na miejsce. Wpierw należało uzyskać zezwolenie milicji na pobyt w strefie przygranicznej. Te formalności nie trwały długo. Następnie zapuściliśmy się w leśny teren, by dotrzeć do miejsca internowania. Był to dom wczasowy pracowników telewizji. Położony w lesie nad jeziorem, z dala od miasta. Aby wejść na teren obozu, gdzie były nasze dziewczyny, należało meldować się przy szlabanie wojskowym. Była to dosłownie strefa przygraniczna. Po lewej stronie, opodal, zakryte

[234] Krzysztof Turowski (ur. 1948) – dziennikarz, publicysta. W latach 1980–1981 działacz Solidarności, delegat na I Zjazd Solidarności. Internowany w Sieradzu i Łowiczu.

[235] Chodzi o Włodzimierza Gromca.

lasem znajdowało się duże jezioro. Przez jego środek przebiegała granica z ZSRR. Środkiem pływały łodzie ze strażnikami. Gdy nasze dziewczyny śpiewały donośnymi głosami, echo niosło daleko do ziemi ruskiej nasze patriotyczne pieśni. Odwiedziny zaczynały się o godz. 9 rano. Ponieważ przyjechaliśmy o 7, nie zostawało nic innego, jak udać się na brzeg jeziora i tam w słonku poczekać. Było to niezwykle urokliwe miejsce. Wokół nasłoneczniony majowy las, przed nami migocąca w słońcu woda jeziora. Jedliśmy nasze kanapki, niczym nie popijaliśmy. Nacieszywszy wzrok tą niezwykłą scenerią, udaliśmy się do miejsca internowania. Wpierw meldowanie się przy wojskowym szlabanie, telefony do esbeków pilnujących obozu i wreszcie nas wpuszczono na właściwy teren. Dotychczas przywykłam do widoków więziennych. Teraz ujrzałam willę, na pierwszym piętrze zbite stadko kobiet, żałośnie wypatrujących kto i do kogo idzie. Rozpoznano mnie z dala, zaraz dotarła wieść do Basi. Widok willi i tych dziewcząt był tak szokujący, że nie mogłam przyjść do siebie ze zdumienia. Wrażenie robiło to bardziej przygnębiające niż gdybym ujrzała mury więzienne. Kontrast tej wiosennej przyrody z widokiem uwięzionych był ogromny. Nie umiałam wówczas nazwać, znaleźć słów na określenie tego, co ujrzałam. Dopiero za drugim czy trzecim razem uświadomiłam sobie absurd, bezsens tego, co zrobiono z dziewczynami. Wówczas leżąc pod sosną, gorzko płakałam. Nie nad Basią, lecz nad absurdem właśnie całej sytuacji. Nie mogłam pojąć, co ja właściwie tu robię, po co jeżdżę nocami, kto tu jest „zbrodniarzem", czy kruche, wątłe dziewczyny? Komu zagrażają, po co to wszystko? Płakałam z powodu absurdu sytuacji i mojej bezsilności.

Owe pierwsze odwiedziny rozpoczęły się awanturą. Oddałam na portierni dowód osobisty wraz z pismem do kierownika ośrodka internowania o spotkanie z Basią oraz Zosią Gromiec. Tymczasem nadbiegły z góry znajome panie i padałyśmy sobie w objęcia, całowałyśmy się, płacząc z radości. Basia jeszcze nie zdążyła zbiec po schodach. I właśnie wówczas wybuchła awantura. Ubek krzyczał na kobiety, że im nie wolno schodzić na parter, my lekceważyłyśmy jego wrzaski, całując się po kolei z paniami. Kiedy spostrzegłam wykrzywioną w złości twarz ubeka, myślałam, że już nie zezwolą mi na widzenie córki (za karę, za owe

zbrodnicze pocałunki z przestępczyniami w guście Zeni Łukasiewicz[236], Jadzi Szczęsnej[237], Ani Walentynowicz i in.). Po powitaniu panie odeszły na górę, zbiegła Basia i również się wycofała. Czekałyśmy na zezwolenie na tzw. „widzenie". Ubek nieco ochłonął. Czekałam, że zabronią mi rozmowy z córką. Po dłuższej chwili ubek zbliżył się zupełnie odmieniony. Szarmancko oświadczył, że z Basią mogę rozmawiać 2 godziny, z Zosią 1 godzinę. Zaprowadził mnie do sali odwiedzin, gdzie – oczywiście – czekał inny funkcjonariusz, który miał pilnować przebiegu rozmowy. Dziewczyny – nie bacząc na zakazy – przygotowały śniadanie (obfite śniadanie) i przyniosły na tacy z grypsami pod jadłem. Zeszła Basia. Rozmowa była chaotyczna, jak zwykle w takiej sytuacji, nieco nerwowa. Zdałam sprawę z wieści z Łowicza, co w domu itp. Przegawędziłyśmy dwie godziny i potem przyszła Zosia. Po przekazaniu wieści o Włodku z Łowicza, usłyszeniu o jej potrzebach aktualnych (bielizna) zakończyłam pierwszą wizytę w Gołdapi. Udaliśmy się jeszcze przed odjazdem do proboszcza, który gorliwie opiekował się uwięzionymi, a odwiedzających gości przyjmował obiadem. Uczynność tego proboszcza była doprawdy niewyobrażalna. Narażał się na stałe szykany ze strony esbecji, mimo to gorliwie opiekował się naszymi dziewczynami. Postawa duchowieństwa wobec internowanych jest nie do przecenienia.

Powrót w piękny majowy dzień. Postoje krótkie, bowiem śpieszno nam było do domów przed zmrokiem.

Następną wyprawę odbyłam w czerwcu. Tym razem z p. Tadziem Kowalczykiem[238] i jego córką. Jechali odwiedzić internowaną p. Kowalczykową[239]. W lipcu też jeździłam z Kowalczykiem. 22 lipca 1982 roku rozwiązano obóz w Gołdapi i wypuszczono na wolność nasze dziewczyny.

---

[236] Zenobia Łukasiewicz (ur. 1932) – współpracowniczka Biura Interwencyjnego KSS KOR, współredaktorka pisma „Solidarność z Gdańskiem". Internowana w stanie wojennym.

[237] Jadwiga Szczęsna (ur. 1920 – zm. 2006) – współzałożycielka Solidarności Politechniki. Internowana w stanie wojennym.

[238] Tadeusz Kowalczyk, mąż internowanej Krystyny Kowalczyk.

[239] Krystyna Anna Kowalczyk (ur. 1945) – nauczycielka w łódzkich szkołach, polonistka. Członek Zarządu Regionu Solidarności, internowana w stanie wojennym.

Pamięć o uwięzieniu, a szczególnie o warunkach podróży do Gołdapi, pozostała na długo w ich sercach. Po raz pierwszy w życiu zetknęły się z więzieniem (na komendzie MO przy ul. Lutomierskiej); transport odbywał się w karetce milicyjnej. Jechało tam sporo więźniów, po drodze karetka zatrzymywała się w różnych miejscach. Zabierano więźniów różnej kategorii. Mężczyzn i kobiety skazanych za przestępstwa kryminalne. Podróż się przedłużała. Nie dawano pić ani jeść, a nawet nie pozwolono się wysiusiać, a to z tego powodu, że w takiej sytuacji więźniowie uciekają. Dziewczyny dotarły do Gołdapi po wielogodzinnej podróży w okropnym stanie.

Nie opuszczały piętra, gdzie przydzielono im pokoje. Patrzyły jedynie smętnie na bór wokoło widoczny z balkonów ich pomieszczeń. Nie ingerowano zbytnio w to, jak spędzają czas. „Patriotki" modliły się, manifestowały swe uczucia, malując na prześcieradłach przeróżne hasła itp. Czytać można było niewiele. Przebywanie w gromadzie przez cały dzień jest trudne do zniesienia. Więźniarki – pracownice uniwersytetów, podejmowały wykłady, naukę języków obcych itp.

Na parterze mieszkali ubecy z rodzinami. Urządzano tam popijawy, balangi połączone z wrzaskami, głośną muzyką. Z Gołdapi daleko do centrali, nikt nie kontrolował zachowania podwładnych. Dziewczyny zamykały pokoje na klucz, gdy nieco roznegliżowany podpity ubek przechadzał się po korytarzu pierwszego piętra. Zosia wychodziła w dzień na podwórze wynieść śmieci. Wartownik kierował w jej stronę karabin.

Znam jedynie nieliczne takie sceny z opowiadania Basi. W innej sytuacji dostrzegłabym humorystyczne cechy. Mnie jednak nie opuszczało wrażenie absurdu tej sytuacji, a nade wszystko poczucie zdeptania człowieczeństwa. Poczucie godności, honoru jest dla mnie ważniejsze niż wszystkie inne dobra. Znam to z czasów okupacji niemieckiej i teraz w Polsce powtarzały się takie sytuacje. Z kim walczyli generałowie? Z garstką bezbronnych kobiet, z tysiącami równie bezbronnych mężczyzn.

Nigdy nie rozliczył się gen. Jaruzelski z materialnych kosztów stanu wojennego, koszty moralne są nie do opłacenia.

Po tych wyprawach więziennych wracałam do innej rzeczywistości. Niby nic się nie działo. Rady Wydziału, wykłady, se-

minaria etc. etc. Coś niby na powierzchni, reszta, ta najważniejsza, ukryta pod moją kamienną twarzą, zepchnięta w moją niby podświadomość. Jak można z tym żyć? Jacek Kuroń twierdził – i słusznie – że można się przyzwyczaić, można z tym żyć, tak jak się żyło z podsłuchami, inwigilacją etc.

Basia wróciła. Tydzień przedtem, gdy już wiedziałam o likwidacji ośrodka w Gołdapi, wezwał mnie pilnym telefonem dziekan Gregorowicz[240], by mi zakomunikować, że właśnie polecono mnie zawiadomić o powrocie córki. Podziękowałam, bo cóż innego pozostało. Jednakże ta wiadomość sprawiła mi wiele kłopotu. Basia nie miała kluczy od mieszkania. Nie mogłam przecież stale dyżurować w domu, nie wiedząc, kiedy wróci. Zostawiłam więc klucze u sąsiadów i na bramie wywiesiłam kartkę z informacją. Ten tydzień oczekiwania w napięciu wiele mnie kosztował. Przyjechała wreszcie zdrowa i cała. Zgłosiła się do pracy. Przed internowaniem pracowała w szpitalu w Łagiewnikach na oddziale dziecięcym, organizując chorym dzieciom zajęcia typu przedszkolnego. Praca była dobrze płatna, zatem nie można było z powrotem przyjąć „podejrzanej" osoby, bo ktoś inny, protegowany zajął jej miejsce. Nie było to zgodne z przepisami. Głoszono, że osoby zwolnione z miejsc internowania winny zgłosić się do miejsc pracy i miały ponoć zagwarantowane przyjęcie. Nic podobnego w rzeczywistości nie miało miejsca. O wszystkim decydowała SB, która przecież była ponad prawem. Basia po dłuższym poszukiwaniu otrzymała bardzo licho płatną pracę u głuchoniemych.

Józef – jak pisałam – w sierpniu uciekł z „internatu" i ukrywał się. Basia przeżyła jeszcze jakiś czas poza Łodzią, zanim zaczęła pracować z głuchoniemymi. Wolała nieco odpocząć od Łodzi, od nadzoru milicyjnego. Wyjechała daleko na Orawę do Harkabuza. Zamieszkała pod lasem u byłego AK-owca, powstańca Warszawy. Tam urządziła na nią obławę ubecja, została aresztowana. Koniecznie pragnęli od niej zdobyć informacje o Józku. Jednakże nie wiedziałyśmy, gdzie on… [przebywa i nie zdradziłybyśmy!][241].

---

[240] Jan Gregorowicz – w latach 1981–1984 dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ.

[241] Ręczny dopisek K. Śreniowskiej na jednej z kopii maszynopisu.

Część II
ANEKS

Krystyna Śreniowska

Uniwersytet Łódzki w latach 1945–1986

Uwagi wstępne

Próba opisu dziejów Uniwersytetu Łódzkiego jest oparta jedynie na pamięci. Nie sięgałam do archiwum[2].

Moja opcja jest zawężona. Spoglądam na czas miniony z perspektywy Wydziału Filozoficzno-Historycznego oraz Instytutu Historii UŁ. Informacje z innych Wydziałów docierały do mnie wyrywkowo. Nigdy nie byłam członkiem ogólnouczelnianych kolegiów (np. senatu), zatem ogląd „od góry" nie był mi dostępny.

Zaznaczam, że moje wspomnienia są krytyczne. Punktem odniesienia dla owej krytyki jest przedwojenny Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie – uczelnia autonomiczna. Z organizacją uniwersytetu ZSRR zetknęłam się w latach 1939–1941 podczas okupacji Lwowa.

Nie mam pretensji do osób rządzących dziś UŁ, ukształtowanych w latach 50. (i późniejszych) XX wieku. Osoby te nie miały okazji poznać autonomii szkół wyższych, nie dane im było śledzenie procesu zniewolenia nauki.

Owych pionierów postrzegam jako kontynuatorów krzewicieli oświaty ludowej. „Nieśli przed narodem oświaty kaganiec".

---

[1] Tekst powstawał od połowy lat 80. XX wieku. Ostateczna wersja, która stanowi podstawę niniejszej publikacji, została zredagowana przez K. Śreniowską ok. roku 2007 (rękopis udostępniony przez rodzinę).

[2] Bibliografia prac poświęconych dziejom UŁ zob. W. Puś, *Zarys historii Uniwersytetu Łódzkiego 1945–2015*, Łódź 2015, s. 8–9.

Szczytne hasło ogromnie przydało się w robotniczej Łodzi, gdzie istniał spory procent analfabetów (zdumiewały mnie, szczególnie na poczcie, częste prośby o wypełnianie czeków, kwitów itp.).

Skromne przedwojenne próby organizacji Wolnej Wszechnicy – zniszczone w latach wojny na skutek przekształcenia Łodzi w Litzmannstadt – zyskały już w 1945 roku warunki do realizacji. Zburzenie stolicy, dotkniętej klęską powstania, spowodowało napływ inteligencji do Łodzi. Osiedlali się tu również wilnianie i lwowiacy wyzuci z ojcowizny. Łodzianie, których nie zdążył wymordować okupant, wyciągnęli ręce ku przybyszom. Oni zaś (przybysze) – przywykli do widoku ruin i gruzów – pełni zdumienia podziwiali żywe, trzymające się jeszcze miasto.

Inicjatywa byłego rektora Wolnej Wszechnicy Polskiej – Viewegera[3] (i innych) spotkała się z życzliwością władz i była im niewątpliwie na rękę. Oto patrzcie – my podniesiemy rangę skupiska robotniczego, właśnie my – władza ludowa – zrealizujemy ideał dostępu do wyższego wykształcenia[4].

Jakikolwiek był podtekst decyzji władz o założeniu Uniwersytetu (i innych wyższych uczelni) w Łodzi – chwała im za to.

Niechciana przez większość Polaków władza z mandatu Moskwy – podjęła ważną, cenną decyzję.

W latach 40. rządzący komuniści nie byli w stanie nadać Uniwersytetowi ideologicznego kształtu zgodnego z ich wyobrażeniami. Nie dysponowali przecież kadrą uczonych ukształtowanych na moskiewską modłę. Niemniej główną rolę w powstaniu uniwersytetu odegrali ludzie polskiej lewicy, jak np. Tadeusz Kotarbiński[5], Stanisław Ossowski[6], Natalia Gąsiorowska i inni.

---

[3] Teodor Vieweger (ur. 1888 – zm. 1945) – biolog. W 1912 r. otrzymał tytuł doktora nauk przyrodniczych na Uniwersytecie w Brukseli. Od 1920 r. związany z Wolną Wszechnicą Polską (w latach 1925–1939 rektor WWP). Jeden z inicjatorów utworzenia UŁ.

[4] Szerzej zob. K. Baranowski, *Pierwsze lata Uniwersytetu Łódzkiego 1945–1949*, Łódź 1985.

[5] Tadeusz Kotarbiński (ur. 1886 – zm. 1981) – filozof, logik i etyk, twórca etyki niezależnej, przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej. Pierwszy rektor Uniwersytetu Łódzkiego (lata 1945–1949).

[6] Stanisław Ossowski (ur. 1897 – zm. 1963) – socjolog, metodolog nauk społecznych i teoretyk kultury. Profesor Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1945–1947.

Wedle miary moskiewskiej byli to reakcjoniści o sympatiach PPS-owskich, tj. „socjalzdrajcy". Nazywano ich też „liberałami", co podówczas miało negatywny wydźwięk.

Zahaczam tu o problem doboru kadr z uwagi na kryteria „postępowości". Ten problem wystąpi z całą jaskrawością w latach 50. m.in. w związku z przekształceniem struktury organizacyjnej Uniwersytetu na wzór radziecki. Indywidualne katedry zastąpią zespoły katedr oraz instytuty, o czym niżej.

Jesteśmy na razie w latach 1945–1950. Dobór kadry nauczającej dokonuje się na zasadzie kwalifikacji zawodowej z pominięciem ideologicznej. Dało to wymierne efekty. Uniwersytet zyskał np. wśród humanistów uczonych pierwszej rangi. Przykładowo wymienię kilku: Józef Chałasiński, Sergiusz Hessen[7], Konrad Jażdżewski[8], Tadeusz Kotarbiński, Maria i Stanisław Ossowscy, Stefania Skwarczyńska[9], Zdzisław Stieber[10], Henryk Ułaszyn[11], Mieczysław Wallis[12].

[7] Sergiusz Hessen (ur. 1887 – zm. 1950) – pedagog i filozof. Do 1939 r. profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej. W latach 1945–1950 związany z UŁ.

[8] Konrad Jażdżewski (ur. 1908 – zm. 1985) – archeolog, profesor archeologii na Uniwersytecie Łódzkim. Kierownik Zakładu Prehistorii, a następnie Katedry Archeologii. Z powodu działalności opozycyjnej pozbawiony katedry, a następnie usunięty z UŁ.

[9] Stefania Skwarczyńska (z domu Strzelbicka, ur. 1902 – zm. 1988) – teoretyk i historyk literatury, teatrolog. W 1937 r. habilitowała się na UJK. Związana z Wolną Wszechnicą w Łodzi, dojeżdżała do Lwowa, gdzie wykładała teorię literatury. W 1939 r. została profesorem nadzwyczajnym WWP, gdzie od 1938 kierowała Katedrą Historii i Teorii Literatury. Od 1945 r. związana z UŁ, wykładała również na Kursach Przysposobienia Filmowego, w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej, Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Państwowej Wyższej Szkole Filmowej.

[10] Zdzisław Stieber (ur. 1903 – zm. 1980) – slawista i językoznawca. Związany z takimi uczelniami, jak: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Lwowski, Uniwersytet Łódzki (w latach 1945–1952) i Uniwersytet Warszawski.

[11] Henryk Ułaszyn (ur. 1874 – zm. 1956) – językoznawca, slawista, działacz społeczny i oświatowy. Związany z uniwersytetami we Lwowie, Poznaniu i Łodzi.

[12] Mieczysław Wallis (ur. 1895 – zm. 1975) – filozof i historyk sztuki. Profesor Uniwersytetu Łódzkiego i PWST w Warszawie. Kierował Katedrą Historii Sztuki UŁ. W latach 1955–1956 pełnił funkcję dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego.

W latach 40. stan kadry był płynny. Ludzie bowiem ustawicznie zmieniali decyzje odnośnie do miejsca osiedlenia. Szukali nie tylko pracy, ale też znośnych warunków bytowych. Łódź – choć nie zburzona – nie należała do miejsc atrakcyjnych.

Uroda tego miasta, a także bezpardonowa walka o mieszkania nie były pociągające. Obraz tej sytuacji zachował się we fraszce zamieszczonej w „Szpilkach". Opisano tam samowolne wdzieranie się do pustych mieszkań, walkę o ich zasiedlenie. Władze miejskie przydzielały Uniwersytetowi nieco pomieszczeń. Część z nich, opuszczona przez „ruskich" wojskowych, była kompletnie zdewastowana (przy ul. Julianowskiej w domkach jednorodzinnych). Hotel „Monopol" przy ul. Zachodniej 7 (dziś ul. Próchnika 7)[13] był dla wielu azylem przez czas dłuższy[14].

Ci, którzy decydowali się na pracę w Łodzi, mogli wówczas jedynie służyć w charakterze nauczycieli. Brakowało tu biblioteki naukowej. Miejska Biblioteka Publiczna co prawda dysponowała obfitym księgozbiorem – jednakże nastawiony on był na popularyzację wiedzy.

W latach 40., 50. Uniwersytet spełniał w miarę swych możliwości zadania dydaktyczne. Funkcje badawcze musiały zejść na plan dalszy. Trudno tu mówić w owym pokoleniu (nawet przejrzałym!) życiowo, okrutnie doświadczonym przez wojnę[15]. Sporą grupę stanowili też ludzie wygnani z domów na skutek rewolucji, która dokonała się w Polsce w latach 40. Mam na myśli dzieci ziemian, przemysłowców, tzw. klasy posiadającej. Nacjonalizacja majątków wypędziła ludzi z ich dotychczasowych siedzib.

O przyjęciu na studia nie zawsze decydował papier (świadectwo). Wielu ludzi nie posiadało w ogóle żadnych dokumentów. Gdy się ucieka z płonącego domu, myśli się o ratowaniu życia, nie papierów.

---

[13] Powinno być Zawadzkiej 7 (dziś Próchnika 7).

[14] Na ten temat zob. K. Śreniowska, *Hotel „Monopol"*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 49–53.

[15] Por. np. życiorys prof. Jakuba Goldberga; zob. *„Należę do polskiej szkoły historycznej". Studia i szkice ofiarowane prof. Jakubowi Goldbergowi z okazji odnowienia doktoratu na Uniwersytecie Łódzkim*, red. R. Stobiecki, J. Walicki, Łódź 2010, s. 7–9.

Do Wyższej Szkoły Pedagogicznej jej ówczesny rektor Stanisław Śreniowski przyjął osobę (Żydówkę) nieposiadającą dokumentów. Niżej podpisana złożyła zeznanie w sądzie o maturze mężczyzny – ponoć jej ucznia z czasów tajnego nauczania. Opierałam się jedynie na ustnym oświadczeniu tego człowieka.

Priorytet przyjęć młodzieży chłopskiej i robotniczej – jakkolwiek ważny – w pierwszych latach powojennych nie mógł zostać zrealizowany z uwagi na konieczność zadośćuczynienia innym poszkodowanym przez wojnę[16].

Nieco uwagi pragnę poświęcić warunkom funkcjonowania środowiska naukowego:

Warunki materialne, budowa od zera katedr, zakładów.

Zespoły badawczo-dyskusyjne.

Okres wojny odebrał możliwość publicznych wypowiedzi w szerszym gronie. Ludzie byli spragnieni wymiany myśli – stąd potrzeba organizowania gremiów dyskusyjnych.

Na UŁ istniała pilna potrzeba omawiania problemów organizacyjnych, naukowych, dydaktycznych, światopoglądowych, politycznych.

Na humanistyce dynamicznym forum dyskusyjnym był ośrodek socjologiczny. Józef Chałasiński skupił przy ul. Uniwersyteckiej 3 na III piętrze sporą grupę ciekawych, wybitnych ludzi[17].

Państwo Chałasińscy zamieszkali w tym lokalu, początkowo pozbawionym mebli. Spali na słomie rozrzuconej na podłodze. Profesor działał energicznie. W niedługim czasie zdobył najniezbędniejsze sprzęty. Gromadził księgozbiór, jeżdżąc często do Warszawy, gdzie kwitła uliczna sprzedaż książek z rozbitych i niedopalonych pomieszczeń. Zwoził te skarby najętą ciężarówką. Maszyny do pisania kupowało się za bezcen u szabrowników z „ziem odzyskanych".

Sama kupiłam w bramie na ul. Piotrkowskiej cudaczną maszynę dla katedry prof. Serejskiego. Załatwiało się to bez pokwitowania. Pieniądze szły z ręki do ręki.

---

[16] Na ten temat zob. A. Zysiak, *Punkty za pochodzenie. Powojenna modernizacja i uniwersytet w robotniczym mieście*, Kraków 2016.

[17] Szerzej zob. J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1945–1968*, Ustroń 2013; A. Szczerba, *Dom uczonych. Kamienica przy ul. Uniwersyteckiej 3 w Łodzi*, w druku.

Zdobyte w ten sposób książki katalogowano na bieżąco. Wieczorami odbywały się sesje dyskusyjne z udziałem luminarzy nauki (np. J. Chałasiński, pp. Ossowscy, T. Kotarbiński, J. Strzelecki, K. Jażdżewski, S. Hessen, M. Wallis, M. H. Serejski i wielu innych). Józef Chałasiński dość bezceremonialnie narzucał własne poglądy. Był niewątpliwie wybitną indywidualnością. Jako dyskutant bywał przykry, rozstawiał ludzi po kątach. Bywało, że szydził z innych nauk. Pamiętam, jak wyśmiewał zbieranie skorup przez archeologów itp.

Niemniej był to niewątpliwie ośrodek myśli twórczej. Tu zrodziły się inicjatywy wydawnicze („Myśl Współczesna", „Przegląd Socjologiczny"), które wysunęły na czoło łódzkie środowisko naukowe już w latach 40. i następnych do czasu odbudowy Warszawy.

Pęd do dyskusji ożywił również inne ośrodki. Prof. Serejski skupił wokół siebie kilka grup. Zespół autorski podręczników historii, zespół historii historiografii oraz (nieco później) badaczy historii średniowiecznej powszechnej.

W latach 50. zespół badań nad dziejami wsi zorganizował prof. Śreniowski. Po jego śmierci w 1957 roku nie kontynuowano tych prac. Nieco później prof. Helena Brodowska ożywiła zainteresowanie tą problematyką, jednak nie zdołała trwale skupić wokół siebie grupy zainteresowanych.

Moja opcja dotycząca ośrodków badawczych i dyskusyjnych na UŁ jest bardzo zawężona. Wyżej wymienione grupy należy traktować jako przykłady obrazujące ówczesne potrzeby skupiania się świata naukowego.

***

Liberalny uniwersytet trwał około 5 lat. Wraz ze zmianą kursu politycznego władze wywierały nacisk na środowisko naukowe.

Po Tadeuszu Kotarbińskim został rektorem Józef Chałasiński. Za jego kadencji doszło do zmian w strukturze uniwersytetu na wzór radziecki. Dawne katedry jednostkowe zastąpiły zespoły

katedr z mianowanym spośród profesorów kierownikiem. Władzom szło o zaakcentowanie idei pracy kolegialnej, zbiorowej. Już nie indywidualność miała swą cenę, ale grupa, zespół.

Sądzę, że ta koncepcja nie została faktycznie zrealizowana i pozostała jedynie na papierze. Pociągnęła ona za sobą jednak także dodatnie skutki. Umożliwiała tworzenie fachowych księgozbiorów, centralizowała administrację, odciążając od tych spraw asystentów.

Powstawały instytuty, np. historii, filozofii, socjologii, filologii itd. Dyrekcje tychże zadbały o swe siedziby, administrację, biblioteki.

Doktoraty zreorganizowano. Awans naukowy polegał na uzyskaniu stopnia kandydata nauk. Należało przedstawić odpowiednią pracę kandydacką, zdać odpowiednie egzaminy. Nadto odbywała się publiczna obrona pracy. O jej terminie donosiła prasa. Wstęp był wolny, również nieskrępowany udział w dyskusji.

W praktyce jednak obrona pracy odbywała się w ekskluzywnym gronie uniwersyteckim. Termin „obrona pracy" został później (aż po dzień dzisiejszy) rozszerzony. Dziś mówi się: „obrona pracy magisterskiej", podczas gdy mamy jedynie egzamin magisterski, bez udziału publiczności.

Stopień kandydata nauk nie przyjął się. Rychło owych kandydatów znów zwano doktorami. Zachowano natomiast obronę pracy.

W latach 50. XX wieku nowością było planowanie badań (na wzór radziecki). Zamierzenia badawcze ustalano kolegialnie. W określonym czasie należało się rozliczyć z wykonania planów (jak w przemyśle!).

Nie bacząc na specyficzną materię badań naukowych, zrównano ją z produkcją przemysłową i fabryczną. Tam działała przodująca klasa robotnicza – wzór dla inteligentów. W ten sposób planowanie prac naukowych stało się jeszcze jedną fikcją. Mnożyły się formy życia na niby. Zmiana form organizacyjnych uniwersytetu była zaiste wielkim trzęsieniem ziemi.

Zderzenie „liberałów" z „postępowymi" odbywało się w rocznicę 5-lecia uczelni. Symbolem tej zmiany była słynna

dyskusja Chałasiński kontra Kotarbiński. Ten pierwszy atakował, drugi trwał w defensywie. Chałasiński miał już wówczas za sobą publikację „Społecznej genealogii inteligencji polskiej" i wielką dyskusję w prasie[18].

Do dziś mam w oczach dwu adwersarzy. Sam ich wygląd wiele mówił: Kotarbiński – smukły, o szlachetnych pańskich rysach, spokojny, opanowany, rzeczowy. Chałasiński – „Marchołt gruby", pękaty, niski, atakujący z temperamentem, furią[19]. Sądzę, że w tym i innych wystąpieniach antyinteligenckich odżywały zapewne urazy syna chłopskiego przebijającego się przez życie. Sądzę, że nazywając pp. Ossowskich, T. Kotarbińskiego i innych ludźmi „kultury zabawy", odreagowywał zadawnione upokorzenia.

Reorganizacji uniwersytetu towarzyszyła czystka wśród kadry profesorskiej. Wielu okazało się nieprzydatnymi. Usunięto Helenę Radlińską, wraz z nią Aleksandra Kamińskiego. Nie przystawali oni ideologicznie do nowych czasów. Niepotrzebna okazała się psychologia (prof. Maria Librachowa[20]), ekonomiści znający mechanizmy funkcjonowania kapitalizmu (np. prof. Wacław Fabierkiewicz[21], przezacny, kulturalny pan), filozofowie nieznający marksizmu i wielu innych. Ludzie niemodni, niepotrzebni musieli odejść. Przeprowadzenie takiej reformy odbyło się z całą bezczelnością.

---

[18] O życiu i dorobku naukowym J. Chałasińskiego pisali m.in.: L. Wojtczak (red.), *Bunty i służebności uczonego: Profesor Józef Chałasiński*, Łódź 1992; C. Gryko, *Józef Chałasiński – człowiek i dzieło: od teorii wychowania do kulturowej wizji narodu*, Poznań 2007.

[19] Przypis K. Śreniowskiej – „*Charakterystyka J. Chałasińskiego wymaga osobnego rozdziału. Była to osobowość złożona, niejednokrotnie przykra, bezkompromisowa. Wybitny uczony, zasłużony organizator ośrodka socjologicznego, inicjator wydawnictw. Osobiście wiele dobrego zaznałam od p. Chałasińskiego*".

[20] Maria Lipska-Librachowa (ur. 1878 – zm. 1955) – pedagog, psycholog. Prekursorka badań w zakresie psychologii rozwojowej i wychowawczej. Od 1929 r. wykładowca psychologii w Wolnej Wszechnicy Polskiej, w latach 1946–1953 profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

[21] Wacław Fabierkiewicz (ur. 1891 – zm. 1967) – ekonomista. Od 1930 r. docent na WWP. W 1945 został profesorem nadzwyczajnym na UŁ (wykładał ekonomię polityczną). Usunięty z uczelni w 1948 r., powrócił na UŁ po 10 latach.

Moi kochani „reakcjoniści", szlachetni, wykształceni, eleganccy – jakże was nie cenić. Przegraliście z autorytarną władzą, polegliście z honorem w tym boju – kładąc podwaliny nowej, nomenklaturowej uczelni w robotniczym mieście Łodzi.

Czystka nie była jednak konsekwentna. Trudno szczegółowo ocenić kryteria zwolnień. Trzeba by badać indywidualne decyzje. „Na oko" wydaje się, że były one podobne do dziecinnej wyliczanki: „Na kogo wypadnie, na tego bęc".

Reformator Józef Chałasiński sam wpadł w sidła czystki – skoro władze uznały socjologię za dyscyplinę rodem z imperializmu amerykańskiego. Odebrano socjologom prawo nauczania, pozostawiono im jedynie ograniczone możliwości badawcze[22]. Najszybciej rozwinięty na humanistyce ośrodek kształcenia został amputowany. Nie do przecenienia jest rola socjologów w latach 40. jako centrum myśli, skupiającego uczonych oraz wybitną młodzież.

Mimo czystek, szerzenia radykalizmu, toczył się jednak proces budowy uniwersytetu. Ortodoksi marksistowscy nie dysponowali liczną kadrą. Zmuszeni zatem byli do obsadzania uczelni liberałami, ludźmi komunizującymi, bądź też tymi, którzy przestawiali się „na nowe". Przez historyków na przykład podejmowana była problematyka związana z dziejami klasy robotniczej, chłopstwa, historii gospodarczej, kultury ludowej, odrzucano na dalszy plan dzieje polityczne.

Rektorzy: Józef Chałasiński, Jan Szczepański i in. utrzymali uczelnię na pozycjach naukowych, obronili przed zalewem prymitywnej propagandy. Sprzyjały temu nowe prądy. Schyłek stalinizmu, śmierć dyktatora, referat Chruszczowa itd. doprowadziły do zmian!

Rektorem wybrano prof. Adama Szpunara[23], jego to uważam za odnowiciela uniwersytetu. Przywrócił on – wyklęte za czasów

[22] Zob. W. Kraśko, *Instytucjonalizacja socjologii w Polsce 1920–1970*, Warszawa 1996.

[23] Adam Szpunar (ur. 1913 – zm. 2002) – prawnik, związany z Uniwersytetami Jagiellońskim i Łódzkim. W 1949 r. został profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem Katedry Prawa Cywilnego UŁ, w 1957 r. profesorem zwyczajnym. W latach 1950–1953 pełnił funkcję dziekana Wydziału Prawa i Administracji, w roku 1955 został prorektorem UŁ, w latach 1956–1962 rektorem (z wyboru).

stalinizmu – kierunki badawcze, restytuował katedry (np. pedagogikę, psychologię społeczną). Rektor Szpunar przybył do Łodzi z Krakowa. Należał do wychowanków Uniwersytetu Jagiellońskiego, kontynuował jego tradycje i przeszczepiał je do Łodzi. Symbolicznym znakiem nobilitowania uczelni było wprowadzenie strojów (togi rektorów, dziekanów).

W tym miejscu pragnę zaznaczyć, że (moim zdaniem) powstało tu nieporozumienie. Umundurowanie władz wprowadziło pewien zamęt pojęć!

Tradycja średniowiecznych uniwersytetów, gdzie profesorami byli duchowni – mężczyźni, przeniesiona w wiek XX, do miasta bez paruwiekowej genealogii, przerodziła się, w moim odczuciu, w istny teatr, w spektakl raczej komediowy.

Ów pochód przebierańców różnej płci w pofabrycznych halach lub innych pomieszczeniach, nieprzypominających średniowiecznych budowli z krużgankami – zakrawał na groteskę, a gdy w późniejszych latach wynajmowano salę teatru operetki na inaugurację roku akademickiego – to już doprawdy była operetka. Panie profesor przymierzały przed lustrem birety, wkładały je na bakier jak modne kapelusze. Tak przebrane towarzystwo zasiadało na podium spocone pod ciężkimi togami. Pan Rektor w czerwonych rękawiczkach stukał złoconym berłem, a pelerynka gronostajowa otulała jego korpus. Prof. Szpunar – piękny, postawny mężczyzna – wspaniale prezentował się w tym stroju.

Niemniej, zdaje się, że Łódź polubiła ten spektakl. Niektórzy przywdziewając togi, uwierzyli w nobilitację. Być może uznali ją za ważniejszą od ciężaru wiedzy. Zresztą togę widać – wiedzy nie widać! Jakże więc zmierzyć wiedzę, skoro niby jest – a jej nie ma?

Sądzę, że w nauce nie wystarczy sama wiedza. Potrzebna jest jej obróbka w głowie, by móc orzekać o sensie i przydatności postrzeganych faktów. Wiedza to nie sztuka dla sztuki. Wiedza to nieodzowny impuls do myślenia, przetwarzania zasobu wiadomości. Myślenie wymaga luzu, wolnego czasu. Obróbka w głowie poznanego materiału bywa uważana za zbytek, albo lenistwo. Siedzi i myśli – czyli nic nie robi. Jak tu zmierzyć istotę nauki?

Zmiany w programie badań historycznych

Mediewiści wyszli poza zaklęty krąg kronik, dyplomów, dokumentów kancelarii książęcych i królewskich. Nawiązanie łączności z archeologią – uważaną dotychczas za odrębną dyscyplinę wiedzy – wzbogaciło zasób źródeł. Zabytki kultury materialnej to istna rewolucja w historii średniowiecznej (m.in. zachwycił się tym Paweł Jasienica[24]).

Prof. Konrad Jażdżewski już w latach 40. postawił archeologię łódzką na wysokim poziomie. Profesor „reakcjonista", katolik, z rozmachem budował ośrodek, gromadząc wybitnych uczniów. Konrada Jażdżewskiego zniszczono w późniejszych latach.

Uczeń prof. K. Jażdżewskiego, prof. Kmieciński, usunął (wygryzł) swego mistrza, wykorzystując do tego partyjne wpływy. Po latach p. Jerzy Kmieciński sprawował funkcję dziekana. Wówczas – zapewne pragnąc naprawić krzywdę – wręczył prof. Jażdżewskiemu dyplom doktora honoris causa uniwersytetu.

Tzw. marksistowskie propozycje badawcze odnośnie do historii wprowadzały duże zmiany. Dzieje miano ukazywać w długiej perspektywie. Historia to nie zbiór faktów. Ciąg przyczynowo-skutkowy nie wyczerpuje poznania dziejów. Zadanie historyka – to śledzenie procesów, porównywanie tychże na różnych obszarach kontynentu, kompleksowe badania.

Nowe postulaty badawcze niewątpliwie przyczyniły się do poważnych odkryć naukowych. Narzucone schematy marksistowskie (periodyzacja dziejów) nie sprawdzały się w praktyce badawczej. Kolejne etapy rozwoju dziejowego przebiegały różnie, niektóre nie występowały, jak np. niewolnictwo na ziemiach polskich. Schematycznie traktowano klasy antagonistyczne (chłopi–obszarnicy, burżuazja–proletariat itd.). Narzucono pogląd o słuszności żądań klas uciskanych, zakładając, że do nich jedynie należy zwycięstwo. Skoro więc rola historyka sprowadzać się

[24] Paweł Jasienica (Leon Lech Beynar) (ur. 1909 – zm. 1970) – historyk, eseista i publicysta. W czasie II wojny światowej oficer Armii Krajowej. Po wojnie przebywał w więzieniu. Działał w Stowarzyszeniu Pax, Związku Literatów Polskich oraz w Klubie Krzywego Koła.

miała do potwierdzenia z góry założonej tezy – pracę historyka pozbawiono sensu. Miał on zbierać argumenty „za", jedynie selekcjonując źródła pod kątem potrzeb określonej, jedynie słusznej racji.

W łódzkim ośrodku historycznym częściowo działał ów marksistowski schematyzm. Dotyczyło to np. problematyki ruchów rewolucyjnych (1905 roku i innych). Jednakże gdy podkreślano specyfikę lokalną, trzeba było wyjść poza narzucone wskazówki metodologiczne.

Przekształcenia organizacyjne

Uniwersytet już w latach 50. utracił Wydział Medyczny i Farmaceutyczny. Powstała oddzielna uczelnia, Akademia Medyczna.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna weszła natomiast w skład Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. Z kolei Wyższa Szkoła Ekonomiczna połączyła się z Uniwersytetem, tworząc początkowo Wydział Ekonomiczny. Następnie socjologia przeszła z Wydziału Filozoficzno-Historycznego na Wydział Ekonomiczny.

Organizacja Uniwersytetu sugerowała jego tradycyjną autonomię. Wybierano senat, rektorów, dziekanów, podejmowano uchwały, działał (pseudo)samorząd studencki. Faktycznie zaś czynnikiem decyzyjnym była POP (Podstawowa Organizacja Partyjna) PZPR wspierana przez przedstawicieli SB – niejawnie.

Przed wojną uniwersytet był jednostką eksterytorialną. Policja nie miała wstępu do gmachu, mogła wkroczyć jedynie na wezwanie rektora. W latach 30. XX wieku toczyły się krwawe boje o numerus clausus i getto ławkowe. Władze porządkowe nie śmiały przekroczyć progu uczelni. Rektor i ciało profesorskie zmuszone były uporać się z rozwydrzoną młodzieżą w korporanckich debatach. Po wojnie za 3-Majowy pochód, czy udział w pogrzebie Tyrankiewiczówny[25] płacono aresztem, salwą ka-

[25] Maria Tyrankiewiczówna – studentka stomatologii UŁ, której ciało znaleziono w Parku Staszica 14 grudnia 1945 r. Jej śmierć wywołała protesty łódzkich studentów, obwiniających o tę zbrodnię radzieckich żołnierzy. Zob. K. Śreniowska, *„Warchoły" w akcji. Sprawa Marii Tyrankiewiczówny*, „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 96–100.

rabinową do tłumu. Rektor Kotarbiński, w 1968 roku Józef Piątowski, prorektorzy Marcin Bielski, Jerzy Wróblewski, dziekan Biruta Petrykowska i in. osłaniali młodzież swym autorytetem, solidaryzowali się z studentami. Rektor Piątowski w 1968 roku zapłacił za to natychmiastową dymisją.

Faktycznie więc o losach uczelni nie decydowała władza z wyboru, lecz partia – faktyczny, półjawny decydent.

Rzeczywistość rozszczepiała się na dwa poziomy: 1) na niby oraz 2) na serio. Demokracja socjalistyczna rozkwitała na niby. Ludzie dali się jednak uwieść jej pozornym życiem. Funkcjonowali w tej na niby rzeczywistości. W tamtej rzeczywistości uczelnia rozwijała się „normalnie".

Wszystkich reakcjonistów, zacofańców nie dało się zaaresztować. W tym miejscu pragnę przypomnieć profesora Franciszka Skupieńskiego[26] z Wilna. Aresztowano go podobno za powiązania z Armią Krajową i politycznym podziemiem. Kiedy po pewnym czasie go wypuszczono – ujrzałam starca powłóczącego nogami, zgiętego w pół, ruinę człowieka. Niedługo żył na wolności, wkrótce zmarł. Pogrzebany na cmentarzu przy ul. Ogrodowej. Rodzina nie chciała ze mną rozmawiać o profesorze, żyła w paraliżującym strachu. Grób profesora wskazał mi woźny Korkuć, wilnianin związany z profesorem.

Sądzę, że powinniśmy wyjaśnić tę tragedię; ofierze należy się tablica pamiątkowa jako współtwórcy UŁ.

Życie toczyło się nadal. Co rok przyjmowano nowe roczniki młodzieży, niezmiennie upominając egzaminatorów o obowiązującym priorytecie dla dzieci chłopskich i robotniczych. Dzieci inteligencji pracującej miały być „gorsze", na ostatnim miejscu. Wynik egzaminu plus pochodzenie społeczne otwierały drzwi na studia. Między dziekanami (B. Zwolski) i egzaminatorami a władzami zwierzchnimi uczelni trwały nieustanne boje. Protegowanych PZPR, dzieci funkcjonariuszy partyjnych nakazywano przyjąć poza ustalonym limitem przyjęć.

---

[26] Franciszek Skupieński (ur. 1888 – zm. 1962) – botanik, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu Łódzkiego (1945–1960), rektor i organizator Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi (do 1949 r.).

Bogdan Zwolski w walce z bezczelnością przypłacał owe sceny niemal atakami serca. Kryterium „słusznego" pochodzenia przypominało rasizm.

Wspomnę tu o mojej przygodzie egzaminatora z lat 40. (może wczesnych 50.?). Wówczas jeszcze uniwersytet miał Wydział Lekarski. Posłano mnie jako egzaminatora na stomatologię. Zdawała świetnie jakaś inteligentna dziewczyna. Postawiłam jej stopień celujący. Jednakże przy ostatecznym ustalaniu przyjęć tzw. „czynnik społeczny" zgłosił kategoryczny sprzeciw. Ów pan pełnił funkcję obserwatora, zapewne z ramienia UB (lub jako zaufany partii). Wystąpiłam w obronie kandydatki, żądając wyjaśnień. Poinformowano mnie, że jest to córka przedwojennego starosty, nadto wróciła właśnie z Sybiru (nie może zatem łatać dziur w zębach!).

Kimże ja byłam? Skromnym asystentem, popychadłem do wypełniania obowiązków. Nikt spośród członków komisji nie poparł moich słusznych żądań. Dziewczynę odrzucono. Do dziś (rok 2007) czuję gorycz i upokorzenie.

W latach 50. władze poleciły zdyscyplinowanie studentów. Zajęcia były obowiązkowe (wykłady, ćwiczenia, seminaria), należało sprawdzać listy obecności. Nigdy nie zastosowałam się do tego zarządzenia. W moim przekonaniu studia wyższe są dobrowolne (jak przed wojną). Wówczas jednak twierdzono, że skoro państwo płaci za studia – wolno narzucać dyscyplinę. Ilustracją zniewolenia studentów jest m.in. sprawa przymusowego kierowania na seminaria magisterskie

W latach 70. (o ile się nie mylę) wzrosła liczba docentów (przybyli mianowani w 1968 roku, czyli tzw. marcowi). Każdy z nich zabiegał o możliwość prowadzenia seminarium. Należało więc rozdysponować studentów, by dokonać „sprawiedliwego" przydziału. Ówczesny dyrektor Instytutu Historii UŁ prof. B. Baranowski[27] przydzielił studentów do poszczególnych profesorów, pozbawiając ich swobody wyboru mistrza (jak też na odwrót).

[27] Bohdan Baranowski (ur. 1915 – zm. 1993) – historyk, orientalista, regionalista. Po wojnie związany z Uniwersytetem Łódzkim. W latach 1950–1951 pełnił funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego. Trzykrotnie był dziekanem Wydziału Filozoficzno-Historycznego (1951–1954, 1960–1964, 1972–1975). Dwukrotnie pełnił funkcję dyrektora Instytutu Historii UŁ (1952–1956, 1978–1981).

Na przedwojennych uniwersytetach to profesor dobierał sobie uczniów. Student osobiście zgłaszał się do profesora z prośbą o przyjęcie do grona jego uczniów. Zniszczono tę tradycję związaną z autonomią uniwersytetów. Ogromnie mnie to oburzało. Szydząc z tych nowych porządków, nazywałam to reglamentacją towaru, przydziałem na kartki.

W Instytucie Historii jednak przyjęto zarządzenie dyrektora z zadowoleniem, narażając go na śmiech i szyderstwo innych wydziałów.

W latach 80., pełniąc funkcję wicedyrektora Instytutu Historii ds. studenckich – zlikwidowałam te porządki. Prof. B. Baranowski protestował, lecz nic u mnie nie wskórał.

Warto jeszcze wspomnieć, że walka o seminaria wiązała się z obowiązkiem pensum godzin dydaktycznych. Owo „pensum" to również wyróżnik uczelni PRL-owskich. Wykładowcy (nie tylko profesorowie, asystenci) również byli obarczani tym obowiązkiem. Doktoraty oraz habilitacje należało uzyskać w określonym czasie. Przekroczenie terminu powodowało przesunięcie na etat wykładowcy (lub zwolnienie). Był to nauczyciel pozbawiony możliwości promowania magistrów.

[…]*[28]

Rok 1968

[Narracja dotyczy represji wobec protestujących studentów – przyp. red.], którzy byli relegowani bądź wcieleni do karnych oddziałów wojska, bądź zamykani w aresztach, następnie zaś sądzeni przez komisje dyscyplinarne uniwersytetu oraz sądy.

[28] Luka w notatkach, w rękopisie brakuje 3 stron, od s. 27–30. Najprawdopodobniej te informacje trafiły do tekstu *Wielki strach po łódzku – Rozmowa z Krystyną Śreniowską*, „Tygiel Kultury" 1996, nr 3, s. 44–47. Odpowiedzią na ten tekst był list do Redakcji J. Śmiałowskiego, zatytułowany *Do prawdy przez paszkwil. Próba odpowiedzi na materiały opublikowane w nr 3 (marcowym) miesięcznika „Tygiel Kultury"*, tamże, maj 1996, s. 108–111.

Rektor Józef Piątowski stanął w obronie młodzieży. Władze partyjne pozbawiły go natychmiast godności rektora i usunęły z uniwersytetu. Władza ukazała prawdziwe oblicze. Rektora wybrał senat – wyrzuciła partia. Nic mi nie wiadomo, by ktokolwiek stanął w obronie prof. Piątowskiego. Iluzja autonomii uczelni rozwiała się. Władzę rektorską objął natychmiast prof. Jaworski[29] – matematyk. On to m.in. pogrążał studentów w zeznaniach sądowych […].

Rok 1968 pamiętny jest również z „czystki" rasowej. Precz z Żydami! Zebrania partyjne przeciągające się do późnej nocy poświęcone były opluwaniu i wyrzucaniu żydowskich towarzyszy. Prowadzono zorganizowany, bezpardonowy atak. Poniżano, deptano ludzi. Co nieco informacji przekazał mi prof. Amsterdamski, spotkany nazajutrz po nocnych obradach partyjnych. Na miejsca zwolnione przez „Żydów" czekała już partyjna ekipa ludzi wykształconych na kursach marksizmu-leninizmu. Niektórzy spośród owych „Żydów" dobrowolnie rezygnowali z pracy, udając się na emigrację (Henryk Katz, Aleksander Orłowski, Adam Leśniewski[30]).

Wstrząs 1968 roku dla młodej uczelni, jaką był UŁ, to doprawdy katastrofa. Partia dążyła do stworzenia nomenklaturowego uniwersytetu, nie licząc się z delikatną materią nauki.

Dla ludzi, którzy przeżyli okupację hitlerowską, ścigani wówczas jak zwierzyna łowna, było to wielką tragedią. Wybrali Polskę jako swą ojczyznę. Byli przecież spolonizowani, od dawna wyobcowani z nikłych środowisk żydowskich ortodoksów. Nic nie łączyło

---

[29] Pomyłka Autorki. Pełniącym obowiązki rektora UŁ w 1968 r. był prof. Witold Janowski.

[30] Henryk Katz (ur. 1914 – zm. 1998) – historyk dziejów nowożytnych i ruchu robotniczego. W 1949 r. zatrudniony w UŁ. Od 1957 r. objął kierownictwo Zakładu Historii Międzynarodowego Ruchu Robotniczego. W latach 1966–1969 kierownik Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej. Po wydarzeniach marcowych odszedł z UŁ i przeniósł się do Warszawy. W latach 1969–1971 był zatrudniony w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Następnie wyemigrował do Wielkiej Brytanii.

Adam Leśniewski (ur. 1923) – historyk, pracownik Instytutu Historii UŁ (1956–1969), I sekretarz POP PZPR UŁ (1949–1950), pracownik Wydawnictwa Łódzkiego, od 1969 r. na emigracji w Szwecji.

Aleksander Orłowski (ur. 1928 – zm. 2007) – filozof, pracownik naukowy UŁ (1955–1969), od 1969 r. na emigracji, związany z Uniwersytetem w Sztokholmie.

ich z Palestyną, z państwem Izrael. Nie liczyła się też ich przeszłość polityczna. Szykany i wypędzenia dotknęły również byłych działaczy komunistycznych (rodzina Dajcigerauchów!). Pozbawiono Polaków, obywateli polskich ich ojczyzny, wygnano w nieznane. Taka polityka, dotychczas obca dziejom Polski, była ewenementem na skalę światową, okryła nas hańbą. Płacimy za to po dzień dzisiejszy (Polacy – antysemici, polski Oświęcim itp.).

Rady Wydziału toczyły się „normalnie". Ani słowem nie upomniano się o to, co się wyprawia z kolegami. Wówczas to jaskrawie wystąpiło owo wspomniane wyżej rozszczepienie się rzeczywistości. Obrady Wydziału toczyły się „na niby". Dramat życiowy ludzi wykluczonych – (życie) naprawdę usunięto na zewnątrz. Paraliżujący strach zdominował gremia uniwersyteckie. Spotkany na korytarzu prof. H. Katz był wielce zdumiony, że normalnie podaję mu rękę; ludzie milcząc, mijali napiętnowanego człowieka[31].

Sądzę, że od 1968 roku można mówić o pełnej utracie autonomii uczelni. Uniwersytet stał się domeną dyktatu partii, uczelnią nomenklaturową. „Liberałowie" jeszcze dychali. Wielu z nich obracano w woły robocze (np. obsługa egzaminów wstępnych). Urlopy naukowe, wyjazdy do archiwów krajowych i zagranicznych były trudne m.in. z uwagi na obowiązki dydaktyczne, które nie pozostawiały czasu na oddech. Prowincjonalny Uniwersytet Łódzki funkcjonował na zasadzie szkoły kształcącej adeptów wiedzy w granicach wyznaczonych przez ministerialny program oraz określoną z góry ideologię.

Młody uniwersytet bez tradycji, przeżywający w krótkim czasie (23 lata) ustawiczne reorganizacje i czystki personalne, przeżywał klęskę za klęską.

Atmosfera na Radach Wydziału, strach, by się nie „wychylić", brak swobodnej dyskusji, omijanie istotnych problemów, posiedzenie milczków – tak właśnie odbierałam te męczące – a przecież obowiązkowe – zebrania. W roku 1968 i następnych kadra partyjna wkraczała na teren uczelni w zwartym szyku – szczególnie wówczas, gdy szło o przeforsowanie uchwał nakazanych przez władze. Doceniano zasługi dydaktyczne, traktując je jako priorytetowe.

---

[31] Szerzej na ten temat zob. *Wielki strach po łódzku – Rozmowa z Krystyną Śreniowską…*

Przedwojenny model uczonego, apolitycznego, stał się anachronizmem, spoczął w lamusie. Nauka miała być zaangażowana (ideologicznie, politycznie) w jedynie słusznej sprawie budowy socjalizmu.

Uczestniczyliśmy w tym zaangażowaniu, tkwiliśmy uwikłani w życie „na niby", niżej podpisana również. Nie sposób żyć samą negacją.

Opresyjność tamtej rzeczywistości potrafię dostrzec z dystansu. Wówczas byłam trybikiem w mechanizmie systemu. Sądziłam zresztą, że ten system potrwa 150 lat. Gdy w 1976 roku powstał KOR, jego członków miałam za niepoważnych marzycieli, co to idą z motyką na słońce. Świadczy to o zniewoleniu mojego umysłu. Wówczas nie byłam w stanie wykrzesać z siebie postawy wolnego człowieka. System zniewolenia umysłów i sparaliżowania woli działa zdumiewająco skutecznie.

W 1976 roku nakazano dziekanom obwieścić powstanie KOR jako zorganizowanej opozycji. Dawniejsze wstrząsy, jak np. z roku 1970 na Wybrzeżu czy wypadki radomskie, nie trafiały w formie komunikatów do rad wydziałowych.

Dopiero KOR zaniepokoił zwierzchność. Równocześnie uaktywniono sforę szpiclów, zarówno wśród młodzieży, jak i profesury. Donosiciele byli „ideowi" oraz płatni.

Funkcjonowali od dawna, jednakże w latach 70. liczba ich niepomiernie wzrosła. Nie umiem wymienić liczby donosicieli. Być może przy pomocy Instytutu Pamięci Narodowej uda się określić rozmiary współpracy z UB. Nam wypadało jedynie przypuszczać na podstawie bacznej obserwacji zachowań, może domysłów na temat ról pełnionych przez ludzi, korzystania z przywilejów.

Już z końcem lat 50. wydano zakaz pracy w dwu miejscach. Pracowałam wówczas w PAN i na 1/2 etatu w UŁ. Zrzekłam się zatrudnienia w PAN i przeszłam na cały etat w UŁ. Inni […] spokojnie korzystali z dwu etatów.

Studenci w latach 70. skarżyli się na kolegów-donosicieli w domach akademickich. Ponoć – jak mi mówiono – aktywni szpicle chwalili się przed kolegami dobrami materialnymi zyskanymi w tej służbie. Dałam wyraz zdziwieniu, że nie reagują

(np. mordobiciem). Niezbyt to pedagogiczna reakcja z mej strony – rodem z lwowskiego Łyczakowa.

Świat się splugawił. Będąc w Instytucie Historii miałam uczucie, że stąpam po grząskim bagnie. Jaskrawo występowało zjawisko życia na niby. Moralność na niby na uczelni.

Żyć naprawdę znaczyło borykać się z codziennością, brakami na rynku, troską o to, co włożyć do garnka, w co się odziać. Kupno „na lewo" szeregu niezbędnych artykułów.

Do tego dołączały się liczne dokuczliwości związane z działalnością opozycji demokratycznej: częste rewizje mieszkania, zatrzymania w aresztach syna i jego współtowarzyszy, stała inwigilacja, podsłuchy (mieszkanie, telefon, cenzura korespondencji). Kompletny brak prywatności. Dom już nie był domem. Wdarła się weń płatna hołota. Na uczelni podobnie. Gabinet profesorski, biurko – wszystko przetrząsano pod moją nieobecność. Studenci-donosiciele na salach wykładowych, seminariach.

Do dwoistości życia można przywyknąć. Co nam zresztą pozostało? Jest jak jest, trzeba iść naprzód. Pilnie czytać, przygotowywać wykłady, które samokrytycznie oceniam jako raczej kiepskie. Mało samodzielne, raczej reprodukcje poglądów innych (zachodnich) uczonych, o ile pozwalała na to dostępna literatura. Nie o takim poziomie marzyłam. Miałam ustawiczne wyrzuty, że nie dorastam. Wszystko to plugawe!

Na uczelni trzymali mnie studenci. Ich doprawdy kochałam. Starałam się im służyć, cieszyć się osiągnięciami, zdobywaniem stopnia magistra. Wiele pracy włożyłam w moich seminarzystów, cieszył mnie ich rozwój intelektualny, dialog z nimi.

Cofnijmy się jeszcze do lat 70. Rok 1968 otworzył nowy rozdział w dziejach UŁ. Po, wspomnianych wyżej, wstrząsach kadrowych – weszliśmy w lata 70. naznaczone sukcesem partii, która spacyfikowała niewygodne jej elementy. Uniwersytet przekształcono w zniewoloną dyktatem partyjnym szkołę wyższą. Na pierwszy plan wysunięto przedmioty ideologiczne: ekonomię polityczną, filozofię marksistowską, szkolenia wojskowe (Filozofia broniła się przed zideologizowaniem!). Prowincjonalna uczelnia za żelazną kurtyną.

Jednakże życie – szczególnie młode, studenckie – nie dało się uśpić. Fermenty ideologiczne nabrzmiewały nieprzerwanie z końcem lat 70. Niepokoje wybuchły wraz z powstaniem „Solidarności". Centralną rolę w przebudowie uczelni odegrały strajki studenckie. Zaczęło się od strajku na Wydziale Prawa w dniach 14–15 grudnia 1981 roku.

Strajkujący domagali się przyśpieszenia ustawy o szkolnictwie wyższym, zerwania z ideologizacją programów. Żądali rzetelnej wiedzy, odkłamania – przede wszystkim historii najnowszej. Byłam obecna na sali obrad. Na życzenie młodzieży wystąpiłam w tej sprawie. Strona rządowa nie chciała przyjąć moich argumentów.

Do dziś mam w oczach salę obrad: jedną stronę stołu zajmował minister Janusz Górski wraz z ekipą, naprzeciw zasiadali reprezentanci studentów (oraz mecenas Karol Głogowski jako doradca prawny). Na sali zasiadali też zaproszeni przez młodzież: prof. Jan Lutyński, prof. Jerzy Wróblewski, Ija i Tadeusz Pawłowscy, Krystyna Śreniowska i inni.

Ze strajkującymi przebywali młodzi pracownicy UŁ (np. Rafał Kasprzyk[32], doc. Andrzej Harasimowicz[33], KOR-owcy, Wojciech Hempel[34], Józef Śreniowski, doradcy przy druku ulotek, pism i inni).

Szczegółowy opis strajku ma już swoją literaturę. Pragnę jedynie podkreślić, że w walce o wolność nauki strajk studencki odegrał decydującą rolę. Nie profesorowie – a właśnie młodzież (Niezależne Zrzeszenie Studentów) obaliła nomenklaturowy system szkolnictwa wyższego, płacąc za to wysoką cenę (internowania, relegowania ze studiów itp.).

---

[32] Rafał Kasprzyk (ur. 1952) – adwokat. W latach 1980–1981 doradca Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność", brał udział w strajku studentów walczących o NZS. Współpracownik „Naszego Głosu", „Biuletynu Informacyjnego UŁ" i kilku innych czasopism podziemnych. Internowany w stanie wojennym.

[33] Andrzej Harasimowicz (ur. 1948) – historyk, politolog. Pracownik naukowy UŁ do 2003 r. Działacz „Solidarności" na UŁ. Andrzej Harasimowicz był wówczas doktorem.

[34] Wojciech Hempel (ur. 1949) – absolwent PWSSP, działacz opozycji demokratycznej, współpracownik KSS KOR.

Moi kochani uczniowie są bohaterami i twórcami odrodzonego uniwersytetu. Kadra profesorska zachowywała się bądź tchórzliwie, bądź ostrożnie; biernie przypatrywała się „szaleństwom" młodzieży.

Partyjni (np. prof. Stefan Banasiak[35]) wyrażali dezaprobatę. Wspomniani „ostrożni" odwiedzali jednak internowanych studentów w Łowiczu (prof. Waldemar Ceran[36], Olga Czerniawska[37], Wiesław Puś[38] i inni).

Stan wojenny na UŁ jawi mi się po latach (luty 2007) jak szczyt absurdu. Uczelnia zamknięta. Budynki opustoszały, drzwi pozamykane. Pracownikom oświadczono, że „Solidarność" groziła wieszaniem funkcjonariuszom partii, istnieje obawa anarchii, napadów na mienie państwowe, rabunek. Należy zatem zorganizować obronę przed ewentualnym atakiem. W bramie budynków uczelni wystawiono warty. Naznaczono dyżury wartowników. I oto przy drzwiach wejściowych do Instytutu Historii wysiadywali na zmianę asystenci, personel administracyjny. Legitymowali wchodzących (także profesorów), czytali gazety, pili herbatę, plotkowali – by wypełnić czas niepotrzebnie tam spędzony. Po instytucie krążył oficer – dawniej studiujący zaocznie historię. Grzecznie przepraszał za wtargnięcie do mego gabinetu. Czy traktował serio zleconą mu misję – nie wiadomo.

[35] Stefan Banasiak (ur. 1929 – zm. 2018) – historyk powojennych dziejów Polski. W latach 1970–1978 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Historii UŁ.

[36] Waldemar Ceran (ur. 1936 – zm. 2009) – historyk, badacz dziejów późnego antyku i Bizancjum. Kierownik Zakładu Historii Starożytnej i Średniowiecznej, przemianowanego na Katedrę Historii Bizancjum. W latach 1981–1990 (z przerwą w okresie 1984–1987) prodziekan Wydziału Filozoficzno- Historycznego UŁ. Dyrektor IH UŁ (w latach 2002–2006).

[37] Olga Czerniawska (ur. 1930) – historyk oświaty, pedagog. W latach 1972–2000 związana z UŁ. W 1981 r. kierowała Zakładem Oświaty Dorosłych, następnie od 1984–1992 Katedrą Teorii Wychowania i Zakładem Oświaty dla Dorosłych. W roku 1996 mianowana prof. zwyczajnym. Od 1995 r. związana również z Wyższą Szkołą Humanistyczno-Ekonomiczną (dziś Akademią Humanistyczno-Ekonomiczną), gdzie kierowała Katedrą Andragogiki i Pracy Socjalnej.

[38] Wiesław Puś (ur. 1940) – historyk dziejów społeczno-gospodarczych. W latach 1990–1996 dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ, od 2002–2008 rektor UŁ. Wieloletni kierownik Katedry Historii Społeczno-Gospodarczej.

Przed świętami Bożego Narodzenia zebrano pracowników w celu ustalenia dyżurów „na bramce". Nie było chętnych na dzień 24 XII. Zgłosiłam się jako ochotnik, w moim domu nie w głowie nam były wigilie, skoro Józef był w więzieniu. Zresztą nie wykonałam przyrzeczenia, bowiem nadarzyła się okazja odwiedzin w Łęczycy, gdzie przetrzymywano internowanych. Nie wytłumaczyłam mojej nieobecności „na bramce" – wybrałam życie na serio, gardząc tym „na niby".

W latach 80. na skutek żądań studentów (NZS) wybrano mnie na wicedyrektora Instytutu Historii do spraw młodzieży. Dyrektorem został prof. Władysław Bortnowski[39].

Dobrze wspominam tę współpracę, życzliwość kolegi. Na zebrania dyrekcji wkraczał „służbowo" […]. Nie krępowałam moich wypowiedzi, moja rola była jasna i czytelna. Podobno zamierzano mnie wyrzucić. Dyrektor Bortnowski nie dopuścił do tego. Na emeryturę przeszłam we wrześniu 1986 roku. Lekko rozstałam się z uczelnią – po 40 latach pracy. Zmora Rad Wydziału – zniknęła. Omijałam też Instytut Historii i jego atmosferę (ku zdziwieniu p. prof. Libiszowskiej). Odeszłam w prywatność – ceniąc jej zalety. Emocjonalna więź z uczniami pozostała.

Studia zaoczne

W latach 1969–1973 pełniłam funkcję kierownika Studiów Zaocznych. Sam fakt istnienia tej formy kształcenia uważam (i do dziś tak sądzę) za nieporozumienie. Dokształcanie ludzi pracujących mogło być usprawiedliwione wówczas, gdy należało nadrobić stracony czas wojenny. Nadrabianie „straconego czasu" ustaliło się, zostało trwałym elementem formy kształcenia. Dziś – Anno Domini 2007 – studia płatne zasilają bazę wyższych

[39] Władysław Bortnowski (ur. 1913 – zm. 1987) – badacz dziejów ZSRR i historyk wojskowości. W latach 1981–1983 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Historii UŁ.

uczelni. Kształcenie w trybie zaocznym nie może spełniać wymagań nauki. Ludzie pracujący w zawodzie nie są w stanie oddać się poważnym studiom po prostu z braku czasu (a nie zdolności).

Kierowałam więc ludźmi umęczonymi dojazdami, kiepskim noclegiem i wyżywieniem, 8-godzinnymi zajęciami uniwersyteckimi, stresującymi sesjami egzaminacyjnymi.

Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym początkowo funkcjonowało tylko zaoczne studium historii. Jednakże z inicjatywy Leona Błaszczyka organizowano zaoczne studium kultury na kierunku pedagogicznym. W roku 1968 było ono w stadium organizacji. Wówczas – jak wspomniałam – wyrzucono prof. Błaszczyka.

Wśród studiujących zaocznie przewinęło się wielu ludzi: nauczyciele, pracownicy aparatu partyjnego, bibliotekarze, oficerowie, policja, służba bezpieczeństwa (szczególnie na Wydziale Prawa, gdzie uczestniczyłam przez szereg lat w egzaminach wstępnych. Śreniowska „nie bierze" (łapówek!). Trzeba ją wykorzystać!!!). Historię studiował nawet starszy ksiądz, oraz eksksiądz żonaty. Ludzie odgrywający w swych miejscach pracy poważne role społeczne – na studiach zniwelowani, mający status studenta.

Niejednokrotnie czułam się zażenowana, stając wobec nich z troską, by nie urazić, nie poniżyć. Jedynie bezczelnego dziennikarza, który jako członek partii sądził, że może mieć za nic uniwersytet i moich kolegów – po prostu wyrzuciłam[40].

[40] W tym miejscu opowieść K. Śreniowskiej urywa się.

Krystyna Śreniowska, rok 1986
(Fotografia autorstwa Evy Rubinstein, w posiadaniu rodziny)

Bibliografia prac Profesor Krystyny Śreniowskiej

1938

1. *A. Kossowski. Protestantyzm jako przejaw cywilizacyjny. Lublin 1937.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1938, z. 1, s. 131–132
2. *S. Gluecksman. Ruchy społeczne w Gdańsku w początkach reformacji 1522–1526. Warszawa 1937.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1938, z. 2, s. 330
3. *H. Hassbargen. Die Reformation in Danzig 1525 als Ereignis deutscher Geschichte. Danzig 1937.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1938, z. 2, s. 324–325
4. *A. Lewak. Muzeum Narodowe w Rapperswilu 1896–1927. „Niepodległość" 1938, z. 1.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1938, z. 2, s. 308

1939

1. *J. Lehman. Konfesja sandomierska na tle innych konfesji w Polsce XVI wieku. Warszawa 1937.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1939, z. 1, s. 158
2. *J. Baumgart. Archiwum ks. Sułkowskich w Poznańskim Tow. Przyj. Nauk. Sprawozdania Tow. Przyj. Nauk. Poznań 1938.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1939, z. 2, s. 336
3. *S. Bodniak. Stanisław Kostka wojewoda chełmiński. „Rocznik Gdański" 1937.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1939, z. 2, s. 345
4. *B. Guerquin. Zamki na planie trójkąta z XVI w. „Biuletyn Historii Sztuki i Kultury" 1938, z. 4.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1939, z. 2, s. 368
5. *K. Meyer. Deutsch-polnische Beziehungen. „Altpreussische Forschungen" 1938, H. 1.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1939, z. 2, s. 339[1]

[1] Recenzje i zapiski naukowe z lat 1938–1939 podpisywane były panieńskim nazwiskiem K. Oppenauer lub K. O.

1946

1. *K. Górski. Państwo krzyżackie w Prusach. Gdańsk–Bydgoszcz 1946.* (Rec.), „Myśl Współczesna" 1946, z. 5, s. 119–120
2. *S. Zajączkowski. Dzieje Zakonu Krzyżackiego. Łódź 1946*. (Rec.), „Myśl Współczesna" 1946, z. 5, s. 119
3. *Z. M. Wojciechowscy. Polska Piastów – Polska Jagiellonów. Poznań 1946.* (Rec.), „Myśl Współczesna" 1946, z. 6–7, s. 328–329
4. *Z. Kaczmarczyk. Kolonizacja na wschód od Odry. Poznań 1946.* (Rec.), „Państwo i Prawo" 1946, z. 5–6, s. 149–151

1947

1. *Zagadnienie reformy uniwersyteckich studiów historycznych*, „Przegląd Socjologiczny" 1947 , t. IX, s. 309–310

1948

1. *„Kwartalnik Historyczny" 1947–1948*, „Wiadomości Historyczne" 1948, z. 1, s. 51–52
2. *„Voprosy Istorii" 1948, nr 1*, „Wiadomości Historyczne" 1948, z. 2, s. 55–56

1950

1. *Ośrodek historyczny łódzki (wrzesień–maj 1950). Kronika naukowa*, „Przegląd Historyczny" 1950, t. 41, s. 314–315

1954

1. *Stanisława Zakrzewskiego poglądy na powstanie państwa i narodu polskiego*, „Kwartalnik Historyczny" 1954, z. 4, s. 85–115

1956

1. *Stanisław Zakrzewski. Przyczynek do charakterystyki prądów ideologicznych w historiografii polskiej 1893–1936*, Łódź 1956
2. *Młodzi historycy w walce z krakowską szkołą historyczną w r. 1896*, „Zeszyty Naukowe UŁ" 1956, seria I, z. 4, s. 161–178

1957

1. *H. W. Gruhle. Geschichtsschreibung und Psychologie. Bonn 1953.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1957, nr 6, s. 145–147

1958

1. *K. Wittram. Das nationale als europäisches Problem. Göttingen 1954.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1958, nr 3, s. 889–890
2. *Z metodyki nauczania historii. Podstawy metodologiczne nauczania historii w szkole. Warszawa 1957.* (współaut. z W. Zwolską, W. Moszczeńską). (Rec.), „Wiadomości Historyczne" 1958
3. *Teksty źródłowe dla liceów. Sprawa chłopska w XIX wieku na ziemiach polskich*, Warszawa 1958
4. *Kronika naukowa: prace łódzkiego ośrodka historycznego*, „Kwartalnik Historyczny" 1958, nr 3, s. 952–956
5. *Kronika oraz bibliografia publikacji pracowników Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego za lata 1956–1957*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego" 1958, seria I, z. 5

1959

1. *O niektórych trudnościach nauczania historii*, „Wiadomości Historyczne" 1959, z. 1
2. *Zarys historii historiografii polskiej. Cz. III. 1900–1939* (wraz z J. Dutkiewiczem), Łódź 1959
3. *J. Dutkiewicz. Szymon Askenazy i jego szkoła. Warszawa 1959*. (Rec.), „Przegląd Historyczny" 1959, z. 2, s. 396–400
4. *N. P. Vakar. Belorussia. The making of the nation. Cambridge 1956.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1959, nr 2, s. 563–564

1960

1. *Uniwersytet Łódzki. W XV rocznicę*, „Życie Szkoły Wyższej" 1960, nr 1, s. 104–121
2. *Uwagi o nauce historycznej polskiej w latach 1887–1900 w świetle „Kwartalnika Historycznego"*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego" 1960, seria I, z. 15, s. 153–163
3. *J. Dutkiewicz. Szymon Askenazy i jego szkoła. Warszawa 1958*. (Rec.), „Acta Poloniae Historica" 1960

1961

1. *Materiały do dziejów uwłaszczenia chłopów w Królestwie Polskim* (wraz ze S. Śreniowskim), Warszawa–Wrocław 1961
2. *Z metodyki ćwiczeń „Wstępu do badań historycznych"*, „Życie Szkoły Wyższej" 1961, nr 9
3. *Uwagi o twórczości historycznej Karola Szajnochy na marginesie jego korespondencji*. (Rec.), „Przegląd Historyczny" 1961, z. 2, s. 360–364

1962

1. *Korespondencja Henryka Schmitta. Listy do żony (wyd. S. Kieniewicz). Warszawa–Wrocław 1962*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1962, nr 4, s. 961–963

1963

1. *Chłopi i sprawa chłopska w powstaniu styczniowym. Materiały z terenu guberni radomskiej. Oprac. F. Bortkiewicz, Z. Stankiewicz, Cz. Włodarska. Red. S. Kieniewicz, I. Kostiuszko. Wrocław–Warszawa 1962*. (Rec.), „Rocznik Łódzki" 1963, t. VII, s. 255–258
2. *Historia poważna i romansowa*, „Polityka" 1963, nr 13

1964

1. *Kościuszko. Kształtowanie poglądów na bohatera narodowego 1794–1894*, Warszawa 1964

1965

1. *Rola „Kuźnicy" i „Myśli Współczesnej" w polskiej rewolucji kulturalnej w latach 1945–1948/9*, „Rocznik Łódzki" 1965, t. X, s. 191–203
2. *Studien über deutschen Geschichtswissenschaft von Beginn des XIX Jahrhunderts bis zur Reichseinigung von Oben. Hrs. Von Joachim Streisand. Berlin 1963*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1965, nr 4, s. 987–990
3. *W. Berthold. ... grosshungern und gehorchen... Zur Entstehung und politischen Funktion der Geschichtsideologie des westdeutschen Imperialismus. Berlin 1960*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1965, nr 1, s. 171–172

1967

1. *H. Schleier. Sybel und Treitschke. Antidemokratismus und Militarismus in historisch politischen Denken grossbourgeoiser Geschichtsideologen. Berlin 1965.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1967, nr 1, s. 179–180

1971

1. *Historiografia polska w dobie pozytywizmu (1865–1900). Kompendium dokumentacyjne. Red. R. Przelaskowski. Warszawa 1968*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1971, nr 2, s. 452–454

1973

1. *Problematyka historyczna tygodnika „Wieś" w latach 1945–1949*, „Rocznik Łódzki" 1973, t. XVII, s. 233–245
2. *Kościuszko – bohater narodowy. Opinie współczesnych i potomnych 1794–1946*, Warszawa 1973
3. *A. F. Grabski. Orientacje polskiej myśli historycznej. Studia i rozważania. Warszawa 1972.* (Rec.), „Przegląd Historyczny" 1973, z. 3, s. 619–622
4. *Profesor Józef Dutkiewicz – badacz metodologii historii oraz historiografii*, [w:] *Józef Dutkiewicz – zasłużony nauczyciel PRL*, Łódź 1973, s. 47–51

1975

1. *Pojęcie czasu a tzw. myślenie historyczne*, „Historyka" 1975, t. V, s. 109–112
2. *M. Wierzbicka. Dawne syntezy dziejów Polski. Wrocław–Warszawa 1974*. (Rec.), „Przegląd Historyczny" 1975, z. 4, s. 687–689

1976

1. *Charakterystyka Słowian a poglądy na polską specyfikę narodową*, [w:] *Między feudalizmem a kapitalizmem. Księga ku czci prof. Witolda Kuli*, Wrocław 1976, s. 413–426
2. *H. Barycz. Stanisław Smolka w życiu i w nauce. Kraków 1974*. (Rec.), „Przegląd Historyczny" 1976, z. 4, s. 685–686

1977

1. *W sprawie kryteriów podziału szkół historycznych doby pozytywizmu na ziemiach polskich*, „Historyka" 1977, t. VII, s. 93–98

1978

1. *S. Bratkowski. Z czym do nieśmiertelności. Katowice 1977*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1978, nr 2, s. 462–465

1979

1. *H. Barycz. Historyk gniewny i niepokorny. Rzecz o Wacławie Sobieskim. Kraków 1978.* (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1979

1980

1. *Dzieło literackie jako źródło historyczne. Red. Z. Stefanowska, J. Sławiński. Warszawa 1978*. (Rec.), „Historyka" 1980, t. X, s. 145–148
2. *Inteligencja polska pod zaborami. Red. R. Czepulis-Rastenis. Warszawa 1978*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1980, nr 3–4, s. 735–737

1981

1. *O pożytkach z historii, czyli o jej funkcji społecznej*, „Acta Universitatis Lodziensis" 1981, Folia Litteraria, z. 2, s. 61–67
2. N. Gąsiorowska, *Wspomnienie z obozu hitlerowskiego w Berlinie i drogi powrotnej*, wyd. i oprac. K. Śreniowska, „Kwartalnik Historyczny" 1981, nr 4, s. 753–760
3. *Powstanie Listopadowe. Red. W. Zajewski. Warszawa 1980*. (Rec.), „Kwartalnik Historyczny" 1981, nr 4, s. 1126–1128

1982

1. *W kręgu powstania listopadowego. Wokół książki: Powstanie Listopadowe 1830–1831. Dzieje wewnętrzne. Militaria. Europa wobec powstania. Red. W. Zajewski*. (Rec.), „Rocznik Łódzki" 1982, t. XXXII, s. 342–345

1983

1. *Józef Chłopicki. Mit – rzeczywistość – symbol* (głos w dyskusji), [w:] *Powstanie Listopadowe. Geneza, uwarunkowania, bilans, porównania*, Warszawa 1983, s. 267–270

1989

1. *Józef Chłopicki*, [w:] *Życiorysy historyczne, literackie i legendarne*, red. Z. Stefanowska, J. Tazbir, t. II, Warszawa 1989, s. 235–258

1993

1. *Lwowskie Ossolineum w latach 1939–1941*, „Zeszyty Historyczne" 1993 (Paryż), z. 105, s. 216–223

1994

1. *Prasa podziemna stanu wojennego w Łodzi 1982–1987*, „Więź" 1994, nr 12, s. 121–129

1996

1. *Wielki strach po łódzku. Rozmowa z Krystyną Śreniowską*, „Tygiel Kultury" 1996, nr 3, s. 44–47
2. *Niespodziewani przyjaciele, czyli rzecz o zwykłej ludzkiej solidarności. Warszawa 1995*. (Rec.), „Tygiel Kultury" 1996, nr 3, s. 93–95
3. *Kalikst Oppenauer. Listy ze Lwowa*, „Więź" 1996, nr 1, s. 159–177

1997

1. *J. Kita, S. Pytlas. Profesorowie Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1945–1994*. (Rec.), „Tygiel Kultury" 1997, nr 3, s. 97–102

1998

1. *„Warchoły" w akcji. Sprawa Marii Tyrankiewiczówny* , „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 96–100

1999

1. *Hotel „Monopol"*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 49–53

2000

1. *Zwyczajne dzieje Polski* (Rec. M. Kula, *Zupełnie normalna historia, czyli dzieje Polski zanalizowane przez...*, Warszawa 2000), „Tygiel Kultury" 2000, nr 10–12, s. 198–201

2001

1. *Moje wycieczki krajoznawcze (1981–1986)*, „Tygiel Kultury" 2001, nr 10–12, s. 52–58
2. *Doktor Leszek Czarnik*, „Rocznik Lwowski" 2000–2001, s. 85–100

2007

1. *Złota Księga Historiografii Lwowskiej XIX i XX wieku. Red. J. Maternicki*. (Rec.), „Historyka" 2007–2008, t. XXXVII–XXXVIII, s. 151–153[2]

[2] Bibliografia obejmuje ponadto współautorstwo podręczników historii starożytnej i wczesnego średniowiecza, które ukazały się pod red. M. H. Serejskiego w latach 1947–1954; opracowanie ponad 200 haseł w postaci biogramów historyków polskich i obcych dla *Wielkiej Encyklopedii PWN* (1960–1961) oraz przygotowanie ponad 20 haseł do *Słownika historyków polskich* pod red. M. Prosińskiej-Jackl, Warszawa 1994.

Indeks osobowy[1]

A
Adamus Jan 16, 149, 150, 159, 162, 163
Adamusowa 150
Ajnenkiel Eugeniusz 153
Ameissenowa Zofia 109
Ameissenowie 109
Amsterdamski Stefan 214
Andrzejewski Jerzy 145
Assorodobraj-Kula Nina 9, 15, 70, 73, 86, 88, 94, 101, 106–107, 135, 146–147, 159, 161, 163, 166

B
Baczko Bronisław 171
Balzer Oswald 45, 55, 75
Banach Stefan 148
Banasiak Stefan 219
Banaś Konrad 20
Bandurka Mieczysław 122, 123
Bar Adam 13, 54, 56, 58
Baranowski Bohdan 212, 213
Baranowski Krzysztof 200
Barański Janusz 184
Bardach Juliusz 150
Barszczewska-Krupa Alina 177
Bazylow Ludwik 51
Bąkowicz Stanisław 10
Bernacki Ludwik 63
Beynar Leon Lech, zob. Jasienica Paweł 209
Bielski Marcin 211
Bieńkowski Władysław 87
Bikont Piotr 187
Błachowska Katarzyna 11
Błaszczyk Leon 170, 221
Bobinowa Maria 37
Bobin Roman 96
Bobin Staszek 37, 96
Bobin Zbyszek 37, 97
Bobinowie 37, 68, 96
Bobińska Celina 154
Bobowscy 87
Borejsza Jerzy W. 13, 61, 63, 64, 67, 71, 72, 135, 144, 146
Bortkiewiczowa Filomena Elżbieta 151
Bortnowski Władysław 220
Borusewicz Bogdan 190
Bosakowski Roman 188
Brodowska Helena 15, 174, 177, 204
Brodowska-Kubicz Helena, zob. Brodowska Helena 10, 22
Broniewski Władysław 66
Bronowski Franciszek 16, 163, 170, 176
Brybowski Witold 99
Brzóska (Niemiec) 80

[1] W Indeksie nie zostały ujęte nazwiska osób wymienionych jedynie w Bibliografii.

Budionny Siemion Michajłowicz 30, 60
Bujak Franciszek 11, 85, 129, 131
Buzek Jerzy 169

C
Ceran Waldemar 219
Chałasińscy 203
Chałasiński Józef 15, 66, 124, 129, 130, 201, 203, 204, 206, 207
Chłopicka (ciotka) 157
Chłopicki Józef (generał) 18
Chłopicki Tadeusz (Tadzio) 119, 157
Chruszczow Nikita 207
Chylińska Zofia 40
Cyprian Tadeusz 30, 31, 98, 101
Czarnik Leszek 42, 70
Czarnik Stanisław 42
Czarnikowa Teresa 70
Czerniawska Olga 219
Czołowska-Karczewska Stanisława 73
Czołowski Aleksander 73

D
Dajcigerauch (rodzina) 215
Dawidowicz (sędzia) 35
Dażwańscy 87, 88
Dąbkowski Przemysław 13, 45, 51, 63
Dąbrowski Jarosław 68, 69, 105, 124
Dejmek Kazimierz 146
Dejna Karol 161
Dobrzańska Lala 89, 101
Dodziuk Anna 187
Domaradzka Maria 84, 86, 89
Dunikowscy 39, 42
Duracz Teodor 87
Dutkiewicz Józef 15–17, 149, 159, 162, 163, 165, 170, 176
Dworzaczkowa Jolanta 9
Dziurżanka Katarzyna 110

E
Edelman Marek 134, 183
Ehrlich Ludwik 43
Eisenhart Eugenia, zob. Kurkowa Eugenia 76
Erdenberger 32
Evert-Kappesowa Halina, zob. Kappesowa Halina 143

F
Fabierkiewicz Wacław 206
Feldman Józef (profesor) 65, 99, 116
Feldman Wilhelm 82
Feldmanowa-Kreczowska Maria z Kleinmanów, zob. Kreczowska-Feldmanowa 116
Filippi-Żychowiczowa Olga 39
Finkel Ludwik 46
Frączkiewicz 36, 48
Frączkiewiczowie 36
Friedberg Maria, z domu Mazankówna 52
Friedberg Marian 52, 116
Friedbergowie 52, 81, 83, 116
Froń Janina 11

G
Gawryszak M. 20
Gąsiorowska-Grabowska Natalia 122, 123, 142, 148, 149, 153, 155, 200
Geschwind 34
Gębarowicz Mieczysław 76
Giebułtowski Kazimierz 76
Gieysztor Aleksander 10
Głogowski Karol 218
Godłowski T. 13
Goethe Johann Wolfgang 38, 72
Goldberg Benjamin zob. Borejsza Jerzy 61
Goldberg Jakub 175, 202
Golias Marian 11, 15, 39, 40, 137, 138, 149, 150, 154
Golicka-Jabłońska M. 20
Gostomska-Zarzycka Zofia 126
Górka Olgierd 47
Górscy 41
Górska Halina 41, 42, 64, 92

Górski Janusz (minister) 20, 173, 178, 218
Grabski Andrzej Feliks 160
Grabski Marian 148
Grabski Stanisław 129, 135
Granas Romana 61
Grasela Andrzej 38
Gregorowicz Jan 195
Grodecki Roman 66, 75, 80
Gromiec Helena Zofia 183, 191, 192
Gromiec Włodzimierz 171, 191
Gromnicka 82, 83, 117
Grycz Józef 53
Gryko C. 206

H
Habielski Rafał 12
Hala (ciotka z Elbląga) 157
Halicz Benedykt 121
Haller Józef 31
Handelsman Marceli 130, 141
Harasimowicz Andrzej 218
Hempel Wojciech 218
Henia (ciocia) 36
Herbst Stanisław 95, 166
Hessen Sergiusz 201, 204
Hoffman Anna 89
Hoffman Ryszard 89, 97, 100
Hoffmanowa 89, 91, 92, 94, 97, 101
Holzer Jerzy 9
Homme (pracownica Ossolineum) 76

I
Inglot Stefan 66, 67, 77, 129, 147
Irena (szwagierka) 61, 88, 94, 101–104, 146
Iwaszkiewicz Jarosław 145

J
Jabłońska (babcia p. Kulów) 146, 186
Jabłońska Zofia 186
Jabłoński Jerzy Piotr 186
Jacobson Walenty 190
Janowski Witold 214
Jaric Marc 52, 53
Jaruzelski Wojciech 194
Jasienica Paweł 209
Jaworski (prof.) Andrzej? 214
Jażdżewski Konrad 201, 204, 209
Jedlicki Jerzy 172
Jełowicka (ziemianka) 157
Jędrzejewicz Wacław 10
Joyce James 103
Józefiak Cezary 20

K
Kaczmarek Roman 152, 153
Kamiński Aleksander 128, 206
Kappesowa Halina, zob. Evert-Kappesowa Halina 15, 143, 163
Kasprowicz Jan 34
Kasprzyk Rafał 218
Katz Henryk 214, 215
Kazimierska Kaja 10, 14
Kądziela Łukasz 18
Kelles-Krauz Janina 52, 53, 76
Kieniewicz Stefan 10, 18, 130, 142, 162, 166
Kiernicka Halina 76
Kipling Rudyard 82
Kita Jarosław 11
Kłodzińscy 55, 79, 82, 108, 109, 114, 115
Kłodzińskie Jadzia i Krysia 109
Kłodziński Adam 55
Kłodziński Andrzej 49, 55, 75, 78, 94
Kłos Michał 151
Kmieciński Jerzy 209
Kmita Piotr 54
Knot Antoni 126, 127
Kobak Andrzej 25
Kochanowski Jan 38, 141
Koczerska Maria 10
Kodrębski Jan 151
Kokoszko Maciej 25
Kolankowski Ludwik 11, 13, 44, 54
Kolbuszewska Jolanta 3, 7, 10, 25
Kołakowski Leszek 171

Konopczyński Władysław 47, 72
Koranyi Karol 51
Korkuć (woźny) 211
Kormanowa Żanna z d. Zelikman 140, 141
Korzec (rodzina) 122, 123, 170
Korzec Paweł 122, 123
Korzon Tadeusz 96, 97
Kościałkowski Stanisław 137
Kościuszko Tadeusz 15, 17, 96, 97, 143, 162, 165, 166, 174
Kot Stanisław 54
Kotarbiński Tadeusz 200, 201, 204, 206, 211
Kott Jan 98, 145
Kowalczyk Krystyna Anna 193
Kowalczyk Rafał 20
Kowalczyk Stefan 189
Kowalczyk Tadeusz 193
Kozel Antoni (siostrzeniec) 168
Kozel Bolek (szwagier) 75, 78, 157, 168
Kozel Ewa (z domu Oppenauer, siostra) 60, 78, 84, 118, 119, 125, 156, 158, 161, 168
Krakowski Stefan 163
Krasucki Eryk 13
Kraśko Wincenty 207
Kreczmar Jerzy 14, 65, 66, 68, 70, 71, 84, 86, 87, 98, 100, 101, 116
Kreczowska-Feldmanowa, zob. Kreczowska 82, 83, 116
Kreczowska, zob. Feldmanowa-Kreczowska 82, 83, 116
Kreisberg Irena 39
Król Jan Aleksander 129
Kuczyński Stefan M. 17
Kukiel Marian 12, 52, 53
Kula Marcin 120
Kula Witold 9, 15, 18, 70, 120, 122, 123, 142, 146, 154, 155, 159, 161, 162
Kulowie (Nina i Witold) 15, 146, 159, 161, 164
Kuntze Edward 56, 58, 80, 83, 84
Kurkowa Eugenia 76
Kuroń Jacek 172, 173, 195
Kurowska Irena 88, 101, 102
Kuryluk Karol 41, 129
Kutrzeba Stanisław 45, 111, 115, 128, 129, 135
Kutschera Franz 92

L

Langrock (Szawłowski) 115
Langrod Jerzy Stefan Władysław 119
Lao Jacek 167
Latacz Eugeniusz 53, 54
Lazari-Pawłowska Ija, zob. Pawłowska Ija 20, 163
Lechicka Jadwiga 99
Lelewel Joachim 162, 163
Lenczowski Kosma 40
Lenin Włodzimierz I. 65, 68
Lesiakowski Krzysztof 20
Leśniewski Adam 214
Leśnodorski Bogusław 15, 49, 56, 80, 81, 115, 128, 154, 163, 166
Lewicki Bolesław 42
Libiszowska Zofia (ur. Gołuchowska Zofia) 10, 20, 166, 178, 220
Librachowa Maria, zob. Lipska-Librachowa Maria 206
Lipko Stanisław 121
Lipska Helena 83
Lipska-Librachowa Maria 206
Lublińska 92
Lubomirski Andrzej książę 63, 67, 76, 133
Lutman Adam 85, 86
Lutman Roman 66, 67, 86, 89, 94, 95, 101, 105, 112–114, 155
Lutman Tadeusz Eugeniusz 67, 77, 86
Lutyńska Krystyna 78
Lutyński Jan 167, 218

Ł

Łempicki Stanisław 11, 44, 70, 76
Łojek Jerzy 18, 166
Łukasiewicz Zenobia 193

M
Maleczyńscy Karol i Ewa 155
Małowist Marian 153
Małowistowie 154
Manteuffel Tadeusz 141, 165
Markiewicz Henryk 165
Maryna (ciotka z Elbląga) 47, 157
Maszkin Nikołaj A. 139
Maternicki Jerzy 10, 11, 18
Matuszewski Józef 167, 182
Mazur Stanisław Mieczysław 148
Mazurkowie 183, 184
Mączak Antoni 18
Meyer Eduard 138
Michalak Henryk Stanisław 21, 171, 174
Michalik Mirosław 188
Michnik Adam 134
Michowicz Waldemar 15, 166, 171, 177
Miecznikowski Stefan o. 20, 179, 185
Mikucka Aniela 146
Missalowa Gryzelda 21, 153
Miszulin Aleksander W. 138
Modelski Teofil 44
Morawiecka Janina 98, 101
Muszkowski Jan 146

N
Natkański Zdzisław 20
Niemojewscy 138
Nitsch Kazimierz 80
Nowak (bibliotekarz archiwista) 20, 53, 54
Nowakowska Wanda 20
Nowinowski SŁawomir M. 10, 167

O
Ohryzko Czesława, zob. Ohryzko-Włodarska Czesława 122
Ohryzko-Włodarska Czesława, zob. Ohryzko Czesława 122
Oppenauer Janina (z domu Froń, matka Krystyny Śreniowskiej) 38, 52, 156–159, 168
Oppenauer Kalikst (sędzia, ojciec Krystyny Śreniowskiej) 10, 29–40, 52, 55, 57, 62, 68–69, 73–74, 78, 96, 110, 116, 119, 132, 134, 156–158
Oppenauer Krystyna Maria, zob. Śreniowska Krystyna 10–13, 46
Oppenauer Maria (ciotka Krystyny Śreniowskiej) 10, 46
Orłowski Aleksander 214
Orman Elżbieta 10
Ossowscy 15, 86, 94, 101–105, 134, 201, 204, 206
Ossowska Maria 88, 101
Ossowski Stanisław 66, 70, 71, 84, 88, 95, 134, 200

P
Paradowska Elżbieta 10
Patryn (profesor gimnazjalny) 37
Pawłowicz Edward 64
Pawłowska Ija, zob. Lazari-Pawłowska Ija 178
Pawłowski Tadeusz 20, 163
Peiper Tadeusz 66
Petrykowska Biruta 211
Piątowski Józef Stanisław 167, 211, 214
Pigoń Stanisław 131
Piłsudski Józef 61, 131, 159
Pińkowski Edward 186
Piotrowicz Ludwik 56
Pobóg-Malinowski Władysław 10
Pociecha Władysław 13, 83
Podkowińska Zofia 88, 94
Pohlmann Robert von 138
Pohoreccy 116
Polewka Adam 58, 145
Ptaśnik Jan 131
Puś Wiesław 16, 122, 199, 219

R
Raczyńscy hr. 57
Radlińska Helena 206
Radziwiłł Czarny Mikołaj 11, 44
Romek Zbigniew 14, 17, 21, 25, 88, 96, 97, 188

Ronikier Adam hrabia 115
Rosenmanowa 33, 35
Rosmarin Stefan 150
Rozdolski Roman 85, 86
Róża (ciotka) 78, 81, 115
Różalski Antoni 25
Rudnicki Adolf 49, 175
Rulikowscy 77
Rulikowski Edward Leopold 77
Ruskin John 82
Rutkowski Jan 128
Rutkowski Tadeusz P. 155
Rybicki Andrzej 70, 76, 78
Rychterówna Kazimiera (ur. Richter Fryderyka) 34
Rydz-Śmigły Edward 60
Rymar Stanisław 50, 81, 84
Rynkowska Anna 122, 153
Ryszka Franciszek 9

S

Safal (introligator) 64, 65
Salmonowicz Stanisław 9
Sawicka Irena 88, 89, 94
Scheur-Sawicka Irena, zob. Sawicka Irena 88
Schiller Leon 146
Schnejberg (komunistka) 61
Schulz Brunon 34
Semkowicz Aleksander 64, 65
Serejski Marian Henryk 15–17, 23, 120, 122, 123, 137, 138, 140, 142, 143, 155, 156, 160, 162, 163, 165, 203, 204
Siergiejew Władimir S. 139
Sierżęga Paweł 11
Siuchniński Mateusz 122, 138, 139
Skowrońska 116
Skupieński Franciszek 211
Skwarczyńska Stefania 201
Smoleńska 122
Sobański Janusz (prof. okulista) 160
Sobieski Wacław 17, 57, 140, 141
Spaet Arnold 34, 35
Spaetowie 34, 35, 78
Spodenkiewicz Paweł 20
Staff Leopold 34
Stankiewicz Zbigniew 151, 161, 162, 173, 174, 177, 178
Stankiewiczowa 160
Stefanowska Zofia 18
Steiger Marta 41, 64, 92
Stieber Zdzisław 201
Stobiecki Rafał 3, 7, 10–12, 16, 17, 19, 21, 25, 155, 202
Stryjkowski Julian 13, 31, 32, 48, 175
Strzelecki Jan 105, 204
Sucharski Henryk 61
Sulikowska Wanda 122, 123
Susskind z Trimbergu Minnesänger 35
Szafran Katarzyna 25
Szafran Michał 17, 25
Szczepański Jan 203, 207
Szczerba Adrianna 203
Szczęsna Jadwiga 193
Szletyńska Maria 146
Szletyński Henryk 146
Szmuszkowicz Hanna 147, 150, 151
Szpunar Adam 20, 49, 207, 208
Sztaba Roman 79, 81
Sztabowie 79, 82, 111
Sztaniec Janina 162
Szwejkowska (dyrektor Szkoły TPD) 121
Szymańska Irena, zob. Wiernik Irena 146

Ś

Śmiałowski Józef 152, 213
Śreniowska Barbara 17, 22, 147, 154, 162, 167–169, 173, 179, 180, 182–184, 187, 188, 190–195
Śreniowska Helena (matka Stanisława Sreniowskiego) 79, 82, 83, 85, 117
Śreniowska Krystyna, zob. Oppenauer Krystyna Maria 1, 3, 5, 7, 10, 13–17, 19, 20, 22, 24, 25, 29, 168, 199, 213, 215, 218, 223
Śreniowska-Szafran Barbara, zob. Śreniowska Barbara 22

Śreniowski Józef 20, 22, 25, 142–143, 147, 151, 154, 158, 160, 162, 164, 167–169, 171–173, 177–183, 186–191, 195, 218, 220
Śreniowski Stanisław 12–14, 25, 37, 49–52, 55–59, 62, 63, 69, 70, 75, 76, 78, 79, 81–96, 98, 101–107, 109–115, 117–120, 124–126, 132, 134, 139, 142, 143, 145–152, 154, 156, 158–160, 162, 164, 166, 172, 177, 203, 204

T
Tarnowscy z Dzikowa 64
Tatarowski Konrad 188
Tazbir Janusz 18
Terlecka Helena 30
Tomczak Andrzej Kazimierz 11, 122, 123
Truchim Stefan 14, 99
Trzcińska Krystyna 94
Trzcińska Maryla 94
Tucholska (gosposia) 164
Turowski Krzysztof 191
Tuwim Julian 34, 144
Twain Mark 82
Tymieniecki Kazimierz 122, 142, 159
Tyrankiewiczówna Maria 210
Tyszkowska Maria Zofia z Długoszów 70
Tyszkowski Kazimierz 11–13, 39, 43, 44, 46, 47, 50–52, 57, 64–66, 70, 76, 77

U
Ułaszyn Henryk 201

V
Vieweger Teodor 200

W
Wachowska Barbara 170
Walentynowicz Anna 190, 193
Walicki Jacek 202
Wallis Mieczysław 201, 204
Waniek Katarzyna 10
Wassermann Jakob 82
Wasylewski Stanisław 77
Waszkiewicz Ludwik 120
Wat Aleksander 66
Weisblum Józef (ojciec Stanisława Śreniowskiego) 13, 30, 32, 38, 39, 44, 48, 49, 57, 69, 78
Wereszyccy 155
Wereszycki Henryk 10
Węcowski Piotr 10
Wiernik Irena, zob. Szymańska Irena 146
Wilczyńska-Lorentowiczowa Lidia 95
Wilde Oscar 82
Wisłocki Władysław 13, 76
Wiśniewska Ewa 191
Włodarczyk Jerzy 122
Wojciechowski Zygmunt 128
Wojtczak Leszek 206
Wróblewski Jerzy 20, 178, 211, 218
Wujec Henryk 168
Wyspiański Stanisław 36, 82

Z
Zaborowski S. (Stanisław?) 14
Zagórny Stanisław 122, 123, 151
Zahorski Andrzej 18
Zajączkowski Stanisław Franciszek 76, 135, 142, 159, 160
Zajewski Władysław 179
Zakrzewski Stanisław 11, 15, 16, 43, 140, 155, 159
Zdziechowski Marian 72
Zeltzer Fela 87
Zieliński (nauczyciel ze Stanisławowa) 116
Zuziak Janusz 12
Zwolscy 172, 176
Zwolski Bogumił 137, 172, 212
Zych Sylwester 178
Zysiak Agata 10, 203

Ż
Żółkiewski Stefan 129, 134, 147